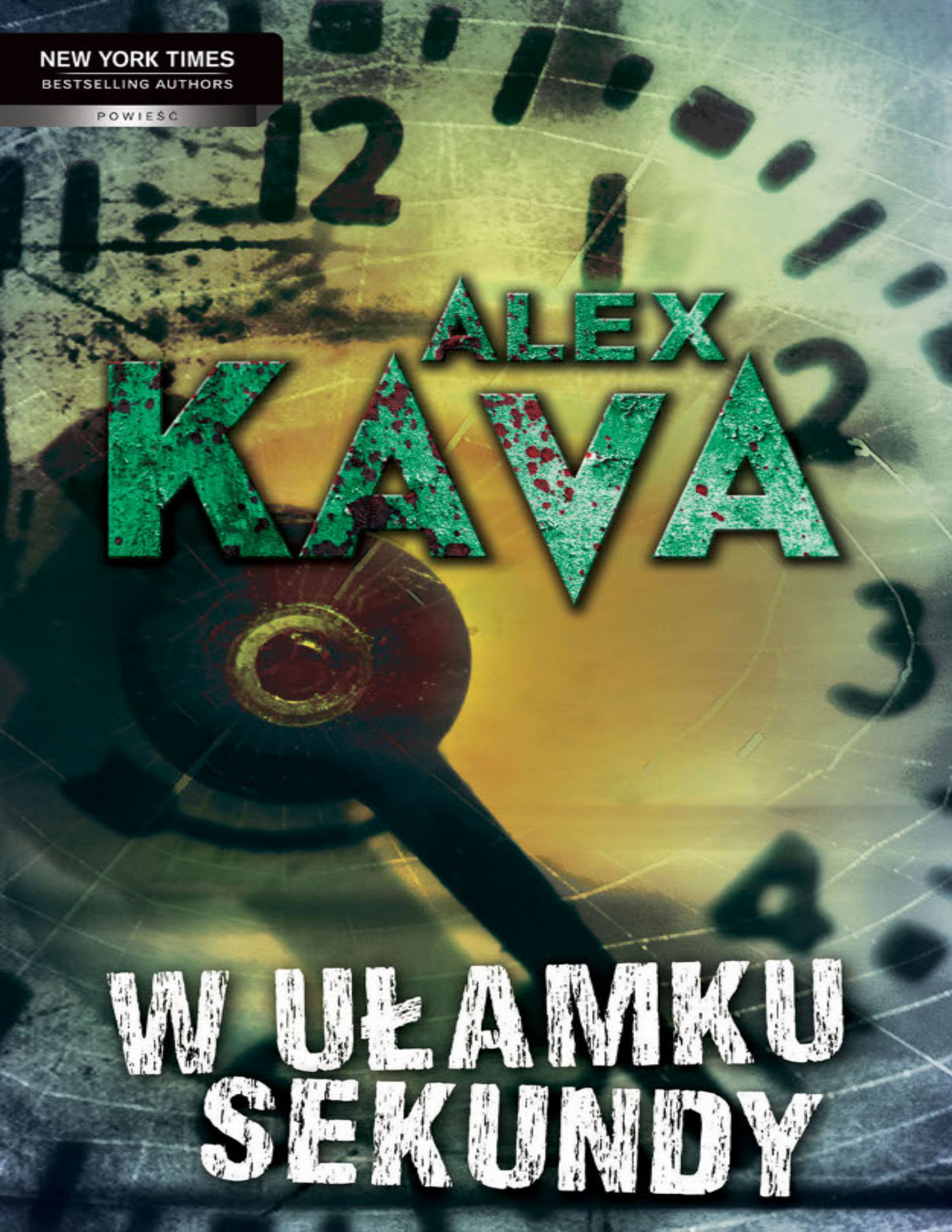
NEW YORK TIMES
BESTSELLING AUTHORS
POWIEŚĆ
ALEX
KAVA
W UŁAMKU
SEKUNDY

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Alex Kava

W ułamku sekundy

Przełożyła
Katarzyna Ciążyńska

PROLOG

Więzienie stanowe North Dade
Miami, Floryda
Halloween, piątek, 31 października

Del Macomb otarł pot z czoła. Sztywny materiał munduru przykleił mu się do pleców, a dopiero dochodziła dziewiąta rano. Jak to możliwe, żeby w październiku było tak parno i wilgotno?

Del dorastał w Minnesocie na północ od Hope. W jego rodzinnych stronach na jeziorze Silver Lake właśnie o tej porze zaczynał się tworzyć lód, a pastor Macomb, ojciec Dela, pisał kazania, patrząc na odlatujące dzikie gęsi.

Znów otarł z czoła mokre strużki. Rozmyślając o ojcu, przypomniał sobie, że powinien się ostrzyc. Co za bzdury przychodzą mu do głowy? Jakby tego było mało, nagle zatęsknił za domem.

– Co za pieprzniętego gnoja podwozimy dziś naszym wózkiem?

Wyrwany z zadumy Del wzdrygnął się, a zaraz potem skrzywił. Prostacki język jego partnera, Benny’ego Zeeksa, zawsze go drażnił. Zerknął na barczystą postać byłego żołnierza piechoty morskiej, by sprawdzić, czy ten zauważył jego reakcję. Nie miał ochoty wysłuchiwać kolejnego

wykładu o maminsynkach i prawdziwych facetach, choć z drugiej strony mógł się sporo od Benny’ego nauczyć.

– Powiedzieli, że nazywa się Stucky. – Nie wiedział, czy Benny go usłyszał, bo wyraźnie był czymś zaaferowany.

Benny Zeeks stał się żywą legendą więzienia stanowego North Dade nie tylko dlatego, że pracował tu już dwadzieścia pięć lat. Sam staż jeszcze o niczym nie świadczył. Podziw wzbudzało jednak to, że większość czasu spędził przy celach śmierci, a nawet w skrzydleX. Del widział jego blizny, pamiątki po wygranych bójkach z lokatorami skrzydła X, którzy próbowali uniknąć zamknięcia w ciasnych jak trumna jednoosobowych celach.

Patrzył, jak Benny niedbale podciąga rękawy na żylastych rękach, przy okazji obnażając jedną z legendarnych blizn. Krzyżowała się z tatuażem, polinezyjską tancerką, która zyskała w North Dade czerwoną krechę na brzuchu, jakby była przecięta na pół. Benny potrafił ją roztańczyć, zginając rękę i wprawiając przedramię w powolne seksowne kołysanie, podczas gdy górna część ręki zastygała nieruchomo. Tatuaż fascynował Dela, zarazem intrygował i odpychał.

Teraz jego partner powoli, ostrożnie wspinał się po wąskich stopniach prowadzących do kabiny, by zająć miejsce pasażera w opancerzonej furgonetce. Ruszał się wolniej niż zwykle, co było oczywistym znakiem, że miał następnego kaca. Del wskoczył za kierownicę, zapiął pas i po raz kolejny udawał, że niczego nie widzi.

– Co to za sukinkot? – spytał Benny, odkręcając termos krótkimi spiczastymi palcami i łapczywie dobierając się do kawy.

Del chciał mu powiedzieć, że kofeina tylko zwiększy jego problem, ale cztery tygodnie w nowej pracy zupełnie wystarczyły, by przekonać się, że Benny’emu Zeeksowi nie mówi się takich rzeczy.

– Mamy dzisiaj zmianę Brice’a i Webbera.

– A czemu, do cholery?

– Webber złapał grypę, a Brice złamał rękę.

– Jak się, kurwa, łamie ręce?

– Słyszałem tylko, że ją złamał, ale nie wiem jak. Pomyślałem, że masz dość naszej zwykłej rutyny, tej samej trasy każdego dnia. No i te korki w drodze do sądu. Dziś będzie inaczej.

– Taa, dobra, dosyć tej papierkowej roboty. – Benny wiercił się niespokojnie, jakby przeczuwał jakieś kłopoty wynikłe ze zmiany codziennego toku zajęć. – A skoro to rundka Brice’a i Webbera, to znaczy, że dupek jedzie do Glades, co? Biorą go pod ścisłą opiekę do pieprzonej rozprawy. No to musi być z niego nie lada skurwiel, jak nie chcą go trzymać w naszym pieprzonym areszcie.

– Nazywa się Albert Stucky, tak mówił Hector. Podobno nie jest wcale taki zły, nawet inteligentny i sympatyczny. Miał się zgodzić z tym, że Jezus Chrystus go zbawi.

Del czuł, że Benny patrzy na niego spode łba. Przekręcił kluczyk, furgonetka drgnęła, zadudniła, a on uzbrajał się przeciw cynizmowi Benny’ego. Włączył klimatyzator, który

uderzył w nich gorącym powietrzem. Benny wyciągnął rękę i wyłączył go.

– Niech najpierw silnik trochę popracuje. Nie będzie nam tu walić cholernym tropikiem prosto w gębę.

Del poczuł, że jego twarz robi się czerwona. Nie był pewny, czy kiedykolwiek uda mu się zdobyć szacunek partnera. Zignorował gotującą się w nim złość i opuścił szybę. Wyjął książkę wozu i zanotował stan licznika i benzyny, żeby uspokoić się przy rutynowych czynnościach.

– Chwila – odezwał się Benny. – Albert Stucky, mówisz? Czytałem o nim w „Miami Herald”. Federalsi przezwali go Kolekcjoner.

– Federalsi?

– Taa, FBI. Jezu, mały, czy ty nic nie przyswajasz?

Tym razem Dela parzyły nawet uszy. Odwrócił głowę i udał, że sprawdza coś w bocznym lusterku.

– Ten Stucky – ciągnął Benny – poszlachtował trzy czy cztery kobitki, i nie tylko tu, na Florydzie. Zasrany z niego skurwysyn. Jeżeli zdaje mu się, że znalazł Jezusa Chrystusa, założę się, że chce ratować swój pieprzony tyłek przed Starym Elektrykiem.

– Ludzie się zmieniają. Nie wierzysz, że człowiek może się zmienić? – Del zerknął na Benny’ego, który miał brwi ozdobione kropelkami potu i patrzył przekrwionymi oczami.

– Jezu, chłoptysiu. Założę się, że wciąż wierzysz w Świętego Mikołaja. – Benny potrząsnął głową. – Tego gościa wysyła się do Glades, do więzienia o zaostrzonym rygorze, bo ma tam bezpiecznie doczekać rozprawy,

a potem dostać swoje wolty, a nie dlatego, że znalazł pieprzonego Jezusa Chrystusa.

Benny odwrócił wzrok, patrząc za okno i popijając kawę. Nie zauważył, że Del skrzywił się po raz wtóry. Nie mógł inaczej. Ta nagła reakcja, nieunikniona jak podrapanie swędzącego miejsca, była efektem dwudziestu dwu lat spędzonych z ojcem kaznodzieją. Czysty, podświadomy odruch.

Del wsunął książkę wozu do bocznej kieszeni i wrzucił pierwszy bieg. W bocznym lusterku widział betonowe więzienie. Słońce waliło na plac, gdzie kilkunastu więźniów spacerowało w kółko, dzieląc się papierosami i jakoś znosząc ten skwar. Jak mogło sprawiać im to przyjemność, skoro nie było tam cienia? Del dołączył tę uwagę do swojej listy, na której umieszczał przypadki niewłaściwego traktowania więźniów. Kiedy pracował w Minnesocie, był z niego całkiem waleczny aktywista zabiegający o reformy w więziennictwie. Ostatnio za bardzo zajęła go przeprowadzka i nowa praca, ale kontynuował tę listę z nadzieją, że wykorzysta ją, kiedy czas na to pozwoli. Krok po kroku dotarł w swoim rozumowaniu do bardzo kontrowersyjnych pomysłów, na przykład takich jak postulat likwidacji skrzydła X.

Kiedy zbliżyli się do ostatniej bramki, zerknął we wsteczne lusterko. O mało nie podskoczył, bo więzień patrzył prosto na niego. Przez grubą szybę Del widział tylko świdrujące czarne oczy, które przyglądały mu się w lusterku.

Rozpoznał coś w tym wzroku i poczuł ucisk w żołądku. Widział takie spojrzenie przed laty. Był wtedy jeszcze chłopcem i towarzyszył ojcu w wyjeździe. Spotkali się wtedy ze skazanym, którego ojciec Dela poznał podczas jednej z duszpasterskich wizyt w więzieniu. Teraz więzień wyznał wszystkie przerażające, niewyobrażalne rzeczy, które zrobił swojej rodzinie – żonie, piątce dzieci, a nawet psu – zanim ich zamordował.

Dla chłopca było to traumatyczne przeżycie, ale jeszcze gorsza była przyjemność, jaką więzień wyraźnie czerpał z relacjonowania każdego szczegółu i sprawdzania, jakie wrażenie robi to na dziesięciolatku. Teraz Del ujrzał to samo spojrzenie w oczach mężczyzny, który siedział z tyłu opancerzonej furgonetki. Po raz pierwszy od dwunastu lat miał wrażenie, że patrzy prosto w oczy samemu złu.

Odwrócił się, unikając pokusy, żeby znowu zerknąć w lusterko. Wyjechał za ostatnią bramkę na autostradę. Nareszcie mógł się zrelaksować. Lubił prowadzić. Miał wtedy czas podumać o tym i owym. Kiedy skręcił w lewo, zatopiony w myślach Benny nagle się zdenerwował.

– Do cholery, I-95 jest w drugą stronę.

– Wybrałem skrót. Droga 45 nie jest tak zapchana, przyjemniej się nią jedzie.

– Pieprzę taką przyjemność.

– Zyskamy pół godziny. Dostarczymy więźnia i będziemy mieli czas na lunch.

Wiedział, że partnerowi spodoba się taka propozycja, miał nawet nadzieję, że zrobi na nim wrażenie. Nie mylił się.

Benny przestał się rzucać i nalał sobie kolejną porcję kawy. Del wyciągnął rękę i nacisnął guzik klimatyzatora. Tym razem kabinę zaczęło wypełniać chłodne powietrze. Benny wynagrodził partnera rzadkim uśmiechem. Dela ogarnął miły spokój. Nareszcie zrobił coś dobrze.

Po trzydziestu minutach jazdy mieli już za sobą korki Miami, kiedy z tyłu wozu rozległo się jakieś walenie. Najpierw Del pomyślał, że zgubili tłumik, ale walenie nie ustawało. Dobywało się z wnętrza furgonetki, a nie spod spodu.

Benny uderzył pięścią w metalową przegrodę, która oddzielała dwie części samochodu.

– Zamknij się, kurwa! – Wykręcił się, żeby spojrzeć przez małe prostokątne okienko. – Nic nie widzę, cholera.

Hałas nieustannie rósł, przesyłał wibracje pod przednie siedzenia. Del miał wrażenie, jakby ktoś walił w metalowe ściany wozu kijem baseballowym. Za każdym uderzeniem Benny zataczał się i chwytał za głowę. Del spojrzał na niego i zobaczył, że polinezyjska tancerka porusza biodrami, gdy Benny trzaska pięścią w przegrodę.

– Hej, spokój tam! – krzyknął Del, dodając swój głos do ogłuszającego hałasu, od którego dudniło mu w głowie.

Więzień najwyraźniej nie był dobrze skrępowany i całym ciałem tłukł w ściany furgonetki. Znaczyło to, że jeśli nawet nie zwariują do końca podróży, facet może sobie zrobić krzywdę. Del nie miał ochoty odpowiadać za uszkodzenie więźnia podczas transportu. Zwolnił, zjechał na pobocze dwupasmowej autostrady i zatrzymał się.

– Co ty, cholera, robisz? – wkurzył się Benny.

– Trzeba go powstrzymać, bo się poharata. Musieli go źle skrępować.

– Czemu mieliby go krępować? Przecież znalazł Jezusa Chrystusa.

Del tylko potrząsnął głową. Wyskakując z szoferki, pomyślał, że nie ma pojęcia, co zrobić z więźniem, który uwolnił rękę albo nogę ze skórzanych pasów.

– Czekaj no, mały! – krzyknął za nim Benny, gramoląc się ze swojego miejsca. – Ja się zajmę tą kanalią.

Obejście samochodu zajęło Benny'emu chwilę za długo. Kiedy wreszcie doszedł na miejsce, Del zauważył, że tak jak przed wyruszeniem w drogę, chwiał się na nogach.

– Jesteś jeszcze pijany!

– Jak diabli.

Del zajrzał do szoferki i wyciągnął termos, nie pozwalając Benny'emu go przechwycić. Odkręcił zakrętkę. Pociągnął nosem i stwierdził, że kawa jest zakrapiana alkoholem.

– Ty skurwysynu! – krzyknął Del równie zdumiony swoimi słowami jak Benny. Nie przeprosił, tylko z całej siły rzucił termosem w pobliski płot.

– Niech cię szlag! To mój jedyny termos, mały. – Zdawało się, że Benny ruszy do zarośniętego rowu, żeby pozbierać szczątki termosu. Odwrócił się jednak i podszedł do tylnych drzwi samochodu.

– Załatwmy tego popieprzeńca.

W środku wciąż ktoś szaleńczo walił w stalową budę, aż wóz bujał się na boki.

– Myślisz, że dasz radę? – spytał Del, pozwalając sobie na sarkastyczną uwagę, bo czuł się oszukany i zły.

– Tak, do diabła. Ciągnąłeś matkę za cycki, kiedy ja już zamykałem gęby takim pojebańcom. – Benny sięgnął ręką po rewolwer, chwilę walczył z zapięciem kabury, zanim udało mu się wydostać broń.

Del był ciekaw, ile alkoholu wlał w siebie Benny Zeeks. Czy dobrze wyceluje? Czy rewolwer jest w ogóle nabity? To Brice i Webber transportowali ciężkich przestępców do Glades i Charlotte, a Benny i Del jeździli sobie spokojnie do sądu okręgowego w Miami.

Hałas ustał, kiedy tylko Del zaczął otwierać ciężkie tylne drzwi. Spojrzał na Benny'ego, który stał z wyciągniętą bronią. Natychmiast zauważył lekkie drżenie dłoni partnera. Poczuł mdłości. Plecy miał mokre, z czoła mu kapało. Mokre plamy pod pachami rujnowały jego świeżutki mundur. Serce mu waliło, zastanawiał się nawet, czy Benny słyszy je w tej ciszy.

Wziął głęboki oddech i mocniej chwycił klamkę. Potem szarpnął drzwi i odskoczył na bok, żeby Benny miał pełne wejrzenie na ciemne wnętrze wozu. Benny stał w rozkroku, z wyciągniętymi przed siebie rękami, z dłońmi zaciśniętymi na wycelowanej broni. Przechylił głowę.

Nic się nie działo. Drzwi kołysały się w przód i w tył, uderzając w karoserię. Ten dźwięk spotęgowany został ciszą, w której pogrążone było otoczenie i pusta droga. Del i Benny popatrzyli w ciemność, mrużąc oczy, żeby zobaczyć ławkę w rogu, na której powinien siedzieć więzień

przymocowany grubymi pasami, które wychodziły z podłogi i ścian.

– Co się dzieje?! – krzyknął Del, dostrzegłszy pocięte skórzane pasy, zwisające ze ściany wozu.

– Sucza jego mać... – wymamrotał Benny, zbliżając się do otwartej furgonetki.

Wysoka ciemna postać znienacka skoczyła na Benny'ego i przewróciła go na ziemię. Albert Stucky jak wściekły pies wbił mu zęby w ucho. Krzyk Benny'ego sparaliżował Dela. Stał jak słup. Nie mógł oddychać. Nie mógł myśleć. Zanim zdążył wyciągnąć broń, więzień był znów na nogach. Ruszył na Dela, uderzając w niego całym ciałem, i wsadził coś ostrego, gładkiego i twardego prosto w jego żołądek.

Del poczuł potworny ból. Jego ręce stały się bezużyteczne, rewolwer wyśliznął się z palców. Del ujrzał oczy Alberta Stucky'ego i zobaczył w nich zło, zimne i ciemne, samą esencję zła. Twarz młodego strażnika owionął gorący oddech diabła. Del zerknął w dół. Wielka dłoń wciąż zaciskała się na nożu. Podniósł wzrok i zobaczył uśmiech Stucky'ego w chwili, gdy więzień wbijał mu nóż jeszcze głębiej.

Del upadł na kolana. Widział jak przez mgłę. Diabeł Stucky zamajaczył mu w kilku rozmazanych postaciach. Dojrzał jeszcze samochód i rozciągniętego na ziemi Benny'ego. Zamglony świat zawirował. Potem Del uderzył ciężko o chodnik, a rozgrzany słońcem beton przykleił się do mokrych pleców. Nie był jednak tak gorący jak wnętrzności konającego funkcjonariusza. W jego żołądku

szalał dziki ogień, który rozprzestrzeniał się na kolejne organy. Teraz, leżąc na plecach, Del widział tylko chmury, piękne białe chmury na intensywnym błękicie. Poranne słońce oślepiło go. Ale wszystko było takie piękne. Dlaczego wcześniej nie zauważył, że niebo jest takie piękne?

Za nim, w ciszy, rozległ się pojedynczy strzał. Del uśmiechnął się słabo. Nareszcie. Nie widział go, ale dobry stary Benny, żywa legenda, dał sobie jednak radę. Alkohol tylko trochę go spowolnił.

Podciągnął się odrobinę, żeby spojrzeć na swój rozorany brzuch. Z przerażeniem zobaczył wycięty na nim krzyż – symbol Chrystusa. Nóż, który sprawił, że wnętrzności wylewały się na beton, okazał się mahoniowym krucyfiksem. Raptem Del przestał odczuwać ból. To dobry znak, pomyślał. Może nic mu nie będzie? Może wykaraska się z tego?

– Hej, Benny! – zawołał, kładąc głowę na chodniku. Nie mógł dojrzeć swojego partnera, który znajdował się za nim. – Mój tata zrobi z tego kazanie, jak mu opowiem, że zostałem zraniony krucyfiksem.

Długi czarny cień zasłonił niebo.

Del ponownie miał przed sobą puste, ciemne oczy. Albert Stucky wyrósł nad nim z chmur, wysoki i prosty, dobrze zbudowany mężczyzna o ostrych rysach. Przypominał Delowi sępa z czarnymi skrzydłami przyciśniętymi do boków, gdy przekrzywił głowę, patrząc i czekając, aż jego ofiara podda się przeznaczeniu. Stucky uśmiechnął się,

jakby ucieszyło go to, co zobaczył. Uniósł dłoń z bronią Benny’ego i wycelował w głowę Dela.

– Nic nie powiesz tatusiowi – stwierdził Albert Stucky głębokim, spokojnym głosem. – Powiesz to świętemu Piotrowi.

Metal przebił się przez czaszkę Dela. Wybuch cudownych świateł pląsał barwnymi promieniami: niebieskimi, żółtymi, białymi, aż wreszcie, w samym finale, czarnymi.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Północno-wschodnia Wirginia
Przedmieścia Waszyngtonu, Dystrykt Kolumbia
Pięć miesięcy później. Piątek, 27 marca

Maggie O’Dell poruszyła się. Czuła, że dłużej ani chwili tak nie wytrzyma, i jednocześnie uprzytomniła sobie, że dzieje się tak dlatego, że znów przysnęła w fotelu. Miała obolałe żebra i była mokra od potu. Gorące powietrze w pokoju ani drgnęło. Nie było czym oddychać. Maggie wyciągnęła rękę, sięgając do stojącej mosiężnej lampy. Kliknęła przycisk, lecz nadal było ciemno. Niech to szlag! – zaklęła w duchu. Nienawidziła budzić się w ciemności. Zawsze starała się przed tym ustrzec.

Powoli jej oczy przywykały do mroku. Mrużyła je, wodząc wzrokiem po stosach pudeł, które pakowała cały dzień. Wyglądało na to, że Greg nie raczył wrócić do domu, bo robił to zwykle tak ostentacyjnie, że bez wątpienia by ją obudził. Ale jakoś nie przejęła się jego nieobecnością. Swoimi grymasami tylko by rozdrażnił i zniechęcił do pracy ludzi od przeprowadzek.

Maggie chciała podnieść się z fotela, ale przeszkodził jej w tym ostry ból wzdłuż całego brzucha. Szukając ukojenia, objęła się wpół i pod palcami, przez bawełnianą koszulkę, wyczuła coś lepkiego i mokrego. Jezu! Co się dzieje?

Ostrożnie uniosła brzeg koszulki i nawet ciemność nie mogła tego przed nią ukryć. Zrobiło jej się niedobrze, po plecach przebiegł dreszcz. Rana cięta zaczynała się tuż pod lewą piersią i biegła dalej w dół brzucha. Właśnie zaczęła krwawić. W koszulkę wsiąkała krew, której nadmiar skapywał na obicie mebla.

Maggie zerwała się z fotela. Zakryła ranę, przyciskając do niej bawełnianą koszulkę w nadziei, że zdoła powstrzymać upływ krwi. Wiedziała, że musi zadzwonić na pogotowie. Ale gdzie, do diabła, jest ten cholerny telefon? I jak to się mogło stać? To była rana sprzed ośmiu miesięcy, a krwawiła tak obficie jak w dniu, kiedy Albert Stucky wyciął ją na jej skórze.

Szukając telefonu, Maggie potykała się o pudła, z których spadały pokrywy. Kartony przewracały się, wyrzucając z siebie zdjęcia z miejsc zbrodni, przybory toaletowe, wycinki z gazet, bieliznę i skarpetki. Fragmenty jej życia odbijały się od ścian i lądowały na podłodze. Wszystko, co z taką pieczołowitością pakowała, w jednej chwili zaczęło ulatywać, toczyć się, ślizgać i rozbijać na kawałki.

Potem jej uszu dobiegło jakieś kwilenie.

Nasłuchując, znieruchomiała i wstrzymała oddech. Krew w jej żyłach natychmiast zaczęła szybciej krążyć. Spoko. Musi wziąć się w garść. Powoli odwróciła się i przechyliła głowę, żeby lepiej słyszeć. Sprawdziła blaty biurka i małego stolika, półki na książki. Dobry Boże! Gdzież ona podziała broń?

Wreszcie dostrzegła rękojeść rewolweru, który leżał u stóp fotela. No jasne, musiała przecież mieć go pod ręką, kiedy spała.

Jęk nabrał mocy, teraz przypominał skowyt rannego zwierzęcia. A może to jakaś sztuczka? – pomyślała.

Maggie zaczęła przesuwać się z powrotem w stronę fotela, bacznie wszystko obserwując, jakby miała oczy wokół głowy. Dźwięk dochodził z kuchni. Poczuła obrzydliwy słodkawy odór, który sączył się z tamtej strony i z każdym krokiem stawał się coraz bardziej znajomy. Był to zapach krwi. Drażnił jej nozdrza i palił płuca. Taki smród musiał pochodzić z dużej ilości krwi.

Skuliła się i prawie w kucki przekroczyła próg. Została już ostrzeżona przez zapach, lecz mimo to widok, który ukazał się jej oczom, wstrząsnął nią. W oświetlonej sierpem księżyca kuchni krew rozlała się kałużą na kafelkowej podłodze i zbryzgała białe ściany. Była dosłownie wszędzie, kapała z blatów i sprzętów. A w odległym kącie stał Albert Stucky. Jego wysoki, kształtny cień balansował nad porażoną strachem, zawodzącą, klęczącą kobietą.

Maggie przebiegły ciarki. Dobry Boże, jakim cudem dostał się do jej domu? Dziwiła się, a jednocześnie nie dziwiła. Przecież spodziewała się go, a nawet, można powiedzieć, czekała na niego.

Stucky jedną ręką szarpnął kobietę za włosy, w drugiej trzymał nóż rzeźnicki, który przytykał do jej szyi. Maggie stłumiła krzyk. Stucky jeszcze jej nie spostrzegł. Nieomal rozpłaszczyła się na ścianie w kryjówce cienia.

Spokojnie. Spoko. Powtarzała to jak modlitwę. Przecież przygotowywała się do takiej właśnie chwili. Umierała ze strachu na samą myśl o niej, marzyła o niej i wyczekiwała jej całymi miesiącami. Nie pora teraz poddawać się panice, pozwolić, żeby strach popruł jej nerwy. Rozbolały ją plecy, ugięte kolana trzęsły się. Szukała oparcia w ścianie. Z tego miejsca trafiłaby Stucky'ego bez pudła. Wiedziała, że ma tylko jeden strzał. I tylko jednego potrzebowała.

Ścisnęła kaburę, sięgając po rewolwer. Kabura była pusta. Jak to możliwe? Rzuciła okiem po podłodze. Czyżby zgubiła broń po drodze do kuchni? I nawet tego nie zauważyła?

Nagle zrozumiała, że dając się ponieść nerwom, ujawniła swoją kryjówkę. Podniosła wzrok. Kobieta wyciągała do niej ręce w błagalnym geście. Maggie przeniosła spojrzenie i spotkała się wzrokiem ze Stuckym. Uśmiechnął się do niej. Potem jednym błyskawicznym ruchem podciął kobiecie gardło.

– Nie!

Przebudziła się, rzucając się gwałtownie. O mały włos nie spadła z fotela. Czym prędzej pomacała palcami po podłodze. Serce jej waliło, była spocona jak mysz. Znalazła kaburę, tym razem był w niej rewolwer. Maggie skoczyła na równe nogi, wymachując rękami, gotowa zaatakować kartony kulami, ile tylko w magazynku. Słońce ledwie co wstało, wysyłając nieśmiałe promienie, zdołała się jednak przekonać, że jest w pokoju sama.

Padła ciężko na fotel. Wciąż ściskała w dłoni broń. Drugą ręką wytarła pot z czoła i drżącymi palcami przetarła

zaspane oczy. Wciąż nie wierzyła, że to był tylko sen. Uniosła brzeg koszulki i pochyliła głowę, żeby spojrzeć na krwawe cięcie na swoim brzuchu. Owszem, była tam szrama, lekko wypukła i zaróżowiona. W żadnym razie jednak nie krwawiła.

Maggie oparła plecy i wsunęła palce w splątane, krótkie włosy. Dobry Boże! Ile jeszcze wytrzyma z tymi koszmarami? Minęło już osiem miesięcy, odkąd Albert Stucky schwytał ją w pułapkę w opuszczonym magazynie w Miami. Przez prawie dwa lata ścigała go, wnikliwie ucząc się jego reguł, studiując jego dewiacyjne zachowania, dokonując autopsji ofiar, które za sobą zostawiał, i odcyfrowując obłąkane wskazówki, które jej podrzucał, by mogła uczestniczyć w śmiertelnej, chorej grze, wymyślonej przez niego specjalnie dla agentki O'Dell. Tamtego upalnego sierpniowego wieczoru Albert Stucky wygrał, schwytał ją w pułapkę i zmusił, żeby była świadkiem. Nie zamierzał jej zabić. Miała tylko patrzeć.

Maggie potrząsnęła głową, pragnąc pozbyć się porażających, niszczących obrazów. Tylko na jawie mogła czuć się bezpieczna. Tylko na jawie była do tego zdolna. Tamtej krwawej sierpniowej nocy Albert Stucky został zatrzymany, ale już podczas Halloween udało mu się zbiec z więzienia. Szef Maggie, dyrektor Wydziału Badań Behawioralnych FBI Kyle Cunningham, natychmiast odsunął ją od sprawy. Wprawdzie Maggie należała do najlepszych w biurze specjalistów, którzy zajmują się psychologicznymi profilami zbrodniarzy, a jednak

Cunningham posadził ją za biurkiem. Zlecał jej wykłady, które musiała wygłaszać podczas konferencji funkcjonariuszy organów ochrony porządku publicznego, jakby śmiertelna nuda miała uchronić ją przed śmiercią. Jednak ona odbierała to jako karę, i to w żaden sposób niezasłużoną.

Wstała i od razu się wściekła, bo chwiała się na nogach. Pokonała slalomem labirynt pudeł w drodze do stojącej w rogu szafki. Sprawdziła czas na zegarze na biurku. Do przyjazdu firmy przeprowadzkowej zostały jej jeszcze prawie dwie godziny. Położyła broń pod ręką, pogrzebała w szafce i znalazła w barku butelkę szkockiej. Nalała sobie szklaneczkę. Jej ręce, jak zauważyła z satysfakcją, już się nie trzęsły, także serce biło zgodnie z normą.

I wtedy usłyszała dochodzący z kuchni wysoki jęk. Jezu drogi! Wbiła paznokcie w ramię, nie znajdując żadnego pocieszenia w fakcie, że tym razem na pewno nie była to senna mara. Porwała za broń, próbując wyrównać tętno, które natychmiast podskoczyło. Zaczęła przesuwać się wzdłuż ściany, wytężając słuch i węch. Gdy tylko dotarła do drzwi, jęk ustał.

Tym razem była gotowa. Powoli zaczęła naciskać spust. Nabrała głęboko powietrza i wpadła do kuchni z lufą wycelowaną prosto w plecy Grega. Zakręcił się, upuszczając otwartą puszkę z kawą, i odskoczył, kiedy puszka stuknęła o podłogę.

– Maggie, cholera jasna! – Był tylko w jedwabnych bokserkach. Jego jasne włosy, zwykle starannie zaczesane,

wyglądały, jakby dopiero co wstał z łóżka.

– Przepraszam – powiedziała Maggie, rozpaczliwie starając się, żeby jej głos brzmiał w miarę normalnie. – Nie słyszałam, jak wróciłeś. – Smith & wesson kaliber 9.5 milimetra powędrował do tylnej kieszeni dżinsów.

– Nie chciałem cię budzić – rzucił Greg przez zaciśnięte zęby. Oczywiście zaraz złapał za szczotkę i śmietniczkę, i zabrał się do sprzątania. Ostrożnie podniósł puszkę, żeby uratować możliwie najwięcej ulubionej kawy. – Któregoś dnia, Maggie, w końcu zastrzelisz mnie przez pomyłkę. – Podniósł na nią wzrok, zawiesił na moment głos i dodał: – A może to nie będzie pomyłka?

Ignorując sarkazm męża, podeszła do zlewu i odkręciła kran. Zimną wodą ochlapała twarz i zmoczyła kark. Miała nadzieję, że Greg nie zauważy jej trzęsących się wciąż rąk. Zresztą nie musiała się specjalnie martwić, Greg bowiem widział jedynie to, co chciał widzieć.

– Przepraszam – powtórzyła, stojąc do niego plecami. – To się już nigdy nie zdarzy, jeśli wreszcie zainstalujemy system alarmowy.

– Nie będzie nam potrzebny, jeśli wreszcie rzucisz tę pracę.

Ze znużeniem pokiwała głową, ten argument bowiem wypływał co rusz. Wytarła ściereczką ślady po kawie na blacie.

– Nigdy ci nie mówiłam, żebyś rzucił kancelarię.

– To nie to samo.

– Owszem, to samo. Dla mnie tyle samo znaczy FBI, co dla ciebie twoja kancelaria.

– Tylko że jako adwokat nie zostałem jak dotąd pocięty nożem, nie unikałem cudem śmierci. Nie ganiam też po własnym domu z pistoletem w dłoni i nie celuję do swojej żony. – Skończył zamiatać i wstawił szczotkę do schowka.

– Cóż, od jutra ta kwestia przestanie istnieć – rzekła cicho Maggie.

Przystanął, spojrzał na nią swoimi szarymi oczami, które przez krótki moment były smutne, a nawet przepraszające. Potem odwrócił wzrok, łapiąc ścierkę, którą odłożyła Maggie. Wytarł dokładnie blat wystudiowanymi ruchami, jakby nawet tak drobnej rzeczy nie potrafiła zrobić porządnie.

– Kiedy mają być ci faceci z United? – spytał, jakby była to wspólnie zaplanowana przeprowadzka.

Maggie zerknęła na ścienny zegar.

– O ósmej. Ale nie z United.

– Maggie, z przewoźnikami trzeba uważać. Obrobią cię do cna. Powinnaś wiedzieć... – Przerwał, przypominając sobie, że to już nie jego interes. – Zresztą rób, jak chcesz. – Zaczął napełniać maszynkę do kawy. Precyzyjnie, do wyznaczonego poziomu. Ściągnął wargi, powstrzymując gniew. Zwykle kontynuowałby swój atak na Maggie, ale tym razem postanowił odpuścić.

Przyglądała mu się. Potrafiła przewidzieć jego ruchy. Wiedziała, że napełni maszynkę do linii wskazującej trzy filiżanki i że pochyli się, by jego oczy znalazły się na wprost

miarki. Nigdy inaczej, zawsze tak samo. Zastanawiała się, kiedy stali się sobie obcy. Byli małżeństwem od niemal dziesięciu lat, a nie stać ich było choćby na przyjacielskie gesty. Rozmawiali już tylko przez zaciśnięte zęby.

Maggie obróciła się i wyszła do pokoju, w którym zgromadziła pudła, mając nadzieję, że Greg nie podąży za nią. Nie przetrwa tego dnia, jeżeli wciąż będzie ją obrażał, krzyczał na nią, lub, co najgorsze, ucieknie się do ostatniego argumentu – że wciąż ją kocha. Takie słowa powinny miło brzmieć w jej uszach, a jednak podobne były do błysku noża, zwłaszcza gdy po nich następowało: „Gdybyś mnie kochała, już dawno rzuciłabyś tę pracę”.

Ruszyła do barku, gdzie zostawiła szklankę ze szkocką. Słońce dopiero wstało, a ona już potrzebowała swojej dziennej dawki płynnej odwagi, żeby przeżyć kolejny dzień. Jej matka byłaby z niej dumna. W końcu znalazło się coś, co je łączy.

Sącząc szkocką, rozglądała się po pokoju. Jak to możliwe, że całe jej życie zmieściło się w tych oto kartonach? Potarła twarz dłonią. Była zmęczona i miała wrażenie, że zmęczenie zagnieździło się w niej na dobre. Kiedy ostatnio udało jej się przespać całą noc? Kiedy ostatnio czuła się bezpieczna? Była tym tak wyczerpana, jakby znalazła się uwięziona bez wyjścia na skalnym występie i z każdą chwilą zbliżała się do upadku.

Cunningham oszukiwał się, sądząc, że może ją ochronić. Nie był w stanie odpędzić nocnych koszmarów, nie istniało takie miejsce, gdzie mógłby ją wysłać, by znalazła się poza

zasięgiem Alberta Stucky’ego. Wiedziała, że Stucky znajdzie ją prędzej czy później. Minęło już co prawda pięć miesięcy od jego ucieczki, ale Maggie była tego pewna. Może jeszcze miesiąc, może nawet pięć. Nieważne kiedy, ale on wróci.

ROZDZIAŁ DRUGI

Tess McGowan nie mogła odżałować, że włożyła ciasne buty na obcasach. Piły ją w palcach, obcierały, a obcasy były stanowczo za wysokie. Teraz ze wszystkich sił koncentrowała się na tym, żeby nie potknąć się na krętym chodniku, a na domiar złego musiała udawać, że spojrzenia przechodniów są jej obojętne. Firma zajmująca się przeprowadzkami kończyła rozładowywanie ciężarówki akurat wtedy, gdy jej czarna miata zaparkowała na podjeździe. Sofa zawisła w powietrzu, pudła rzucono byle gdzie. Mężczyźni w przepoconych niebieskich uniformach przerwali pracę, żeby patrzeć na Tess.

Była wściekła, bo nie znosiła takich spojrzeń. Tylko brakowało, żeby któryś z nich zagwizdał na nią ordynarnie. Zwłaszcza w tym do przesady wypielęgnowanym miejscu, w ciszy należnej świątyni. Tutaj zabrzmiałoby to wyjątkowo wulgarnie.

Cała ta sytuacja była idiotyczna. Jedwabna bluzka przykleiła się do skóry. Tess czuła na plecach zimne dreszcze. Nie była ani trochę olśniewająca, w żadnym razie piękna. Od biedy można by powiedzieć, że miała przyzwoitą figurę, którą wypociła przez wiele pracowitych godzin spędzonych na sali gimnastycznej. Wciąż jednak musiała kontrolować swoją zachłanną miłość do cheeseburgerów. Nikt nie zaproponowałby jej rozkładówki w „Playboyu”.

Skąd więc to nagłe wrażenie, że jest naga, choć chronił ją pancerz klasycznego kostiumu?

To nie była wina tych facetów ani pierwotnego instynktu, nakazującego podglądać przeciwną płeć. Wkurzał ją jej mimowolny odruch, który spowodował, że zrobiła z siebie widowisko, sama wystawiła się na ich spojrzenia. Denerwujący zwyczaj, który przylgnął do niej w przeszłości i uczepił się jak woń tytoniu czy whiskey. Od razu kojarzyło jej się to z przebojami Elvisa, sączącymi się z szafy grającej, i tanimi pokojami w kiepskich hotelikach.

Ale to należało już do zamierzchłej przeszłości, tak dawnej, że nie miało prawa teraz podstawiać jej nogi. Była na najlepszej drodze do sukcesu w biznesie. Czemu więc, do diabła, przeszłość trzymała ją tak kurczowo w swoich mackach? I jak to możliwe, żeby kilka nieszkodliwych, choć co prawda wielce niedyskretnych spojrzeń, rzuconych w jej kierunku przez obcych mężczyzn, odebrało jej zimną krew, wytrąciło z równowagi i bezlitośnie podało w wątpliwość to, na co tak ciężko zapracowała? Prestiż, wynikający z przynależności do klasy średniej... Przez nich poczuła się jak oszustka. Jakby znowu udawała kogoś, kim nie jest. W chwili kiedy dotarła do głównego wejścia, myślała już tylko o jednym: żeby zawrócić i zwiać. Przemogła się jednak, zrobiła głęboki wdech i zapukała w odrobinę uchylone, ciężkie dębowe drzwi.

– Proszę! – zawołał ze środka kobiecy głos.

Tess zastała Maggie przed nowo zainstalowaną tablicą rozdzielczą systemu alarmowego, pełną rozmaitych

guzików i mrugających światełek.

– Witam, pani McGowan. Zapomniałyśmy coś podpisać? – spytała, zerknąwszy na Tess. – Chwileczkę, tylko skończę. – Zajęta była programowaniem alarmu. Nacisnęła kolejny guzik.

– Proszę mówić mi po imieniu. Jestem Tess – rzekła młoda kobieta. Zrobiła krótką pauzę, dając Maggie szansę na wystosowanie podobnej propozycji i nie dziwiąc się wcale, kiedy się jej nie doczekała. Tess wiedziała dobrze, że Maggie nie okazuje w ten sposób lekceważenia, pragnie jedynie zachować dotychczasowy dystans. Tess rozumiała to i szanowała. – Nie, nie, już żadnych papierów. Obiecuję. Wiedziałam, że na dzisiaj zaplanowała pani przeprowadzkę, dlatego wpadłam zobaczyć, co słychać.

– Proszę się rozejrzeć. Idzie całkiem nieźle, już prawie sobie z tym poradziłam.

Tess przeszła z holu do salonu. Pokój tonął w popołudniowym słońcu, ale na szczęście wszystkie okna były otwarte, więc chłodna południowa bryza wyparła wilgotne, duszne powietrze. Tess otarła czoło. Ku jej utrapieniu było spocone. Kątem oka mierzyła wzrokiem swoją klientkę.

Z miejsca stwierdziła, że na tej kobiecie niejeden mężczyzna zawiesza pewnie oko, bo i jest na czym. Tess wiedziała, że są w podobnym wieku, czyli tuż po trzydziestce, ale Maggie, pozbawiona dodającego powagi kostiumu, bez trudu mogłaby uchodzić za studentkę college’u. W złachanym podkoszulku z emblematem

Uniwersytetu Stanu Wirginia i wytartych dżinsach śmiało eksponowała swoją fantastyczną figurę. Był to dar natury, którego w żadnym razie nie można wypracować. Skóra Maggie była gładka, jasna i bez skazy, a krótkie ciemne włosy lśniły nawet wtedy, kiedy były skołtunione. Do tego miała jeszcze pełne wymowy ciemnobrązowe oczy i wysokie kości policzkowe, za które Tess dałaby się zabić. A jednocześnie miała pełną świadomość, że faceci, którzy dopiero co rzucili wszystko, żeby się na nią gapić, nie odważyliby się zachować tak samo, gdyby na jej miejscu była Maggie O'Dell. Chociaż skręcałoby ich z żądzy, by napawać się jej widokiem, a rezygnacja z tej przyjemności kosztowałaby ich mnóstwo wysiłku, po prostu by się nie odważyli.

Tak, w Maggie było coś zupełnie szczególnego. Coś, co Tess zauważyła już pierwszego dnia. Nie potrafiła tego nazwać ani opisać. Miało to związek z tym, jak Maggie poruszała się, jak się nosiła, a także jak na krótkie chwile kompletnie zamykała się w sobie przed światem. Jakby stawała się zupełnie nieświadoma obecności innych. Wszystko to wręcz wymuszało szacunek. Po prostu jej się należał, był do niej przypisany. Tess było już stać na kostium z najnowszej kolekcji i drogi samochód, lecz miała pełną świadomość, że nigdy nie zdobędzie tej niemożliwej do precyzyjnego zdefiniowania cechy, która dawała taką siłę. Mimo to, odrzucając na bok wszelkie różnice, Tess z miejsca poczuła w Maggie bratnią duszę. Obie były bardzo samotne.

– Przepraszam – rzekła Maggie, dołączając wreszcie do Tess, która przystanęła przy oknie wychodzącym na tyły domu. – Już dzisiaj zostaję tu na noc i chciałam mieć pewność, że alarm działa prawidłowo.

– Oczywiście. – Tess skinęła głową z uśmiechem.

Maggie bardziej interesowała się systemami alarmowymi aniżeli liczbą metrów kwadratowych czy ceną domów, które z takim zapałem pokazywała jej Tess. Z początku przypisywała to charakterowi pracy swojej klientki. To oczywiste, że agentka FBI zwraca większą uwagę na bezpieczeństwo niż inni ludzie. Jednak było w tym coś więcej. Tess zobaczyła w oczach Maggie błysk czegoś, co rozpoznała jako lęk. Natychmiast zaczęła się zastanawiać, co każe zamykać się tak szczelnie tej pewnej siebie, niezależnej kobiecie. Nawet teraz, kiedy stały ramię w ramię, Maggie była nieobecna duchem i penetrowała wzrokiem podwórko na tyłach domu, jakby spodziewała się znaleźć tam jakiegoś intruza. Nie podziwiała pięknej zieleni, nie cieszyła się urokliwym położeniem swojego nowego domu, tylko czujnie wypatrywała... kogo, wroga?

Tess rozejrzała się po pokoju. Jak na razie zapchany był pudłami, mebli stało niewiele. Pewnie robotnicy nie wnieśli jeszcze wszystkiego na górę. Była ciekawa, ile Maggie zabrała z apartamentu, który był wspólną własnością jej i męża. Słyszała też, że są w trakcie trudnego rozwodu, choć zarówno o apartamencie, jak i rozwodzie nie dowiedziała się od Maggie O’Dell.

Wszystko, co o niej wiedziała, Tess zawdzięczała ich wspólnej znajomej, prawniczce Maggie, która zarekomendowała jej Tess. To Teresa Ramairez opowiedziała o mężu Maggie, ponurym, kostycznym adwokacie, a także o tym, że Maggie musi zainwestować w jakąś nieruchomość, bo inaczej może stracić duży majątek powierniczy pozostawiony na jej nazwisko. Sama natomiast Maggie nie zdradziła Tess ani słówka poza tym, co było niezbędne do załatwienia wszelkich formalności. Ciekawe, myślała Tess, czy skrytość i zdystansowany sposób bycia Maggie wyniosła z FBI, gdzie ten styl był konieczną rutyną, zapewniającą bezpieczeństwo, a nawet przetrwanie.

A swoją drogą wcale jej to nie wadziło, mimo że zwykle spotykała się z innym zachowaniem. Na ogół klienci zwierzali się jej, jakby była ich spowiednikiem. Agent nieruchomości, jak się przekonała, bywa ludziom bliski jak barman. Obaj zalewani są zwierzeniami. Przynajmniej przydały jej się na coś doświadczenia z barwnej przeszłości. W każdym razie nie przejmowała się, że Maggie O’Dell nie zamierza się przed nią wywnętrzać. Nie brała tego do siebie, zresztą w zamian zyskała szansę, bo mogła sama mówić. W ten sposób radziła sobie z własnym życiem, swoimi sekretami.

Choć prawdą jest, że im mniej wiedzą o tobie ludzie, tym lepiej. Przy Maggie Tess pozwalała sobie jednak na drobne chwile szczerości. Oczywście nic wielkiego, ale zawsze…

– Poznała już pani swoich sąsiadów?

– Jeszcze nie – odparła Maggie, wpatrzona w wysmukłe sosny, które otaczały jej posiadłość obronnym murem. – To znaczy oprócz tej kobiety, którą spotkałyśmy w zeszłym tygodniu.

– Aha, Rachel... nie pamiętam nazwiska. Ciekawe, bo nigdy nie mam z tym problemu.

– Endicott – podrzuciła Maggie.

– Robi miłe wrażenie – dodała Tess, chociaż po tym, co zdążyła zaobserwować przy przelotnym zapoznaniu się pań, miała poważne wątpliwości, jak Maggie wpasuje się w sąsiedztwo lekarzy, kongresmanów, naukowców i ich udomowionych, snobistycznych małżonek. Miała jeszcze w pamięci Rachel Endicott, która biegała ze śnieżnobiałym labradorem, ubrana w specjalny strój do joggingu z kolekcji znanego projektanta i kosztowne sportowe buty, z idealną, nienaruszoną fryzurą i bez kropelki potu na czole, oczywiście. Cóż za kontrast z agentką O'Dell w rozciągniętym T-shircie, znoszonych dżinsach i szarych adidasach, które wieki temu powinny były znaleźć się na śmietniku.

Dwaj mężczyźni męczyli się właśnie przy wejściu z sekretarzykiem z żaluzjowym zamknięciem, który wyglądał na niemiłosiernie ciężki i był zapewne cennym starym meblem. Uwaga Maggie w jednej chwili przeniosła się na sekretarzyk.

– Gdzie go dać, psze pani?

– Przy tamtej ścianie.

– Tak gdzieś na środku?

– Tak, proszę.

Maggie O’Dell nie spuściła z nich wzroku, dopóki mebel nie stanął bez szwanku na właściwym miejscu.

– Tak dobrze?

– Świetnie.

Mężczyźni byli zadowoleni, starszy nawet się uśmiechnął. Ten drugi, wysoki i chudy, uciekał od kobiet spojrzeniem, garbiąc się nie tyle z wysiłku, ile z zażenowania swym nieprzeciętnym wzrostem. Rozwiązali taśmę i zdjęli plastikowe osłony, które zabezpieczały bogate ornamenty i zdobienia sekretarzyka. Wysoki sprawdził szuflady, raptem zatrzymał się, cofając gwałtownie rękę, jakby go coś ukłuło.

– Psze… pani. Pani wie, co tu jest?

Maggie przeszła przez pokój i zajrzała do szuflady. Sięgnęła i wyjęła z niej czarny rewolwer.

– Przepraszam. Zapomniałam o tym.

Ładne mi „to”. Ciekawe, ile ich jeszcze upchnęła po kątach, pomyślała Tess. Obsesja bezpieczeństwa, nawet jak na agentkę FBI, przekroczyła chyba normę.

– Jeszcze chwila i kończymy – poinformował starszy z mężczyzn i wyszedł za swoim kolegą, jakby codziennie transportował naładowaną broń.

– Ktoś pani pomoże to rozpakować? – Tess starała się ukryć swoją niechęć do broni palnej. Zresztą po co się oszukiwać. Nie czuła do niej niechęci, ona się jej panicznie bała.

– Nie jest tego tak dużo.

Tess rozejrzała się po pokoju, a kiedy wróciła spojrzeniem do Maggie, ta właśnie się jej przyglądała. Policzki Tess poczerwieniały. Poczuła się, jakby Maggie czytała w jej myślach. Przecież tak samo przed chwilą to oceniła: Maggie O'Dell nie ma zbyt wielkiego dobytku. Czym zapełni te ogromne pokoje piętrowej willi w stylu Tudorów?

– Chciałam powiedzieć... Zdaje się, wspominała pani, że matka pani mieszka w Richmondzie – tłumaczyła się Tess.

– Tak, to prawda – rzekła Maggie tonem, który dawał jasno do zrozumienia, że temat się wyczerpał.

– Cóż, nie będę dłużej przeszkadzać. – Tess nagle poczuła się niezręcznie. – Czeka na mnie mnóstwo papierkowej roboty.

Wyciągnęła rękę, którą Maggie uprzejmie uścisnęła, mocno i stanowczo, co znowu wytrąciło Tess z równowagi. Agentka O'Dell emanowała siłą i pewnością siebie, lecz jeśli Tess nie ponosiła wyobraźnia, w głębi serca była pełna lęku i czuła się kompletnie bezbronna, przez co chorobliwie okopywała się przed światem. Tess bezbłędnie wyczuwała to u innych, przez lata bowiem dręczyły ją podobne emocje.

– Jeśli będzie pani czegoś potrzebować, czegokolwiek, proszę do mnie zadzwonić, dobrze?

– Dziękuję, na pewno zadzwonię.

Tess wiedziała, że to tylko słowa.

Wycofując samochód z podjazdu, głowiła się, czy agentka O'Dell jest po prostu osobą przezorną, ostrożną czy może paranoiczną i obsesyjną.

Na skrzyżowaniu spostrzegła furgonetkę zaparkowaną przy krawężniku. W tej okolicy była to rzadkość. Domy znajdowały się z dala od ulicy, a długie podjazdy prowadzące do nich oferowały sporo miejsca do parkowania, i to dla kilku samochodów osobowych czy dostawczych.

Za kierownicą wozu siedział mężczyzna w ciemnych okularach i jakimś uniformie, zatopiony w gazecie. Tess pomyślała, że to dziwne: czytać gazetę w przeciwsłonecznych okularach, szczególnie pod wieczór. Mijając samochód, rozpoznała logo umieszczone na jego boku: Północno-Wschodnia Kompania Telefoniczna Bell. Natychmiast nabrała podejrzeń. Skąd się wziął tutaj ten gość, skoro firma działała na innym terenie? W tych stronach nie miał nic do roboty, a jednak sterczał tu, jakby… Tess wzruszyła ramionami i roześmiała się głośno. Zdaje się, że paranoja jej klientki okazała się zaraźliwa.

Potrząsnęła głową i wyjechała na główną drogę, zostawiając za sobą oddalone od centrum osiedle. Wracała do biura. Zerknąwszy jeszcze raz na stateczne domy wbudowane między potężne dęby, derenie i armię sosen, miała nadzieję, że Maggie O’Dell odzyska w końcu poczucie bezpieczeństwa.

ROZDZIAŁ TRZECI

Maggie uginała się pod pudłami, które wypełniały jej ręce. Jak zwykle wzięła za dużo naraz, ponad swoje możliwości. Po omacku szukała klamki, która znajdowała się poza zasięgiem jej wzroku, mimo to nie odłożyła choćby części obciążenia. Po co jej u licha tyle kompaktów i książek, skoro nie znajduje dość czasu na słuchanie muzyki i lekturę?

Ludzie od przeprowadzek w końcu odjechali po gruntownych poszukiwaniach jednego zagubionego albo, mówiąc ich słowami – chwilowo zapodzianego kartonu. Na samą myśl, że mogła go zostawić w poprzednim mieszkaniu, Maggie ogarnęła złość. Z wielką niechęcią myślała o tym, że musiałaby prosić Grega o rozejrzenie się po tamtym domu. Bez wątpienia usłyszałaby od niego, że powinna go była posłuchać i wynająć United Movers. Znając Grega, była też pewna, że gdyby karton rzeczywiście został przez pomyłkę u niego, z wściekłości i ciekawości zerwałby taśmę zabezpieczającą i zajrzał do środka, jakby w pudle kryły się jakieś skarby. Dokładnie wyobrażała sobie tę scenę. Zresztą, niestety, pudło faktycznie było cenne i nie życzyła sobie, by ktokolwiek w nim grzebał. Były w nim jej dzienniki, kalendarz spotkań i pamiątki z dzieciństwa.

Otworzyła bagażnik swojego wozu, sprawdzając kartony, które tam załadowała. Nie było wśród nich jej skarbu.

Pozostawała jeszcze nadzieja, że ludzie od przeprowadzek faktycznie chwilowo zapodziali ten karton. Starała się tym nie zamartwiać, nie myśleć, jakie to wyczerpujące być w ciągłej gotowości i bez ustanku, dwadzieścia cztery godziny na dobę, oglądać się przez ramię.

Postawiła pudła na ganku, podtrzymując je biodrem, i uwolniła jedną rękę, żeby dotknąć zesztywniałego karku. Oczy miała dookoła głowy. Boże, czemu nie może się w spokoju cieszyć pierwszym wieczorem w swoim nowym domu? Dlaczego nie potrafi się skupić na drobnych sprawach, codziennych głupstwach, jak choćby niespodziany, tak rzadki u niej atak głodu?

Nabrała apetytu na pizzę i natychmiast postanowiła zafundować ją sobie w nagrodę. Wydawało jej się, że dawno już straciła apetyt, toteż ta nagła ochota była czymś nowym, co przyjęła z radością. Tak, napakuje się pizzą z ostrymi włoskimi kiełbaskami, zielonym pieprzem i serem. Ale najpierw wleje w siebie hektolitry wody.

Bawełniana koszulka przykleiła jej się do ciała. Zanim zamówi pizzę, zdecydowała, że weźmie szybki, orzeźwiający prysznic. Pani McGowan, to jest Tess, obiecała wcześniej, że zatelefonuje do wszystkich zakładów użyteczności publicznej. Maggie żałowała teraz, że nie sprawdziła tego, by zyskać pewność, iż wszystko zostało załatwione jak należy. Nie znosiła sytuacji, w których musiała liczyć na innych, a ostatnio jej życie zapełniło się takimi właśnie osobami, od ekipy przeprowadzkowej poczynając, poprzez agentów nieruchomości, a na prawnikach i bankierach

kończąc. Miała nadzieję, że woda poleci z kranu. Jednak jak dotąd Tess dotrzymywała słowa i Maggie nie powinna teraz wątpić w jej rzetelność. Kobieta wychodziła z siebie, żeby ta przyśpieszona transakcja poszła tak gładko, jak tylko było to możliwe.

Maggie przeniosła ciężar pudeł na drugie biodro. Znalazła klamkę. Otworzyła drzwi, ostrożnie torując sobie drogę, mimo to kilka kompaktów i książek wylądowało na progu. Pochyliła się lekko, tyle tylko, żeby zobaczyć uśmiechającą się przez pęknięte plastikowe okienko twarz Franka Sinatry. Przed laty dostała tę płytę od Grega na urodziny, choć doskonale wiedział, że nie znosi Sinatry. Wtedy nie rozumiała, jak bardzo proroczy okazał się ten prezent, jak świetnie określał specyfikę ich związku.

Potrząsnęła głową, żeby pozbyć się tej myśli. Wciąż miała w pamięci poranną wymianę zdań z mężem. Całe szczęście, że Greg musiał wyjść wcześnie do pracy, mrucząc coś pod nosem na temat remontu na drodze międzystanowej. Za to wieczór zapowiadał się dla niego wyśmienicie. Będzie miał okazję pośmiać się po raz ostatni, szperając w jej bardzo osobistych rzeczach. I to z przekonaniem, że ma do tego prawo. Prawnie była wciąż jego żoną, a dawno już zrezygnowała ze sporów ze swoim mężem adwokatem.

W jej nowym domu świeży lakier pobłyskiwał na podłodze w popołudniowym słońcu. Maggie nie chciała mieć w całym domu ani centymetra dywanu bądź wykładziny, bo znakomicie tłumiły kroki. Z kolei ściana pełna okien przesądziła o wyborze tego domu, choć stanowiła dla

Maggie nie lada orzech do zgryzienia i śniła jej się po nocach. No cóż, musiała się pogodzić z tym, że nawet agenci FBI bywają niepraktyczni. Każde z okien było jednak tak wąskie, że nawet Houdini nie mógłby się przez nie przecisnąć. Inna sprawa to okna w sypialni, ale dostanie się na piętro z zewnątrz bez wysokiej drabiny było niemożliwe. Poza tym Maggie upewniła się, że oba systemy alarmowe, wewnętrzny i zewnętrzny, były co najmniej na miarę tych w państwowym skarbcu.

Salon wychodził na oszkloną werandę z jeszcze większą liczbą okien, które sięgały od sufitu niemal do podłogi, i choć też były wąskie, w całości tworzyły trzy ściany werandy. Weranda z kolei wychodziła na wielobarwny czarodziejski ogród, gdzie kwitły wiśnie i jabłonie, derenie, dywan tulipanów, żonkili i krokusów. Maggie marzyła o takim ogrodzie od dzieciństwa, a z całą pewnością od mniej więcej dwunastego roku życia, kiedy marzeniami musiała odpędzać brudy otaczającego ją świata.

Wówczas to, kiedy przeprowadziły się z matką do Richmondu, stać je było jedynie na małe mieszkanko na drugim piętrze, śmierdzące stęchlizną, dymem papierosowym i smrodliwym zapaszkiem obcych facetów, których matka spraszała na noc. Natomiast jej nowy dom podobny był do tego, w którym przeżyła prawdziwe dzieciństwo. Było to w Wisconsin, gdzie mieszkali, zanim zginął jej ojciec, zanim Maggie została zmuszona, żeby dorosnąć w przyśpieszonym tempie i zostać opiekunką własnej matki, która po stracie męża kompletnie się

zatraciła. Przez całe lata Maggie marzyła o takim właśnie miejscu, obszernym, wypełnionym świeżym powietrzem, a co najważniejsze, zacisznym i ustronnym.

Teren na tyłach nowego domu schodził w dół, łącząc się z lasem, który rósł wzdłuż stromej grani. Poniżej płytki strumień spływał po skałach. Nie widziała go z okien swojego domu, ale zdążyła już się przespacerować jego brzegiem. Dawał poczucie bezpieczeństwa, jakby stanowił prywatną fosę. Był naturalną granicą, doskonałą barierą wzmocnioną przez linię wielkich sosen, tkwiących tam jak strażnicy, smukłych i wysokich, stojących ramię w ramię.

Ten sam strumień dla poprzednich właścicieli domu, rodziców dwojga małych dzieci, stanowił koszmar, który nie dawał im spać po nocach, stawianie bowiem jakichkolwiek ogrodzeń było tam oficjalnie zakazane. Jak powiedziała Tess McGowan, doszli w końcu do wniosku, że nie są w stanie upilnować ciekawskich dzieci i uchronić ich przed ryzykowną przygodą. Dla tamtych ludzi był to kłopot, dla Maggie rozwiązanie istotnego problemu, strumień bowiem był naturalną zaporą przed wrogim najściem. Ponadto pośpiech, w jakim poprzedni właściciele chcieli pozbyć się kłopotu, sprawił, że Maggie nabyła tę rezydencję po okazyjnej cenie. W innym wypadku nie byłoby jej stać na nieruchomość w okolicy, gdzie jej mała czerwona toyota corolla wyglądała jak Kopciuszek wśród bmw i mercedesów.

Oczywiście i tak nie mogłaby sobie pozwolić na tę inwestycję, gdyby nie możliwość skorzystania z majątku powierniczego jej ojca. Szkoły i studia przetrwała na

stypendiach i grantach, oczywiście również dorabiała. Dzięki temu większość majątku pozostała nienaruszona. Kiedy wyszła za mąż, Greg niewzruszenie upierał się, żeby nie tykać tych pieniędzy. Maggie początkowo nalegała, żeby kupili za nie jakiś przyzwoity dom, ale Greg nazywał te pieniądze krwawicą jej ojca i trwał przy swoim.

Fundusz został zgromadzony przez strażaków, kolegów ojca po fachu, oraz władze miasta Green Bay, żeby okazać szacunek dla niezwykłej odwagi jej ojca i zapewne uśmierzyć nieco poczucie winy tych, którzy nadal żyli. Może dlatego właśnie tak trudno przyszło jej go ruszyć. Prawie zapomniała o nim aż do rozwodu, kiedy to jej adwokatka gorąco namawiała ją, żeby czym prędzej zainwestowała pieniądze w coś, czego nie da się łatwo podzielić.

Maggie pamiętała jeszcze swój śmiech na sugestię Teresy Ramairez. Biorąc pod uwagę podejście Grega do tych pieniędzy, było to idiotyczne i niepotrzebne rozwiązanie. Nie było jednak idiotyczne, kiedy kilka tygodni później Greg pokazał jej wykaz aktywów. To, co niegdyś nazywał krwawicą jej ojca, teraz określił mianem wspólnej własności małżonków. Następnego dnia Maggie poprosiła Teresę Ramairez, żeby zarekomendowała jej jakiegoś agenta nieruchomości.

Maggie dołożyła kolejne kartony do stosu innych, upchanych na razie po kątach. Ostatni raz rzuciła okiem na naklejki z opisem ich zawartości, mając nadzieję, że jakimś cudem odnajdzie zawieruszone pudło. Potem, z rękami na biodrach, obróciła się powoli, podziwiając przestronne

pokoje, których ściany zachowały dawne zdobienia. Przywiozła niewiele mebli, ale i tak więcej, niż spodziewała się wyciągnąć z prawniczych macek Grega. Zastanawiała się, czy rozwód z adwokatem może się okazać finansowym samobójstwem. Greg przez z górą dziesięć lat zajmował się wszystkimi finansowymi i prawnymi sprawami. Kiedy Teresa Ramairez rozłożyła na biurku cały ogrom dokumentów i rachunków, Maggie wielu z nich nie potrafiła nawet rozpoznać.

Pobrali się jeszcze w college'u, na ostatnim roku. I wszystko, co posiadali, każdy sprzęt domowego użytku, każde prześcieradło, stanowiło ich wspólną własność. A kiedy zamienili ciasne gniazdko w Richmondzie na drogi apartament w Crest Ridge, kupili nowe meble i dalej wszystko było wspólne. Podział serwisu wydał się Maggie srogą niesprawiedliwością. Uśmiechnęła się. Dlaczego tak trudno jej pogodzić się z podziałem przedmiotów, a z taką łatwością zostawiła za sobą dziesięć lat małżeństwa?

Udało jej się wziąć najważniejsze dla niej meble. A więc na przykład antyczny sekretarzyk jej ojca, który bez jednej skazy przetrwał przeprowadzkę. Poklepała wygodny miękki fotel z odchylanym oparciem, który wraz z mosiężną lampą stojącą spędził długi czas na zesłaniu w piwnicy ich apartamentu, ponieważ zdaniem Grega nie pasował do skórzanej sofy i krzeseł w salonie. Te ostatnie, swoją drogą, robiły głównie za dekorację.

Pamiętała dobrze dzień, w którym nabyli ów zestaw mebli. Chciała zaraz naznaczyć je emocjonalnie, ale Greg na jej

zalotne sugestie zareagował przerażeniem i złością.

– Czy wiesz, jak łatwo plami się skóra? – rzucił jej prosto w twarz, jakby miał przed sobą dziecko, które rozlało jodynę, a nie dorosłą kobietę proponującą mężowi seks.

Nie, nie żałuje zostawionych mebli. Przechowują w sobie pamięć ich kruszącego się małżeństwa. Wyciągnęła worek marynarski ze stosu rzeczy w rogu i położyła go na biurku obok laptopa. Okna były od dawna otwarte, żeby wywietrzyć nieużywane od jakiegoś czasu pomieszczenia. Słońce chowało się za linię drzew, wilgotna chłodna bryza wpadła do pokoju.

Maggie rozpięła zamek worka i ostrożnie wyciągnęła zamknięty w kaburze rewolwer smith & wesson kaliber 9.5 milimetra. Lubiła trzymać go w dłoni. Była w tym jakaś prostota, spokój i pewność, jak w dotyku starego przyjaciela. Większość agentów zamieniła już tę broń na nowszą, automatyczną, o większej sile rażenia. Maggie czuła się najlepiej z bronią, którą dobrze znała, na której uczyła się strzelać.

Wiele razy musiała zdać się na nią. Jej stary rewolwer miał tylko sześć strzałów w odróżnieniu od szesnastostrzałowego automatu. Wiedziała jednak, że na tych sześciu może polegać bez pudła. Jako nowicjusz – tak nazywa się rekrutów w FBI – była świadkiem bezradności agenta wyposażonego w dziewięciomilimetrowego sigsauera z wypełnionym do połowy magazynkiem, który zaciął się i okazał się bezużyteczny.

Następnie Maggie wyjęła swoją odznakę FBI w skórzanym futerale. Położyła ją obok rewolweru na biurku, nieomal z szacunkiem, w pobliżu glocka kaliber 10 milimetrów, którego znalazła wcześniej w szufladzie sekretarzyka. W worku był też jej niezbędnik, nieduża czarna torba, zawierająca cały asortyment rzeczy, z którymi Maggie przez lata nauczyła się nie rozstawać.

Zostawiła swój niezbędnik na miejscu, zapięła zamek worka i wcisnęła go pod biurko. Z jakiegoś powodu czuła się bezpieczna i spełniona, kiedy miała te rzeczy – broń i odznakę – pod ręką. Były symbolami jej samej. Stwarzały domową atmosferę nieporównanie skuteczniej niż wszelkie dobra materialne, które gromadzili z Gregiem przez całe dziesięciolecie. Paradoksalnie, te dwa przedmioty, do których przywiązywała tak ogromną wagę, były jednocześnie powodem jej rozstania z mężem. Greg postawił sprawę jasno: albo on, albo FBI. Nie był świadom tego, że równie dobrze mógłby od niej zażądać, by odcięła sobie prawą rękę.

Przeciągnęła palcem po skórzanym futerale odznaki, czekając, aż ogarnie ją żal. Nie pojawił się jednak, a ona wcale nie poczuła się dzięki temu lepiej. Zbliżające się zakończenie procedur rozwodowych niosło ze sobą smutek, lecz ani trochę żalu. Stali się obcymi sobie ludźmi. Czemu nie dostrzegła tego już rok wcześniej, kiedy zgubiła obrączkę i nie czuła potrzeby, by kupić nową?

Maggie odgarnęła kosmyki, które przylgnęły do jej czoła i karku. Włosy były wilgotne, przód bluzki zaplamiony, ręce

brudne i podrapane. Przypomniała sobie, że miała wziąć prysznic. Zaczęła szukać telefonu, nie wiedziała jeszcze, gdzie został podłączony. I właśnie wtedy zobaczyła przez okno pędzący samochód policyjny.

Telefon tkwił pod stosem gazet. Wykręciła numer i czekała cierpliwie, wiedząc, że musi odczekać pięć albo sześć sygnałów.

– Doktor Patterson, słucham.

– Gwen, mówi Maggie.

– Cześć, jak się miewasz? Przeniosłaś się już?

– Powiedzmy, że przewiozłam rzeczy i mam tu jeden wielki biwak. – Zauważyła przejeżdżający ulicą samochód koronera okręgu Stafford. Podeszła do okna i patrzyła, jak auto skręca w lewo i znika jej z oczu. To była ślepa ulica. – Wiem, że jesteś zawalona robotą, Gwen, ale może znalazłabyś chwilę, żeby sprawdzić, o co cię prosiłam w zeszłym tygodniu?

– Maggie, naprawdę, proszę cię, zostaw tego Stucky’ego.

– Gwen, posłuchaj, jeśli nie masz czasu, po prostu mi to powiedz – rzuciła i natychmiast pożałowała ostrego tonu. Ale była już zmęczona ciągłym trzymaniem jej pod kloszem.

– Nie o to chodzi, Maggie. Czemu ty nigdy nie dasz sobie pomóc? Chodzi przecież o ciebie, o twoje bezpieczeństwo.

Rozdzieliła je cisza. No cóż, przyjaciółka miała rację i Maggie o tym wiedziała. Nagle usłyszała zbliżającą się syrenę strażacką i przestraszyła się nie na żarty. Co tam się dzieje? Kolana jej zmiękły na myśl o pożarze. Głęboko wciągnęła wpadające przez okno powietrze, ale nie czuła

zapachu dymu ani go nie dostrzegła. Dzięki Bogu. Gdyby rzeczywiście paliło się w pobliżu, nie byłaby w stanie nic zrobić. Sama myśl o pożarze paraliżowała ją, przywołując wspomnienie tragicznej śmierci ojca.

– Może wpadnę do ciebie wieczorkiem?

Głos Gwen zaskoczył Maggie. Zapomniała, że stoi ze słuchawką przy uchu.

– Ale u mnie masakra. Nie zaczęłam się jeszcze rozpakowywać.

– Nie szkodzi, mnie to nie przeszkadza. Może przyniosę jakąś pizzę i piwko, co? Urządzimy sobie piknik na podłodze. Zobaczysz, będzie świetnie. Taka miniparapetówa. Preludium do twojej niezależności.

Syrena wozu strażackiego rozpłynęła się w oddali. A zatem cel strażaków nie znajduje się w jej bezpośrednim sąsiedztwie. Maggie westchnęła z ulgą, czując, jak rozluźniają jej się mięśnie.

– Dobra, kup piwo, ale pizzę ja zamówię.

– Tylko pamiętaj, dla mnie żadnych wędlin. Niektórzy muszą pilnować wagi. No to będę koło siódmej. Na razie.

– Na razie – rzekła Maggie, znów wytrącona z równowagi przez kolejny policyjny samochód na sygnale. Niewiele myśląc, odłożyła słuchawkę i chwyciła swoją odznakę. Włączyła system alarmowy. Potem wcisnęła broń do tylnej kieszeni i ruszyła do drzwi. I tyle jej słodkiej samotności.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Maggie minęła biegiem troje sąsiadów, którzy stali grzecznie na ulicy, w stosownej odległości od budynku otoczonego z dwu stron przez policyjne radiowozy. Wóz koronera, bez kierowcy, stał na podjeździe. Maggie zlekceważyła policjanta, który pełzał na czworakach, bo zaplątała mu się w krzewie róż żółta taśma, którą oznacza się miejsce zbrodni. Zamiast przeciąć ją i zacząć na nowo, cofał gwałtownie dłoń za każdym razem, kiedy trafiał na kolec.

– Hej! – krzyknął wreszcie, kiedy zrozumiał, że Maggie zdąża do wejścia. – Tam nie wolno.

Gdy jednak jego upomnienie nie zadziałało, policjant poderwał się na nogi, porzucając rolkę taśmy, która zaczęła rozwijać się w dół trawnika. Przez chwilę wyglądało na to, że wybierze jednak taśmę. Maggie o mało nie wybuchnęła śmiechem, zachowała jednak powagę i błysnęła mu w oczy swoją odznaką.

– Jestem z FBI.

– Taa, w porządku. To tak się teraz nosi FBI. – Wyrwał jej skórzaną torbę i przesunął taksujące spojrzenie w dół jej ciała.

Maggie wyprostowała się instynktownie i skrzyżowała ramiona na przepoconej koszulce. Zazwyczaj bardzo dbała o swój wizerunek. Była świadoma, że jej pięćdziesiąt

siedem kilo wagi i nędzny wzrost nie pasują do obrazu budzącego poważanie agenta FBI. W służbowym stroju nadrabiała te niedobory powściągliwością, lecz w podkoszulku i spłowiałych dżinsach nawet to mogło nie pomóc.

W końcu policjant przyjrzał się bliżej jej dokumentom. Krzywy uśmiech zniknął z jego twarzy w jednej chwili, kiedy przekonał się, że Maggie nie jest ani dziennikarką, ani wścibską sąsiadką, która chce go nabrać.

– Niech to szlag! Faktycznie.

Maggie wyciągnęła rękę po swoją odznakę. Zmieszany policjant oddał ją natychmiast.

– Nie wiedziałem, że FBI może się tak ubierać.

Bo pewnie nie może, pomyślała Maggie. Nie wspomniała, że mieszka w sąsiedztwie, natomiast spytała:

– Kto prowadzi śledztwo?

– Słucham?

Wskazała na dom.

– Kto tu dowodzi?

– Inspektor Manx.

Skierowała się do wejścia do budynku, czując na sobie wzrok policjanta. Zanim zamknęła za sobą drzwi, popędził za taśmą, która pokryła już większą część frontowego trawnika.

Nikt nie przywitał Maggie u drzwi. Prawdę mówiąc, nikogo nie było w polu widzenia. Hol był niemal tak duży, jak w domu Maggie. Nie spiesząc się, zaglądała do kolejnych pomieszczeń. Poruszała się ostrożnie, niczego nie

dotykając. Dom wyglądał idealnie, nie było nawet śladu kurzu. Aż dotarła do kuchni. Na stole leżały porozrzucane produkty potrzebne do przygotowania kanapek, wyschnięte na kość, zapleśniałe i pokruszone. Główka sałaty spoczywała między resztkami pomidora i kawałkami zielonej papryki. Kilka opakowań po batonikach, przewrócone papierowe pojemniki i otwarty słoik z majonezem czekały, aż ktoś je sprzątnie i wyrzuci. Środek stołu zajmowała podwójna kanapka wypełniona tak obficie, że jej zawartość przelewała się na boki. Ktoś zdążył ugryźć jeden kęs, zauważyła Maggie.

Rozglądała się teraz po pozostałej części kuchni, lśniących blatach, błyszczących sprzętach i nieskazitelnej podłodze z kafli, oszpeconej jedynie trzema papierkami po batonach. Ten, kto tu narozrabiał, z pewnością nie był mieszkańcem tego domu.

Wreszcie Maggie usłyszała jakieś przytłumione głosy dochodzące z góry. Wspięła się po schodach, unikając kontaktu z dębową balustradą. Zastanawiała się przy okazji, czy policjanci byli równie uważni. Na jednym ze stopni zobaczyła ślad z błota, prawdopodobnie zostawiony przez któregoś ze śledczych. Coś jednak zwróciło jej uwagę, coś, co połyskiwało w tym przysychającym błocie. Powstrzymała się z trudem, żeby go nie zeskrobać, niestety nie miała przy sobie plastikowej torebki na dowody. Dobrze byłoby mieć zawsze jedną na wszelki wypadek, ale jedyne dowody, z którymi miała ostatnio do czynienia, znajdowała w książkach.

Głosy poprowadziły ją długim, wyłożonym dywanem korytarzem. Nie musiała już dłużej żebrać o dowody. W progu głównej sypialni przywitała ją krwawa kałuża i ślad podeszwy buta na jej brzegu. Dalej krew wsiąkała w kosztowny perski dywan. Co dziwne, plamy rozbryzganej po ścianach i meblach krwi sięgały ledwie do wysokości kolan.

Zamyślona stanęła w progu, kiedy wrzasnął na nią inspektor w jasnoniebieskiej sportowej kurtce i pogniecionych drelichowych spodniach.

– Hej, proszę pani! Jak pani tu weszła, do cholery?

Dwaj inni mężczyźni przerwali pracę i wlepili w nią wzrok. Na pierwszy rzut oka Maggie oceniła, że inspektor wygląda jak zmiętoszona reklama firmy odzieżowej GAP.

– Nazywam się Maggie O'Dell. Jestem z FBI. – Pokazała swoją odznakę, uważnie lustrując resztę pokoju.

– FBI?

Mężczyźni wymienili spojrzenia. Maggie ostrożnie przekroczyła kałużę krwi i weszła do środka. Plamy krwi znajdowały się też na kołdrze i na łóżku z baldachimem. Poza tym pościel wyglądała idealnie, rozłożona gładko bez żadnych fałd czy zgnieceń. Jeśli toczyła się w tym pokoju jakaś walka, nie dotarła do łóżka.

– A co ma do tego FBI? – spytał zaczepnie mężczyzna w jaskrawej sportowej kurtce i podrapał się w głowę.

Maggie pomyślała, że ugryzł go komar, nie wiedziała tylko, kiedy się to stało. Jego ciemne oczy ześliznęły się wzdłuż jej ciała, natychmiast uświadamiając jej znowu, że

jest nieodpowiednio ubrana. Rzuciła okiem w stronę dwu pozostałych mężczyzn. Jeden był w mundurze. Drugi, starszy pan, zapewne – jak zgadywała Maggie – koroner, miał na sobie wyprasowany garnitur i jedwabny krawat spięty kosztowną, złotą szpilką.

– To pan jest inspektor Manx? – spytała Maggie tego ostrego.

Przeszył ją wzrokiem. W jego spojrzeniu było zdumienie, ale i strach, że Maggie zna jego nazwisko. Może zląkł się, że przełożeni go sprawdzają? Wyglądał młodo, był w podobnym wieku co Maggie, pewnie też niedawno przekroczył trzydziestkę. Może właśnie po raz pierwszy samodzielnie prowadził sprawę o morderstwo?

– Taa, to ja. Cholera, kto dał pani cynk?

Przyszedł czas na zwierzenia.

– Mieszkam w sąsiedztwie. Pomyślałam, że mogę pomóc.

– Chryste Panie! – Tą samą dłonią, którą się przed chwilą drapał, przetarł twarz, zerkając na kolegów, którzy przyglądali się w milczeniu, jakby patrzyli w martwy punkt. – Wydaje się pani, że co? Że ta blaszka wystarczy, by tu wparować?

– Jestem psychologiem, zajmuję się portretami psychologicznymi morderców. Jestem przyzwyczajona do takich widoków. Myślałam, że mogłabym…

– Ale my nie potrzebujemy pomocy. Wszystko jest pod kontrolą.

– Inspektorze. – Policjant od żółtej taśmy wszedł właśnie do pokoju i wszystkie oczy zwróciły się na niego w chwili,

gdy wdepnął w czerwoną kałużę. Odskoczył, wycofał się na korytarz, trzymając w powietrzu stopę. Z buta skapywała mu krew. – Nie mogę, znowu w to wlazłem – mruknął z rozpaczą.

Wtedy Maggie zrozumiała, że włamywacz był bardziej uważny. A zatem ślad buta, który spostrzegła, gdy tu się znalazła, okazał się bezwartościowy. Spojrzała na Manksa, który odwrócił wzrok. Kręcił głową, tuszując zakłopotanie wściekłością na młodego policjanta.

– O co chodzi, Kramer?

Kramer rozpaczliwie rozglądał się za czymś, na czym mógłby postawić nogę. W końcu z przepraszającą miną wytarł podeszwę w dywan. Tym razem Manx nawet nie zerknął na Maggie. Wsadził swoje duże dłonie do kieszeni kurtki, jakby powstrzymywał się w ten sposób przed uduszeniem praktykanta.

– Czego chcesz, Kramer, do cholery?

– Chodzi o to... no, przed domem są sąsiedzi, parę osób, i pytają. Tak sobie pomyślałem, żebym ich może przesłuchał. Wie pan, bo może ktoś coś widział, nie?

– Weź nazwiska i adresy. Potem z nimi porozmawiamy.

– Tak jest. – Policjant wycofał się z ulgą, pierzchając przed nową krwawą plamą, której był autorem.

Maggie czekała. Dwaj mężczyźni patrzyli na Manksa.

– No, to co pani o tym sądzi, O’Donnell? O tej jatce?

– O’Dell.

– Słucham?

– Nazywam się O’Dell – powtórzyła, nie czekając na kolejne zaproszenie do zabrania głosu. – Czy ciało jest w łazience?

– Tam jest wanna i jeszcze więcej krwi. I ani śladu ciała. Prawdę mówiąc, brak nam tego drobnego szczegółu.

– Krew jest przede wszystkim w tym pokoju – odezwał się koroner.

Maggie natychmiast zauważyła, że tylko on nosił gumowe rękawiczki.

– Jeśli ktoś uciekł, a był ranny, powinny być jakieś ślady. Plamy krwi, cokolwiek. A tu wszystko czyściutkie jak cholera, można jeść z podłogi. – Manx ponownie poprawił swoją nową fryzurę.

– W kuchni nie jest tak czyściutko – sprzeciwiła się Maggie.

– Kurde, długo tu pani już węszy? – warknął.

Maggie przyklękła, żeby przyjrzeć się z bliska kałuży, nie zwracając uwagi na wrzaski inspektora. Większość krwi już skrzepła, część wyschła. Prawdopodobnie, stwierdziła Maggie, jest tu od rana.

– Może nie miała czasu posprzątać po lunchu? – ciągnął Manx, nie czekając, aż Maggie odpowie na jego pytanie.

– Skąd pan wie, że ofiarą jest kobieta?

– Sąsiadka dała nam znać, kiedy nie mogła się do niej dodzwonić. Ponoć wybierały się razem na zakupy. Widziała wóz w garażu, ale nikt nie otwierał drzwi. No więc tak sobie myślę, że ten gość musiał przerwać jej lunch.

– Czemu sądzi pan, że to była jej kanapka?

Wszyscy mężczyźni podnieśli wzrok. Wymienili spojrzenia, potem popatrzyli na Maggie jak zagraniczni dyplomaci, którzy znaleźli się na dworze egzotycznego władcy i usiłują pojąć tajniki lokalnego ceremoniału.

– Co pani chce powiedzieć, O'Donnell? No co?

– Nazywam się O'Dell, inspektorze Manx. – Tym razem nie żałowała sobie irytacji w głosie, chciała, żeby ją usłyszał. Znała takie rażące lekceważenie, niby drobiazg, ale jakże celny, żeby ją zdyskredytować. – Dom ofiary jest bez zarzutu. Nie zostawiłaby takiego bajzlu, a już na pewno nie zaczęłaby jeść, dopóki by nie posprzątała.

– Może ktoś ją zaskoczył.

– Może. Ale w kuchni nie ma śladów walki. A system alarmowy jest wyłączony, prawda?

Zgadła, przez co Manx jeszcze bardziej się wkurzył.

– Taa, wyłączony. No to może to był ktoś znajomy.

– Nie przeczę. – Maggie podniosła się i dokładnie zlustrowała sypialnię. – Jeśli jej przerwał, zaskoczył ją, to mogło się to stać dopiero tu, na górze. Mogła na niego czekać, a nawet zaprosić do siebie. Pewnie dlatego ślady walki są dopiero w sypialni. Może zmieniła zdanie? Nie miała już ochoty na to, na co się wcześniej umówili. Te krople krwi na drzwiach są jakieś dziwne. – Wskazała na nie ręką, ostrożnie, żeby ich nie dotknąć. – Są tak nisko, że ofiara musiała być na podłodze, kiedy zadano cios.

Podeszła do okna, świadoma, że mężczyźni suną za nią wzrokiem. Wreszcie zdobyła ich uwagę. Przezroczyste zasłonki nie zakrywały widoku na podwórko, które

przypominało tyły jej nowego domu. Było dość duże i zarośnięte dereniami oraz potężnymi sosnami. Nie było stąd widać żadnego z sąsiednich budynków, wszystkie kryły się za drzewami. Nikt więc nie miał szansy zobaczyć włamywacza, kiedy wchodził i kiedy opuszczał ten dom. Ale jak pokonał strome zbocze i strumień? Czyżby przeceniła moc tej naturalnej bariery?

– Nie ma dużo krwi – kontynuowała. – Chyba że w łazience. Może nie ma ciała, bo ofiara zdołała sama się wydostać?

Usłyszała, jak Manx prychnął.

– Jak pani sobie to wyobraża? Że najpierw skonsumowali miły lunch, potem sprał ją, bo odechciało jej się rżnąć, a na koniec jednak pomyślała sobie, że będzie mu towarzyszyć? Nie ma co, błyskotliwa teoria. No i oczywiście nikt w sąsiedztwie niczego nie zauważył. – Manx zarechotał.

Maggie pominęła jego drwinę.

– Nie powiedziałam, że wyszła dobrowolnie. Poza tym krew jest za bardzo skrzepła i zaschnięta, żeby rana została zadana w porze lunchu. Moim zdaniem to się stało wcześnie rano, o świcie. – Poszukała wzrokiem potwierdzenia u koronera.

– Tak, ma rację. – Mężczyzna skinął głową.

– Nie sądzę też, by jedli razem lunch. Pewnie on zrobił tę kanapkę dla siebie. Trzeba ją zabrać jako dowód, bo jeśli nawet nie będzie odcisków uzębienia, to znajdzie się tam trochę śliny do zbadania DNA.

Kiedy w końcu odwróciła się do Manksa, stał wpatrzony w nią. Jego złość zamieniła się w osłupiały podziw, wokół oczu uwydatniły się zmarszczki. Maggie zobaczyła wówczas, że jest starszy, niż początkowo myślała. Znaczyło to, że jego wygląd: czupryna i ubranie, mogły być znakiem kryzysu wieku średniego, a nie grzechem młodości. To zdumione spojrzenie nie było jej obce. Wciąż się z nim spotykała przy wielu zawodowych okazjach. Czasami czuła się wtedy jak tania wróżka albo nawiedzona wariatka. Zawsze jednak za sceptycyzmem kryło się zdziwienie i szacunek, które powodowały, że zupełnie inaczej zaczynano ją traktować.

– Mogę zajrzeć do łazienki? – spytała.

– Niech się pani czuje jak u siebie. – Manx potrząsnął głową i poprowadził ją.

Jednak zatrzymała się przed drzwiami łazienki. Na biurku stała fotografia. Maggie od razu poznała urodziwą jasnowłosą kobietę, która uśmiechała się do niej ze zdjęcia, jedną ręką obejmując ciemnowłosego mężczyznę, a drugą zdyszanego białego labradora. Była to kobieta, którą spotkały z Tess McGowan w dniu, kiedy przyjechały obejrzeć dom.

– O co chodzi? – spytał Manx, przystając za plecami Maggie.

– Spotkałam tę kobietę w zeszłym tygodniu. Nazywa się Rachel Endicott. Biegała wtedy.

W tej samej chwili w lusterku stojącym na biurku Maggie zobaczyła krew. Tym razem na spodzie koronkowej narzuty.

Odwróciła się z wahaniem. Czyżby ofiara, kimkolwiek była, leżała wciąż pod łóżkiem?

ROZDZIAŁ PIĄTY

Maggie wpatrywała się chwilę w zakrwawioną koronkę, po czym wolnym krokiem podeszła do łóżka.

– W zasadzie to nie biegła akurat wtedy, tylko spacerowała – powiedziała, starając się zachować spokój. – Wyszła z psem, z białym labradorem.

– Nie znaleźliśmy żadnego pieprzonego kundla – rzucił Manx. – Chyba że jest na podwórzu albo w garażu.

Maggie ostrożnie przyklękła na jedno kolano. Krew była też w rowkach podłogi z twardego drewna, chociaż tu włamywacz próbował zmyć ją mopem. Po co to robił? – myślała szybko. Może była tam też jego własna krew?

Kiedy mężczyźni dostrzegli w końcu zabrudzony krwią brzeg koronki, w pokoju zapadła cisza. Maggie czuła ich wyczekującą obecność, czujny, intensywny wzrok. Nawet Manx zamknął się w końcu, chociaż, jak zauważyła kątem oka, przytupywał nerwowo.

Uniosła lekko koronkowy, zmarszczony materiał w miejscu, gdzie nie było krwawych plam. Zanim zdążyła zajrzeć pod łóżko, dobył się stamtąd niski warkot, który kazał jej odsunąć natychmiast rękę.

– O gówno! – wypluł z siebie Manx, odskakując tak gwałtownie, że szafka nocna szurnęła o ścianę.

Maggie ujrzała błysk w jego dłoni i od razu wiedziała, że wyciągnął broń.

– Odsuń się, z drogi! – Był już przy niej, popychał ją, omal jej nie przewrócił.

Niewiele myśląc, wycelował. Maggie złapała go za rękę. Manx był gotowy do strzału, nie wiedząc, co rusza się pod łóżkiem.

– Co pan robi, cholera? – wrzasnęła na niego.

– Co pani, kurwa, robi?

– Pan się uspokoi, inspektorze. – Koroner ujął Manksa za drugą rękę i delikatnie go odciągnął.

– Ten pies może być pańskim jedynym świadkiem – powiedziała Maggie, ponownie przyklękając, tym razem zachowując jednak bezpieczną odległość.

– Już się cieszę. Na pewno mi wszystko opowie.

– Ona ma rację. – Głos koronera był zadziwiająco spokojny. – Psy potrafią bardzo skutecznie pomóc. Lepiej przekonajmy się, czy da się nad nim jakoś zapanować.

Spojrzał na Maggie, jakby czekał na jej instrukcje.

– Najprawdopodobniej jest ranny – powiedziała.

– I w szoku – dodał koroner.

Maggie podniosła się i rzuciła okiem po pokoju. Co, do diabła, wiedziała o psach? Już nie wspominając o ich poskramianiu.

– Proszę zajrzeć do garderoby i wziąć kilka żakietów – poprosiła koronera. – Najlepiej grubych, mogą być wełniane, znoszone i nie prosto z pralni. Może na podłodze leżą jakieś ciuchy.

Sama znalazła rakietę tenisową wspartą o ścianę. Poszperała w szufladach biurka, potem rzucił jej się w oczy

wieszak do krawatów po wewnętrznej stronie drzwi garderoby. Chwyciła jedwabny krawat w prążki i przywiązała jeden jego koniec do rączki rakiety. Zawiązała pętlę.

Po chwili koroner wrócił z kilkoma żakietami.

– Poruczniku Hillguard – polecił jednemu z mundurowych – proszę poszukać jakichś koców. Inspektorze Manx, pan niech będzie w pogotowiu po drugiej stronie łóżka. Jak damy panu znak, podniesie pan narzutę.

Maggie stwierdziła, że inspektor traktuje koronera z respektem. Manx posłusznie zajął stanowisko w wyznaczonym przez starszego mężczyznę miejscu.

Koroner wręczył Maggie jeden z żakietów, kosztowny wełniany tweed. Powąchała rękaw, który zachował słaby zapach perfum właścicielki. Fantastycznie, o to jej chodziło. Włożyła żakiet od przodu, wsadzając gołe ręce w rękawy w taki sposób, by zakryły jej zaciśnięte dłonie. Potem chwyciła rakietę tenisową i uklękła jakieś pół metra od łóżka. Koroner przyklęknął obok, a Hillguard rozłożył z boku kołdrę i dwa koce.

– Gotowi? – Koroner popatrzył po twarzach zebranych. – Inspektorze, proszę unieść narzutę, tylko powoli.

Tym razem także pies był przygotowany. Oczy lśniły mu w półmroku, wyszczerzył zęby, warczał nisko i przeciągle. Jednak się na nich nie rzucił. Zresztą nie był w stanie. Pod zakrwawioną masą białej sierści Maggie spostrzegła ranę, cięcie tuż nad łopatką, które cudem minęło psie podgardle. Splątana gęsta sierść musiała powstrzymać upływ krwi.

– Nic się nie bój, mały. – Maggie przemawiała do zwierzęcia cichym, łagodnym głosem. – Pomożemy ci, tylko bądź grzeczny.

Przybliżyła się, wyciągając część rękawa, który zwisał teraz z jej ręki. Pies chwycił go w zęby. Maggie wyrwała mu się, omal nie tracąc równowagi.

– Jezu! – mruknęła zdegustowana. Czyżby straciła doszczętnie rozum? Starała się nie myśleć o swojej awersji do strzykawek, a jednak zaraz pomyślała, czy nadal w razie podejrzenia o wściekliznę aplikuje się serię sześciu bolesnych zastrzyków.

Ale teraz nie wolno jej się rozpraszać. Musi się opanować. Podjęła kolejną próbę, tym razem działała jeszcze wolniej. Pies powąchał zwisający koniec rękawa i chyba rozpoznał zapach. Gruby psi warkot zamienił się w wycie, a po chwili w skomlenie.

– Już dobrze – obiecywała Maggie szeptem, niepewna, czy uspokaja psa, czy siebie. Następnie zbliżyła drugą rękę, w której trzymała tenisową rakietę. Pętla z krawata zwisała luźno, pies przypatrywał się jej i skowyczał. Pozwoliła mu powąchać krawat. Nie opierał się, kiedy założyła mu pętlę na pysk i delikatnie zacisnęła.

– Jak go stamtąd wyciągniemy? – Hillguard także już klęczał po drugiej stronie Maggie.

– Proszę rozłożyć jeden z tych koców i przysunąć go do psa.

Ale gdy tylko oficer zbliżył do niego ręce, pies warknął i chapnął zębami, walcząc z prowizorycznym kagańcem.

Skoczył na policjanta. Maggie skorzystała z okazji i złapała zwierzę od tyłu za obrożę. Wciągnęła psa na koc, nie wypuszczając z ręki tenisowej rakiety i nie zwalniając pętli. Pies zaskomlał. Maggie przestraszyła się, że naruszyła jego ranę.

– Kurde, a niech to! – krzyknął inspektor Manx, który tym razem trzymał broń w kaburze.

– Mamy go. – Koroner podniósł się i poprosił Hillguarda na swoją stronę. Razem wzięli za rogi koca i wyciągnęli psa spod łóżka. – Możemy go przewieźć do kliniki Rileya moim wozem.

Maggie przysiadła na piętach, dopiero teraz uświadamiając sobie, że dosłownie ocieka potem.

– Cholera. – Manx wrócił do swojego agresywnego tonu. – To znaczy, że cała ta krew tutaj, i pewnie też w łazience, jest tego pieprzonego kundla, czyli nie mamy pieprzonego śladu.

– Nie byłabym tego taka pewna – wtrąciła Maggie. – Tu była jakaś walka, właścicielka psa mogła zostać poszkodowana. – Patrzyła, jak koroner i policjant przykrywają trzęsące się zwierzę i zabezpieczają nosze zrobione z koca. Cieszyła się, że dzięki temu nie widzą, ile wysiłku kosztuje ją wyprostowanie nóg. – Moim zdaniem to stworzenie – wskazała na psa – próbowało powstrzymać to, co się tu działo. Może nawet udało mu się kogoś nieźle pogryźć. Jest więc możliwe, że część tej krwi, zwłaszcza w okolicy łóżka, jest krwią włamywacza. Pańscy ludzie na

pewno zdołają zebrać coś do badania, chociaż prawie wszystko zostało wymyte.

– Pozwala mi pani łaskawie prowadzić moje śledztwo? – Manx rzucił jej spojrzenie pełne pogardy.

Maggie odgarnęła włosy z czoła. Co za facet, czy naprawdę nie może się odczepić? Wtedy zobaczyła krew na swoich rękach, co znaczyło, że ma ją teraz też na czole i włosach. Kiedy podniosła wzrok na koronera, kręcił głową w stronę Manksa i patrzył na niego z wyrzutem. Najwyraźniej również on miał dość arogancji inspektora.

– Tak, oczywiście, to pańskie śledztwo – odezwała się w końcu i chwyciła za róg koca, żeby pomóc mężczyznom przenieść zakutanego w koc psa. – Jestem przekonana, że jak tylko sąsiedzi się dowiedzą, że to właśnie pan je prowadzi, będą spać spokojnie dzisiejszej nocy.

Manksa zaskoczyła jej ironiczna uwaga. Poczerwieniał, bo żaden z mężczyzn nie przyszedł mu w sukurs. Maggie przychwyciła wzrokiem uśmiech koronera. Nie sprawdzała, czy i Manx go dojrzał.

– Niech pani trzyma swoją odznakę i swój zgrabny tyłek z dala od mojej sprawy – rzucił do jej pleców, ponieważ oczywiście musiał mieć ostatnie słowo. – Kojarzy pani, O’Dell?

Nie miała zamiaru ani odwracać się, ani też odpowiadać temu niewdzięcznemu sukinsynowi. Gdyby nie ona, nie znalazłby nawet psa. Ciekawe, czy wysili się na tyle, żeby wziąć próbki krwi do badania, czy może zlekceważy to,

ponieważ to jej sugestia? Z takimi nadętymi frustratami i nieudacznikami nigdy nic nie wiadomo.

Trzymała mocno róg koca, idąc za koronerem i Hillguardem. Kiedy dotarli do podestu schodów, Maggie obróciła głowę i spojrzała na Manksa, który stał w progu sypialni.

– Aha, inspektorze – powiedziała. – Jeszcze jedno. Może zainteresuje pana to błoto na schodach? Chyba że już pan w nie wdepnął i zniszczył ślad.

Manx instynktownie podniósł prawą nogę, sprawdzając podeszwę. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, co zrobił. Koroner roześmiał się w głos. Hillguard ograniczył się do uśmiechu, tak na wszelki wypadek. Twarz Manksa spurpurowiała po raz wtóry. A Maggie odwróciła się ze stoickim wyrazem twarzy, zaprzątnięta tym, żeby jej ranny pacjent spokojnie przetrwał podróż w dół schodów.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Tess McGowan upchała kopie dokumentów do skórzanej teczki, która była już mocno wytarta i miała popękaną rączkę. Tess nie zwracała na to uwagi. Jeszcze kilka transakcji i będzie ją stać na nową teczkę, która zastąpi tę wysłużoną, kupioną w sklepie z używanymi rzeczami.

Zanotowała w notatniku na biurku: „Joyce i Bill Saundersowie: podłużne czekoladowe ciasteczka". Dzieciaki Saundersów będą miały frajdę, Joyce zaś była prawdziwą czekoladoholiczką. Potem napisała jeszcze: „Maggie O'Dell: bukiet kwiatów ogrodowych". Jednym ruchem skreśliła ten zapis. Nie, to zbyt banalne. Tess lubiła dziękować swoim klientom za współpracę. To ją wyróżniało i znajdowało pozytywny odzew w referencjach. Ale co mogłoby spodobać się tej O'Dell? Rety, w końcu chyba nawet agentki FBI lubią kwiaty. O'Dell mało nie zwariowała z radości na widok swojego ogrodu. A jednak bukiet kwiatów jakoś do niej nie pasował. Do agentki O'Dell pasował doberman zabójca, pomyślała Tess, i z uśmiechem zanotowała: „Azalia w doniczce".

Zadowolona z siebie wyłączyła komputer i wśliznęła się w żakiet. Sąsiednie biura już dawno opustoszały. Tylko ona miała tak porąbane, żeby pracować o tej późnej porze, pomyślała. Daniel przesiadywał w biurze do ósmej lub dziewiątej i potem jeszcze przez parę godzin jej nie

zauważał, musiał bowiem się zrelaksować. Nie zamierzała jednak teraz rozmyślać o jego lekceważącym zachowaniu. Jeżeli Daniel będzie w dalszym ciągu wydzwaniał do niej i nalegał na bliższy związek lub też nastawał na jej niezależność, Tess pójdzie swoją drogą. Podobało jej się tak, jak jest: bezpiecznie i bez komplikacji, z minimalnym zaangażowaniem emocjonalnym. Dla kobiety, która nie potrafiła się angażować, była to wprost idealna sytuacja.

Mijała właśnie pomieszczenie z kopiarką, kiedy usłyszała jakieś odgłosy. Rzuciła wzrokiem w stronę drzwi na końcu korytarza, sprawdzając, czy nic jej nie przeszkodzi, gdyby musiała brać nogi za pas. Rozpłaszczyła się na ścianie i zajrzała do pokoju, w którym kopiarka z hurgotem szykowała się do roboty.

– Dziewczyno, myślałam, że już dawno siedzisz w domu. – Zaskoczona Tess wzdrygnęła się, a Delores Heston podniosła się zza kopiarki i wsadziła do niej szufladę z papierem. – Dobry Boże! Wybacz, Tess, nie chciałam cię przestraszyć. Nic ci nie jest?

Serce Tess waliło jak młot. Zrobiło jej się głupio, że jest taka strachliwa. Paranoja była dziedzictwem przeszłości. Tess posłała Delores uśmiech, wspierając się na klamce, w nadziei że tętno szybko wróci do normy.

– W porządku. Myślałam, że wszyscy już poszli. Co pani tu jeszcze robi? Miała pani zabrać Greeleyów na kolację.

Delores wcisnęła jakieś guziki i maszyna obudziła się do życia z miękkim, uspokajającym szmerem. Potem spojrzała na Tess, opierając dłonie na obfitych biodrach.

– Musieli zmienić termin, więc nadrabiam papierkową robotę. Tylko błagam, nie mów nic Vernie. Wydarłaby się zaraz na mnie, że zabawiam się jej ukochanym dzieciątkiem.

Maszyna pisnęła jak na zawołanie.

– Święta Panienko! Co ja znów zrobiłam? – Delores pochyliła się nad kopiarką, wypróbowując kolejne przyciski.

Tess roześmiała się. Prawdę mówiąc, wszystko tu należało do Delores: kserokopiarka, krzesła co do jednego i najmniejszy nawet spinacz do papieru. Delores Heston stworzyła biuro nieruchomości Heston Realty przed około dziesięciu laty i wyrobiła sobie dobrą markę w Newburgh Heights i przyległej okolicy. Całkiem nieźle jak na czarnoskórą, wywodzącą się z nizin kobietę. Tess podziwiała swoją mistrzynię, która o szóstej po południu, po całym dniu pracy, wciąż wyglądała bez zarzutu w ciemnopurpurowym, szytym na miarę kostiumie. Swoje czarne, pełne blasku włosy Delores zwijała w ciasny węzeł i nie pozwalała, żeby wymknął się z niego choćby kosmyk. Tylko po jednym można było poznać, że ma już wszystkiego dosyć – gdy zdejmowała buty.

Kostium Tess był dla kontrastu nieznośnie wygnieciony po wielu godzinach siedzenia. Jej grube, falujące włosy skołtuniły się od wilgotnego upału, niesforne pukle wymykały się z klamry, którą próbowała je ujarzmić na karku. Tess była prawdopodobnie jedyną żyjącą naturalną blondynką, która przefarbowała swoje włosy na nieokreślony odcień brązu, żeby zyskać większą

wiarygodność i uniknąć niechcianych awansów. Nawet jej okulary, zwisające teraz z ozdobnego łańcuszka, były tylko rekwizytem. Tess nosiła bowiem szkła kontaktowe, ale czyż okulary nie dodają wyrazu inteligencji młodym, atrakcyjnym kobietom? No właśnie.

Kserokopiarka przestała wreszcie buczeć i zaczęła wypluwać kartki papieru. Delores, przewracając oczami, popatrzyła na Tess.

– Verna ma rację, że nie pozwala mi tego dotykać.

– Ale tym razem się udało.

– No, a ty, dziewczyno, co ty tu jeszcze robisz? Nie masz w domu jakiegoś przystojniaka do przytulanek na piątkowy wieczór?

– Chciałam skończyć dokumentację domu Saundersów.

– Faktycznie. Wyleciało mi z głowy, że zakończyłaś tę transakcję w tym tygodniu. Swoją drogą, dobra robota. Wiem, że Saundersów strasznie przypiliło. Jaka jest nasza działka z tego interesu?

– Wyszło na to, że w sumie wszyscy skorzystali. Poza tym zarobiliśmy na tym, że tak się spieszyli, bo oprócz normalnego procentu dostaniemy połowę kwoty, którą spuścili z ceny.

– Oho, mów mi tak jeszcze. Nie ma lepszej reklamy niż zrealizowanie z wyprzedzeniem oczekiwań klienta. Tam chodziło o czas, a ty uwinęłaś się piorunem. W każdym razie ten bonus, kochana, jest dla ciebie.

Tess nie była pewna, czy się nie przesłyszała.

– Słucham?

– Dobrze słyszałaś. Zatrzymasz dla siebie ten bonus od sprzedaży. Należy ci się.

Przez jakąś minutę Tess milczała, zabrakło jej słów. Bonus był nie byle jaką kwotą, bo wynosił prawie dziesięć tysięcy dolarów. Tyle zarabiała przez pół roku w czasach, gdy stała za barem. Musiała niezgorzej zbaranieć, bo Delores zaniosła się gromkim śmiechem.

– Dziewczyno, naprawdę żałuj, że nie możesz się teraz widzieć.

Tess milczała. Zdobyła się na słaby uśmiech. Jakoś głupio było jej spytać, czy to tylko taki żart. Co prawda byłby zaprawiony perfidnym okrucieństwem, ale Tess doświadczyła go wiele w swoim życiu. Mówiąc szczerze, wciąż się go spodziewała, a nawet ze swoistym fatalizmem akceptowała całe zło, jakie jeszcze miało ją spotkać.

Delores przypatrywała się jej, lecz tym razem z niekłamaną troską.

– Tess, ja nie żartuję. Chcę, żebyś zatrzymała sobie ten bonus. Wypruwałaś z siebie flaki, żeby sprzedać tę nieruchomość w ciągu dwu tygodni. Wiem, że to piękny dom i że wstępna oferta była okazyjna. Ale te wszystkie papierzyska, manewry, negocjacje! Obecnie trudno jest sprzedać cokolwiek, a już w tym przedziale cenowym sfinalizowanie transakcji graniczy z cudem.

– To… to bardzo dużo pieniędzy. Na pewno chce pani…

– Absolutnie. Wiem, co robię, dziewczyno. Inwestuję w ciebie. Chcę, żebyś ze mną została. Żebyś nie zakładała własnego interesu i nie wchodziła mi w drogę. A poza tym

i tak sporo chapnęłam z tej sprzedaży. A teraz idź do domu i uczcij to z tym swoim przystojniakiem.

W drodze do domu Tess zastanawiała się, czy to możliwe, skoro jej uroczy przystojniak przez cały ostatni tydzień był na nią wściekły, ponieważ stanowczo odmówiła przeprowadzki do niego. Właściwie nie mogła mu nawet mieć tego za złe. I w ogóle co z nią takiego się dzieje, że odsuwa każdego faceta, który za bardzo się do niej zbliża?

Jezu, przecież nie jest już dzieckiem! Za kilka tygodni skończy trzydzieści pięć lat. Robi karierę zawodową, odnosi sukcesy w interesach, z jednym tylko nie może sobie poradzić. Za nic nie potrafi ułożyć sobie życia osobistego. Czyżby to było przeznaczenie? Czy perfidny los skazał ją na to, że gdy tylko próbuje nawiązać bliższą więź z drugim człowiekiem, ponosi klęskę za klęską? Ciążyła jej przeszłość, wciąż wlokła się za nią, oblepiając ją dobrze znanym i dlatego tak bardzo wygodnym, ale zarazem destrukcyjnym kokonem.

Minione pięć lat było nieustającą walką, w końcu jednak Tess zaczęła robić postępy. Jej ostatnia transakcja niezbicie świadczyła o tym, że jest dobra w tym, co robi. Potrafiła zarobić na życie uczciwie, nie robiąc kantów. Nawet Daniel był swojego rodzaju nagrodą. Przystojny, wykształcony, z dobrej, kulturalnej rodziny... Wrażliwy, obyty w świecie i ambitny, nie przypominał żadnego ze znanych jej niegdyś mężczyzn. Tak, różnił się od nich diametralnie, choć co prawda w szczególnych chwilach też potrafił być arogancki.

Ale mniejsza o to, bo dobrze jej służył. Wzdrygnęła się na tę myśl. W końcu Daniel to nie tran, mój Boże.

Z tą refleksją wjeżdżała swoją wziętą w leasing miatą na parking na tyłach baru z grillem „U Louiego”. Postanowiła kupić butelkę wina. Potem zadzwoni do Daniela z przeprosinami za ostatni tydzień i zaprosi go na kolację, żeby wspólnie uczcili jej sukces. Była przeświadczona, że Daniel będzie z niej dumny. Twierdził, że podoba mu się w niej niezależność i upór, a Daniel był oszczędny w komplementach, nawet w tych zdawkowych, wygłaszanych bez przekonania.

Oparła się o skórzany fotel i próbowała przypomnieć sobie, dlaczego ma wrażenie, że znowu powinna go przeprosić. No dobra. Nieważne, byle tylko zapomnieli o kłótni i ruszyli do przodu. Z wolna nabierała wprawy w gubieniu przeszłości, w odsuwaniu się od niej. Ale jeśli to prawda, to co ona robi na tyłach tego baru? Sklep monopolowy Shepa „Liquor Mart” znajdował się trzy przecznice stąd, i to po drodze do domu. Kurde, co ona musi wszystkim wciąż udowadniać? Albo, mówiąc inaczej: co musi ciągle udowadniać sobie?

Już miała przekręcić kluczyk w stacyjce i odjechać, kiedy tylne drzwi baru otworzyły się szeroko. Przestraszyła się. Z knajpy wyszedł przysadzisty mężczyzna w średnim wieku, dźwigając worki ze śmieciami. Miał paskudny fartuch, łysa czaszka błyszczała od potu, a papieros obrzydliwie zwieszał się z jego ust. Grubas wywalił worki do śmietnika i wytarł

spocone czoło rękawem koszuli. Kiedy się odwrócił, dojrzał Tess i wtedy było już za późno.

Złapał papierosa w dwa palce, zaciągnął się po raz ostatni, cisnął go na ziemię i ruszył w kierunku samochodu. Z dumą dźwigał swoje cielsko, naśladując zawodowych zapaśników, którzy byli jego idolami. Wydawało mu się, że wygląda super, choć prawda była taka, że prezentował się żałośnie: otyły, łysy facet w średnim wieku. Pomimo to był dla Tess ważną osobą. Gdyby miała kogoś nazwać swoim najbliższym kumplem, nie wskazałaby na nikogo, ale ten spaślak byłby tego najbliżej.

– Tessy – odezwał się i poczekał, dopóki nie opuściła szyby. – Co za czort cię tu przywiódł?

Uwagi Tess nie umknął cień dziwnego, skrywanego uśmieszku na jego twarzy.

– Cześć, Louie. – Wysiadła z wozu.

– Kurewsko ładny ten twój wózek, mała – ocenił, przyglądając się lśniącej czarnej miacie.

Pozwoliła mu się napatrzyć i napodziwiać, nie wspominając, że to wóz służbowy i nie należy do niej. Jedna ze złotych myśli Delores brzmiała: „Dziewczyno, jeżeli chcesz mieć sukces, wyglądaj tak, jakbyś go już osiągnęła”.

Wreszcie Louie przeniósł spojrzenie na Tess. Czuła, jak jego oczy zsuwają się po jej modnym kostiumie, i zarumieniła się, kiedy zagwizdał z uznaniem. Pewnie powinna czuć się dumna, a jednak jego podziw sprawił, że już drugi raz tego dnia poczuła się jak oszustka.

– Co tu robisz, hę? Łajdaczysz się?

Jej twarz natychmiast poczerwieniała.

– Oczywiście, że nie – rzuciła.

– Hej, to tylko żarcik, Tessy.

– Wiem. – Uśmiechnęła się. Bardzo chciała, żeby jej uwierzył. Ufała, że jej ton nie zabrzmiał defensywnie, jakby się przed czymś broniła czy z czegoś tłumaczyła. Obróciła się w stronę samochodu, udając, że go zamyka, chociaż mogła to zrobić za pomocą pilota. – Chcę kupić wino i pomyślałam, że dam zarobić tobie, a nie Shepowi.

– Co ty powiesz? – Spojrzał na nią i uniósł brwi, ale zaraz znów się uśmiechnął. – Jestem wdzięczny. Nie musisz się tłumaczyć, że do nas wpadasz, Tess. Wiesz, że zawsze jesteś mile widziana.

– Dzięki, Louie.

I nagle poczuła się jak tamta znerwicowana, pozbawiona celu barmanka, z którą, jak miała nadzieję, rozstała się pięć lat temu. Czy nigdy już się jej nie pozbędzie?

– Chodź. – Louie objął ją muskularnym ramieniem.

Na obcasach Tess przewyższała go o kilka centymetrów, wytatuowany smok na jego ramieniu ocierał się o jej szyję. Zapach potu i frytek przyprawił ją o mdłości, a jednak, choć ją to zdumiało, obudził także tęsknotę. Potem przypomniał jej się Daniel, który wyczuje od niej później zapach dymu papierosowego i tłustych burgerów. I to wystarczy, żeby zniszczyć ich święto.

– Wiesz co, Louie? Jaka ze mnie gapa! Zostawiłam coś w biurze – rzekła, wysupłując się z jego objęć.

– Co? To nie może poczekać parę minut?

– Nie, wybacz. Szefowa da mi popalić, jak się zaraz tym nie zajmę. – Otworzyła drzwi za pomocą pilota i wskoczyła do wozu, nie dając Louiemu kolejnej szansy na protest. – Wpadnę później – dodała przez na wpół otwarte okno, doskonale wiedząc, że tego nie zrobi. Szyba podnosiła się już, kiedy Tess dodała: – Obiecuję.

Włączyła silnik i ostrożnie wyjechała wąską alejką, obserwując Louiego we wstecznym lusterku. Był bardziej zdumiony niż wkurzony. To dobrze. Nie chciała, żeby się na nią wściekał. Potem natychmiast pomyślała, że to bez znaczenia. Tak by wolała w każdym razie.

Wyjechała na ulicę i kiedy była już pewna, że Louie jej nie widzi, przycisnęła gaz. A jednak dopiero po kilku kilometrach poczuła, że może znowu swobodnie oddychać, i usłyszała głos z radia zamiast łomotu własnego serca. Uświadomiła sobie, że minęła już sklep Shepa. No trudno. Stało się. Starała się skupić myśli na swoim ostatnim sukcesie, a nie na minionych porażkach, niemniej jednak straciła ochotę do świętowania. Tak się na tym skupiła, że jadący za nią czarny sedan kompletnie umknął jej uwagi.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Nim zjawiła się Gwen i zanim dostarczyli pizzę, Maggie nalewała sobie już drugą whiskey. Prawie zapomniała o butelce, aż tu nagle natknęła się na nią. Tkwiła sobie w pudełku, jakby na nią czekała. Niezbędne antidotum na koszmarną zawartość pudła, które było oznakowane symbolem 34666, przyznanym Albertowi Stucky'emu. Może to nie przypadek, że numer jego sprawy kończył się trzema szóstkami?

Cunningham wpadłby pewnie w furię, gdyby wiedział, że Maggie skopiowała wszystkie oficjalne dokumenty dotyczące Stucky'ego. Ona natomiast czułaby się winna, gdyby nie przygotowała samodzielnie wszystkich raportów, dokumentów i notatek w tej sprawie. Maggie tropiła Stucky'ego przez prawie dwa lata. Widziała wszystkie miejsca zbrodni, gdzie torturował i ćwiartował swoje ofiary, przeglądała wszystko, co pozostawiał po swoim „dziele": skrawki materiału, włosy, ludzkie organy, cokolwiek mogło stanowić wskazówkę, jak go dorwać. Uważała, że ma prawo do materiałów źródłowych, traktując je jak specyficzną dokumentację fragmentu własnego życia.

Po niespodziewanej wizycie u weterynarza wzięła szybki prysznic. Podkoszulek moczył się w umywalce w łazience. Możliwe, że nigdy nie zdoła usunąć z niego krwawych plam. Podkoszulek był stary, powyciągany i sprany, ale Maggie

czuła do niego niezrozumiały dla innych sentyment. Niektórzy ludzie przechowują na pamiątkę albumy z wycinkami, Maggie przechowywała tę koszulkę.

Zachowała w miłej pamięci lata spędzone na Uniwersytecie Stanu Wirginia. To tam właśnie odkryła cudowny smak niezależności, z dala od matki, której była opiekunką. Tam też spotkała Grega. Zerknęła na zegarek, sprawdziła, czy komórka jest włączona. Greg nie oddzwonił dotąd w sprawie brakującego pudła. Każe jej czekać. Niech mu będzie, nie doprowadzi jej tym do szału. W każdym razie nie tego wieczoru. Była zbyt wyczerpana, nie stać jej było na jakiekolwiek emocje.

Zadzwonił dzwonek do drzwi. Maggie ponownie sprawdziła godzinę. Gwen spóźniła się dziesięć minut. Maggie obciągnęła bluzkę, upewniając się, że smith & wesson znajduje się na swoim miejscu. Rewolwer stał się jej ostatnio równie bliski i niezbędny jak zegarek.

– Wiem, wiem, spóźniłam się! – zawołała Gwen od drzwi, zanim jeszcze na dobre się otworzyły. – Cholerne korki. Piątkowy wieczór, kto może, bierze tyłek w troki i ucieka z kochanej stolicy.

– Cieszę się, że jesteś.

Gwen uśmiechnęła się i objęła ją jedną ręką. Maggie zdumiała przez moment miękkość i kruchość starszej od niej przyjaciółki. Gwen była drobna i bardzo kobieca, ale Maggie uważała ją zawsze za swoją opokę. Szukała u niej pomocy, wielokrotnie wspierała się na jej sile, charakterze i mądrości.

Wreszcie Gwen cofnęła się i położyła dłoń na policzku Maggie, próbując dobrze jej się przyjrzeć.

– Marnie wyglądasz – oceniła.

– Wielkie dzięki.

Gwen znowu się uśmiechnęła i podała Maggie zgrzewkę piwa. Butelki były zimne, pokryte skroploną parą. Maggie odebrała je od przyjaciółki, unikając dzięki temu jej wzroku. Nie widziały się niemal od miesiąca, chociaż utrzymywały regularny kontakt telefoniczny. Jednak podczas takich rozmów na odległość Maggie mogła skutecznie ukryć przed Gwen swój strach i bezsilność, które zawładnęły nią ostatnimi czasy.

– Pizza będzie za parę minut – oznajmiła Maggie, uruchamiając ponownie system alarmowy.

– Dla mnie żadnego pepperoni.

– Za to ekstragrzyby.

– Chwała ci. – Gwen ruszyła w głąb mieszkania i zaczęła buszować po pokojach. – Dobry Boże, Maggie, jaki to piękny dom.

– Co powiesz na mojego architekta wnętrz?

– Hm… Powiem tak: brązowy karton to pewnie twój pomysł, prosty i bezpretensjonalny. Mogę zajrzeć na piętro? – spytała, wspinając się już na schody.

– A jak cię zatrzymać? – roześmiała się Maggie. Nie mogła uwierzyć, że ta kobieta ledwie co przyszła, a już czuło się jej energię, ciepło i radość.

Poznały się, kiedy Maggie po raz pierwszy przyjechała do Quantico na stypendium z medycyny sądowej. Maggie była

wówczas młodą naiwną, która krew widziała tylko w szklanej fiolce, a strzelała jedynie na strzelnicy.

Gwen natomiast pracowała w zespole psychologów. Cunningham zaproponował jej pracę konsultantki, która zarazem uczestniczyłaby w stworzeniu portretów psychologicznych kilku przestępców. Ich schwytanie było dla FBI zadaniem priorytetowym. Było to o tyle dziwne, że Gwen działała wśród waszyngtońskiej elity. Jej pacjentami byli głównie generałowie o skłonnościach samobójczych, znerwicowani kongresmani i ich znudzone żony, a nawet członek gabinetu Białego Domu, który cierpiał na depresję maniakalną.

Jednak nie tylko tym się zajmowała. Cunninghama zainteresowały jej artykuły, w których przedstawiała wyniki badań nad umysłami zbrodniarzy. Uznał, że Gwen Patterson posiadła nadzwyczajną zdolność wglądu w dewiacyjne umysły, i dlatego zwrócił się do niej z prośbą, żeby została niezależną konsultantką Pomocniczego Wydziału Dochodzeniowego FBI. Maggie szybko zorientowała się, że Cunningham był również osobiście zainteresowany doktor Gwen Patterson. Tylko ślepiec by tego nie zauważył, choć nigdy do niczego między nimi nie doszło ani nawet się na to nie zanosiło.

– Za bardzo szanujemy nasze zależności służbowe – wyjaśniała jej kiedyś Gwen, dając do zrozumienia, że nie chce wracać do tego tematu, chociaż już od dawna nie pracowała dla FBI. Maggie wiedziała skądinąd, że dystans, jaki zachowywali, wynikał głównie z faktu, że Cunningham

pozostawał w separacji z żoną, nie był więc człowiekiem do końca wolnym.

Maggie podziwiała energię przyjaciółki, jej błyskotliwą inteligencję i ironiczne poczucie humoru. Gwen myślała niekonwencjonalnie, nie wahała się łamać reguł, zachowując przy tym wrażenie, że nie podważa autorytetów. Maggie była świadkiem jej zwycięstw nad dyplomatami i kryminalistami, które odnosiła w sposób wyrafinowany i pełen gracji. Gwen była starsza od Maggie o piętnaście lat, mimo to z miejsca została nie tylko jej nauczycielką, ale również najlepszą przyjaciółką.

Kiedy dzwonek do drzwi zadzwonił po raz drugi, Maggie odruchowo sięgnęła ręką do tyłu. Podniosła wzrok, żeby sprawdzić, czy Gwen widzi jej nerwowe reakcje. Wygładziła bluzkę i zerknęła na ganek przez boczne okno, i dopiero wtedy wyłączyła alarm. Wyjrzała przez judasza, przyglądając się zniekształconemu obrazowi ulicy, po czym otworzyła drzwi.

– Duża pizza dla O’Dell. – Młoda dziewczyna wręczyła Maggie ciepłe pudełko.

– Pachnie smakowicie.

Dziewczyna wyszczerzyła zęby w uśmiechu, jakby pizza była jej własnym dziełem.

– Osiemnaście pięćdziesiąt dziewięć, proszę pani.

Maggie wręczyła jej dwadzieścia pięć dolarów, mówiąc:

– Reszty nie trzeba.

– Rany, dzięki.

Dziewczyna pokonała podjazd w podskokach, a jej jasny koński ogon wypuszczony z baseballowej czapeczki śmiesznie podrygiwał.

Maggie położyła pizzę w salonie, na samym środku podłogi. Wróciła do drzwi, żeby uruchomić alarm. Gwen szybkim krokiem schodziła właśnie na dół.

– Maggie, powiedz mi zaraz, co się stało. – Trzymała w ręku koszulkę z plamami krwi. – Co to jest? Skaleczyłaś się?

– Ach, to.

– Tak, to. Co się, u diabła, stało?

Maggie szybko chwyciła koszulkę i pobiegła na górę, żeby wrzucić ją z powrotem do umywalki. Zmieniła wodę i wsypała proszek. Kiedy spojrzała do lustra, ujrzała stojącą za nią Gwen, która przyglądała jej się bacznie.

– Jeśli cię boli, pozwól, że ja to zrobię – rzekła Gwen łagodnie, lecz stanowczo.

Ich spojrzenia skrzyżowały się w lustrze. Maggie od razu wiedziała, że Gwen chodzi o bliznę po ranie, jaką Albert Stucky wyciął na jej brzuchu. Wówczas kiedy dokonało się zło, Maggie niepostrzeżenie wymknęła się, potajemnie próbując opatrzyć ranę w domu. Niestety kilka dni później infekcja zmusiła ją, by wszystko ujawniła lekarzowi pogotowia.

– To nic takiego, Gwen. Pies sąsiadów skaleczył się i pomagałam zaciągnąć go do weterynarza. To jego krew, nie moja.

– Żartujesz sobie ze mnie. – Gwen potrzebowała minuty, żeby na jej twarzy w miejsce troski pojawiła się ulga. – Chryste Panie, musisz pchać nos we wszystkie krwawe sprawy?

Maggie uśmiechnęła się.

– Potem ci o tym opowiem. Teraz zajmijmy się jedzeniem, umieram z głodu.

– To coś nowego.

Maggie złapała ręcznik, wytarła ręce i ruszyła na dół po schodach.

– Wiesz co – powiedziała Gwen – powinnaś trochę przytyć. Zdarza ci się czasami zjeść dwa dni z rzędu coś porządnego?

Maggie westchnęła.

– Chyba nie wygłosisz mi teraz kazania o właściwej diecie?

Gwen westchnęła, wiedziała bowiem, że przyjaciółka w ten sposób zakończyła temat. Wzięły z kuchni papierowe talerze, serwetki i piwo, po czym udały się do salonu. Maggie, widząc, że Gwen zagląda do otwartego kartonu obok sekretarzyka, zgarnęła pizzę.

– To wszystko Stucky, co?

– Doniesiesz na mnie do Cunninghama?

– Oczywiście, że nie. Chyba mnie znasz. Martwi mnie tylko, że stał się twoją obsesją.

– To nie obsesja.

– A co? Więc jak to nazwiesz?

Maggie ugryzła kęs pizzy. Nie miała teraz ochoty myśleć o Stuckym, bo groziło to utratą apetytu. Ale w końcu Gwen zjawiła się także z jego powodu.

– Po prostu chcę, żeby go wreszcie dorwano – powiedziała. Czuła na sobie taksujący wzrok przyjaciółki, jej oczy, które szukały znaków i podtekstów. Maggie nie znosiła, kiedy Gwen próbowała poddawać ją psychoanalizie, ale z drugiej strony to zawodowy instynkt dyktował jej takie zachowanie.

– I co? Tylko ty jesteś w stanie tego dokonać?

– Ja go znam najlepiej.

Gwen nie spuszczała z niej wzroku jeszcze przez chwilę, potem otworzyła swoją butelkę i pociągnęła łyk piwa.

– Coś dla ciebie sprawdziłam. – Sięgnęła po kawałek pizzy. Maggie starała się zachować spokój. Prosiła Gwen, żeby użyła swoich znajomości i dowiedziała się, kto przejął sprawę Stucky'ego. Kiedy Cunningham zesłał Maggie do pracy dydaktycznej, uniemożliwił jej jednocześnie dostęp do informacji dotyczących tej sprawy.

Gwen żuła powoli. Równie niespiesznie pociągnęła kolejny łyk piwa. Maggie czekała. Zastanawiała się, czy Gwen zadzwoniła wprost do Cunninghama. Nie, to byłoby zbyt oczywiste. Wiedział, że łączy je przyjaźń.

– I? – Dłużej nie mogła wytrzymać.

– Cunningham sprowadził nowego psychologa, ale zlikwidował specjalną grupę roboczą.

– Czemu, cholera?

– Bo nic nie ma, Maggie. Ile to już czasu? Ponad pięć miesięcy? Albert Stucky rozpłynął się bez śladu. Jakby w ogóle zniknął z tej planety.

– Wiem. Tydzień w tydzień sprawdzałam VICAP. – Stworzony przez FBI Program Zatrzymań Niebezpiecznych Kryminalistów odnotowywał okrutne zbrodnie w całym kraju, systematyzując je według określonych cech. Nie znalazła tam nic, co choćby przypominało sprawę Alberta Stucky'ego. – A Europa? Stucky miał forsę, mógł udać się gdziekolwiek.

– Wzięłam na spytki moje źródła w Interpolu. – Gwen zrobiła pauzę na łyk zimnego piwa. – Nie mają nic, co wykazywałoby podobieństwo do Stucky'ego.

– Może coś zmienił.

– Może przestał, Maggie. Niektórzy seryjni mordercy ni stąd, ni zowąd przestają zabijać. Po prostu kończą z tym. Nikt nie potrafi tego wyjaśnić, ale tak się zdarza.

– Nie Stucky.

– Nie sądzisz, że próbowałby się z tobą skontaktować? Że wróciłby znowu do tej swojej chorej gry? W końcu to ty wsadziłaś go do pudła. Powinien przynajmniej być na ciebie wściekły.

To właśnie Maggie zidentyfikowała tego szaleńca, którego FBI nazwało Kolekcjonerem. Wykonany przez nią portret psychologiczny oraz szczęśliwe odkrycie niemal nierozpoznawalnych odcisków palców, które Stucky arogancko i bezmyślnie pozostawił na miejscu zbrodni,

doprowadziły do stwierdzenia, że Kolekcjoner to nie kto inny jak Albert Stucky, milioner z Massachusetts.

Podobnie jak większość seryjnych morderców, Stucky wydawał się zadowolony, że go odkryto. Znajdował przyjemność w fakcie, że przyciąga czyjąś uwagę, i pragnął to wykorzystać. Gdy jego obsesja zwróciła się przeciw Maggie, nikogo to nie zdziwiło, chociaż gra, która w konsekwencji zaczęła się toczyć, była daleka od jakiejkolwiek normy. Maggie otrzymywała od niego podpowiedzi, które miały ją doń doprowadzić. Nie były to jednak poczynione jego ręką notatki, lecz bardzo osobliwe, a zarazem w paranoiczny sposób intymne tropy, na przykład obcięty palec jednej z zamordowanych kobiet, znamię innej czy też przysłany w kopercie odcięty sutek.

To wszystko działo się przed dziewięcioma miesiącami. Minął więc prawie rok, a Maggie wciąż usiłowała sobie przypomnieć, jak wyglądało jej życie, zanim zaczęła się gra. Nie pamiętała już snu bez koszmarów. Nie pamiętała, jak to jest, kiedy człowiek nie ogląda się bezustannie przez ramię. Ścigając Alberta Stucky’ego, o mało nie straciła życia, on jednak znów był na wolności. Umknął z konwoju, nim Maggie zdołała sobie przypomnieć, czym jest poczucie bezpieczeństwa.

Gwen wsadziła rękę do pudła i wyjęła plik fotografii dokumentujących miejsca zbrodni Stucky’ego. Rozłożyła je, nie przestając jeść pizzy. Należała do niewielu znanych Maggie osób spoza FBI, którym widok zbrodni nie

przeszkadzał w konsumpcji. Nie podnosząc wzroku, Gwen powiedziała:

– Musisz odpuścić, Maggie. Nie ma go tu, a i tak rąbie cię na kawałki.

Na Maggie patrzyły teraz zatrzymane w kadrach sceny. Były równie potworne w czerni i bieli, jak w rzeczywistości. Zbliżenia podciętych gardeł, odgryzionych sutków, okaleczonych wagin i bogaty asortyment wyrwanych z ciał organów... Maggie, rzucając okiem na zdjęcia, przekonała się, jak wiele z raportów dotyczących Stucky'ego do tej pory znała na pamięć. Boże, jakież to było męczące.

Greg oskarżył ją niedawno, że lepiej pamięta zadane ofiarom rany i znaki szczególne morderców niż wydarzenia z ich życia czy wspólne rocznice. Nie było sensu spierać się z nim. Bo miał rację. Być może nie zasługiwała na męża, rodzinę i normalne życie. Ale czy zdarzyło się do tej pory, by jakakolwiek agentka FBI spotkała się ze strony swojego męża czy kochanka ze zrozumieniem dla swej pracy, nie mówiąc już o czymś takim jak ta... obsesja? Czy to jest obsesja? Czy Gwen się nie myliła?

Maggie odłożyła pizzę, widząc, że dłonie drżą jej lekko. Kiedy podniosła wzrok, zobaczyła, że Gwen to spostrzegła.

– Kiedy ostatnio przespałaś całą noc, od wieczora do rana? – Czoło przyjaciółki zmarszczyło się.

Maggie nie odpowiedziała, starała się też nie patrzeć w zielone oczy Gwen.

– Nawet jeśli jeszcze nie zabił, to żaden dowód, że nie zaczął znów kolekcjonować.

– Jeśli tak, to Kyle się tym zajmie. – Gwen rzadko wyrywało się imię dyrektora Cunninghama. Zdarzało się to tylko wtedy, kiedy była mocno zdenerwowana lub zatroskana. – Daj temu spokój, Maggie. Odpuść sobie, bo to cię zniszczy.

– Nie dam się zniszczyć. Już zapomniałaś, jaka ze mnie twarda sztuka? – Mówiąc to, patrzyła w bok, żeby przyjaciółka nie zobaczyła w jej oczach jawnego kłamstwa.

– Twarda, mówisz – rzekła Gwen. – W takim razie dlaczego łazisz po własnym domu z bronią w spodniach?

Maggie wzdrygnęła się, na co Gwen uśmiechnęła się i dodała:

– Umówmy się, nie twarda, ale zawzięta.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Nie pamiętał, żeby dawniej, w latach jego młodości, kiedy sam pracował w pizzerii, dziewczyny dostarczające pizzę były takie śliczne. Do diabła, nie pamiętał, żeby w ogóle były tam jakieś dziewczęta.

Obserwował, jak spieszyła chodnikiem, a długie blond włosy kołysały się z tyłu jej głowy. Związała je w koński ogon, który wystawał z czapki baseballówki z napisem Chicago Cubs. Ciekawe, czy im kibicuje? – pomyślał. Może kibicem jest jej chłopak, bo taka dziewczyna na pewno ma chłopaka.

Zrobiło się zbyt ciemno, żeby można było zaufać ulicznym latarniom. Oczy zaczynały go piec i widział trochę nieostro. Włożył specjalne okulary i ustawił ostrość. Tak, tak jest dobrze.

Obserwował dalej, jak dziewczyna zerka na zegarek, stojąc przed drzwiami na ganku. Tym razem otworzył jej mężczyzna i oczywiście obrzucił ją tym dupowatym, zdębiałym spojrzeniem. Wyłowił drobniaki z kieszeni dżinsów, które obwisały w napęczniałej talii. Typowy flejtuch, z mokrymi plamami potu pod pachami i kępami włosów sterczącymi zza dekoltu koszuli. A jednak znowu to samo, dupek wymądrza się, jaka to ona ślicznotka i jak to on by ją wynagrodził, gdyby mógł. A ona znowu ten

uprzejmy uśmieszek, chociaż policzki czerwone już jak buraki.

Tak bardzo chciałby choć raz zobaczyć, jak wali któregoś z tych dupków w same jądra. Może tego właśnie mógłby ją nauczyć. Jeśli wszystko pójdzie po jego myśli, będzie miał na to mnóstwo czasu.

Dziewczyna szybko ruszyła chodnikiem, a ten nędzny kutas, który dał jej tylko dolara napiwku, gapił się na jej tyłek, dopóki nie zniknęła w małym błyszczącym dodge'u. Już sam ten widok był wart więcej niż dolara. Sukinsyn. Jak ona ma, do diabła, skończyć college na takich nędznych napiwkach?

Tak, kobiety dają hojniejsze napiwki. Może dręczy je poczucie winy, że nie przygotowały rodzinnego posiłku własnymi rękami? Kto to wie? Kobiety to skomplikowany gatunek, fascynujące stworzenia. Za skarby świata by ich nie zmienił.

Zamienił gogle na przydymione okulary, bo światła przejeżdżających samochodów kłuły go w oczy. Zaczekał, aż dodge dojedzie do skrzyżowania, po czym zawrócił i pojechał jego śladem. Dziewczyna skończyła trasę. Rozpoznał drogę prowadzącą do pizzerii „Mamma Mia" na skrzyżowaniu Pięćdziesiątej i Archer Drive. Przytulna mała knajpka zajmowała narożnik. W następnej bramie mieścił się „Pump-N-Go", samoobsługowa stacja benzynowa. Pomiędzy nimi było sześć mniejszych sklepików, w tym „Mr. Magoo's Videos" i monopolowy „Liquor Mart".

Newburgh Heigths to takie przyjazne, małe przedmieście, pomyślał. Zero ryzyka. Zresztą dziewczyna z pizzerii też nie była dla niego wielkim wyzwaniem. Ale nie chodziło w końcu o wyzwanie, tylko o przedstawienie.

Dziewczyna zaparkowała na tyłach budynku, blisko drzwi. Wiedział, że za kilka minut znów pojawi się z kolejnymi pizzami.

Nad „Mamma Mia" był neon, a na nim numer, pod którym można zamawiać pizzę. Wyciągnął komórkę i wystukał ów numer, rozkładając równocześnie folder reklamowy agencji nieruchomości. Opis obiecywał dom w stylu kolonialnym z czterema sypialniami, wanną z masażem i świetlikiem w głównej sypialni. Jakie to romantyczne, rozmarzył się, kiedy w telefonie zabrzmiał kobiecy głos.

– „Mamma Mia".

– Chciałbym prosić o dwie duże pepperoni.

– Telefon.

– 555-4545 – odczytał gładko z folderu.

– Nazwisko i adres.

– Heston – czytał dalej. – Archer Drive 5349.

– Chce pan do tego chlebowe pałeczki i mineralną?

– Nie, tylko pizzę.

– Za dwadzieścia minut, panie Heston.

– Świetnie. – Rozłączył się. Dwadzieścia minut to masa czasu. Włożył czarne skórzane rękawiczki, rogiem koszuli wytarł telefon i wrzucił go do śmietnika.

Ruszył na południe, na Archer Drive, myśląc o pizzy, kąpieli w świetle księżyca i ślicznotce z pizzerii

z grzecznym uśmiechem i jędrnym tyłeczkiem.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Oczy Maggie same się zamykały, ramiona kuliły się. Była wykończona. Gwen wyszła dopiero około północy i Maggie od razu wiedziała, że nie zaśnie. Kilka razy sprawdziła każde okno, zostawiając tylko dwa otwarte, żeby wpuścić do środka choć trochę cudownego, świeżego powiewu. Po wyjściu Gwen kilkakrotnie sprawdziła też system alarmowy. Teraz krążyła po domu, z lękiem myśląc o nocy, nienawidząc ciemności i przysięgając sobie, że następnego dnia zawiesi zasłony i zamontuje żaluzje.

W końcu usiadła po turecku w środku papierów, tych wyciągniętych z pudła potworności Stucky'ego. Wzięła do ręki teczkę z artykułami, które ściągnęła z komputera. Od momentu ucieczki Stucky'ego, to jest od pięciu miesięcy, pilnie śledziła w Internecie gazetowe nagłówki z całego kraju.

I wciąż nie mieściło jej się w głowie, że ucieczka przyszła Stucky'emu tak łatwo. W drodze do więzienia o zaostrzonym rygorze Albert Stucky zabił dwu transportujących go strażników, co w żadnym wypadku nie powinno się zdarzyć z uwagi na rutynowe, i jak się zdawało, absolutnie skuteczne środki ostrożności, jakie zastosowano. Potem Stucky rozpłynął się bez śladu gdzieś na bagnach Florida Everglades.

Każdy inny na jego miejscu zapewne by zginął, stając się smacznym kąskiem dla aligatorów. Każdy, ale nie Stucky. Maggie wyobrażała sobie dokładnie, jak Stucky wyłania się z Everglades w garniturze z kamizelką i z teczką ze skóry aligatora. Tak, Albert Stucky miał głowę na karku. Potrafiłby tak skutecznie oczarować aligatora, że ten oddałby mu dobrowolnie swoją skórę, a potem w nagrodę za tę uprzejmość posiekałby nieszczęsne zwierzę na kawałki i cisnął jego współbraciom na kolację.

Maggie próbowała ratować się czarnym humorem, ale nie bardzo jej to wychodziło. Tak, Stucky był jej obsesją, zmorą, okrutnym przeznaczeniem. I nic na to nie mogła poradzić.

Uważnie przeglądała najnowsze artykuły. W poprzednim tygodniu „Philadelphia Journal” zamieścił materiał o kobiecym torsie znalezionym w rzece. Głowę i nogi odnaleziono później w śmietniku. Było to bliskie dewiacyjnym działaniom Stucky’ego, lecz Maggie nie wierzyła, że to jego dzieło. Była w tym mordzie jakaś przesada, zbyt wiele premedytacji. To prawda, Stucky działał w niewyobrażalnie okrutny sposób, wyróżniało go jednak to, że nigdy nie odrąbywał tych części, które najłatwiej świadczyły o tożsamości ofiary. Stucky znajdował przyjemność w psychologicznych sztuczkach i myślowych grach. I jeśli nawet pozbawiał ofiarę jakiegoś organu, stanowiło to próbę zachęty do kontynuowania gry, a nie zacieranie śladów. Maggie mogła sobie go wyobrazić, jak przygląda się z rechotem, gdy w jakiejś jadłodajni odkrywają wstrząsającą niespodziankę, którą im podrzucił.

Potrafił zapakować taką przesyłkę w zwyczajny pojemnik na jedzenie i pozostawić na stoliku. Dla Stucky'ego to była tylko gra, pokręcona i makabryczna, ale jedynie gra.

Dużo bardziej od prasowych doniesień o rozmaitych częściach ciała rozrzuconych tu i ówdzie przerażały Maggie notatki na temat zaginionych kobiet. Takich jak jej nowa sąsiadka, Rachel Endicott. Inteligentne kobiety sukcesu, niektóre samotne lub mające rodziny, wszystkie atrakcyjne i wszystkie określane jako osoby, które bez powiadomienia rodziny czy przyjaciół za nic dobrowolnie nie opuściłyby swoich domów. Maggie nie mogła się pozbyć podejrzenia, że któraś z nich dołączyła do kolekcji Stucky'ego. Miał dość czasu, żeby znaleźć jakieś spokojne miejsce, gdzie mógł zacząć wszystko od nowa. Nie brakowało mu pieniędzy, czyli miał dostęp do wszystkich dóbr, potrzebował jedynie czasu.

Wiedziała także, że Cunningham i zlikwidowany przez niego oddział specjalny, a także nowy psycholog, wszyscy czekają na kolejne ciało. Jednak ofiary, które zaczęły się znowu pojawiać, Stucky zabijał tylko dla zabawy. Tymczasem powinni rozglądać się za kobietami, które kolekcjonował. Takimi, które poddawał torturom. Które kończyły tam, gdzie diabeł mówi dobranoc, w oddalonych od świata pieczarach w głębokich lasach, kiedy Stucky zdążył się już nacieszyć swoją chorą grą. Grą, która może trwać dni, a może i tygodnie. Stucky nigdy nie wybierał kobiet młodych i naiwnych. O nie, on lubił prawdziwe wyzwania. Wybierał te dojrzałe i inteligentne. Kobiety,

które nie poddawały się łatwo, które mógł masakrować nie tylko fizycznie, ale także psychicznie.

Maggie przetarła oczy. Łyknęła kolejną szkocką. Dwie, które wypiła wcześniej, w połączeniu z piwem przyprawiły ją o lekki zawrót głowy i zamglone spojrzenie. Specjalnie dla Gwen zaparzyła cały dzbanek kawy, ale sama trzymała się od niej z daleka. Odstręczał ją sam aromat. Zastanawiała się, co mogłoby postawić ją na nogi. Może whiskey albo inny mocny alkohol? Jednak zdawała sobie doskonale sprawę, że uzależnia się od tego niebezpiecznego środka przeciwbólowego.

Uniosła kolejną teczkę, z której wypadła jedna kartka. Na widok pisma Stucky'ego Maggie poczuła gęsią skórkę. Podniosła kartkę za róg, jakby była zakażona złem. Był to pierwszy z wielu liścików w ich chorej grze. Stucky starannie wykaligrafował:

Spętać konia, nie ujarzmiając duszy, której mu brak, to marne wyzwanie. Wyzwaniem jest zastąpienie ducha lękiem, czystym zwierzęcym lękiem, dzięki któremu czuje się, że się żyje. Margaret O'Dell, czy jesteś gotowa poczuć pełnię życia?

Te słowa dały im pierwszy wgląd w umysł Alberta Stucky'ego, którego ojciec był cenionym lekarzem. Albert miał wstęp do najlepszych szkół i posiadał wszelkie przywileje, które można kupić za pieniądze. A jednak wyrzucono go z Yale, kiedy o mały włos nie spłonął przez niego damski akademik. Były jeszcze inne zarzuty: próba gwałtu, obraza, drobna kradzież. Z braku oczywistych

dowodów zaniechano jednak formalnych oskarżeń, nie chciano ryzykować trudnych, poszlakowych procesów o domniemany zamiar gwałtu i podpalenie. Jednak po śmierci ojca Stucky był przesłuchiwany. Doktor Stucky, uważany za wytrawnego żeglarza, zginął na oceanie w dziwnych, wręcz niepojętych okolicznościach.

Jakieś sześć czy siedem lat później Albert Stucky wziął się do interesów i wraz z partnerem stworzyli jedną z pierwszych internetowych giełd papierów wartościowych. Stucky został szanowanym biznesmenem i multimilionerem.

Mimo dociekliwych i żmudnych badań Maggie wciąż nie była pewna, co sprowadziło Stucky'ego na drogę zbrodni. Jakie wydarzenie mogło to zapoczątkować? Zazwyczaj seryjni mordercy działają pod wpływem nagłego czynnika stresującego. Może nim być czyjaś śmierć, odrzucenie, obraza, i nagle pewnego dnia rodzi się w nich konieczność zabijania. Impuls powstaje w emocjach, jednak podjęta decyzja ma wszelkie racjonalne pozory, poza tym, że w oczywisty sposób jest chora. Jednak Stucky pozostawał dla niej w tej kwestii tajemnicą. Może po prostu czystego zła nie da się zrozumieć i okiełznać? Tak jak jego zaprzeczenia, czyli Boga? Maggie wzdrygnęła się. Skąd u niej te mistyczne pomysły? Tak, Stucky był specjalnym przypadkiem wśród całej rzeszy dewiacyjnych morderców, a zło, jakie wyrządzał, budziło wyjątkową grozę. Ale jednak był tylko człowiekiem. Strasznym, porażającym, ale tylko człowiekiem.

Większość seryjnych morderców znajduje przyjemność w samym akcie zabijania, który staje się dla nich formą zadośćuczynienia. Zazwyczaj w pełni świadomie dokonują wyboru. Jednak dla Alberta Stucky’ego zabić to było za mało. Czerpał zadowolenie z łamania psychiki ofiar, z zamieniania ich w szlochające, błagające o łaskę wraki. Musiał posiąść ich ciała, umysły i dusze. Dopiero wówczas czuł satysfakcję, gdy wolny, niezależny duch przemieniał się w czysty lęk. Wtedy okazywał łaskę i w nagrodę skracał mękę, rezygnując z powolnej, nieskończenie długiej kaźni. Jak na ironię wielkie szczęście miały te kobiety, które zabił w jednej chwili, podcinając gardła i wrzucając ciała do śmietników po pozbawieniu najwyżej jednego, potrzebnego do kontynuowania gry organu.

Dzwonek telefonu poderwał Maggie na nogi. Natychmiast chwyciła za smith & wessona, który leżał pod bokiem. Taki odruch. Pora była późna, a tylko niewiele osób znało jej nowy numer. Nie podała go, zamawiając pizzę. Upierała się nawet, żeby również Greg dzwonił do niej tylko na komórkę. A więc może po prostu Gwen o czymś zapomniała. Siedząc na podłodze, Maggie ściągnęła telefon z biurka.

– Tak?

– Agentka O’Dell?

Poznała rzeczowy ton Cunninghama, ale wcale jej to nie uspokoiło.

– Tak, sir.

– Cieszę się, że panią słyszę. Nie wiedziałem, czy już podłączyła pani telefon.

– Dzisiaj się wprowadziłam.

Spojrzała na zegarek. Minęła już północ. Od kiedy przeniósł ją do pracy dydaktycznej, rzadko się kontaktowali. Czyżby szef miał jakieś informacje o Stuckym? Wyprostowała się, czując niespodziewany przypływ nadziei.

– Co się stało?

– Przepraszam, O'Dell, nie wiedziałem nawet, że już tak późno.

Oczami wyobraźni zobaczyła go przy jego biurku w Quantico, chociaż była to noc z piątku na sobotę.

– Nic nie szkodzi. Jeszcze nie spałam.

– Pomyślałem, że może pani jutro jechać do Kansas, a wtedy bym pani nie złapał.

– Wyjeżdżam w niedzielę. – Starała się, jak mogła, powstrzymać pytanie, które cisnęło jej się na usta. Jeśli Cunningham jej potrzebuje, to zostanie tutaj, a Stewart z pewnością zastąpi ją na konferencji. – Czy mam zmienić plany?

– Nie, nie. Chciałem się tylko upewnić. Prawdę mówiąc, miałem dziś wieczorem niepokojący telefon.

Przed oczami Maggie z miejsca pojawiło się poszatkowane ciało, ukryta w śmieciach niespodzianka przeznaczona dla niczego niespodziewającej się, przypadkowej osoby. Czekała na szczegóły.

– Dzwonił do mnie detektyw Manx z policji Newburgh Heights.

Oczekiwanie Maggie rozwiało się jak mgła.

– Wiem, o kogo chodzi.

– Powiedział mi, że wtrąciła się pani w jego śledztwo dziś po południu. To prawda?

Maggie po raz kolejny przetarła oczy, uświadamiając sobie przy okazji, że wciąż ściska w dłoni rewolwer. Odłożyła go i oparła plecy o ścianę. Czuła się podle. Cholerny fiut z tego Manksa.

– O’Dell? Czy to prawda?

– Wprowadziłam się tu dziś po południu. Zobaczyłam wozy policyjne za rogiem i pomyślałam, że na coś się przydam.

– I nieproszona bezceremonialnie wtargnęła pani na miejsce zbrodni?

– Nie wtargnęłam. Zaofiarowałam swoją pomoc.

– Inspektor Manx inaczej to widzi.

– Tak, spodziewam się.

– Chcę, żeby pani trzymała się od takich rzeczy z daleka, O’Dell.

– Ale ja mogłam…

– Z daleka, mówię, i proszę nie wykorzystywać do takich rzeczy swoich identyfikatorów. Nawet jeśli coś się dzieje w pani sąsiedztwie. Zrozumiano?

Maggie przejechała palcami przez zwichrzone włosy. Jak on śmiał, ten Manx? Bez niej nie odkryłby nawet psa.

– Agentko O’Dell, czy wyraziłem się jasno?

– Tak, absolutnie jasno – powiedziała, spodziewając się kolejnej reprymendy za sarkazm w swoim głosie.

– Życzę szczęśliwej podróży. – Jak miał to w zwyczaju, Cunningham raptownie zakończył rozmowę i rozłączył się.

Maggie wrzuciła telefon na biurko i zaczęła kartkować zawartość teczki. Gdy zesztywniały jej plecy, wstała i przeciągnęła się, wciąż czując, jak rozpiera ją złość. Cholerny Manx! Przeklęty Cunningham! Długo jeszcze będzie ją trzymał na boku? Ile czasu będzie ją karać za to, że jest bezbronna? I jak może się spodziewać, że złapie Stucky'ego bez jej pomocy?

Maggie po raz trzeci ustawiła system alarmowy, sprawdzając czerwoną lampkę kontrolną, choć mechaniczny głos powtarzał jej za każdym razem: „System alarmowy został aktywowany". Do diabła z tym brzęczeniem w głowie! Nalała szkockiej, tłumacząc sobie, że to pozwoli jej się rozluźnić.

Na podłodze salonu panował nieopisany bałagan. Brakowało tylko, żeby na dzień dobry w nowym domu pojawiła się jeszcze krew i przemoc. Przeniosła się na oszkloną werandę, zabierając ze sobą broń i ciepły pled, którym się owinęła. Wyłączyła wszystkie światła poza jednym na biurku. Potem zwinęła się na fotelu zwróconym do szklanej ściany.

Skulona sączyła szkocką i obserwowała, jak księżyc to pojawia się, to znika przykryty chmurami, tworząc tańczące cienie na podwórku. W drugiej ręce, pod pledem, trzymała broń. Była gotowa, niezależnie od zaćmiewającej wzrok

alkoholowej mgły. Cunningham nie potrafi powstrzymać Stucky’ego, jeśli ten zechce do niej dotrzeć. Ona za to jest gotowa. I tym razem przyszła kolej na to, żeby to Stucky się zdziwił.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Reston, Wirginia
Sobota wieczór
28 marca

R.J. Tully wyciągnął kolejny dziesięciodolarowy banknot i wsunął go do okienka kasowego. Rany boskie, od kiedy to bilet do kina kosztuje osiem i pół dolara? Próbował sobie przypomnieć, kiedy ostatnio wybrał się na film w sobotni wieczór. No jasne, że w ciągu trzynastu lat małżeństwa byli z Caroline w kinie kilka razy. Ale to musiało być na początku, zanim zdecydowała, że woli towarzystwo swoich współpracowników niż jego.

Rozejrzał się. Emma wlokła się w tyle, na końcu kolejki. Czasami zastanawiał się, kim, do diabła, jest ta osoba. Ta piękna, wysoka czternastolatka z jedwabistymi jasnymi włosami, której ciało zaczynało nabierać kobiecych kształtów, jawnie podkreślanych obcisłymi dżinsami i równie dopasowanym sweterkiem zrobionym na drutach. Z dnia na dzień coraz bardziej przypominała matkę. Boże drogi, jakże tęsknił za czasami, kiedy ta sama dziewczynka trzymała go za rękę, skakała mu w ramiona, gotowa iść za nim wszędzie. Ale i to się zmieniło, i w tym upodabniała się do matki.

Zaczekał na nią obok biletera. Jak ona zdoła wysiedzieć u jego boku bite dwie godziny? Widział, jak dziewczyna rzuca wzrokiem po zatłoczonym holu. Z miejsca zrobiło mu się łyso. No tak, Emma boi się, że ktoś z jej znajomych przyłapie ją na sobotniej wyprawie do kina z tatusiem. Czyżby aż tak się go wstydziła? On nigdy nie czuł się podobnie w stosunku do własnych rodziców. Ale jego to spotkało, gdy został ojcem. Nic dziwnego, że spędza tyle godzin w pracy. W tej chwili zdawało mu się, że łatwiej by pojął pokrętną duszę seryjnego mordercy niż to, co się dzieje w głowie czternastoletniej dziewczynki.

– Może kupimy sobie popcorn? – zaproponował.

– Popcorn ma tony tłuszczu.

– Ale ty chyba nie musisz się o to martwić, Słodki Groszku?

– O Boże, tato!

Zatrzymał się gwałtownie, przestraszył się bowiem, że nastąpił jej na palec. Jej głos był taki zbolały.

– Nie mów tak do mnie – szepnęła.

Uśmiechnął się do niej, co tylko bardziej ją zażenowało.

– Okej, nie chcesz, to nie. To może pepsi?

– Dietetyczna pepsi – poprawiła.

Zaskoczyła go, stojąc z nim w kolejce do bufetu, chociaż nie przestawała rozglądać się po holu. Emma mieszkała z nim na stałe od dwóch miesięcy, lecz prawdę mówiąc, widywał ją rzadziej niż wtedy, gdy mieszkali w Cleveland, a on był tylko weekendowym ojcem. Wówczas przynajmniej

robili wiele rzeczy razem, starając się nadrobić czas, który z konieczności spędzali osobno.

Kiedy przeprowadzili się do Wirginii, starał się, żeby codziennie jedli razem kolację, ale to on pierwszy zaniedbał ten obowiązek. Praca w Quantico pochłaniała o wiele więcej czasu, niż się spodziewał. Nie dość, że musieli urządzić się z córką w nowym domu, przywyknąć do nowej pracy, nowej szkoły i nowego miasta, to jeszcze Emma musiała przyzwyczaić się do nieobecności matki.

Do tej pory nie mieściło mu się w głowie, że Caroline wyraziła zgodę na taką sytuację.

Może kiedy znudzi jej się odgrywanie roli dyrektora generalnego za dnia i randkowanie wieczorami, postanowi odzyskać córkę na stałe.

Tully patrzył, jak Emma nerwowymi ruchami zamierza się na samowolne kosmyki długich włosów. Wciąż omiatała wzrokiem salę. Pomyślał nawet, że może zrobił błąd, walcząc o przyznanie pełnej opieki nad dzieckiem. Wiedział, że Emma tęskni za matką, nawet jeśli poświęcała jej jeszcze mniej czasu niż on. Cholera jasna! Dlaczego rodzicielstwo to taka piekielnie trudna robota?

O mały włos nie zamówił popcornu z masłem, w końcu poprosił o zwykły, mając nadzieję, że Emma może zmienić zdanie.

– I dwie średnie dietetyczne pepsi.

Zerknął na córkę, żeby przekonać się, czy zrobił na niej wrażenie, ulegając jej wpływom. Lecz ona pobladła, ogarnęła ją panika.

– O Boże! Josh Reynolds! – Stanęła tak blisko niego, że Tully musiał się cofnąć o krok, żeby odebrać pepsi i popcorn. – Boże! Mam nadzieję, że mnie nie widział.

– Kto to jest Josh Reynolds?

– Jeden z najfajniejszych chłopaków z klasy. Superluzak.

– Przywitajmy się.

– Tato! O Boże, żeby mnie tylko nie zobaczył.

Stała twarzą do ojca, plecami do ciemnowłosego chłopca, który zbliżał się do nich nieuchronnie, wyraźnie kierując się w stronę Emmy. Tully wcale się nie zdziwił. Jego córka była, jak to mówią, szałową laską. Nie wiedział tylko, czy jest naprawdę przerażona, czy jej zachowanie to zamierzona poza. Doprawdy nie potrafił tego rozgryźć. Ale skoro nie rozumiał dorosłych kobiet, to jakże mógł oczekiwać, że pojmie istotę, która dopiero nią się stanie?

– Emma? Emma Tully?

Chłopiec był już przy nich. Tully obserwował w zdumieniu, jak jego córka produkuje nerwowy, a jednak pełen entuzjazmu uśmiech, mający zastąpić grymas paniki. Odwróciła się dokładnie w chwili, kiedy Josh przecisnął się przez kolejkę.

– Cześć, Josh.

Tully zerknął w dół, bo wydało mu się, że miejsce jego upartej córki zajął jakiś sprytny oszust. Głos Emmy był po prostu zbyt radosny.

– Na jaki film idziesz?

– „Trzy serca” – przyznała niechętnie, mimo iż sama dokonała wyboru.

– Ja też. Mama chce to zobaczyć – dodał jakoś podejrzanie szybko.

Chłopak, który właśnie wsunął ręce do kieszeni, wzbudził sympatię Tully’ego. To, co Emma określiła mianem luzu, musiało go kosztować sporo wysiłku. A może jedynie Tully dostrzegał, jak chłopiec niespokojnie przytupuje nogą i wierci się? Po chwili krępującej ciszy Tully, dotąd kompletnie ignorowany przez młodych, wreszcie zaznaczył swoją obecność.

– Cześć, Josh. Tully, jestem ojcem Emmy.

– Dzień dobry panu.

– Uścisnąłbym ci rękę, ale obie mam zajęte.

Kątem oka widział, jak Emma przewraca oczami. Czyżby i to ją zawstydzało? Przecież chciał tylko być uprzejmy. Wówczas zapiszczał jego pager. Josh pomógł mu, odbierając butelki, zanim Emmie w ogóle przyszło to do głowy. Tully wyłączył brzęczyk pagera, który zdążył już wywołać kilka przesłanych w jego stronę poirytowanych spojrzeń. Twarz Emmy zalał piękny odcień czerwieni. Wystarczył rzut oka i Tully rozpoznał numer. Cholera, dlaczego akurat w ten wieczór?

– Muszę zadzwonić.

– Pan jest może lekarzem, tak?

– Nie, Josh, jestem agentem FBI.

– Żartuje pan? Ale super.

Twarz chłopca rozpromieniła się, a Tully z satysfakcją dostrzegł, że nie uszło to uwagi Emmy. Ciągnął zatem, zamiast pędzić do automatu:

– Pracuję w Quantico, w Pomocniczym Wydziale Dochodzeniowym. Zajmuję się portretami psychologicznymi kryminalistów.

– Wow! To też super! – powtórzył Josh.

Nie patrząc na Emmę, Tully wiedział, że jej oblicze zmienia się pod wpływem reakcji Josha.

– Śledzi pan seryjnych morderców, tak jak na filmach?

– Obawiam się, że nie jest to równie atrakcyjne jak w kinie.

– Jezu! Założę się, że się pan napatrzył na różne niesamowite rzeczy, nie?

– Niestety tak. Wybacz, Josh, ale muszę pilnie zadzwonić. Dotrzymasz Emmie towarzystwa przez kilka minut?

– No pewnie. Nie ma problemu, panie Tully.

Obejrzał się dopiero wtedy, gdy znalazł się w bezpiecznej odległości, przy automacie telefonicznym. Jego agresywna, wojowniczo nastawiona córka, teraz rozpływała się w uśmiechach, i to zupełnie szczerych. Patrzył na dwoje nastolatków, którzy rozmawiali ze sobą, co chwila wybuchając śmiechem. Wykręcił wreszcie numer. Na kilka minut udało mu się zapomnieć, że świat jest okrutny i pełen przemocy, ale już usłyszał w słuchawce głos Cunninghama.

– Mówi Tully, sir. Pan mnie wzywał?

– Chyba trafiliśmy na ofiarę Stucky’ego.

Tully’emu natychmiast zrobiło się niedobrze. Oczekiwał tego z wielkim lękiem przez kilka minionych miesięcy.

– Gdzie, sir?

– Pod nosem. Jakieś trzydzieści, czterdzieści minut stąd. Może pan po mnie przyjechać za jakąś godzinę? Pojedziemy tam razem.

Nie zadając więcej pytań, Tully wiedział, że Cunninghama trzeba odebrać z Quantico. Zastanowił się, czy ten człowiek w ogóle bywa w domu.

– Jasne. Będę.

– No to do zobaczenia za godzinę.

I tyle. Po latach siedzenia za biurkiem w Cleveland i opracowywania portretów psychologicznych morderców z drugiego końca kraju nadeszła dla Tully'ego szansa, żeby udowodnić swój talent i dołączyć do prawdziwych myśliwych. Czemu więc chwyciły go nudności?

Wrócił do córki i jej kolegi, spodziewając się, że ją rozczaruje.

– Przepraszam, Emmo, muszę jechać.

Jej oczy pociemniały w jednej chwili, uśmiech zniknął z twarzy.

– Josh, mówiłeś, zdaje się, że jesteś z mamą?

– Taa, kupuje popcorn. – Josh wskazał na atrakcyjną rudowłosą kobietę, która ujrzawszy to, przesłała synowi uśmiech i wzruszyła ramionami, pokazując nieruchomą kolejkę przed sobą.

– Josh, Emma, pozwolicie, że zapytam mamę Josha, czy Emma mogłaby zostać z wami w kinie? – Tully przygotował się na protesty córki.

– Będzie super – rzekł Josh bez wahania, a Emma od razu poczuła się lepiej.

– Jasne, tato – powiedziała.

Tully był ciekaw, czy Emma miała świadomość, jak dzielnie się właśnie zachowała.

Jennifer Reynolds chętnie zgodziła się zaopiekować Emmą. Tully zaoferował się od razu, że któregoś dnia zaprosi wszystkich do kina, po czym pluł sobie w brodę, zauważywszy obrączkę na jej palcu. A jednak Jennifer Reynolds przyjęła jego zaproszenie, i to z zalotnym spojrzeniem, które nawet pozbawiony praktyki, świeży kawaler z odzysku odcyfrował bez żadnego kłopotu. Był więc nie tylko ciekaw, był też wyraźnie podniecony nową sytuacją.

Przez całą drogę do samochodu z jego twarzy nie schodził uśmiech, z uśmiechem pozdrawiał ludzi na parkingu i podzwaniał kluczykami. Wieczór był ciepły i mimo smużek chmur zapowiadała się piękna, księżycowa noc. Tully wśliznął się za kierownicę i zerknął w lusterko, jakby zapomniał, jak wygląda jego twarz w chwili szczęścia. Co za niezwykłe uczucie, prywatne szczęście i zawodowe podniecenie, i to tego samego wieczoru. Żadnej z tych emocji nie czuł przez lata i cieszył się teraz nimi z pełną świadomością, że szybko przemijają. Wyjechał z parkingu z poczuciem, że sprosta wszystkiemu i wszystkim. Może nawet Albertowi Stucky’emu.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Zgodnie ze wskazówkami Cunninghama Tully skręcił na skrzyżowaniu i natychmiast zobaczył światła reflektorów w bocznej alejce. Wozy policyjne blokowały ulicę. Tully zatrzymał się przy jednym z nich, podsunął policjantowi pod nos swoją odznakę i ruszył dalej przez tłum. Próbował wykorzystać lekcję nowego przyjaciela córki, Josha, i udawał, że jest luzakiem. A prawda była taka, że miał żołądek w gardle i po plecach lał mu się pot.

Tully widział dotąd całe mnóstwo miejsc zbrodni, uciętych kończyn i zakrwawionych ścian. Widział zwyrodniałe, odrażające znaki szczególne, podpisy, po których rozpoznawano poszczególnych morderców, a które wahały się od pojedynczej róży na długiej łodydze do poszatkowanego ciała. Ale do tej pory wszystkie te sceny znał jedynie z fotografii, obrazów cyfrowych skanerów i ilustracji przesyłanych mu do Biura FBI w Cleveland. Stał się jednym z ekspertów w środkowozachodniej części kraju, który potrafił przygotować portret psychologiczny mordercy na podstawie drobiazgów i fragmentów dostarczanych przez śledczych. Kyle Cunningham zaoferował mu stanowisko w Quantico, w Wydziale Pomocniczym, kierując się głównie skrupulatnością Tully’ego. Nie znając go osobiście, w czasie pierwszej rozmowy telefonicznej zaproponował mu pracę w terenie,

która miała zacząć się od polowania na jednego z najbardziej poszukiwanych przez FBI zbiegłych przestępców. Na Alberta Stucky’ego.

Tully wiedział z kolei, że Cunningham został zmuszony do rozwiązania grupy specjalnej po miesiącach bezskutecznych, kosztownych poszukiwań. Wiedział także, że zawdzięcza swoje szczęście agentowi, którego zastąpił, a który został czasowo oddelegowany do pracy dydaktycznej. Bez wielkiego kłopotu odkrył także, że agentem tym jest Maggie O’Dell, której nie miał okazji poznać osobiście, za to słyszał, że cieszy się dobrą opinią. Należała do najmłodszych i najlepszych psychologów kryminalnych w kraju.

Nieoficjalnie mówiło się, że O’Dell wypaliła się i musi odpocząć. Krążyły nawet plotki, że straciła ostrość spojrzenia, że zrobiła się nieostrożna i bojowa, a także że sprawa Alberta Stucky’ego stała się jej paranoiczną obsesją. Inne pogłoski donosiły też co prawda, że Cunningham odsunął Margaret O’Dell, żeby ją ochronić przed Stuckym, z którym prowadziła niebezpieczną grę w kotka i myszkę jakieś osiem, dziewięć miesięcy wcześniej. Ostatecznie doprowadziło to do schwytania Stucky’ego, tyle że kosztem tortur, jakie jej zadał. O’Dell o mały włos nie zginęła. Teraz, po kilku miesiącach poszukiwań, badań i oczekiwania, Tully nareszcie miał poznać człowieka zwanego Kolekcjonerem. Nawet jeśli nie spotka się z nim bezpośrednio, to dokładnie zbada efekty

jego działań. A dla policyjnego psychologa znaczyło to tyle, jakby miał go na kozetce podczas seansu psychoanalizy.

Tully zaparkował możliwie najbliżej ogrodzenia i Cunningham natychmiast wyskoczył z wozu. O mały włos Tully zapomniałby wyłączyć światła. Był tak podniecony, że przekręcał kluczyk w stacyjce mokrymi od potu dłońmi. Zdawało mu się, że nogi ma sztywne jak kije. Kolano odezwało się znienacka, przypominając mu o dawnej kontuzji. Pędził, żeby dogonić swojego szefa. Tully był około dziesięciu centymetrów wyższy od Cunninghama, stawiał długie kroki, a jednak niełatwo przyszło mu dotrzymać kroku dyrektorowi. Przypuszczał, że Cunningham jest co najmniej dziesięć lat od niego starszy, był za to szczupły i dobrze zbudowany. Tully widział kiedyś, jak Cunningham wyciskał na leżąco dwa razy więcej kilogramów niż rekruci akademii podczas pierwszych treningów.

– Gdzie ona jest? – Cunningham nie tracił czasu, zwracając się do policjanta, który wyglądał tu na szefa.

– Ciągle w śmietniku. Niczego nie ruszaliśmy, tylko pudełko po pizzy.

Policjant miał kark jak obrońca z boiska, jego sportowa kurtka pękała w szwach. Zachowywał się, jakby miał do czynienia z rutynową kontrolą na drodze. Tully ciekaw był, z którego dużego miasta pochodzi ów mężczyzna, bo z całą pewnością nie nauczył się tak twardo chodzić po ziemi w Newburgh Heights. Wyglądało na to, że znają się z Cunninghamem i nie marnują czasu na powitania.

– Gdzie jest pudełko? – zapytał Cunningham.

– Sierżant McClusky dał je lekarzowi. Dzieciak, który je znalazł, wypuścił je z rąk i wszystko się pomieszało.

Nagle Tully poczuł, że głowa pęka mu od smrodu spleśniałej pizzy i hałasu policyjnego radia. Podczas jazdy napędzała go adrenalina, lecz teraz rzeczywistość nieco go przerosła. Włożył we włosy lekko drżące palce. Penetrowanie miejsca zbrodni nie może przecież aż tak bardzo różnić się od oglądania fotografii. Da sobie radę. Zbagatelizował powracające napady mdłości i ruszył za szefem do śmietnika, gdzie trzymało straż trzech mundurowych. Nawet oni stali w odległości dobrych trzech metrów od pojemnika na śmieci, żeby uniknąć odoru.

Najpierw Tully'emu rzuciły się w oczy długie jasne włosy młodej kobiety. Natychmiast pomyślał o Emmie. Dobrze widział wnętrze śmietnika, zaczekał jednak, aż Cunningham przysunie skrzynkę. Twarz dyrektora była pozbawiona emocji.

Ofiara została przykryta śmieciami. Tully stwierdził jednak bez trudu, że jest młoda, niewiele starsza od Emmy. I piękna. Resztki sałaty i zgniłe pomidory przylepiły się do nagiej piersi, reszta ciała ginęła w śmieciach. Tully dostrzegł jeszcze fragment uda, a potem zobaczył, że jedynym ubraniem dziewczyny jest niebieska czapeczka z daszkiem. Widział także cięcie na szyi, niemal od ucha do ucha, i otwartą ranę w boku, blisko pośladka. To było wszystko. Żadnych uciętych kończyn, żadnych krwawych okaleczeń. Tully nie był pewny, czego właściwie oczekiwał.

– Wygląda na to, że jest cała – odezwał się Cunningham, jakby czytał w jego myślach. Odstąpił od śmietnika i zwrócił się znów do policjanta: – Co było w pudełku?

– Bo ja wiem? Dla mnie to wyglądało jak krwawa kula. Doktor panu powie, jest w tamtym wozie.

Wskazał na zakurzoną srebrną furgonetkę ze znakiem okręgu Stafford na boku. Drzwi samochodu były otwarte, z tyłu siedział dystyngowany, starszy siwowłosy pan w idealnie odprasowanym garniturze. Na kolanach trzymał podkładkę do pisania.

– Doktorze, ci panowie są z FBI, chcą zobaczyć naszą specjalną dostawę.

Policjant obrócił się i ruszył przed siebie. W tej samej chwili na sąsiedni parking wjechał samochód stacji telewizyjnej.

– Przepraszam panów, zdaje się, że do zoo przyjechali ciekawscy.

Cunningham wsiadł do furgonetki, a za nim Tully, i w środku zrobiło się nagle ciasno. A może tylko Tully'emy brakowało powietrza? Czuł już woń zawartości pudełka, które leżało na podłodze. Przysiadł na jednej z ławek, zanim żołądek przewrócił mu się do góry nogami.

– Cześć, Frank. – Cunningham znał również lekarza. – To jest agent specjalny R.J. Tully. Agencie Tully, to jest doktor Frank Holmes, zastępca głównego lekarza medycyny sądowej w okręgu Stafford.

– Nie wiem, czy to ten twój człowiek, Kyle, ale kiedy inspektor Rosen zadzwonił do mnie, uważał, że może cię to

zainteresować.

– Rosen pracował w Bostonie, kiedy Stucky porwał członkinię Rady Miejskiej, Brendę Carson.

– Pamiętam to. To było jakieś dwa, trzy lata temu, prawda?

– Niecałe dwa.

– Dzięki Bogu, byłem wtedy na wakacjach. Łowiłem ryby w Kanadzie. – Lekarz przekrzywił głowę, jakby usiłował przypomnieć sobie swoje ówczesne trofea.

Tully denerwował się tą normalnością, spokojem, jaki zachowywali wszyscy oprócz niego. Siedział nieruchomo, z nadzieją, że nikt nie usłyszy, jak wali mu serce. Lekarz kontynuował:

– Tak, teraz sobie przypominam, ciało Carson było zakopane w płytkim grobie w jakimś lesie. Gdzieś za Richmondem, prawda? W każdym razie na pewno nie w śmietniku.

– To skomplikowany gość, Frank. Rzadko znajdujemy kolekcjonowane przez niego kobiety. A te są... jego odrzutami. Zabija je dla sportu, żeby było o nim głośno. – Cunningham pochylił się, opierając łokcie na kolanach. Zakołysał stopami, jakby szykował się do skoku. Całym sobą dawał świadectwo nieustającej energii, stałej gotowości do czynu. Tylko jego twarz i głos pozostawały spokojne, niemal łagodne.

Tully wbijał wzrok w pudełko leżące na podłodze. Oprócz zapachu ciasta i pepperoni rozpoznał drażniącą woń krwi. Nigdy już nie tknie pizzy.

– Na tym cichym przedmieściu nic się nie dzieje – powiedział doktor Holmes, wypełniając szczegółowo formularz, który miał przed sobą – a tu nagle dwa zabójstwa.

– Dwa? – Cunningham zdawał się tracić cierpliwość z powodu nieśpiesznego zachowania lekarza. Spojrzał na pudełko po pizzy. Tully wiedział, że jego szef nie tknie go, dopóki lekarz o to nie poprosi. Cunningham cieszył się ogromnym autorytetem, ale jednocześnie darzył wielkim szacunkiem pracujących z nim ludzi i respektował reguły, prawo i protokół.

– Nic mi nie wiadomo o drugim zabójstwie, Frank – powiedział, kiedy lekarz zbyt długo zwlekał z wyjaśnieniem.

– Jeszcze nie wiem, czy to na pewno zabójstwo. Nie znaleźliśmy dotąd ciała. – Doktor Holmes odłożył wreszcie formularz. – A, zjawiła się u nas agentka, może to ktoś od ciebie?

– Słucham?

– Wczoraj po południu. Niedaleko stąd, w takim spokojnym zakątku Newburgh Heights. Powiedziała, że jest psychologiem kryminalnym. Że właśnie się tam wprowadziła. Bardzo interesująca młoda kobieta.

Tully patrzył, jak nagle znika spokój z twarzy Cunninghama. Szef był wyraźnie poruszony.

– Tak, słyszałem o tym. Wyleciało mi z głowy, że przeprowadziła się do Newburgh Heights. Wybacz, że się wtrąciła.

– Nie przepraszaj, Kyle. Nie trzeba. Bardzo nam pomogła. Myślę, że ten arogancki dupek, który prowadzi śledztwo, nauczył się od niej paru rzeczy.

Tully przyłapał Cunninghama na uśmieszku, zanim dyrektor zdał sobie sprawę, że ktoś na niego patrzy. Wtedy odwrócił się do Tully'ego i wyjaśnił:

– Agentka O'Dell, pańska poprzedniczka, kupiła właśnie dom w tej okolicy.

– Agentka Margaret O'Dell? – Tully tak długo patrzył w oczy Cunninghama, aż zobaczył, że obaj w myślach doszli do tego samego wniosku. W tej samej chwili spojrzeli na doktora Holmesa, który przysunął właśnie pudełko po pizzy. Tully pojął nagle, że jego zawartość nie ma już żadnego znaczenia. Cokolwiek tam zobaczą, nie ulega najmniejszej wątpliwości, że mają do czynienia z robotą Alberta Stucky'ego. Tully wiedział, że to nie przypadek, iż Albert Stucky rozpoczął na nowo swoją morderczą działalność w pobliżu domu Margaret O'Dell.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Niemoc wsączała się w jego kości, grożąc, że go unieruchomi, zanim uda mu się dotrzeć do bezpiecznego schronienia, jakim był jego pokój. Pozbył się ubrania paroma niezbędnymi ruchami. Ześliznęło się z jego szczupłego ciała, chociaż miał ochotę rwać je na strzępy. Nie znosił własnego ciała, brzydził się nim. Tym razem zabrało mu to dwa razy więcej czasu niż zwykle, zanim się podniecił, i ze wszystkich pieprzonych rzeczy na tym świecie, z którymi musiał się borykać, ta właśnie najbardziej go wkurzała.

Zaczął nerwowo grzebać w marynarskim worku, wyrzucał z niego przedmioty na chybił trafił. Wtem poczuł pod palcami gładką cylindryczną powierzchnię i od razu się uspokoił. Fala wielkiej ulgi ochłodziła jego przepocone ciało.

Och, jak bardzo był zmęczony. Dopiero za trzecim razem udało mu się zdjąć plastikowy korek i przekłuć igłą gumowy czubek fiolki. Nie znosił sytuacji, kiedy tracił kontrolę. Wściekłość i irytacja zwiększały tylko mdłości. Jakoś uspokoił dłonie i patrzył, jak strzykawka wysysa płyn.

Usiadł na brzegu łóżka. Kolana miał jak z waty, po gołych plecach spływały mu strugi potu. Jednym zdecydowanym ruchem wbił igłę w udo, wpychając bezbarwny płyn do układu krwionośnego. Potem położył się i czekał, zamykając

oczy, żeby odseparować się od czerwonych linii, które wystrzeliwały mu przed oczami. Jego wewnętrzne ucho słyszało, jak odtykają się żyły, jak chlupocze w nich krew. Wiedział, że może od tego oszaleć lub też wcześniej oślepnie. Jego ciało, jego zmysły, jego świadomość odbierały tyle bodźców, nieskończenie więcej, niż było to dane innym.

Pomimo zamkniętych oczu zdawał sobie sprawę z błyskawic, które rozświetlały pogrążony w półmroku pokój. Huk grzmotu zatrząsł szybą w oknie. Potem zaczęło padać, lekko i cicho, wystukując melodię kołysanki.

Tak, brzydził się własnym ciałem. Owszem, za pomocą ciężarków, stalowych maszyn i ogromnie bolesnych, prawie zabójczych biegów pod wiatr doprowadził do tego, że było zgrabne i silne. Jadał tylko zdrowe, bogate w białka i witaminy posiłki. Porzucił wszelkie trucizny w rodzaju kofeiny, alkoholu czy nikotyny. A jednak ciało czasami go zawodziło, wrzaskliwie przypominając o tym, że wcale nie jest doskonałe i podlega ograniczeniom.

Pierwsze symptomy kryzysu dostrzegł jakieś trzy miesiące wcześniej. Początkowo tylko go to denerwowało, ten wieczny głód i ciągła potrzeba oddawania moczu. Kto wie, ile już czasu tkwiło to w nim w uśpieniu, gotowe uderzyć w sposobnym momencie.

Tak, to jasne, że wykończy go ta jedna nieprawidłowość, upośledzenie będące podarunkiem od chciwej matki, której nawet nie znał. Ta suka musiała zostawić mu coś, co go zniszczy.

Usiadł, nie zważając na lekki zawrót głowy, wciąż widząc jak przez mgłę. Potknięcia zdarzały mu się coraz częściej i były coraz trudniejsze do przewidzenia. Niezależnie jednak od jakichkolwiek utrudnień nie pozwoli, żeby przeszkadzały mu w prowadzeniu gry.

Deszcz stukał coraz bardziej natarczywie. Błyskawice co rusz przecinały niebo. Zdawało się, że pokój ożył. Pokryte kurzem przedmioty nabierały życia, zamieniając się w szalone miniaturowe roboty. Cały pokój podskakiwał i drgał.

Sięgnął do lampy na nocnym stoliku i włączył ją, sprawiając, że ruch odbywał się teraz w żółtej poświacie. Widział stos wyrzuconych z worka rzeczy. Skarpetki, przybory do golenia, koszulki, kilka noży, skalpel i dziewięciomilimetrowy glock leżały rozproszone na pluszowym dywanie. Zlekceważył znane mu już dzwonienie, które zaatakowało głowę, i zaczął szperać w bałaganie, aż znalazł różowe damskie majtki. Potarł miękkim jedwabiem o szorstką szczękę, wciągnął ich zapach, cudowną mieszankę talku, pizzy i podniecenia.

Pod stosem rzeczy spostrzegł ulotkę agencji nieruchomości, wyciągnął ją i wygładził. Kartka papieru zawierała kolorowe zdjęcie pięknego kolonialnego domu, szczegółowy opis jego wyposażenia i lśniące niebieskie logo biura nieruchomości Heston Realty. Budynek zdecydowanie odpowiadał obiecującemu opisowi.

W dolnym rogu ulotki znajdowało się niewielkie zdjęcie atrakcyjnej kobiety, która bardzo stara się wyglądać

profesjonalnie pomimo tego... tego czegoś w jej oczach. Była to nieufność, przez co nawet w swojej białej bluzce i granatowym kostiumie kobieta wyglądała na osobę, której brak pewności siebie. Przejechał palcem po twarzy na zdjęciu, rozmazując farbę drukarską. Tak, teraz, z czarnymi i granatowymi smugami na twarzy, wygląda dużo lepiej. Czuł, jak bardzo jest bezbronna. Samotna i zagubiona, rozpaczliwie walcząca o swoje miejsce na tej ziemi. Ciągnęła się za nią jakaś przeszłość, mroczna i tajemnicza, a może po prostu beznadziejnie pospolita w swej banalnej szpetocie? Widział to i czuł, wręcz wsysał się w tę twarz, powoli, bez pośpiechu. Tak wiele już ustalił, odkrył, choć nie znał żadnych szczegółów. Dotarł do istoty rzeczy, był jednak ciekaw, co też Tess McGowan tak naprawdę ukrywa przed światem z takim samozaparciem?

Powoli przeszedł przez pokój, rozważnie stawiając stopy. Nakazał sobie, że miękkie kolana nie doprowadzą go do furii. Przyczepił ulotkę do korkowej tablicy. Potem, jakby Tess i jej zgrabne nogi przypomniały mu o czymś, wysunął spod stołu pudło. Ci fachowcy od przeprowadzek są tacy nieuważni! Ani trochę nie dbają o powierzoną im cenną własność. Zerwał taśmę i uśmiechnął się, po czym zdjął pokrywę, na której było napisane: M. O’Dell.

Wyjął z pudełka pożółkłe wycinki prasowe:

Strażak poświęca w akcji swoje życie

Utworzono fundusz powierniczy dla bohatera

To straszne stracić ojca w płomieniach pożaru.

– Śni ci się czasem, Maggie O’Dell? – wyszeptał. – Wyobrażasz sobie płomienie liżące jego skórę?

Zastanawiał się, czy wreszcie znalazł achillesową piętę tej dzielnej, nieugiętej agentki specjalnej O’Dell.

Odłożył wycinki. Pod spodem odkrył większy skarb – oprawny w skórę notes. Przekartkował go, znajdując bieżącą datę, i natychmiast się rozczarował. Wróciła złość, dwa razy sprawdził tę samą zrobioną ołówkiem notatkę. A więc O’Dell jest teraz na konferencji w Kansas City, a w każdym razie pewnie już tam leci. Po chwili jednak znowu się uspokoił i uśmiechnął. Może to i lepiej. Chociaż szkoda, że agentka O’Dell straciła jego debiut w Newburgh Heigths.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Maggie rozpakowała ostatnie pudło, na którym był napis „kuchnia”, dokładnie myjąc, susząc i chowając kryształowe kieliszki na górnej półce kredensu. Wciąż nie mogła uwierzyć, że Greg pozwolił jej zabrać ten komplet na osiem osób. Uznał go za prezent ślubny od jednego z jej krewnych, choć Maggie nie znała nikogo, choćby i luźno spokrewnionego z nią, kogo byłoby stać na coś tak kosztownego i kto wykazałby się tak dobrym gustem. Jej matka podarowała im toster, praktyczny, pozbawiony sentymentów przedmiot, który lepiej niż kryształowe kieliszki odzwierciedlał charakter rodziny O’Dellów.

Kieliszki przypomniały jej, że powinna zadzwonić do matki i dać jej swój nowy numer telefonu. W jednej chwili poczuła znajomy ucisk w piersiach. Oczywiście nie ma potrzeby podawać nowego adresu. Matka rzadko opuszczała Richmond i z pewnością nie należy się spodziewać jej rychłej wizyty. Maggie wzdrygnęła się na samą myśl, że mogłaby naruszyć swoją obecnością jej nową świątynię. Nawet obowiązkowy telefon do matki w uprzykrzony sposób zakłócał jej ciche niedziele. Powinna wszakże zadzwonić przed wyjazdem na lotnisko. Mimo dużej praktyki wciąż odczuwała lęk przed lataniem. Pomyślała więc, że lepiej nie dręczyć się tym, że dziewięć kilometrów

nad ziemią człowiek nie ma nad niczym kontroli, i zająć się rozmową, która i tak doprowadzi ją do szczękościsku.

Niechętnie wystukała numer matki. Ta kobieta sprawiała, że Maggie nadal czuła się jak jej dwunastoletnia opiekunka, którą była w dzieciństwie. Bezbronna i wiecznie podminowana. Swoją drogą Maggie i tak była w tamtym czasie bardziej dojrzała i kompetentna niż jej matka kiedykolwiek w swoim życiu.

Po siedmiu sygnałach Maggie chciała już odłożyć słuchawkę, kiedy niski chrapliwy głos wymruczał coś niezrozumiale.

– Mama? Tu Maggie.

– Giggi, właśnie miałam do ciebie dzwonić.

Maggie skrzywiła się, słysząc, jak matka zwraca się do niej jednym ze zdrobnień, których używał jej ojciec. Matka nazywała ją w ten sposób tylko wtedy, gdy była pijana. Maggie najchętniej trzasnęłaby słuchawką. Matka nie mogłaby oddzwonić, bo nie miała jej nowego numeru. Może nawet szybko zapomniałaby o tym telefonie.

– Nie udałoby ci się, mamo. Właśnie się przeprowadziłam.

– Giggi, powiedz swojemu ojcu, żeby przestał do mnie wydzwaniać.

Maggie zrobiło się słabo. Oparła się o półkę.

– O czym ty mówisz, mamo?

– Twój ojciec zadręcza mnie telefonami. Opowiada różne głupoty, a potem się wyłącza.

Półka okazała się kiepskim oparciem. Maggie z trudem dotarła do stołka i usiadła. Nagłe mdłości i dreszcze

zdumiały ją i rozzłościły. Położyła rękę na brzuchu, jakby mogła w ten sposób sobie pomóc.

– Mamo, tata nie żyje. Nie żyje już prawie dwadzieścia lat. – Teraz ściskała kuchenną ścierkę. Dobry Boże, czyżby to była demencja spowodowana nadmiarem alkoholu?

– Wiem, wiem, kochanie. – Matka zachichotała.

Maggie nie pamiętała, żeby jej matka kiedykolwiek chichotała. To jakiś chory żart czy co? Zamknęła oczy i czekała, nie mając pewności, czy usłyszy jakieś wyjaśnienie, pewna natomiast, że nie wie, jak ciągnąć tę rozmowę.

– Wielebny Everett twierdzi, że twój ojciec widocznie ma mi wciąż coś do powiedzenia. Ale dlaczego, do cholery, rzuca potem słuchawką? Och, nie powinnam przeklinać. – Znowu zachichotała.

– Mamo, kto to jest wielebny Everett?

– Wielebny Joseph Everett. Wspominałam ci o nim, Giggi.

– Zapewniam, że mi o nim nie mówiłaś.

– Ależ mówiłam. Och, są Emily i Steven, muszę kończyć.

– Mamo, zaczekaj. Mamo...

Ale było już za późno. Koniec rozmowy.

Maggie przeciągnęła palcami przez krótką czuprynę, z trudem opanowując chęć pociągnięcia się za włosy. Przecież minął dopiero tydzień... no, może dwa, odkąd rozmawiała z matką. Dlaczego ta kobieta bredzi tak bez sensu? Pomyślała, żeby zadzwonić raz jeszcze, przecież nie dała jej swojego nowego numeru. Niestety matka była w takim stanie, że i tak nic by nie zapamiętała. Może Emily

i Steven albo wielebny Everett – kimkolwiek są ci ludzie, do cholery – może oni będą w stanie nią się zająć? Maggie poświęciła temu zbyt wiele ze swojego życia. Może nadeszła pora, żeby ktoś przejął pałeczkę.

Nie zdziwiła się, że matka pije. Przed laty Maggie zaakceptowała ten kompromis. Kiedy matka piła, przynajmniej nie próbowała się zabić. Teraz jednak wydawało jej się, że rozmawia z ojcem, a to było bardzo niepokojące. Poza tym fatalnie reagowała, gdy jej przypominano, że jedyny człowiek, który kochał ją bezwarunkowo i prawdziwie, nie żyje już od dwudziestu lat.

Maggie pociągnęła łańcuszek na szyi i wyjęła schowany za bluzką medalik. Srebrny krzyżyk, który dostała od ojca z okazji Pierwszej Komunii Świętej i który miał ją chronić od wszelkiego zła. Nie mogła jednak zapomnieć, że identyczny krzyżyk nosił na szyi jej ojciec i wcale mu nie pomógł podczas tamtego pożaru. Często zastanawiała się, czy ojciec naprawdę wierzył w jego moc.

Od tamtej pory Maggie widziała mnóstwo zła, dlatego doskonale rozumiała, że zbroja w postaci srebrnego krzyżyka na szyi nie wystarcza, by ją ochronić. Nosiła go przez pamięć dla bohaterskiego ojca. Medalik bujał się między jej piersiami. Często miała wrażenie, że jego dotyk to muśnięcie zimnego ostrza. Przypominał jej o ostrej granicy między dobrem i złem.

Minionych dziewięć lat nauczyło ją wiele na temat zła i jego niszczycielskiej siły, która zamienia pełne życia i ciepła istoty w puste skorupy. Wszystkie te lekcje miały za

zadanie wyszkolić ją do walki ze złem, kontroli nad nim i doprowadzić do jego ostatecznego unicestwienia. Lecz żeby tak się stało, musiała iść za nim, żyć jego życiem i myśleć na jego modłę. Czy to możliwe, że gdzieś po drodze zło niepostrzeżenie dobrało się do niej? Czy dlatego były w niej takie pokłady nienawiści, tak wielka potrzeba zemsty? Czy dlatego czuła w środku taką pustkę?

Na dźwięk dzwonka do drzwi Maggie machinalnie złapała za broń. Wsadziła ją za pasek spodni i obciągnęła bluzkę, żeby zakryć rewolwer.

W pierwszej chwili nie poznała drobnej brunetki, która stała na jej ganku. Omiotła uważnym wzrokiem ulicę, przestrzeń między domami, cienie drzew i krzewów, i dopiero potem wyłączyła alarm. Nie wiedziała nawet, czego się spodziewać. Czyżby uwierzyła, że Albert Stucky ruszył jej śladem do nowego domu?

– Tak? – spytała, uchylając lekko drzwi, tyle tylko, żeby zmieścić w szparze swoją postać.

– Cześć! – odezwała się kobieta ze sztuczną, z trudem udawaną radością.

Ubrana w czarno-biały sweter i spódnicę do kompletu, wyglądała, jakby wybierała się gdzieś wieczorem. Ciemne włosy do ramion nie śmiały drgnąć na wietrze, makijaż podkreślał cienką linię ust i ukrywał zmarszczki. Brylantowy naszyjnik, kolczyki i pierścionek były skromne i w dobrym guście, choć Maggie z miejsca wiedziała, że kosztowały fortunę. No dobra, przynajmniej nie będzie

chciała jej niczego sprzedać. Maggie czekała, a kobieta rozglądała się z nadzieją, że uda jej się zajrzeć za drzwi.

– Jestem Susan Lyndell. Mieszkam obok. – Wskazała na swój dom. Z ganku Maggie widoczny był tylko róg dachu od frontu.

– Witam, pani Lyndell.

– Och, proszę mi mówić Susan.

– Maggie O’Dell.

Otworzyła drzwi odrobinę szerzej i wyciągnęła rękę, nie opuszczając pozycji na progu. Ta kobieta chyba nie spodziewa się, że zostanie zaproszona! Potem Maggie spostrzegła, że sąsiadka ogląda się na swój domu i na ulicę. Było to nerwowe, zatrwożone spojrzenie, jakby bała się, że ktoś ją zobaczy.

– Widziałam panią w piątek – rzuciła. Było jasne, że nie jest to towarzyska, sąsiedzka wizyta. Susan była wyraźnie zażenowana, myślami przebywała gdzie indziej.

– Tak, wprowadziłam się w piątek.

– Nie widziałam, jak się pani wprowadza – powiedziała pani Lyndell pospiesznie. – Zobaczyłam panią u Rachel. W domu Rachel Endicott. – Zbliżyła się i starała się mówić spokojnie i cicho, wbrew dłoniom, którymi ściskała brzeg swetra.

– Aha.

– Jestem koleżanką Rachel. Wiem, że policja… – Zrobiła pauzę i znów rzuciła wzrokiem dokoła. – Wiem, że mówią, jakoby Rachel mogła gdzieś sama pojechać, ale moim zdaniem to niemożliwe.

– Powiedziała pani to inspektorowi Manksowi?

– Inspektorowi Manksowi?

– To on prowadzi śledztwo, pani Lyndell. Ja po prostu starałam się pomóc po sąsiedzku.

– Ale pani jest z FBI, prawda? Tak mi się przynajmniej zdawało.

– Tak, ale w tej sprawie oficjalnie nie mam nic do powiedzenia. Jeśli ma pani jakieś informacje, radzę porozmawiać z inspektorem Manksem.

Brakowało tylko, żeby Maggie znowu deptała po piętach Manksowi. Cunningham zakwestionował już jej kompetencje. Nie pozwoli, żeby taki dupek jak Manx jeszcze pogorszył sprawę.

Susan Lyndell nie była jednak usatysfakcjonowana sugestią Maggie. Nie ruszyła się z miejsca, trzęsła się, strzelając oczami to tu, to tam, coraz bardziej zdenerwowana.

– Wiem, że to dziwne przywitanie, i bardzo panią przepraszam, ale gdyby mogła mi pani poświęcić tylko parę minutek? Mogłabym wejść?

Coś mówiło Maggie, żeby odesłać Susan Lyndell do domu, upierać się, żeby porozumiała się z policją i Manksem. Mimo to jakby nie całkiem świadomie wpuściła ją do środka. To znaczy do przedpokoju i ani kroku dalej.

– Spieszę się, po południu mam samolot. – Maggie nie ukrywała zniecierpliwienia. – Jak pani widzi, nie miałam jeszcze czasu się urządzić, nie jestem też spakowana na ten wyjazd.

– Tak, rozumiem. Niewykluczone, że po prostu przesadzam.

– A więc pani zdaniem to niemożliwe, żeby pani Endicott po prostu wyjechała z miasta na kilka dni? Może chciała od czegoś uciec?

Susan Lyndell wlepiła wzrok w oczy Maggie i tak już zostało.

– Wiem, że w domu było coś... coś, co świadczy o tym, że Rachel tego nie zrobiła.

– Pani Lyndell, nie wiem, co pani słyszała...

– No dobrze. – Machnęła bezradnie ręką. – Wiem, że nie wolno pani niczego ujawnić. – Zachwiała się, przenosząc ciężar ciała z jednej nogi na drugą. – Proszę pani, nie trzeba zjeść wszystkich rozumów, by wiedzieć, że trzy policyjne wozy i do tego koroner nie przybyli tu na ratunek rannemu psu. Nawet jeśli ten pies należy do żony Sidneya Endicotta.

Maggie pierwszy raz usłyszała to męskie imię, lecz wcale jej to nie obchodziło. Im mniej będzie wiedziała o Endicottach, tym łatwiej utrzyma się z dala od tej sprawy. Skrzyżowała ramiona na piersi. Susan Lyndell urwała, jakby w oczekiwaniu, że Maggie poświęci jej wreszcie całkowitą uwagę.

– Moim zdaniem Rachel miała się z kimś spotkać. I ten ktoś porwał ją wbrew jej woli.

– Czemu pani tak sądzi?

– W zeszłym tygodniu Rachel poznała mężczyznę.

– Co ma pani na myśli, mówiąc, że poznała mężczyznę?

– Och, proszę, żeby pani nie wyciągnęła pochopnych wniosków. Ona nie miała takich zwyczajów. – Mówiła szybko, starając się usprawiedliwić przyjaciółkę. – Po prostu jej się zdarzyło. Wie pani, jak to jest. – Czekała na znak potwierdzenia, a kiedy się nie doczekała, zaczęła mówić dalej: – Rachel powiedziała, że było... no, mówiła, że to szalony i podniecający mężczyzna. Zwyczajne fizyczne zauroczenie, taki epizod.... Jestem pewna, że nie miała zamiaru opuszczać Sidneya – dodała, jakby sama siebie musiała do tego przekonać.

– A więc pani Endicott miała romans?

– O Boże, nie, ale chyba trochę ją kusiło. O ile wiem, był to tylko flirt... dość zaawansowany, ale jedynie flirt.

– Skąd pani to wszystko wie?

Susan unikała wzroku Maggie, udając, że patrzy przez okno.

– Byłyśmy przyjaciółkami.

Maggie nie napomniała jej, że nagle zaczęła mówić w czasie przeszłym.

– Jak się poznali? – spytała zamiast tego.

– Pracował w okolicy od jakiegoś tygodnia. Przy telefonach. Chyba kładł nowe kable, ale nie jestem pewna.

– Czemu uważa pani, że zabrał Rachel wbrew jej woli?

– Zdaje się, że on to potraktował poważnie, próbował rozwijać ten niewinny flirt. Wie pani, jacy potrafią być mężczyźni. Tak naprawdę chcą tylko jednego. I nie wiadomo dlaczego zawsze im się wydaje, że samotne bogate żony są bardziej do tego skłonne niż... – Przerwała,

zdając sobie sprawę, że wyjawiła zbyt wiele. Lekko się zaczerwieniła i umknęła wzrokiem. Maggie domyśliła się, że Susan Lyndell mówi nie tylko o swojej przyjaciółce, lecz również o własnych doświadczeniach. – Powiedzmy – zaczęła znów – że mam przeczucie, iż ten mężczyzna chciał od Rachel więcej, niż ona zamierzała mu dać.

Przed oczami Maggie stanęła tamta sypialnia. Czy Rachel Endicott zaprosiła do niej montera od telefonów, a potem nagle zmieniła zdanie? Sytuacja była bardzo prawdopodobna. Znudzona małżonka bogatego mężczyzny mogła w pierwszej chwili ulec kaprysowi, a potem uznać, że ryzyko jest zbyt wielkie. Lub też, jak utrzymywała Susan Lyndell, nigdy dotąd potajemnie nie romansowała i zwyczajnie przestraszyła się.

– Sądzi więc pani, że zaprosiła go i sytuacja wymknęła jej się spod kontroli?

– A czy nie ma w domu czegoś, co na to wskazuje?

Maggie zamyśliła się. Nie wiedziała, czy Susan Lyndell i Rachel Endicott rzeczywiście były przyjaciółkami, czy też może Susan węszy za jakąś soczystą plotką, którą mogłaby rozsiać wśród sąsiadów.

Wreszcie Maggie odezwała się:

– Tak, jest tam coś, co na to wskazuje. Tyle tylko mogę pani powiedzieć.

Susan pobladła pod starannym makijażem i oparła się o ścianę w poszukiwaniu podpory. Tym razem jej reakcja nie wzbudzała podejrzeń o nieszczerość.

– Powinna pani zatelefonować na policję – powtórzyła Maggie.

– Nie – rzuciła Susan, a jej twarz natychmiast poczerwieniała. – To znaczy ja... ja nie jestem nawet pewna, czy się z nim spotkała. Nie chcę, żeby Rachel miała jakieś problemy z Sidneyem.

– Więc niech im pani przynajmniej powie o tym monterze, żeby mogli go przesłuchać. Czy pani widziała go gdzieś tutaj?

– Nie, nigdy, tylko jego furgonetkę z logo Północno-Wschodniej Kompanii Telefonicznej Bella. Nie chcę, żeby stracił pracę przez moje przeczucia.

Maggie uważnie studiowała twarz kobiety, która ściskała i zwijała brzeg swojego swetra. Susan Lyndell ma gdzieś jakiegoś nieznanego montera i jego pracę. O co tu chodzi?

– To czemu zwróciła się pani z tym wszystkim do mnie, pani Lyndell? Czego się pani po mnie spodziewa?

– Pomyślałam, że... – Susan stała wsparta o ścianę, zmieszana tym, że nie wie, co odpowiedzieć na tak oczywiste pytanie. W końcu z wysiłkiem powiedziała: – Pani jest z FBI. Myślałam, że pani może sprawdzić jakoś... wie pani, dyskretnie, bez... cóż, sama nie wiem.

Maggie celowo nie przerywała ciszy, która zawisła między nimi, i uważnie przyglądała się zażenowanej, skonfundowanej kobiecie.

– Nie tylko Rachel flirtowała z tym monterem, tak, pani Lyndell? Boi się pani, że mąż się dowie? O to chodzi?

Susan Lyndell nie musiała odpowiadać. Przerażenie w jej oczach w oczywisty sposób zdradziło, że Maggie ma rację. Nie była teraz pewna, czy pani Lyndell w ogóle zadzwoni do inspektora Manksa, chociaż nim obróciła się na pięcie i ruszyła do wyjścia, przyrzekła tak postąpić. Kręcąc głową i rzucając nerwowe spojrzenia, znikła za drzwiami.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Tess McGowan uśmiechnęła się do kelnera, który czekał cierpliwie obok stolika. Daniel rozwodził się na jakiś temat przez swoją komórkę, podczas gdy młody mężczyzna otworzył butelkę i nalał odrobinę wina do spróbowania. Ponieważ jednak Daniel rozmawiał przez telefon, podał kieliszek Tess, która szybko wskazała na swojego partnera, chcąc uratować go przed blamażem. Jednak Daniel nie wykazał się refleksem, a może zabrakło mu doświadczenia. Zamiast przerwać połączenie i zająć się winem, dalej rozmawiał, choć jego gładka chłopięca twarz pokryła się purpurą.

Wreszcie wyłączył komórkę. Teraz oboje czekali. Tess nie znosiła takich wymuszonych przerw. W ogóle czuła się coraz bardziej rozżalona, bo nie tak to sobie wyobrażała. Przyszli tu późno, bo Daniel był zajęty, potem ta komórka... Dlaczego nie ustawi tak swoich spraw, by przynajmniej mieć wolne niedziele? Obracała w palcach różę na długiej łodydze, którą jej przyniósł. Jak zwykle. Nigdy inaczej. A jej marzyły się fiołki, stokrotki...

Wreszcie Daniel warknął na swojego rozmówcę, że jest „niekompetentnym dupkiem” i skończył rozmowę. Wziął kieliszek, pociągnął łyk i natychmiast wypluł wino.

– Co to za pomyje, do cholery? Miało być bordeaux rocznik osiemdziesiąt cztery.

Boże, tylko nie to! – jęknęła w duchu Tess. Za każdym razem, kiedy gdzieś wychodzili, Daniel urządzał awantury. Spojrzała na kelnera, który zakorkował butelkę i obrócił ją w dłoniach, żeby przeczytać naklejkę.

– To jest bordeaux rocznik osiemdziesiąt cztery, psze pana.

Daniel wyrwał mu butelkę.

– Nie chcę cholernego kalifornijskiego wina.

– Prosił pan o miejscowe, psze pana.

– Tak, i o ile wiem, Nowy Jork w dalszym ciągu należy do Stanów Zjednoczonych.

– Tak, oczywiście, psze pana. Zaraz przyniosę inną butelkę.

– A więc – odezwał się Daniel, dając znak, że jest gotowy do rozmowy z Tess, choć jednocześnie przestawiał nakrycie i wiązał sobie serwetkę – powiedziałaś, że mamy coś świętować?

Podciągnęła ramiączko. Po co wydała dwieście pięćdziesiąt dolarów na suknię, która nie trzyma się na miejscu? Daniel nawet nie zauważył jej czarnej seksownej kreacji. Spostrzegł tylko, że Tess coś poprawia, i skrzywił się. Boże, żeby tylko nie wygłosił kolejnego kazania o tym, jak należy się zachowywać w miejscu publicznym. Już zmarszczył czoło, napuszył się... Jezu, co za dupek...

Nie, to nie tak, napomniała się Tess. Po prostu jest zasadniczy i tyle. Ale i tak nie pozwoli, by znów prawił jej swoje nauki. Uznała, że nadeszła pora, by podzielić się z nim dobrą wiadomością. Jeśli będzie radosna i pełna

entuzjazmu, Daniel chyba sobie odpuści i nie zepsuje tego wieczoru? A może?

– Sprzedałam w zeszłym tygodniu rezydencję Saundersów.

Ściągnął brwi, oznajmiając tym samym, że w natłoku swych zajęć nie może, do diabła, pamiętać, gdzie mieszkają jej klienci.

– To ten ogromny dom w stylu Tudorów na północy. A najlepsze, że Delores pozwoliła mi zatrzymać cały bonus.

– Cóż, to faktycznie dobra wiadomość, Tess. Uczcijmy ją szampanem, a nie winem. – Obrócił się na krześle z taką miną, jakby szukał ofiary wartej zniszczenia. – Gdzie jest ten pieprzony imbecyl?

– Daniel, proszę.

Popatrzył na nią gniewnie. Wszak wykonał szlachetny gest, a ona… Tess natychmiast się poprawiła.

– Proszę cię, wiem, że wolisz wino od szampana. Napijmy się wina.

Uniósł ręce, jakby się poddawał.

– Ty decydujesz, to twój wieczór.

Napił się wody ze szklanki, ale zaraz sięgnął po serwetkę i zaczął ją wycierać. Tess przygotowała się na kolejną scenę, jednak Daniel doprowadził szklankę do odpowiedniego stanu własnymi siłami.

– To ile zarobiłaś? Mam nadzieję, że nie przepuściłaś wszystkiego na tę kieckę, która kiepsko na tobie leży.

Tess poczuła, jak rumieniec oblewa ją po szyję, i nie mogła temu zaradzić.

– Oczywiście, że nie. – Mówiła zdecydowanie i nawet wysiliła się na uśmiech, pozornie znajdując przyjemność w tym, co on nazywał humorem.

– To jak? Ile?

– Prawie dziesięć tysięcy dolarów. – Uniosła z dumą głowę.

– No, to całkiem niezłe kieszonkowe, co?

Tym razem pił wodę, nie wycierając szklanki. Rzucał wzrokiem po sali w poszukiwaniu znajomych twarzy. Wiedziała, że to zawodowy nawyk i że Daniel wcale nie chce być niegrzeczny, ale cóż... zawsze odbierała to tak samo. Że szukał ratunku przed nudą, przed przyziemną rozmową, przed niewykształconym prostactwem.

– Myślisz, że powinnam je w coś zainwestować? – spytała z nadzieją, że odzyska jego uwagę jedynym tematem, który go naprawdę obchodził.

– Co, kochanie? – Zerknął na nią przelotnie. Wypatrzył gdzieś parę, którą znał, a która czekała właśnie na wolny stolik.

– Mój bonus. Sądzisz, że powinnam go zainwestować na giełdzie?

Spojrzał na nią z uśmiechem, który nieomylnie zapowiadał następny wykład.

– Tess, dziesięć tysięcy dolarów to naprawdę za mało, żeby się pchać na giełdę. Załóż sobie małą lokatę albo zdeponuj w jakimś funduszu inwestycyjnym, to jeszcze mniejsze ryzyko. Nie chcesz chyba bawić się w coś, na czym się nie znasz.

Jak miała zaprotestować, gdy właśnie zadzwoniła jego komórka? Daniel szybko wyciągnął ją z kieszeni, jakby była najważniejszą rzeczą w tym pomieszczeniu. Tess poprawiła sukienkę. Po co się oszukiwać? Ten cholerny telefon był dla Daniela całym światem. Nie ona.

Kiedy wrócił kelner i ujrzał znowu Daniela z telefonem, zrobił tak zbolałą minę, że Tess omal nie wybuchnęła śmiechem.

– No cóż, do diabła, jak widać, to zbyt trudne dla ciebie. – Teatralny syk Daniela rozniósł się po całym lokalu i pewnie o to chodziło. – Nie, nie, odpuść sobie. Sam się tym zajmę.

Podniósł się i wsadził telefon do kieszeni.

– Tess, kochanie, muszę się czymś zająć. Ci pieprzeni idioci nie potrafią załatwić najprostszej sprawy. – Wyjął z portfela kartę kredytową i dwa studolarowe banknoty. – Zamów sobie jakąś zabójczo drogą kolację, żeby uczcić ten swój bonus. I wróć do domu taksówką, dobrze?

Wyciągnął ku niej rękę z kartą i zwiniętymi banknotami. Poklepał ją po policzku i wyszedł, nie dając jej możliwości, żeby go zatrzymała. Zauważyła jednak, że jakoś znalazł czas, żeby przystanąć przy drzwiach i zamienić kilka słów z parą, którą wcześniej wypatrzył.

Nagle zdała sobie sprawę, że kelner stoi wciąż przy jej stoliku i teraz z osłupieniem patrzy na nią, czekając na instrukcje.

– Poproszę o rachunek.

Podniósł otwartą butelkę.

– Nie nalałem nawet kieliszka.

– Niech pan się napije z kolegami.

– Mówi pani poważnie?

– Poważnie. Ja stawiam, naprawdę. I proszę dopisać do rachunku dwa najdroższe dania, jakie macie w karcie.

– Weźmie pani do domu?

– Nie. Nie chcę ich. Chcę tylko za nie zapłacić. – Uśmiechnęła się i podała mu kartę kredytową Daniela. Kelner nareszcie zrozumiał w czym rzecz i uśmiechnął się.

Skoro Daniel traktuje ją jak dziwkę, to Tess dostosuje się do tej roli. Być może jest zbyt głupia, żeby zrozumieć coś równie skomplikowanego jak giełda, za to wie całe mnóstwo rzeczy, o których Daniel nie ma zielonego pojęcia.

Podpisała rachunek, dodając szczodry napiwek, i zamówiła taksówkę. Miała nadzieję, że złość jej minie, zanim dotrze do domu. Jak on śmiał w taki sposób zepsuć jej święto? Tak czekała na tę chwilę. Może dla Daniela dziesięć tysięcy dolarów to drobiazg, ale dla niej to ogromne osiągnięcie w jej drodze ku górze. Zasłużyła na to, żeby ją poklepać po plecach. Zasłużyła na święto. W zamian otrzymała długą, samotną podróż taksówką do domu.

– Przepraszam – powiedziała, pochylając się do przodu w śmierdzącej stęchlizną kabinie wozu. – Zmieniłam zdanie. Jak dojedziemy do Newburgh Heights, proszę nie jechać pod adres, który panu podałam, tylko do baru „U Louiego” na rogu Pięćdziesiątej Piątej i Laurel.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Kansas City, Missouri
Niedziela wieczorem

Dochodziła północ, kiedy agenci Preston Turner i Richard Delaney zastukali do drzwi pokoju hotelowego Maggie.

– Może drinka na dobranoc, O'Dell?

Turner miał na sobie niebieskie dżinsy i czerwoną koszulkę, która podkreślała jego opaleniznę. Delaney wciąż nie zdjął garnituru i jedynie poluzowany węzeł krawata i rozpięty kołnierzyk wskazywały na to, że jest już po godzinach.

– Oj, chłopaki, już trochę późno. – Wcale nie chodziło jej o sen. Wiedziała, że i tak nie położy się wcześniej niż za dwie godziny.

– Nie ma jeszcze dwunastej – odparł Turner z uśmiechem. – Balanga dopiero się zaczyna, a poza tym umieram z głodu. – Obejrzał się na Delaneya, który tylko wzruszył ramionami. Jego partner był pięć lat starszy od niego i O'Dell, miał żonę i dwójkę dzieciaków. Maggie wyobrażała sobie, że już w wieku dziesięciu lat był konserwatywnym dżentelmenem z Południa. Turnerowi udało się jednak jakimś cudem wydobyć na powierzchnię jego lekkomyślnego ducha rywalizacji.

Obaj mężczyźni odnotowali, że Maggie, otwierając im drzwi, ściskała w prawej, opuszczonej dłoni smith & wessona, jednak nie skomentowali tego. Natomiast Maggie zastanawiała się, jak ci faceci w ogóle z nią wytrzymują, wiedząc przy tym, że Cunningham celowo wysłał całą trójkę na jedną konferencję. Od ucieczki Stucky'ego w październiku minionego roku towarzyszyli jej jak cień. Kiedy się poskarżyła, Cunningham poczuł się urażony jej podejrzeniem, że polecił ją śledzić, by samowolnie nie ruszyła w pościg za Stuckym. Dopiero później dotarło do niej, że szef próbuje ją chronić. Wydało jej się to idiotyczne. Gdyby Albert Stucky zdecydował się ją skrzywdzić, nie powstrzymałaby go żadna demonstracja siły.

– Naprawdę nie musicie mnie tak niańczyć.

Turner udał obrażonego.

– Maggie, daj spokój, chyba nas znasz.

Owszem, znała ich. Ani Turner, ani Delaney, oczywiście wyłączając obecną misję, nie traktowali jej jak damulki, którą trzeba ratować z opresji. Maggie przez lata pracy wywalczyła sobie, by traktowano ją jak faceta. Może dlatego właśnie intencje Cunninghama, choćby i najszlachetniejsze, tak bardzo ją irytowały.

– Maggie – dołączył Delaney – przecież jak cię znam, jesteś na blachę przygotowana do jutrzejszego wykładu.

Delaney grzecznie stał w korytarzu, Turner oparł się o framugę drzwi, jakby nie zamierzał się stamtąd ruszyć, dopóki Maggie nie wyrazi zgody.

– Pozwólcie mi chociaż wziąć kurtkę.

Przymknęła drzwi, żeby Turner musiał wycofać się na korytarz. Zapięła pas na broń i wsadziła ją do kabury, potem włożyła granatowy sweter, który miał przykryć znaczące wybrzuszenie.

Turner miał rację. Bar huczał od balujących uczestników konferencji. Turner wytłumaczył jej, że dawna dzielnica artystycznej cyganerii, zachowana w historycznym kształcie, obecnie pełniła funkcję centrum nocnego życia Kansas City. Maggie nigdy nie dociekała, skąd Turner znał podobne szczegóły, w każdym razie gdziekolwiek się pojawił, natychmiast stawał się ekspertem od takich gorących miejsc.

Delaney szedł pierwszy, przeciskając się przez tłum wzdłuż baru, i znalazł stolik w dosyć ciemnym kącie. Kiedy usiedli z Maggie, stwierdzili, że zgubili po drodze Turnera, który zatrzymał się na pogawędkę z młodymi kobietami usadowionymi na barowych stołkach. Ich obcisłe sukienki i błyszczące, zwisające kolczyki świadczyły, że nie są pracownicami wymiaru sprawiedliwości, ale raczej dwiema samotnymi kobietami, które polują na facetów z odznakami.

– Ależ mu to łatwo przychodzi – zdziwił się Delaney, z uznaniem przyglądając się koledze.

Maggie rozejrzała się, przesuwając krzesło do ściany, by widzieć całą salę. Nie znosiła siedzieć tyłem do tłumu. Prawdę mówiąc, nienawidziła tłumów. Chmury tytoniowego dymu wisiały w sali niczym mgła zbierająca się przed wieczorem. Zgiełk głosów mieszał się z hałasem śmiechu i trzeba było mocno się wysilać, żeby coś powiedzieć. Nie

była sama, a jednak rzucane w jej stronę spojrzenia bardzo ją denerwowały. Niektóre przypominały jej o drapieżnikach, które czekają tylko na chwilę samotności i bezbronności potencjalnej ofiary.

– Wiesz, że nawet przed ślubem nie znosiłem umawiać się na randki – wyznał Delaney, wciąż obserwując kolegę. – Patrząc na Turnera, można by przypuszczać, że to chleb z masłem. – Przysunął krzesło do stolika, skupiając całą uwagę na Maggie. – A ty? Masz czasem ochotę wrócić do tej gry?

– Jakiej gry?

– W randki. Ile to już czasu? Trzy, cztery miesiące?

– Jeszcze nie mam rozwodu. Wyprowadziłam się dopiero w piątek.

– Nie wiedziałem, że dotąd mieszkaliście razem. Myślałem, że zerwaliście wiele miesięcy temu.

– To prawda. Ale wygodniej było mieszkać razem do czasu pewnych ustaleń. I tak rzadko bywaliśmy w tamtym domu.

– Nie daliście sobie drugiej szansy?

Maggie wiedziała, że Delaney jest wiernym wyznawcą małżeńskich związków. Podziwiał Turnera, ale sam był szczęśliwym żonkosiem.

– Już się raczej nie pogodzimy.

– Jesteś pewna?

– A co byś zrobił, gdyby Karen postawiła cię przed wyborem: albo ona, albo praca w FBI?

Pokręcił głową. Pożałowała, że w ogóle o to zapytała. Delaney przysunął krzesło jeszcze bliżej i spoważniał.

– Jednym z powodów, dla których zostałem instruktorem, była Karen. Okropnie się denerwowała, że mógłbym się znaleźć w samym środku jakiegoś piekła. Pamiętasz te negocjacje z porywaczami w Filadelfii? Karen oglądała wszystko w telewizji. Czasem warto zgodzić się na kompromis.

Maggie nie miała ochoty na taką rozmowę. Dyskusje o jej nieudanym małżeństwie wywoływały w niej wyłącznie uczucie pustki, nie dając nic w zamian.

– A więc to ja jestem ta zła, bo nie chcę poświęcać kariery dla dobrego samopoczucia mojego męża? – Sama zdziwiła się złością w swoim głosie. – Nigdy bym nie prosiła Grega, żeby porzucił swoją kancelarię.

– Spoko, Maggie. Nie jesteś ta zła – powiedział Delaney ze współczuciem. – Między prośbą a oczekiwaniem jest wielka różnica. Karen sama o nic mnie nie prosiła, to ja podjąłem decyzję. A poza tym Greg wiele straci, jeśli pozwoli ci odejść.

Spotkali się wzrokiem. Delaney uśmiechnął się, potem szybko spojrzał do tyłu, by przekonać się, że Turner wciąż zabawiał nowo poznane kobiety. Maggie spędzała wiele czasu ze swoimi dwoma kolegami, ale jak do tej pory nie padły między nimi żadne osobiste wyznania i nie doszło do rozmów na tak prywatne tematy.

– Tęsknisz za tym? – spytała.

– A niby za czym? – Roześmiał się. – Za wystawaniem godzinami na mrozie albo w piekącym skwarze, próbując przekonać jakiegoś dupka, żeby jednak nie wysadzał nikogo

w powietrze? – Nagle spoważniał. – Taa, brak mi tego. Ale od czasu do czasu wzywają mnie do jakiejś roboty.

– Co państwu podać? – spytała kelnerka, która przecisnęła się właśnie do ich stolika.

Maggie ni stąd, ni zowąd poczuła wielką ulgę, spostrzegła też, że Delaney poczuł to samo.

– Dla mnie dietetyczna cola. – Uśmiechnął się do ładnej kobiety o rudych włosach.

Wyglądało to jak spontaniczny, nieświadomy flirt. Na Maggie zrobiło całkiem spore wrażenie. Czyżby Delaney postępował tak pod wpływem Turnera, z którym rzadko się rozstawał?

– Szkocka bez wody – powiedziała, kiedy kelnerka przeniosła na nią wzrok.

– Aha, jest z nami ten pan, który teraz stoi przy barze. – Delaney wskazał na Turnera. – Zaraz do nas dołączy. Macie jeszcze coś z grilla?

Kelnerka rzuciła okiem na zegarek. Niewielki pieprzyk nad górną wargą drgnął, kiedy zmrużyła oczy, żeby dostrzec, która godzina. Maggie dojrzała w półmroku ślady zmęczenia na jej ładnej twarzy.

– Grill zamykają o północy. – Mówiła życzliwie, choć Maggie była pewna, że o tej porze wymaga to od niej sporego wysiłku. – Zostało jeszcze parę minut. – Była naprawdę życzliwa. – A co dla tego pana zamówić?

– Burgera i frytki – rzucił Delaney bez wahania.

– Średnio wypieczone – dodała Maggie.

– Z piklami i cebulą.

– I butelkę sosu pomidorowego.

– Aha, i żeby burger był z cheddarem.

Kelnerka uśmiechała się, Maggie i Delaney spojrzeli po sobie i zanieśli się śmiechem.

– Boże, ciekawe, czy Turner wie, jak bardzo jest przewidywalny? – powiedziała Maggie, zastanawiając się, czy ktokolwiek poświęcił tyle uwagi jej własnym zwyczajom i upodobaniom.

– Widać, że jesteście państwo dobrymi przyjaciółmi. – Kelnerka nagle się zrelaksowała. – Ale pewnie nie wiecie, czego ten pan się napije?

– Może macie państwo boulevard wheat? – spytał Delaney.

– Oczywiście. Przecież to miejscowe piwo.

– W porządku, to właśnie dla tego pana.

– Zaraz przyniosę państwu drinki. Może dodać jakieś zakąski?

– Maggie? – Delaney zaczekał, aż Maggie pokręci głową. – W takim razie dla mnie frytki.

– Bardzo proszę.

– Dziękuję, Rita – dorzucił Delaney, jakby byli dobrymi znajomymi.

Gdy tylko kelnerka oddaliła się, Maggie szturchnęła Delaneya łokciem.

– A mówiłeś, że nie jesteś w tym dobry.

– W czym?

– We flirtowaniu. Niby to domena Turnera, ale okazuje się, że nie widziałam jeszcze, jak robi to prawdziwy mistrz.

– W ogóle nie wiem, o czym mówisz – rzekł, choć po uśmiechu można było poznać, że komplement go ucieszył.

– „Dziękuję, Rita”?

– Maggie, ona ma tak na imię. Przecież po to noszą te znaczki z imionami, żeby stworzyć przyjacielską atmosferę.

– Aha, tylko że ona nie ma szansy poznać naszych imion ani usiąść i zjeść z nami. Czy to jest przyjacielska atmosfera?

– Hej, co u was? – Turner wśliznął się na wolne krzesło. – Tym razem zjawiło się dużo adwokatów.

– Te dwie laski też? – Delaney wyciągnął szyję, żeby lepiej widzieć.

– Dasz wiarę? – Turner zamachał świstkiem z numerami telefonów i wsadził go do kieszeni. – Nigdy nie wiadomo, kiedy człowiek będzie potrzebował adwokata.

– Taa, prawda. Już widzę, jak rozmawiacie o sprawach zawodowych.

Maggie zignorowała ich żarciki i spytała wprost:

– A właściwie co to za konferencja?

Spojrzeli na nią, jakby czekali na puentę dowcipu.

– Pytasz serio? – rzucił wreszcie Turner.

– Serio. Za każdym razem mam tę samą prezentację, w Kansas City, w Chicago, w LA.

– Nie bardzo ci to leży, co?

– Nie po to przyszłam do FBI. – Nagle poczuła się fatalnie pod obstrzałem spojrzeń kumpli, którzy patrzyli na nią, jakby się przejęzyczyła. – Poza tym Cunningham nie umieszcza mojego nazwiska w programie konferencji, więc

nikt nie przychodzi specjalnie dla mnie i mojego mędrkowania.

Przerwała im dobrą zabawę, zepsuła dobry nastrój, przypominając, dlaczego ją tu wysłali. Przecież nie dlatego, że marzyła, by wbijać do głowy bandzie policjantów, jak się przygotowuje portret psychologiczny mordercy, tylko dlatego, żeby trzymać ją z daleka od Alberta Stucky'ego. Wróciła Rita, tacą drinków znów ratując Maggie z opresji. Turner natychmiast uniósł brwi, patrząc, jak kelnerka stawia przed nim butelkę piwa i szklankę.

– Rita, chyba czytasz w moich myślach. – Wzorem Delaneya odezwał się do niej po imieniu, jakby znali się od lat.

Ładna kobieta oblała się rumieńcem. Maggie spojrzała na Delaneya w poszukiwaniu oznak zazdrości. Zdawał się jednak uradowany, że Turner przejął od niego trud flirtowania.

– Pański burger i frytki będą za dziesięć minut.

– Mój Boże! Rita, wyjdziesz za mnie?

– Powinien pan raczej podziękować przyjaciołom. Zdążyli zamówić dla pana, zanim Carl zamknął grilla. – Uśmiechnęła się do Maggie i Delaneya. – Przyniosę resztę za chwilę. – Oddaliła się w okamgnieniu.

Maggie od razu pomyślała, że Rita wie już, od których klientów spodziewać się sutych napiwków. Turner wynagradzał kelnerów i kelnerki swoją uwagą i poufałością, ale to Maggie i Delaney pamiętali o napiwkach.

– No, Turner – odezwał się Delaney – skąd ci prawnicy na konferencji?

– Głównie prokuratorzy... Zjechali na kurs komputerowy. Wiecie, chodzi o tę bazę danych, którą przygotowuje biuro. Większość prokuratorów okręgowych jest już podłączona, przynajmniej ci w dużych miastach. Ponieważ jednak ci wszyscy ważni są tak straaasznie zajęci, przysłali tu sam świeży narybek. – Oparł się i zlustrował salę.

Maggie i Delaney, wymieniając spojrzenia, pokręcili głowami. A potem, podnosząc szklankę, Maggie dojrzała dobrze znaną postać w długim lustrze za barem. Odstawiła głośno szklankę i wstała tak gwałtownie, że stół zachwiał się, a jej krzesło zaskrzypiało. Zwróciła się w stronę, gdzie powinna znajdować się osoba, którą ujrzała w lustrze.

– Maggie, co się dzieje?

Turner i Delaney patrzyli na nią, jak wyciąga się, żeby dojrzeć coś ponad głową barmana. Wydawało jej się?

– Maggie?

Znowu zerknęła w lustro. Postać w czarnej skórzanej kurtce zniknęła.

– O co chodzi, Maggie?

– Nic – rzekła wreszcie. – Nic mi nie jest.

Pewnie, że nic jej nie było, ale oczy nie przestawały wędrować i wreszcie dotarły do drzwi. Żaden mężczyzna w długiej czarnej skórzanej kurtce nie wchodził do baru ani z niego nie wychodził.

Usiadła, unikając wzroku swych kumpli. Przywykli już do jej nerwowego, nieobliczalnego zachowania. Jeszcze trochę

i nikt nie zwróci uwagi na jej dziki wrzask. Może tego właśnie pragnął ten drań?

Chwyciła szklankę i zapatrzyła się na bursztynowy napój. Czyżby jej się tylko zdawało? Czy widziała Alberta Stucky’ego, czy też Maggie traciła rozum?

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Czekał na nią przy tylnym wyjściu, wiedząc, że właśnie te drzwi wybierze, kiedy postanowi opuścić lokal. W alejce panowała ciemność. Ceglany budynek był na tyle wysoki, że przesłaniał księżyc. Kilka gołych żarówek jaśniało nad niektórymi bramami wiodącymi na obskurne posesje. Wsadził okulary przeciwsłoneczne do kieszeni kurtki i sprawdził godzinę na zegarku.

Na niewielkim parkingu stały jeszcze tylko trzy samochody. Jeden należał do niego. Nie wiedział, który jest jej własnością, nie zamierzał jednak dopuścić, by tej nocy prowadziła. Postanowił zaproponować, że ją podwiezie, ale czy ona się zgodzi?

Potrafił być czarujący. To też należało do gry, stanowiło część kostiumu. Skoro ma przybrać nową tożsamość, musi grać rolę, która się z nią wiąże. Kobiety zawsze wolą tę jego postać od Alberta.

Wiedział, co należy szeptać kobietom do ucha, i nie wahał się tego robić. Sprawiało mu to nawet przyjemność. To była część owej manipulacji, integralny fragment układanki, prowadzącej do zdobycia pełnej kontroli. Już dawno dokonał odkrycia, że nawet silne i niezależne kobiety ulegają mężczyznom, którzy potrafią je oczarować. Głupie, choć jakże cudowne istoty. Może podzieli się z nią smutną

opowieścią o tym, jak traci wzrok? Kobiety uwielbiają zabawiać się w opiekunki. Uwielbiają grać siebie.

Nowe wyzwanie podnieciło go, czuł już erekcję. Tej nocy nie będzie miał żadnych problemów. Gdyby tylko był bardziej cierpliwy. No cóż, musi być cierpliwy, no i czarujący. Czy uda mu się oczarować ją do tego stopnia, by zabrała go ze sobą do domu? Wyobrażał już sobie, jak wygląda jej sypialnia.

Gdzieś w połowie alejki skrzypnęły uchylane drzwi. Schował się w cieniu. Niski, tłusty mężczyzna w brudnym fartuchu wyszedł wyrzucić do śmietnika kilka toreb. Nie spieszył się, zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko kilka razy, potem cisnął go na ziemię, zgniótł butem i wszedł do środka.

Większość okolicznych knajp była już zamknięta. Nie obawiał się, że ktoś go zobaczy. Gdyby nawet, mógłby podać tysiąc różnych wyjaśnień. I tak by mu uwierzyli. Ludzie słyszą to, co chcą usłyszeć. Czasem bywa to nawet zbyt proste. Chociaż z nią, jeśli się nie myli, może być drobny kłopot. Była dużo starsza i nie tak naiwna, jak śliczniutkie dziewczątko z pizzerii. Żeby mu zaufała, będzie musiał sporo się natrudzić, gadać i gadać. No cóż, inaczej się nie da, wykorzysta cały swój urok osobisty, oczaruje ją, zasypie komplementami i rozśmieszy. Na myśl, że ją zdobędzie, znowu poczuł erekcję. Był bardzo ciekaw, jak daleko uda mu się z tą kobietą dotrzeć.

Może zacznie od delikatnego dotyku, prostej pieszczoty twarzy. Uda, że odgarnia kosmyk pięknych włosów z jej

oczu albo powie, że miała rzęsę na policzku. Ona pomyśli wtedy, że on jest troskliwy i wrażliwy na jej potrzeby. Kobiety to lubią.

Nagle otworzyły się drzwi, i oto ona. Zawahała się, rozejrzała. Podniosła wzrok na niebo. Od kwadransa zaczęła się zbierać rzadka mgła. Kobieta otworzyła jaskrawoczerwoną parasolkę i szybko ruszyła w stronę ulicy. Czerwień była zdecydowanie jej kolorem.

Czekał, dając jej fory. Sięgnął ręką w dół i sprawdził skalpel, ulokowany w skórzanej, robionej na zamówienie pochwie. Dotknął rękojeści noża pieszczotliwym gestem, ale zostawił go na miejscu.

Potem ruszył w ślad za kobietą w dół alejki.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Poniedziałek, 30 marca

Tess McGowan obudziła się z rozsadzającym głowę bólem. Promienie słońca przedzierały się przez żaluzje w jej sypialni niczym promienie lasera. Cholera! Znowu zapomniała przed snem zdjąć szkła kontaktowe. Zakryła oczy ręką. Czemu nie kupiła sobie takich, które można nosić bez przerwy? Nienawidziła ich, bo przypominały jej o upływie czasu, choć trzydzieści pięć lat na karku to jeszcze nie starość. No dobra, zaprzepaściła swoje lata dwudzieste, ale z trzydziestymi już nie powtórzy tego błędu.

Wtem zdała sobie sprawę, że jest naga. Pod sobą poczuła coś lepkiego. Przerażona zerwała się, przyciskając kołdrę do piersi. Rozejrzała się po pokoju, usiłując przebić się przez mgłę, którą miała przed oczami.

Nie przypominała sobie, żeby był tu z nią Daniel. Nigdy nie zostawał u niej na noc. Twierdził, że jest na to zbyt staroświecki. Tess dostrzegła kłąb swoich ubrań na krześle po przeciwnej stronie pokoju. Na podłodze obok krzesła leżało zwinięte coś, co wyglądało na spodnie od garnituru, spod których wystawały czubki męskich butów. Czarna skórzana kurtka zwisała na klamce. Żadna z tych rzeczy nie należała do Daniela. I dopiero wówczas Tess usłyszała szum prysznica. Po chwili ktoś zakręcił wodę. Serce zaczęło jej

walić, usiłowała przypomnieć sobie choćby cokolwiek, jakiś najmniejszy fragment z ostatniej nocy.

Spojrzała na szafkę nocną. Była za kwadrans dziewiąta. Jakimś cudem przypomniała sobie, że to poniedziałek. W poniedziałki nigdy nie umawiała się na spotkania z klientami, ale Daniel zazwyczaj był zajęty. Dlaczego nie pamiętała, jak do niej przyszedł? Dlaczego nie mogła sobie przypomnieć, jak dostała się do domu?

Tess, myśl! Potarła skronie.

Daniel wyszedł z restauracji, a ona wzięła taksówkę, ale oczywiście nie pojechała od razu do domu. Ostatnią rzeczą, jaką pamiętała, była tequila w barze „U Louiego”. Może potem zadzwoniła po Daniela, żeby ją zabrał? Dlaczego tego nie pamiętała? Czy Daniel wścieknie się, kiedy poprosi go, żeby wypełnił luki jej pamięci? W nocy nie był na nią zły, to jasne. Odsunęła się z mokrej plamy na prześcieradle.

Położyła głowę na poduszki, zaciskając powieki i modląc się, żeby to pulsowanie przestało rozrywać jej głowę.

– Dzień dobry, Tess. – W pokoju rozległ się niski męski głos.

I nie był to głos Daniela. Spanikowana usiadła, opierając plecy o zagłówek. Wysoki, smukły mężczyzna z niebieskim ręcznikiem owiniętym wokół bioder był chyba lekko przestraszony i speszony.

– Tess? – odezwał się łagodnie. – Dobrze się czujesz?

I wtedy sobie przypomniała, jakby w jej głowie otworzyła się tama, uwalniając strugi pamięci. To ten mężczyzna z baru „U Louiego”. Przyglądał jej się ze stolika w rogu,

przystojny i grzeczny, zupełnie inny niż stali goście tej knajpy. Ale jak mogła ściągnąć go do własnego domu?

– Tess, zaczynam się o ciebie bać.

Jego troska wyglądała na szczerą. Dobrze chociaż, że nie sprowadziła sobie seryjnego mordercy. Ale z drugiej strony jakim cudem by go rozpoznała? Natychmiast zauważyła, że mężczyzna ma zgrabne, mocne ciało, więc bez trudu dałby sobie z nią radę. Jak mogła zachować się tak nieodpowiedzialnie?

– Przepraszam. Ja... przestraszyłeś mnie. – Usiłowała mówić spokojnie, bez nerwów.

Mężczyzna zebrał swoje spodnie z podłogi, ale zatrzymał się, jakby nagle coś przyszło mu do głowy.

– O Chryste! Ty nic nie pamiętasz, tak?

Wyraźnie się zawstydził. Wciągnął spodnie, potykając się i przypadkiem zrzucając na podłogę ręcznik, zanim spodnie znalazły się na swoim miejscu. Tess przyglądała mu się, zła, że jego muskularne ciało podnieca ją, mimo że czuła się tak bardzo zakłopotana. Zamiast drżeć z obawy, by mężczyzna jej nie skrzywdził, dziwiła się jego młodości. I dlaczego, na Boga, nie mogła sobie przypomnieć jego imienia?

– Powinienem był wiedzieć, zauważyć, że za dużo wypiłaś – rzekł przepraszająco. Nerwowo poskładał jej rzeczy leżące na krześle. Miotał się nieporadnie, starając się być grzeczny, uprzejmy i delikatny. Tess uśmiechnęła się, nie mogąc powstrzymać rozbawienia. Kiedy spojrzał na nią, znów się potknął, jej uśmiech bowiem ogromnie go zaskoczył. Opadł na krzesło, przygniatając jej ledwie co

poskładane ubrania. Nie zdając sobie z tego sprawy, zaczął skręcać wiszący na poręczy biustonosz.

– Jestem kompletnym idiotą, tak?

– Nie, wcale nie. – Znowu się uśmiechnęła. Była już spokojniejsza, bo jego zażenowanie poprawiło jej nastrój. Usiadła, zakrywając się szczelnie, podciągnęła kolana, oparła na nich łokcie i wsparła brodę.

– Po prostu nie robię tego – zaczęła mu wyjaśniać. – Już tego nie robię.

– A ja nigdy tego nie robię. – Zauważył, że trzyma biustonosz, zwinął go i odłożył na półkę regału. – Nic nie pamiętasz z ostatniej nocy?

– Pamiętam, że mi się przyglądałeś. Pamiętam, że mi się spodobałeś. – Jej słowa zdumiały ją w równym stopniu, co jego.

– To wszystko? – Wyglądał, jakby go zraniła.

– Przepraszam.

W końcu i on się uśmiechnął. Tess nie mogła uwierzyć, że czuje się z nim tak dobrze. Zniknęła gdzieś panika, wyparował strach. Jedyne napięcie, które zresztą starała się zignorować, było napięciem seksualnym. Mężczyzna nie wyglądał nawet na trzydziestkę. No i, na Boga, był całkiem obcy. Chętnie by sobie dała mocnego kopa. Boże! Zachowała się niepoważnie, ryzykownie! To jak, czyżby nic się nie zmieniła przez te lata?

– Jeśli uda mi się znaleźć koszulę, pozwolisz się zaprosić na lunch?

Wtedy Tess przypomniała sobie o Danielu. Jak mu to wyjaśni? Czuła, że pierścionek z szafirem, prezent od Daniela, wbija jej się w brodę niczym bolesne świadectwo. Upomnienie, wyrzut sumienia. Co z nią jest nie tak? Daniel to dojrzały, szanowany biznesmen. Owszem, bywa arogancki i egoistyczny, ale przynajmniej nie jest dzieciakiem poderwanym w barze.

Patrzyła, jak obcy młody człowiek wciąga skarpetki i wkłada buty, czekając na jej odpowiedź. Wciąż szukał swojej koszuli. Tess wyczuła palcami zgrubienie w nogach łóżka. Wsadziła rękę pod kołdrę, wygrzebując bladoniebieską, pogniecioną męską koszulę i podała ją nieznajomemu, nagle uprzytamniając sobie, że wcześniej sama miała ją na sobie. Policzki jej poczerwieniały, kiedy przypomniała sobie, jak ją z niej zdejmował.

– Da się uratować? – spytał, odbierając swoją własność. Zadbał przy tym o to, żeby nie zbliżyć się do niej za bardzo.

Zachowywał się jak dżentelmen. Udawał, że kilka godzin wcześniej nie buszował po wszystkich zakamarkach ciała Tess. Ta myśl powinna być jej obrzydliwa albo przynajmniej ją spłoszyć, tak się jednak nie stało. Wciąż nie spuszczała z niego wzroku, podziwiając nerwowe, ale płynne ruchy. Była wściekła na siebie. Nie powinna zwracać uwagi na takie drobiazgi jak ten, że błękit koszuli wydobywa niebieskie refleksy z zielonych oczu nieznajomego. Skąd pewność, że jej za moment nie uderzy? W tych czasach ryzykownie jest oceniać ludzi po oczach.

– To jak z naszym lunchem? – spytał, wyraźnie spodziewając się odmowy, choć wcale jej nie pragnął. Nie mógł sobie poradzić z guzikami, prawie już kończył, kiedy okazało się, że krzywo zapiął koszulę.

– Nie pamiętam nawet twojego imienia – przyznała wreszcie Tess.

– Will. William Finley. – Zerknął i uśmiechnął się niepewnie. – Mam dwadzieścia sześć lat, nigdy nie byłem żonaty. Jestem prawnikiem. Właśnie przeprowadziłem się do Bostonu, ale przyjechałem w odwiedziny do przyjaciela w Newburgh Heights. Nazywa się Bennet Cartland. Jego ojciec ma tu kancelarię adwokacką. Szczerze mówiąc, nieźle ustawiony gość. Możesz sprawdzić. – Zawahał się. – Pewnie powiedziałem więcej, niż chciałaś wiedzieć. – Kiedy nagrodziła go uśmiechem, dodał: – Co jeszcze? Jestem zdrowy, gdy miałem jedenaście lat, chorowałem na świnkę, ale mój kolega, Billy Watts, też wtedy ją przechodził i dorobił się już trójki dzieciaków. Tylko się nie martw, zabezpieczyłem się wczoraj.

– Uhm… ale tu jest mokra plama – powiedziała cicho.

Kiedy spotkali się wzrokiem, wstyd zastąpiło pożądanie, wywołane tamtym wspomnieniem.

– Miałem tylko dwa kondomy, ale za trzecim razem… no wiesz, wycofałem się w porę.

Nagle Tess przypomniała sobie tę noc, jej intensywność, ogień i siłę. Czuła, jak wypełniają jej wnętrze. Przestraszyła się i zdumiała. Nie wolno jej powracać do dawnych

zwyczajów. Nie zrobi tego. Nie teraz, kiedy kosztowało ją to tyle wysiłku.

– Wiesz, Will, lepiej będzie, jak sobie pójdziesz.

Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, może chciał na nią wpłynąć, by zmieniła decyzję. Wahał się, spojrzał na swoje stopy. Zastanawiała się, czy ma ochotę jej dotknąć. Czy pragnie ją pocałować na pożegnanie albo przekonać, żeby pozwoliła mu zostać? Może nawet sama pragnęła tego w głębi duszy. Jednak Will Finley złapał swoją kurtkę z klamki i wyszedł.

Opadła na poduszki, czując jego płyn po goleniu, subtelny zapach, tak różny od intensywnej woni wody Daniela. Boże, pieprzone dwadzieścia sześć lat! Prawie dziesięć lat młodszy od niej. Ależ z niej idiotka. Kiedy jednak zamknęła oczy, ta noc zaczęła powracać do niej w czystych, krystalicznych obrazach, dźwiękach i wrażeniach. Czuła na swoim ciele jego ciało, jego język i ręce grające na jej zmysłach jak na delikatnym instrumencie, pewne swoich ruchów, pewne, gdzie i jak jej dotknąć i jak zabrać ją w miejsca, w których nie była już bardzo długo.

To było takie… piękne.

Mimo to czuła zażenowanie, gdy wspominała własną namiętność, głód, swe palce i usta, którymi chłonęła przygodnie poznanego mężczyznę. Na zmianę pochłaniali się jak ludzie emocjonalnie zagłodzeni. Taka namiętność i pożądanie nie były jej obce. Nowe było to, co ponadto ofiarował jej Will. Delikatną pieszczotę, szczerą troskę o to, żeby ją zadowolić, żeby oboje czuli to samo. Nowe i inne

było to, że wraz z Willem nie odbyli ot tak, zwykłego stosunku. Will Finley naprawdę się z nią kochał. Ta świadomość powinna być jej pociechą, a jednak wzbudzała denerwujący niepokój.

Tess przekręciła się na bok, przytulając się do poduszki. Nie wolno jej dopuścić do tego, żeby ktoś taki jak Will Finley sprowadził ją z drogi, na którą wkroczyła. Trzeba myśleć o Danielu. Owszem, wiele ich dzieli, ale to dzięki niemu obdarzono ją zaufaniem w środowisku, gdzie zaufanie było wszystkim. Był dla niej wprost idealnym partnerem, skoro postanowiła osiągnąć pozycję szanowanej, odnoszącej sukcesy kobiety interesu. Dlaczego więc miała wrażenie, że prosząc Willa Finleya o opuszczenie jej domu, pozwoliła, żeby coś bardzo cennego wymknęło jej się z rąk?

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Will trzasnął za sobą drzwiami, aż zadzwoniła w nich szyba z grubego szkła. Przez krótką chwilę w miejsce złości pojawiła się u niego obawa, czy przypadkiem niczego nie potłukł ani nie zniszczył. Drzwi były stare, ale wyglądały solidnie, a ozdobna, pięknie fazowana szyba na pewno została wykonana na zamówienie i mogła liczyć więcej niż sto lat. Jako zabytek miała więc swoją cenę. Co prawda nie znał się wystarczająco dobrze na takich rzeczach, zauważył jednak, że Tess jest rozmiłowana w starociach. Swój niewielki dom zapełniła eklektyczną mieszanką sprzętów, tworząc przyjazną, kojącą atmosferę. Kiedy obudził się w lawendowej pościeli, pośród tapet w maleńkie fiołki, poczuł się nadzwyczaj błogo i bezpiecznie.

Najpierw, kiedy go do siebie zaprosiła, zdziwił się. Za nic w świecie nie odgadłby, że ta dzika, pełna pasji kobieta, która bezwstydnie się do niego przystawiała przy stole bilardowym, mieszkała w otoczeniu starych koronek, ręcznie rzeźbionego drewna mahoniowego i nastrojowych, subtelnych akwarel. Wystarczyła mu jedna noc, aby się przekonać, że dom Tess McGowan jest odzwierciedleniem duszy osoby w takim samym stopniu niezależnej i namiętnej, co wrażliwej i bezbronnej.

To właśnie z powodu owej niespodzianej bezbronności tak trudno było mu odejść. Zdumiała go tego ranka, a może

było to jeszcze w nocy, kiedy trzymał ją w ramionach. Tess wtulała się w niego, jakby odnalazła długo poszukiwane schronienie.

Przetarł twarz rękawem, starając się wrócić do rzeczywistości. Chryste! Skąd mu się wzięły te bzdety? Bezbronność i poszukiwanie schronienia?! Gada jak bohaterka jakiegoś chrzanionego wyciskacza łez.

Wsiadł do samochodu i w tej samej chwili podniósł wzrok na okno sypialni Tess. Cóż to, do diabła, spodziewał się, że będzie tam stała? Bez trudu przekonał się, że za przejrzystymi zasłonami nie ma żywego ducha.

I znowu wzięła go złość, bo poczuł się wykorzystany. Co za debilizm! Przecież to on ją poderwał. To kumple go do tego namówili, podpuszczali, żeby przed zbliżającym się ślubem choć raz skoczył w bok. Jeszcze nie tak dawno wydawało mu się, że ten ślub to daleka przyszłość, lecz teraz dzielił go od niego niecały miesiąc.

Zgodził się najpierw po to, żeby zaszokować kumpli, którzy nie spodziewali się, że stary dobry Will, wieczny chłopiec z kościelnego chóru, odważy się na flirt, a już na pewno nie z taką kobietą jak Tess. Chryste, może powinien poszukać sobie nowych przyjaciół, którzy zdążyli już wyrosnąć i zachowują się nieco poważniej niż studenci z college’u. Nie mógł jednak mieć do nich żalu o głupotę minionego wieczoru ani winić siebie za to, że posunął się tak daleko. Nie mógł też tłumaczyć się zbyt dużą ilością wypitego alkoholu, bo, przeciwnie niż Tess, od początku do końca był świadomy swoich czynów.

Nie znał dotąd nikogo takiego jak Tess McGowan. Nawet zanim odrzuciła swój konserwatywny czarny szal i zaczęła grać w bilard z właścicielem baru, Will stwierdził, że to najseksowniejsza kobieta, jaką widział w swoim życiu. Nie była piękna, nie powalała swoją urodą na kolana. Nie miała w sobie owego seksu widocznego jak na dłoni, niczym dziewczyna z rozkładówki. Była jednak w intrygujący sposób atrakcyjna. Gęste falujące włosy opadały na ramiona, a ciało też było niezłe, dalekie od figur anorektycznych modelek, za to z wieloma miękkimi, kuszącymi liniami. No i miała cudownie zgrabne nogi. Rany boskie, podniecił się na samą myśl o niej. Na wspomnienie jej ud i wypukłości piersi, po których podróżowały jego dłonie.

W barze Louiego, kiedy nie miał jeszcze intymnego dostępu do jej ciała, przede wszystkim podziałał na niego sposób, w jaki Tess się poruszała. Tym właśnie przyciągnęła jego uwagę. I zdawało mu się, że sprawia jej to przyjemność, że cieszy ją ten pokaz, unoszenie sukienki na udzie, kiedy przygotowywała się do uderzenia, przysiadając jednocześnie na rogu stołu. Za każdym razem, gdy pochylała się nad kijem bilardowym, ramiączko jej sukienki zsuwało się, a jedwabisty materiał uchylał rąbek pełnej piersi skrytej za czarną koronką.

Will pokręcił głową i włożył kluczyk do stacyjki. To była niezwykła noc, jedna z najbardziej podniecających w jego życiu, wypełniona po brzegi namiętnym erotyzmem. Nie powinien się wściekać, powinien pogratulować sobie, że

Tess McGowan pożegnała go bez zobowiązań. Miał szczęście. Cholera, nie był z inną kobietą, odkąd zaczął spotykać się z Melissą. Ale cztery lata seksu z Melissą były niczym w porównaniu z jedną nocą spędzoną z Tess.

Zerknął znowu na okno sypialni, przyłapując się na tym, że ma nadzieję ujrzeć w nim Tess. Co takiego w niej jest, że tak bardzo nie chciał jej opuszczać? Czy wyobrażał sobie, że było to coś więcej niż seks, jakaś specjalna więź? A może był to czysty seks?

Spojrzał na zegarek. Czekała go długa podróż do Bostonu, i to pędem, jeśli ma zdążyć na obiad z Melissą i odwiedzającymi ją właśnie rodzicami. To był jedyny powód, dla którego zdecydował się poprosić o wolny poniedziałek w swojej nowej, jakże prestiżowej pracy. Tymczasem tkwił tu, z dala od Bostonu i całe kilometry od jakiejkolwiek myśli o Melissie.

Chryste! Przecież Melissa pozna po jego oczach, co zrobił. Co za pieprzona głupota, żeby dla jednej namiętnej nocy odrzucać cztery lata życia! A więc skoro to taki głupi błąd, co on tu jeszcze robi? Dlaczego nie może pozbyć się zapachu Tess, smaku jej skóry, wspomnienia jej namiętności... dlaczego nie potrafi tego rzucić do diabła? Czemu pragnie wrócić do niej na górę i wszystko powtórzyć? Nie ma ani krzty wyrzutów sumienia. Co się z nim dzieje, do cholery?

Włączył silnik i ruszył z podjazdu, próbując piskiem opon zagłuszyć frustrację. Gwałtownie skręcił w ulicę, o mały włos nie spychając na bok wozu parkującego przy

przeciwległym krawężniku. Mężczyzna za kierownicą rzucił mu krótkie spojrzenie. Miał na nosie okulary przeciwsłoneczne, na półce przed nim leżała mapa, jakby czegoś szukał. Okolica, w której mieszkała Tess, oddalona była od ważniejszych arterii komunikacyjnych. Will pomyślał natychmiast, że facet może obserwuje jej dom. Może to właściciel kosztownego pierścionka z szafirem, który Tess nosiła na niewłaściwej ręce?

Will spojrzał we wsteczne lusterko i raz jeszcze rzucił okiem na samochód. Zauważył rejestrację Dystryktu Kolumbia, a nie Wirginii. I z jakiegoś powodu – bo może coś podejrzewał, może dlatego, że był świeżo upieczonym asystentem prokuratora okręgowego, a może, do diabła, był po prostu ciekaw, kim jest ten facet, któremu zdaje się, że Tess McGowan stanowi jego własność – tak czy owak zapisał numer rejestracyjny wozu w pamięci i ruszył w drogę powrotną do Bostonu.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Gdy tylko Maggie przekroczyła próg, w sali konferencyjnej zapadła cisza. Maggie ruszyła żwawo naprzód, rozczarowana tym, w jaki sposób przygotowano pomieszczenie do wykładu. Krzesła ustawiono w rzędach zwróconych ku jednej stronie sali, a nie, jak prosiła, wzdłuż długich stołów. Lubiła kłaść przed oczami uczestników zdjęcia z miejsc zbrodni, bo wówczas zebrani chętniej podejmowali dyskusję, a nie ograniczali się tylko do słuchania. Niestety jedyny stół w sali zastawiony był kawą, sokami i przekąskami.

Przysuwając krzesło, na którym zamierzała położyć materiały do wykładu, czuła na sobie spojrzenia zgromadzonych tu ludzi. Następnie zaczęła grzebać w teczce, udając, że szuka czegoś, co jest niezbędne do rozpoczęcia prelekcji. Prawdę zaś mówiąc, czekała, aż miną jej nudności. Nie rozumiała, skąd się wzięły. Od śniadania minęło wiele godzin, nigdy też nie zdarzało jej się podobnie czuć przed żadną prezentacją. Chyba mścił się na niej brak snu i kilka szklaneczek szkockiej, które wypiła w nocy w swoim pokoju długo po wyjściu Turnera i Delaneya. Czuła nieprzyjemną pustkę w głowie i suchość w ustach. Fatalny poniedziałek, fatalny początek tygodnia.

– Dzień dobry państwu – odezwała się wreszcie, zapinając dwurzędowy żakiet. – Nazywam się Margaret O’Dell, jestem

agentem specjalnym FBI. Zajmuję się opracowywaniem portretów psychologicznych morderców w Pomocniczym Wydziale Dochodzeniowym w Quantico, który część z państwa może wciąż znać pod nazwą Wydziału Psychologii Stosowanej. Nasze szkolenie skupi się...

– Chwileczkę, proszę pani – przerwał jej mężczyzna z drugiego rzędu, przekręcając się na krześle, które było za małe, żeby zmieścić jego masywną postać. Miał na sobie obcisłe spodnie, świeżo wyprasowaną koszulę z krótkimi rękawami, która rozciągała się na wydatnym brzuchu, i zdarte z wierzchu buty, którym nie pomogła nawet świeża warstwa pasty.

– Tak?

– Pani wybaczy to pytanie, ale co się stało z gościem, który miał prowadzić ten wykład?

– Słucham?

– W programie... – Rozejrzał się po sali, aż znalazł wyraz poparcia u niektórych współuczestników. – Tu jest napisane, że ten facet nie jest tylko od jakichś portretów, ale że jest ekspertem w ściganiu seryjnych morderców, psychologiem z jakimś dziewięcio- czy dziesięcioletnim doświadczeniem.

– Czy w programie jest napisane, że to mężczyzna?

Pytający zmieszał się. Ktoś zza jego pleców podał mu program konferencji.

– Przykro mi, że jest pan zawiedziony – rzekła Maggie. – Ale to właśnie ja.

Większość mężczyzn ograniczyła się do zdumionego spojrzenia, natomiast jedyna kobieta w tej grupie przewróciła oczami ze współczuciem, kiedy Maggie przeniosła na nią wzrok. Maggie rozpoznała dwu mężczyzn siedzących z tyłu. Inspektorów Forda i Milhavena z Kansas City poznała przelotnie w restauracji poprzedniego wieczoru. Obaj uśmiechali się teraz, jakby dzielili z nią jakiś sekret.

– To szkoda, że tego nie napisali w programie – ciągnął uparcie mężczyzna, próbując usprawiedliwić swoje obiekcje. – Nawet nie napisali pani nazwiska.

– Czy to takie ważne?

– Taa, dla mnie tak. Przyszedłem dla kurde poważnych rzeczy, a nie żeby słuchać jakiejś dyskdżokejki.

Nocna dawka szkockiej wyraźnie znieczuliła jej emocje. Kretyński szowinizm tego faceta nie doprowadził Maggie do pasji, poczuła się tylko jeszcze bardziej zmęczona.

– Proszę posłuchać, sierżancie…

– Zaraz, zaraz. Dlaczego pani uważa mnie za sierżanta? Może jestem inspektorem, co? – Strzelił triumfalnym uśmiechem w stronę kolesiów, zdradzając się i umacniając wstępną opinię Maggie.

– Niech zgadnę – odezwała się ponownie, kierując się na środek sali i ze skrzyżowanymi na piersi rękami stając na wprost mężczyzny. – Pracuje pan w dużym mieście, ale nie w Kansas City. W drogówce. Jest pan przyzwyczajony do munduru i źle się pan czuje w cywilnym, nawet niezbyt oficjalnym ubraniu. Walizkę spakowała panu żona, włożyła

do niej to, co ma pan teraz na sobie, ale okazało się, że przybrał pan znów na wadze od czasu, kiedy panu to kupiła. Tylko buty sam pan wybrał, upierając się, że pojedzie pan w tych ulubionych i jak świat starych.

Wszyscy, włączając w to mężczyznę, do którego skierowane były te słowa, zaczęli wiercić się na krzesłach, żeby spojrzeć na owe buty. Nie wspomniała o niewielkim, acz stałym już wgnieceniu we włosach policjanta, będącym zapewne rezultatem ciągłego noszenia czapki od munduru.

– Na konferencji nie wolno nosić broni, a bez swojego pasa z rewolwerem czuje się pan zagubiony. Ma pan więc broń w kieszeni marynarki. – Pochyliła się ku jasnobrązowej marynarce schowanej za potężną postacią i powieszonej na oparciu krzesła. – To pańska żona nalegała, żeby wziął pan marynarkę, ale kiepsko się pan w niej czuje, w przeciwieństwie do detektywów, którzy są przyzwyczajeni do marynarek i krawatów.

Zebrani trwali w oczekiwaniu, jakby byli świadkami seansu czarnej magii. Policjant niechętnie obrócił się do tyłu i wyciągnął broń, żeby ją zademonstrować.

– Wszystkie strzały w dziesiątkę – powiedział do Maggie. – Czego niby się pani spodziewa po gliniarzu?

– Ma pan absolutną rację. – Maggie skinęła głową, gdy zebrani wrócili do niej wzrokiem, wciąż czekając na coś, wciąż ją testując. – Większość rzeczy, które powiedziałam, jest dość oczywista. Samo pojęcie „gliniarz” wywołuje określone skojarzenia. Tak samo jak pojęcie „seryjny morderca”. Jeżeli potrafi pan precyzyjnie wypunktować ich

cechy charakterystyczne, a niektóre są bardzo oczywiste, będzie pan mógł wykorzystać te informacje, tę wiedzę, jako zaczątek portretu psychologicznego.

Nareszcie udało jej się zyskać zainteresowanie słuchaczy. Przestali zajmować się jej wyglądem i skupili się na słowach. Maggie odczuła ulgę, jej ciało zaczęło się rozluźniać, zdobywać nową energię. Zmęczenie powoli ustępowało.

– Cała sztuka polega jednak na tym, żeby nie zatrzymywać się na naszych utrwalonych opiniach. Należy je odsunąć i zbadać maleńkie, pozornie nieistotne szczególiki. Na przykład, w tym wypadku... Przepraszam, zechce pan się przedstawić?

– Co? Nie potrafi pani tego odgadnąć? – Uśmiechnął się złośliwie, dumny z szybkiej riposty, która wywołała jedynie pojedyncze chichoty.

Maggie uśmiechnęła się.

– Nie, moja kryształowa kula nie przekazuje mi nazwisk.

– Danzig, nazywam się Norm Danzig.

– A więc gdybym miała przygotować pański portret psychologiczny, panie Danzig, starałabym się odrzucić to wszystko, co mam przed oczami.

– Może mnie pani zbadać, jak sobie pani życzy. – Nadal ciągnął swoją grę, zadowolony, że zwraca na siebie uwagę. Patrzył na swoich kumpli, a nie na Maggie.

– Ciekawe – powiedziała, ignorując jego komentarz – dlaczego pańska żona kupiła panu ubranie w złym rozmiarze?

Policjant znieruchomiał i ucichł.

– Ciekawa jestem, jaka jest tego przyczyna.

Z rumieńca, jaki wypłynął na twarz policjanta, Maggie domyśliła się, że niechętnie wyjawiłby ów powód. Zgadywała, że od dawna nie sypiał z żoną, może nawet byli w czasowej separacji, która zmuszała Danziga do spożywania większej ilości śmieciowego jedzenia na mieście. To by tłumaczyło, dlaczego jego żona, kupując mu ubranie na wyjazd, nie przewidziała dodatkowych kilogramów. Maggie nie chciała jednak żenować mężczyzny tą historią, powiedziała więc tylko:

– Pewnie pańska żona miała już po dziurki w nosie pańskiego niemodnego granatowego garnituru, który trzyma pan od wieków na dnie szafy.

Tymi słowami Maggie wzbudziła ogólny śmiech. Danzig rozejrzał się po sąsiednich twarzach ze zrelaksowanym uśmiechem. Kiedy jednak spotkał się wzrokiem z Maggie, dostrzegła w jego oczach cień pokory. Wyraził jej swój szacunek ledwo zauważalnie, lekkim przesunięciem się na krześle, założonymi rękami, twarzą zwróconą ku przodowi sali, gotową, by skupić się na Maggie.

– Ważne też, by nie dać się zwieść na manowce utrwalonym stereotypom. – Maggie zaczęła swój rytualny spacer. – A jest ich wiele, jeśli chodzi o seryjnych morderców. Na początek należy odłożyć je na bok. Czy ktoś potrafi powiedzieć, jakie to stereotypy?

Czekała odpowiednio długą chwilę, by cisza stała się znacząca. W ten sposób wzmacniała relację wykładowca-

słuchacze. Wciąż ją szacowano, oceniano, ale chyba już nikt sobie nie pozwoli na seksistowskie drwiny i zaczepki.

W końcu młody Latynos postanowił spróbować swoich sił.

– Może przekonanie, że wszyscy są wariatami. Że to sami szaleńcy. Bo nie musi tak być, prawda?

– Prawda. Wielu z nich to ludzie o wybitnej inteligencji, wykształceni i równie zdrowi na umyśle jak ja czy pan.

– Przepraszam – wtrącił siwiejący inspektor z tyłu sali. – Syn Sama, który utrzymywał, że do zabójstw zmusił go rotweiler, to nie wariat?

– To był akurat czarny labrador o imieniu Harvey. Ale Berkowitz przyznał po rozmowie z psychologiem Johnem Douglasem, że dał się nabrać i że ten pies wcale nie jest nawiedzony. Nie twierdzę, że wśród seryjnych morderców nie brakuje szaleńców, chcę tylko powiedzieć, że błędem jest twierdzenie, iż trzeba stracić rozum, żeby robić podobne rzeczy. Oczywiście zdarza się, że zabijają na rozkaz demonów, które mają trzy tysiące lat i zamieszkują czarne głębie, ale takich można stosunkowo łatwo zdemaskować, bo ich działania często nie są racjonalne. Jednak większość zachowała zdrowe zmysły i dla nich zabijanie jest całkiem świadomym aktem. Są mistrzami manipulacji. Ich zbrodnie związane są z chęcią dominowania i kontrolowania ofiar. Gdyby byli psychicznie chorzy, nie byliby w stanie powtarzać misternego rytuału swoich zbrodni, udoskonalać swoich metod i pozostawać przy tym na wolności miesiącami, a nawet latami. Ważne

jest, by widzieć w nich nie niepoczytalnych szaleńców, ale to, kim są naprawdę. A są wcielonym złem.

Wiedziała, że musi zmienić temat, zanim zacznie wygłaszać kazanie na temat skutków zła. O tym, że każdy człowiek ma swoją ciemną stronę, która jest zdolna do zła. Takie wywody i dyskusje prowadziły nieodmiennie do pytania, dlaczego jedni przekraczają tę linię, a inni nie. Po latach studiowania zła Maggie nie znalazła na to odpowiedzi.

– A co z motywem? – spytała zamiast tego. – Jakie są stereotypowe motywy?

– Seks – rzucił zaraz głośno młody mężczyzna w czerni, ciesząc się, że jednym słowem rozbawił kilka osób. Większość jednak nawet nie uśmiechnęła się zdawkowo. – Bo chyba podniecają ich te morderstwa, tak samo jak gwałcicieli.

– Chwileczkę – sprzeciwiła się jedyna kobieta wśród słuchaczy. – Gwałt nie ma nic wspólnego z seksem.

– To akurat nieprawda – odparła Maggie. – Gwałt jest mocno związany z seksem.

Natychmiast kilka spojrzeń skierowało się w jej stronę z zaciekawieniem lub dezaprobatą.

– Gwałt jest bardzo silnie związany z seksem – powtórzyła, nie zważając na sceptycyzm słuchaczy. – To właśnie odróżnia gwałt od innych zbrodni. Nie twierdzę, że gwałciciele gwałcą dla osiągnięcia seksualnej satysfakcji, ale przecież wykorzystują seks do osiągnięcia swojego celu. Błędem jest więc mówienie, że nie ma związku między

seksem i gwałtem, bo seks jest bronią gwałcicieli. Prawdę mówiąc, seryjni mordercy i gwałciciele posługują się seksem i przemocą w podobny sposób. To potężne narzędzia, za pomocą których można łatwo poniżyć ofiarę i zapanować nad nią. Można nimi eksperymentować na różnych poziomach, zaczynając od tortur, dochodząc do uduszenia albo zadawania ran nożem. Czasem i to nie wystarcza, wymyślają więc rozmaite rytuały wokół nieżywego ciała ofiary. Przywołam tu przypadek Pieda Pipera, który kroił swoje ofiary, gotował je i karmił tym swoich pozostałych więźniów.

Kilka twarzy wykrzywiło się z niesmakiem. Sceptycyzm znikał za niezdrową ciekawością.

– Albo na przykład Albert Stucky – ciągnęła Maggie. – Zaczął eksperymentować z różnymi rytualnymi torturami, odcinał ofiarom wargi sromowe albo sutki, po to jedynie, żeby słyszeć ich krzyk i błaganie o łaskę.

Powiedziała to spokojnie i zwyczajnie, czuła jednak, że sztywnieją jej mięśnie, jakby jej ciało mimowolnie przygotowywało się do walki lub ucieczki za każdym razem, kiedy choćby myślą przywoływała Stucky’ego.

– Zdarzają się też poważniejsze rytuały, wręcz nacechowane mistycyzmem – mówiła, starając się wyrzucić z myśli Stucky’ego. – Poprzedniej jesieni w Nebrasce poszukiwaliśmy mordercy, który udzielał swoim ofiarom, małym chłopcom, ostatniego namaszczenia, dusząc ich najpierw i zabijając nożem.

– Chwileczkę – przerwał jej inspektor Ford. – Nebraska? To pani była tym psychologiem, który pracował przy sprawie zamordowanych chłopców?

Maggie skuliła się. W ustach mężczyzny zabrzmiało to tak normalnie…

– Tak, to ja.

– Morrelli opowiadał mi o tym wczoraj wieczorem.

– Szeryf Nick Morrelli? – Zadrżała mimowolnie.

– Taa. Ale on już nie jest szeryfem. Zamienił odznakę na garnitur i krawat, pracuje w biurze prokuratora okręgowego w Bostonie.

Maggie wróciła na przód sali, mając nadzieję, że odległość stanie się jej tarczą i słuchacze nie zobaczą jej zażenowania. Pięć miesięcy wcześniej zadziorny prowincjonalny szeryf Platte City w stanie Nebraska stał się cierniem w jej boku od chwili, kiedy się tam zjawiła. Przez tydzień razem ścigali mordercę, będąc ze sobą tak blisko, że samo wspomnienie wywoływało u niej gorączkę.

Zgromadzeni patrzyli na nią wyczekująco. Jakim cudem Nick Morrelli przerwał jej proces myślowy? Przecież ktoś wspomniał tylko, że jest akurat w tym samym mieście…

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Tully sięgnął pod okulary i przetarł oczy, usiłując usunąć zmęczenie. Potem jednak ze złością zdjął okulary, jakby obwiniając je o swój stan, i rzucił na jeden ze stosów zalegających na jego biurku. Okulary powinny być tylko do czytania, a Tully coraz częściej zakładał je na nos.

Od czterdziestych urodzin, to jest od trzech lat, organizm zaczął go zawodzić, krok po kroku. W poprzednim roku Tully przeszedł operację kolana. Niby nic, zwykłe zerwanie więzadła, a jednak na całe dwa tygodnie został odstawiony od pracy. Jego czternastoletnia córka też nie ułatwiała mu życia, co rusz przypominając ojczulkowi, że nie jest już na topie. Miał wrażenie, że według Emmy wszystko, czegokolwiek by tknął, robi źle.

Dawniej złościła się, że musi spędzać wieczory z sąsiadką, panią Lopez. Może dlatego wciąż siedział w robocie, grając na zwłokę, odwlekając powrót do domu do własnej córki i jej milczenia, którym go karała. Paradoksalnie, o tę właśnie córkę toczył boje.

Chociaż w sumie nie była to ciężka walka. Caroline zasmakowała w wolności, którą wreszcie mogła się nacieszyć po zrzuceniu z siebie odpowiedzialności za nastoletnie dziecko. A jeszcze sześć czy siedem lat temu ta sama kobieta z trudem znosiła chwile rozstania z mężem lub z dzieckiem. Przyjęła wtedy stanowisko dyrektorskie

w dużej ogólnokrajowej firmie reklamowej. Gdy zdobyła prestiżowych, wysoko postawionych klientów, wzniosła się na sam szczyt. Stała się jedną z najważniejszych osób w branży. Wtedy wszystko się odmieniło. Nagle wyjazdy do Nowego Jorku, Londynu czy Tokio przestały być takie bolesne. Najlepsze hotele, najdroższe restauracje, atrakcyjni znajomi, wszystko to stało się nieodłącznym i coraz bardziej oczekiwanym dodatkiem w jej pracy. Niepostrzeżenie stała się dla niego kompletnie obcą osobą. Piękna, wyrafinowana, ambitna kobieta, której zupełnie już nie znał. Nic ich nie łączyło, dzieliło wszystko.

Tully przeciągnął się na krześle, splatając palce nad głową. Boże, jak on nienawidził zmian! Rozejrzał się po niewielkim pomieszczeniu oświetlonym fluorescencyjną żarówką. Tęsknił za pokojem z oknami. Na samą myśl, że znajduje się dwa metry pod ziemią, dopadała go klaustrofobia. Poważnie rozpatrywał odrzucenie oferty z Quantico, dowiedziawszy się, że Wydział Pomocniczy mieści się w „bebechach” tego budynku, jak to ze złością nazywał.

Ponownie przecierał oczy, kiedy usłyszał pukanie do otwartych drzwi.

– Agencie Tully, chyba się pan zasiedział.

Dyrektor Cunningham był w samej koszuli, która miała jednak starannie zapięte mankiety i kołnierzyk. Tully tymczasem niechlujnie podwinął rękawy do łokci. Krawat Cunninghama trzymał się ciasno pod szyją. Na jego widok

Tully z troską pomyślał o swoim, wygniecionym i rzuconym gdzieś na stertę teczek.

– Czekałem na telefon od koronera – wyjaśnił Tully. – Od doktora Holmesa.

– No i?

Cunningham oparł się o drzwi. Tully zastanowił się, czy nie powinien opróżnić któregoś z krzeseł. Jego biuro, w przeciwieństwie do uporządkowanego, schludnego gabinetu szefa, przypominało magazyn rupieci, ze zwałami papierzysk, porozrzucanymi teczkami i dokumentami oraz półkami, z których wszystko się sypało. Zaczął studiować notes z telefonami, nie ufając pamięci, która o późnej porze wyraźnie już szwankowała.

– Ta dziewczyna... młoda kobieta, ma cięcie na lewym boku, które ciągnie się aż do krzyża, kilkanaście centymetrów długości. Doktor Holmes mówi, że jest bardzo precyzyjne, jakby morderca wykonywał operację.

– To brzmi jak nasz typ.

– Wyjął jej śledzionę.

– Śledziona nie jest zbyt duża, prawda? Wyglądało na to, że do pudełka po pizzy włożył coś większego.

Tully sięgnął po pożyczoną z biblioteki „Anatomię” Graya i otworzył ją tam, gdzie tkwiła zakładka. Włożył okulary.

– Przeciętna śledziona ma dwanaście centymetrów długości, siedem i pół centymetra szerokości i około trzech, czterech centymetrów grubości – przeczytał na głos, potem zamknął książkę i odłożył ją na bok. – Piszą tu, że śledziona waży około trzydziestu dekagramów, ale to zależy od etapu

trawienia. Może być dużo większa. Nasza ofiara nie jadła wiele tego dnia, a więc jej śledziona była mała. Doktor Holmes powiedział też, że była tam część trzustki.

– Czy na miejscu zbrodni znaleziono jakieś odciski palców?

– Tak, dwa całkiem dobrze zachowane, kciuk i palec wskazujący. Nie odpowiadają odciskom Stucky'ego. Mógł je zostawić ktoś, kto znalazł się tam przypadkiem, ale raczej wygląda na to, że zostawiono je celowo. Brzeg śmietnika został dokładnie wytarty, zostały tylko te dwa odciski na samym środku.

Cunningham zmarszczył czoło, jakby sobie coś przypominał.

– Proszę jeszcze raz sprawdzić kartoteki Stucky'ego, zwłaszcza te wczesne. Niech pan się upewni, czy nie zniknęły stamtąd odciski palców albo czy ich nie podmieniono, a może to jakiś błąd komputerowy. Jeśli mnie pamięć nie myli, agentka O'Dell ostatecznie zidentyfikowała go właśnie dzięki odciskom palców. Zostawił je tak, żeby rzucały się w oczy. Ale zajęło nam sporo czasu, zanim dopasowaliśmy je do osoby, bo ktoś włamał się do okręgowego systemu komputerowego i zamienił odciski na dokumentach.

– Sprawdzę, sir, ale nie porównujemy teraz naszych odcisków z archiwum komputerowym szeryfa okręgu, tylko z tym, co AFIS pobrał bezpośrednio od Stucky'ego. Z całym szacunkiem, nie wydaje mi się, żeby ktoś włamał się tak łatwo do systemu komputerowego biura.

AFIS, Automatyczny System Identyfikacji Odcisków Palców, stanowił podstawę bazy danych FBI. Był połączony w sieci z agencjami lokalnymi, stanowymi i federalnymi. Przedsięwzięto setki środków ostrożności przeciwko hakerom.

Cunningham westchnął i podrapał się w brodę.

– Pewnie ma pan rację – przyznał zmęczonym głosem, którego Tully jeszcze nie znał.

– Może się okazać, że to odciski jakiegoś niedoświadczonego aspiranta – powiedział Tully, jakby mogło to uspokoić Cunninghama. – Będziemy wiedzieć w ciągu dwudziestu czterech godzin, a jeśli nie dopasują śladów do żadnego z naszych, zarządzę dalsze poszukiwania. – Okulary dawały teraz Tully'emu poczucie, że panuje nad sytuacją. – Sir, nie znalazłem niczego, co sugerowałoby, że Stucky chce nam przesłać jakąś wiadomość przez te wyjęte organy. Nie wiem, może coś mi umknęło.

– Nie, nic panu nie umknęło. Stucky zrobił to wyłącznie po to, żeby nas zaszokować... no i dlatego, że zwyczajnie miał okazję – rzekł Cunningham. Wszedł wreszcie do pokoju Tully'ego, ale wciąż stał.

– Studiował kiedyś chirurgię? – Tully przeglądał dokumenty sprawy Alberta Stucky'ego, które sporządziła agentka O'Dell.

– Jego ojciec był lekarzem. – Cunningham potarł brodę. Tully wiedział już, że szef wykonuje ten gest, kiedy jest wykończony i stara się wykopać jakąś informację ze

swojego banku pamięci. Skorzystał z tego i przyglądał się twarzy Cunninghama, która wydała mu się teraz szczuplejsza niż zwykle. Jego policzki były bardziej zapadnięte, a oczy ciemniejsze we fluorescencyjnym świetle. Mimo zmęczenia Cunningham trzymał się prosto, nie było mowy o zgarbionych ramionach, tylko opierał się o półkę z książkami. Wszystko w nim świadczyło o powściągliwym, spokojnym poczuciu godności.

– Jeśli dobrze pamiętam – zaczął znów Cunningham – Stucky i jego partner stworzyli jedną z pierwszych internetowych giełd papierów wartościowych. Zarobili na tym kokosy, które Stucky złożył w zagranicznych bankach.

– Gdyby udało nam się wyśledzić któryś z jego rachunków, może doszlibyśmy do niego.

– Problem w tym, że nie wiemy, ile jest tych rachunków i pod jakimi nazwiskami są zarejestrowane. Stucky jest inteligentny, agencie Tully. Sprytny, inteligentny, przebiegły i prawie zawsze panuje nad sytuacją. Nie przypomina innych przestępców. Nie zabija z jakiegoś przymusu, nie dla wypełnienia jakiejś misji czy z nieodpartej, obsesyjnej potrzeby. Nie słyszy żadnych wewnętrznych głosów. On zabija wyłącznie z jednego powodu. Sprawia mu to przyjemność. Dla niego to gra. Manipuluje, łamie swoje ofiary psychicznie, szokuje ludzi, no i gra na nosie tym, którzy próbują go złapać.

– Przecież nawet Albert Stucky popełnia błędy.

– Miejmy taką nadzieję. Udało się panu dowiedzieć, gdzie zawiózł ofiarę?

Tully ponownie pogrzebał w stosach, wyciągając swoje notatki, żeby niczego nie pominąć. I natychmiast ogarnęła go lekka konsternacja. Notował bowiem na tym, co miał akurat pod ręką, od serwetki w knajpie po papier toaletowy w męskiej ubikacji.

– Zabrał ją, zanim skończyła pracę. Kilku klientów dzwoniło ze skargą, że nie otrzymali zamówionej pizzy. Kierownik przygotowuje dla mnie listę adresów, pod które miała się udać.

– Czemu to tyle trwa?

– Notują je, kiedy są telefony, a potem roznosiciel zabiera ze sobą jedyny egzemplarz.

– Żartuje pan. – Cunningham westchnął i po raz pierwszy Tully zobaczył, że szef z trudem ukrywa zdenerwowanie. – To chyba kiepsko działa.

– Pewnie do tej pory działało. W laboratorium starają się odczytać adresy z odcisków długopisu na kartce pod notatkami. Oczywiście najlepiej byłoby odszukać samochód ofiary, może tam znalazłaby się lista adresów.

– A co z tym samochodem?

– Na razie nic. Wiem, jaki to model, znam rejestrację. Detektyw Rosen rozesłał list gończy, ale jak dotąd żadnego odzewu.

– Czy lotniska Reagan National i Dulles sprawdziły swoje długoterminowe parkingi?

– Świetny pomysł. – Tully zrobił sobie kolejną notkę, tym razem na rachunku z lunchu. Czemu nie dorobił się porządnego notesu, jak cała reszta świata?

– Musiał ją gdzieś zabrać – mówił Cunningham, w zamyśleniu patrząc nad głową Tully’ego. – Gdzieś, gdzie nikt by mu nie przeszkadzał. Moim zdaniem nie wybrał się jednak daleko. Gdybyśmy mieli tę nieszczęsną listę, moglibyśmy zawęzić liczbę miejsc.

– Zjeździłem teren w promieniu piętnastu kilometrów od miejsca, gdzie znaleziono ciało, sir. Okolica jak z obrazka. Żadnych opuszczonych magazynów czy budynków.

– Łatwo pominąć najprostsze rozwiązanie, agencie Tully. Może się pan założyć, że Stucky wyobrażał sobie, jak będziemy się nad tym głowić. Ma pan coś jeszcze? – spytał bardziej obcesowo, odsuwając się od półki z książkami. Nagle zaczął się spieszyć.

– W śmietniku znaleziono telefon komórkowy. Kilka dni temu zgłoszono jego zagubienie w miejscowym supermarkecie. Mam nadzieję, że kiedy dostanę wykaz rozmów, coś mi to podpowie.

– Dobrze. Czyli ma pan wszystko pod kontrolą. – Cunningham ruszył do wyjścia. – Proszę mi dać znać, gdyby potrzebował pan pomocy. Niestety nie mogę obiecać panu nowego zespołu specjalnego, ale może uda mi się ściągnąć parę osób z innych spraw. A teraz proszę iść do domu, agencie Tully. Niech pan spędzi trochę czasu z córką. – Wskazał na fotografię stojącą na brzegu biurka. Byli tam jeszcze wszyscy troje, obejmowali się i uśmiechali do obiektywu. Tully zapomniał już, jak szczęśliwą stanowili rodzinę, chociaż nie minęło aż tak wiele czasu od tamtej pory. Cunningham zaś po raz pierwszy napomknął o jego

życiu prywatnym. Tully zdumiał się, że ten formalny, zawsze oficjalny szef pamiętał, iż żona nie przeprowadziła się w nowe miejsce.

– Sir?

Cunningham przystanął w połowie drogi do drzwi.

Tully nie wiedział, jak zacząć.

– Czy powinienem zadzwonić do agentki O’Dell?

– Nie. – Odpowiedź była krótka i stanowcza.

– Chce pan zaczekać, aż upewnimy się, że to Stucky?

– Jestem na dziewięćdziesiąt dziewięć procent pewny, że to on.

– To czemu jej nie zawiadomimy?

– Nie.

– Ale, sir, ona mogłaby...

– Której części mojej odpowiedzi nie zrozumiał pan, agencie Tully? – Znowu ta stanowczość bez podnoszenia głosu. Cunningham odwrócił się i wyszedł.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Turner i Delaney raz jeszcze wyciągnęli Maggie z hotelowego pokoju na późną kolację. Tym razem byli goszczeni przez nowych znajomych z Kansas City, inspektorów Forda i Milhavena. Zaprosili ich do cieszącego się wielkim wzięciem lokalu barbecue, znajdującego się niedaleko knajpy, w której spędzili poprzedni wieczór.

Maggie nie spotkała jeszcze takich facetów, którzy potrafiliby pożreć więcej żeberek niż jej dwaj koledzy po fachu. Rywalizowali ze sobą, a przymus współzawodnictwa, któremu się poddali, stawał się żałosny i nudny. Maggie wiedziała, że nie ma to już nic wspólnego z jej osobą, bo adresatem stali się Ford i Milhaven, którzy kibicowali uczcie Turnera i Delaneya, jakby oglądali ważne zawody sportowe. Ford położył nawet na stole pięciodolarówkę dla tego, kto pierwszy wymiecie talerz do czysta.

Maggie sączyła swoją szkocką i szukała w słabo oświetlonej, zadymionej sali jakiegoś ciekawszego obiektu do obserwacji. Jej oczy powędrowały ku wejściu. Spodziewała się zobaczyć Nicka Morrellego, a potem uświadomiła sobie, że nie wiedziałaby, jak się zachować, gdyby się spotkali. Ford powiedział jej po wykładzie, że razem z Nickiem studiował na Uniwersytecie Stanu Nebraska oraz że zostawił Nickowi wiadomość w recepcji hotelu, by dołączył do nich w czasie kolacji. Widocznie

jednak wiadomość nie dotarła do Nicka albo też miał inne plany na ten wieczór. A jednak Maggie rozglądała się za nim. Może to śmieszne, ale wiadomość, że Nick jest na konferencji, obudziła w niej wszystkie te uczucia, które, jak sądziła, udało jej się odstawić na boczny tor od czasu ich ostatniego spotkania.

A było to zaledwie pięć miesięcy wcześniej. Mówiąc dokładniej, była to niedziela po święcie Halloween, kiedy Maggie wyjeżdżała z Platte City w stanie Nebraska do swojego domu w Wirginii. Wspólnie z Nickiem polowali przez tydzień na religijnego psychopatę, który zabijał małych chłopców. Schwytano wówczas dwu mężczyzn, którzy czekali na proces. Maggie była jednak przekonana, że żaden z nich nie jest szukanym przez nich mordercą. Niezależnie od poszlak wierzyła, że winnym był charyzmatyczny katolicki ksiądz Michael Keller. Tylko że Keller ulotnił się, zniknął gdzieś w Ameryce Południowej i nikt, nawet władze Kościoła katolickiego, nie wiedział, co się z nim dzieje.

Przez minionych pięć miesięcy do Maggie docierały jedynie pogłoski o młodym, przystojnym księdzu, który podróżował od wioski do wioski, służąc jako proboszcz, chociaż nikt go oficjalnie nie powołał na to stanowisko. Gdy Maggie znajdowała jedno z tych miejsc, nieuchwytny ksiądz był już gdzie indziej, rozpływając się w ciemności nocy bez żadnego wyjaśnienia. Po jakimś czasie mówiono, że znajduje się w kolejnej wiosce, wiele kilometrów dalej. I znów, gdy docierano do owego miejsca, Kellera już tam

nie było. Można było odnieść wrażenie, że chroni go miejscowa społeczność, jakby był niesłusznie posądzanym przez prawo uciekinierem. Albo świętym męczennikiem.

Właśnie z owym męczeństwem wiązał się jej zdaniem motyw działania Kellera. Zabijał chłopców, których uznał za nieszczęśliwych i skrzywdzonych. Miał nadzieję, myślała, że swoim czynem wynosi ich do godności męczenników, jakby był w stanie przynieść wybawienie za pomocą doskonałego zła. Kryła się w tym szatańsko przewrotna niesprawiedliwość, że ten potwór był chroniony niczym prześladowany mąż opatrznościowy, biblijny prorok ścigany przez złe moce, zamiast być zdemaskowany i skazany. Maggie zastanawiała się, ile czasu minie, zanim kolejni nieszczęśni rodzice zaczną znów znajdować swoich synów martwych na brzegu jakiejś rzeki, skrępowanych i śmiertelnie pokłutych nożem, za to umytych i obdarzonych ostatnim namaszczeniem.

Czy wtedy zechcą skazać Kellera? Tak trudno było ukarać zło, które zyskiwało na sile, konspirując z innym rodzajem zła. Maggie była pewna, że to Keller odwiedził Alberta Stucky’ego w więzieniu na Florydzie. Kilku strażników rozpoznało go później na zdjęciu. Nie miała na to żadnego dowodu, ale była przekonana, że to od niego Stucky otrzymał drewniany krucyfiks zakończony ostrym szpikulcem, którym uwolnił się z pasów w furgonetce i zabił przewożących go strażników.

Postanowiła, że nie będzie teraz o tym myśleć. Wypiła resztkę szkockiej. Wyglądało na to, że Turner i Delaney

zakończyli rozgrywki. Delaney był w kiepskiej formie. Brązowa twarz Turnera lśniła od tłuszczu, mimo że starał się ją dokładnie wytrzeć. Maggie miała ochotę na kolejną szkocką, jednak Ford przywołał kelnerkę i poprosił o rachunek. Pewnie zrozumiał, że pensja inspektora policji nigdy nie dotrzyma kroku apetytowi Turnera i Delaneya. Inspektorzy nie pozwolili agentom FBI sięgnąć do portfela, lecz Maggie skutecznie uparła się, że zostawi chociaż napiwek.

Milhaven odwiózł ich, choć Maggie wolałaby się przejść niż gnieść na tylnym siedzeniu między swoimi ochroniarzami. Noc była pogodna, ale chłód wzbudzał dreszcze. Zanim dotarli na parking, zobaczyli jakieś zgromadzenie w alejce. Mundurowy policjant stał przed metalowym pojemnikiem na śmieci i starał się utrzymać niewielki tłumek eleganckich ciekawskich w pewnej odległości.

Agenci FBI bez słowa ruszyli przed siebie.

– Co się tu dzieje, Cooper? – spytał Ford, który znał podenerwowanego policjanta.

– Proszę się cofnąć – rzucił Milhaven w stronę gapiów, a Delaney odsunął ich na parking, który znajdował się prostopadle do alejki.

Policjant zerknął na Maggie i Turnera.

– Wszystko w porządku – zapewnił go Ford. – Oni są z FBI. Przyjechali na konferencję. Więc o co chodzi?

Policjant wskazał na stojący za jego plecami śmietnik.

– Pomywacz z bistro wyrzucał śmieci jakieś pół godziny temu i zobaczył wystającą z tej kupy rękę. Paranoja, co? No i zgłosił to, tyle że najpierw wszystko rozgadał całemu pieprzonemu światu.

Maggie poczuła znajomy ścisk w żołądku. Turner był już przy śmietniku i zaglądał do środka. Maggie, dużo niższa od niego, przyciągnęła pustą skrzynkę i stanęła obok niego. Żałowała, że tyle wypiła. Musiała przeczekać lekki zawrót głowy.

Pierwszą rzeczą, która rzuciła jej się w oczy, była czerwona parasolka, której rączka opierała się o krawędź pojemnika, jakby ktoś, kto ją tu zostawił, bał się, żeby nie wzięto jej za śmieć. Albo miała służyć jako swoisty przekaz, trop.

– Cooper – zwróciła się do policjanta – jak przyjedzie jakiś inspektor, proszę mu wspomnieć o tej parasolce. Powinno się wziąć z niej odciski palców.

– Zrobi się.

Nie ruszając niczego, Maggie zobaczyła, że kobieta w śmietniku jest naga i leży na plecach. Kępka rudawych włosów łonowych odbijała się ostro od bladej skóry. Policjant poinformował ich, że pomywacz widział tylko rękę wystającą z kupy odpadków, a przecież cały tors kobiety był na widoku. Na jej twarzy leżało coś, co przypominało obierki z ziemniaków. Głowa była obrócona na bok, a piękne rude włosy były pełne śmieci.

Zobaczyła także jej półotwarte usta, jakby coś do nich wkładano. Potem dostrzegła pieprzyk nad górną wargą.

Żołądek Maggie ścisnął się jeszcze mocniej. Nachyliła się, stając na czubkach palców, aż skrzynka pod nią zatrzeszczała złowieszczo.

– O’Dell, co robisz, do cholery? – krzyknął Turner.

Delikatnie zmiotła obierek i przyklejoną do policzka denatki grudkę makaronu.

– To Rita – powiedziała, modląc się, by nie była to prawda.

– Rita? Jaka Rita?

Maggie spojrzała na Turnera. Po chwili zrozumiał.

– Psia mać! Masz rację.

– Znacie ją? – spytał Ford, zaglądając do śmietnika.

– To kelnerka z baru w dole ulicy – wyjaśniła Maggie, lustrując wzrokiem widoczne części ciała zamordowanej kobiety.

Miała podcięte gardło, i to tak głęboko, że o mało nie odcięto jej głowy. Na całym ciele widać było siniaki, lecz rany kłute zadano tylko w nadgarstki. Kiedy została złapana, nie walczyła, więc być może śmierć przyszła szybko. Maggie poczuła ulgę, a jednocześnie miała sobie za złe, że taki fakt może wywoływać podobne reakcje.

Potem pod masą spaghetti dostrzegła krwawe cięcie w boku Rity. Odsunęła się od śmietnika, o mało nie spadając ze skrzynki. Zeskoczyła z niej. Zawrót głowy zastąpiło ogłuszające dzwonienie. Odbiegła dość daleko i objęła się ramionami, żeby zatrzymać falę narastającej paniki. Niech to szlag! Przecież przestała już dawno rzygać na widok zwłok. Ale teraz było inaczej. To była porażająca mieszanka wstrętu i przerażenia, a nie mdłości.

– O’Dell, nic ci nie jest?

Stał przy niej Turner. Położył dużą dłoń na jej ramieniu. Unikała jego wzroku.

– To Stucky – powiedziała spokojnie, opanowując drżenie warg.

– O’Dell, daj spokój.

– Wczoraj wieczorem w barze wydawało mi się, że go widziałam.

– O ile pamiętam, nie wylewaliśmy za kołnierz.

– Turner, nic nie rozumiesz. Stucky musiał ją widzieć. Musiał zauważyć, że z nią rozmawiamy i żartujemy. Wybrał ją przeze mnie.

– O’Dell, jesteśmy w Kansas City. Nie ma cię nawet w programie konferencji. Skąd miałby wiedzieć, że tu jesteś?

– Myślicie z Delaneyem, że mi odbija. Ale to Stucky. Powinniśmy poszukać jakiegoś pojemnika, takiego na jedzenie na wynos, zanim ktoś inny go znajdzie.

– O’Dell, ty ledwo żyjesz.

– To on, Turner. Wiem, że to on. I zaraz na jakimś kawiarnianym stoliku ktoś znajdzie to, co jej wyciął. Może nawet w tej restauracji. Musimy...

– O’Dell, zwolnij – szepnął, rozglądając się, jakby chciał się przekonać, czy tylko on jest świadkiem jej histerii. – Wiem, masz wrażenie, że musisz być wyjątkowo czujna, ale...

– Pieprz się, Turner. To nie moja fantazja.

Ponownie położył jej dłoń na ramieniu, a ona odskoczyła, zauważając ciemną postać w alejce.

– O’Dell, uspokój się.

Mężczyzna stał na skraju tłumu, który podwoił się w ciągu kilku minut. Znajdował się zbyt daleko, a na dworze było zbyt ciemno, żeby mogła mieć pewność, ale na pewno miał na sobie czarną skórzaną kurtkę, tak jak tamten człowiek, którego widziała poprzedniego wieczoru.

– Myślę, że on tu jest – szepnęła, stając obok Turnera w taki sposób, by mogła bez wzbudzania podejrzeń obserwować podejrzanego.

– O’Dell. – Turner tracił cierpliwość.

– W tym tłumie jest mężczyzna – mówiła cicho. – Wysoki, ciemny, ostre rysy. Z jego profilu zgaduję, że to może być Stucky. Mój Boże, on ma w ręku coś, co przypomina ten cholerny pojemnik.

– Tak jak cała masa innych ludzi, którzy tu stoją. O’Dell, tu naokoło są knajpy.

– To może być Stucky, Turner.

– Albo burmistrz Kansas City.

– Dobra! – warknęła. – W takim razie pójdę pogadać z burmistrzem.

Zaczęła wymijać Turnera, który natychmiast chwycił ją za rękę.

– Siedź tu i nie ruszaj się – rzucił z przesadnym westchnieniem.

– Co masz zamiar zrobić?

– Porozmawiam z nim, zadam mu parę pytań.

– Jeśli to Stucky...

– Jeśli to Stucky, rozpoznam drania. A jeśli nie, ty jutro płacisz rachunek za kolację. Lepiej przygotuj swoją kartę kredytową.

Patrzyła w ślad za Turnerem, stojąc za plecami Delaneya i Milhavena, którzy pogrążyli się w dyskusji na temat baseballu. Żaden z nich nawet jej nie zauważył. Przez wąską przestrzeń, która ich dzieliła, Maggie widziała, jak Turner szedł w stronę tłumu. Wiedziała, że nie wziął jej słów poważnie i że nie jest przygotowany na ewentualne spotkanie ze Stuckym.

Odpięła kaburę i położyła dłoń na rękojeści broni. Serce jej waliło. Skoncentrowana na mężczyźnie w czerni nie widziała nic więcej, niczego nie słyszała. Czy to naprawdę Stucky? Czyżby czuł się tak pewny siebie, żeby zabijać w mieście wypełnionym po brzegi policją z całego kraju, i jeszcze się temu przypatrywał z boku? Tak, Stucky lubił takie wyzwania. Udowadniał, że są nic niewarci. Maggie poczuła ciarki na plecach, kiedy owiał ją nocny wilgotny i zimny wiatr.

Zanim Turner dotarł do celu, mężczyzna odwrócił się i ruszył przed siebie.

– Chwileczkę, proszę zaczekać! – krzyknął Turner tak głośno, że nawet Delaney i Milhaven obrócili głowy. – Chcę tylko porozmawiać.

Mężczyzna rzucił się do ucieczki, a za nim Turner. Delaney zaczął pytać o coś Maggie, ale ona go nie słuchała. Pobiegła co tchu przez parking z bronią skierowaną ku

ziemi. Tłum rozpierzchł się, robiąc jej drogę i krzycząc z przerażenia.

Maggie myślała tylko o jednym. Żeby Albert Stucky znowu nie uciekł.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Maggie czuła, jak wali jej serce. Turner zniknął za rogiem w drugiej alejce. Biegła za nim, lecz w połowie drogi zatrzymała się. Alejka była bardzo wąska, ledwo zmieściłby się w niej niewielki pojazd, i bardzo słabo oświetlona.

Maggie zmrużyła oczy, studiując cienie i nasłuchując. Tak krótko biegła, a tak ciężko oddychała. Lepiła się od potu. Gdzież oni, do diabła, zniknęli?

Coś zaszeleściło za jej plecami. Zakręciła się błyskawicznie ze swoim smith & wessonem i wycelowała w pusty kubek z Burger Kinga. Próbowała się uspokoić, patrząc, jak wiatr podnosi go i popycha w dół alejki. Spokój. Musi zachować spokój.

Odwróciła się, nie zwalniając uścisku na rękojeści rewolweru. Wytężyła słuch, przebijając się przez łomot w uszach. Było jej zimno. To nie zmęczenie pozbawia ją tchu, to lęk. A niech to! Nie pozwoli, by Stucky doprowadzał ją do takiego stanu. Musi zwolnić. Musi się skoncentrować.

Powoli, ostrożnie ruszyła przed siebie. Ulica była stara, brukowana, kamienie nierówne, pokruszone i krzywo ułożone. Łatwo tu skręcić nogę, pomyślała, potknąć się, stracić równowagę. Mimo to nie patrzyła pod nogi. Jej wzrok wciąż krążył, chociaż widoczność była tak słaba, że ograniczała się do jakichś stu pięćdziesięciu metrów.

Czyżby jeszcze się ściemniło, czy jej się tylko wydaje? Przeskakiwała wzrokiem z miejsca na miejsce, sprawdzając stosy porzuconych pudeł, czarne jak noc drzwi, zardzewiałe schody przeciwpożarowe, wszystko, co mogłoby posłużyć Stucky'emu do ucieczki. Tym razem jej nie nabierze.

Ale gdzie, do diabła, jest Turner? – pomyślała. Chciała go zawołać, ale nie mogła ryzykować. Czy to możliwe, by pobiegli inną drogą? Nie, była pewna, że wpadli za ten róg i w tę alejkę.

Teraz miała przed sobą otwartą przestrzeń, na której stały zaparkowane dwa samochody. Pojemnik na śmieci zasłaniał jej widok. Za jej plecami ktoś przebiegł, omijając wąską alejkę. Od strony otwartej przestrzeni dobiegły stłumione głosy. Przysunęła się do brudnej ceglanej ściany i posuwała się krok po kroku. Kłuło ją w piersi. Kolana miała jak z waty, dłonie były mokre, trzymała jednak palec na spuście skierowanej do dołu broni.

Dotarła do końca budynku i nie wiedziała, co dalej. Skuliła się i schowała za śmietnikiem. Gdzie są Delaney i Milhaven, do cholery? Powinni już tu dotrzeć. Wysilała wzrok, żeby zobaczyć coś w ciemności w końcu alejki. I nic. Za to głosy były wyraźniejsze.

– Chwileczkę. – Poznała głos Turnera. – Co pan tu ma, do cholery?

Czekała, lecz nie padła żadna odpowiedź. Jeśli Stucky ma nóż, to Maggie nie usłyszy, gdy stanie się jakieś nieszczęście. Ostrożnie spojrzała i zobaczyła tył czarnej

skórzanej kurtki. Dobra. Zerknęła w drugą stronę. Nie dostrzegł jej. Ale jak blisko jest Turner?

Usłyszała za sobą kroki, ktoś szedł głośno po bruku w jej stronę. Ze swojej kryjówki nie widziała, kto to. Nie miała jak go ostrzec. A niech to! Jeszcze chwila i Stucky usłyszy te kroki, na pewno już usłyszał. Musiała się ruszyć, zaryzykować.

Błyskawicznie ruszyła zza pojemnika, stając prosto, w lekkim rozkroku, z wyciągniętymi przed siebie rękami i bronią wycelowaną w tył głowy monstrum. Dopiero wtedy Stucky wzdrygnął się.

– Nie ruszaj się albo odstrzelę ci twoją pieprzoną głowę!

– O’Dell – odezwał się Turner.

Teraz go zobaczyła. Stał blisko budynku, cień zakrywał większą część jego twarzy. Stucky stał między nimi, nie widziała, czy Turner ma także wyciągniętą broń. Skupiła się więc na swoim celu, który tkwił niecałe trzy metry przed nią.

– O’Dell, wszystko w porządku – powiedział Turner, wciąż się nie ruszając.

Czy Stucky w niego celuje?

– Rzuć, co tam masz, i załóż ręce za głowę! Natychmiast! – wrzasnęła, zdumiona własnym głosem, który z wielką siłą odbijał się echem od ceglanych ścian.

Kroki za jej plecami zwolniły, z echa, jakim się niosły, ustaliła, że to nie cały tłum, ledwie kilka osób. Nie odwróciła się jednak. Jej oczy nie opuszczały tyłu głowy Stucky’ego. Ani drgnął, ale też nie posłuchał jej rozkazu.

– Powiedziałam, ręce do góry! I to już, kurwa!

– O’Dell, opanuj się, wszystko w porządku – powtórzył Turner.

Nikt się nie ruszał, ani Turner, ani Stucky, ani ludzie, którzy zatrzymali się za nią. Maggie trochę się zbliżyła. Czuła strużki potu na plecach. Wiatr zmiatał mokre włosy z jej czoła. Wciąż trzymała palce na spuście.

– Mówię po raz ostatni. Rzuć, co trzymasz, i załóż ręce za głowę, albo przestrzelę ci czaszkę na wylot. – Tym razem wykrzyczała ultimatum przez zaciśnięte zęby. Głowa jej pękała. Ręka zaczęła ją boleć z wysiłku, jakim było powstrzymywanie się przed naciśnięciem spustu.

W końcu mężczyzna uniósł ręce, jednocześnie coś upadło i chrupnęło o bruk. Czuła, jak uderzyło ją w nogi i wiedziała od razu, że to plastikowy pojemnik na jedzenie na wynos. Nie miała ochoty widzieć, który to z organów Rity znalazł się na bruku. Trzymała wzrok na wysokości swojej broni, w środku czarnej czupryny u podstawy czaszki mężczyzny. Z tak bliskiej odległości i pod tym kątem kula przebiłaby czaszkę i wpadła prosto do mózgu, rozwalając móżdżek i dewastując płat przedni, zanim wyszłaby przez czoło. Nie żyłby, zanim padłby na ziemię.

– Uspokój się, Maggie – powiedział Delaney, który nagle pojawił się tuż za nią.

Reszta trzymała się wciąż z tyłu. Turner zrobił parę kroków do przodu, żeby mogła zobaczyć, że nic mu nie jest. Cisza, jaka zapadła w alejce, była tak dojmująca, że Maggie

zdawało się, jakby wszyscy przestali oddychać. Nie zmieniła jednak pozycji ani nie zniżyła broni.

– Odwróć się – rozkazała Stucky’emu.

– O’Dell, możesz schować broń – rzekł Turner, ale Maggie nawet nie spojrzała na niego. Nie zrobi tym razem błędu.

– Powiedziałam, odwróć się, do diabła! – Jej żołądek był już całkiem ściśnięty. Czy będzie w stanie spojrzeć mu w oczy?

Mężczyzna zaczął się powoli obracać. Maggie zacisnęła palec. Wystarczy drobna poprawka, ułamek sekundy, żeby przeniosła cel między jego oczy. Potem następny ułamek sekundy, żeby nacisnąć spust. Chciała, żeby na nią wtedy patrzył. Żeby widział, jak to się zbliża, żeby zrozumiał, jak to jest, kiedy ktoś przejmuje pełną kontrolę nad twoim życiem. Chciała, żeby poczuł lęk i, tak, pragnęła zobaczyć ten lęk w jego oczach.

Mężczyzna patrzył na nią szeroko otwartymi oczami, jego szczupła twarz wyrażała przerażenie, ręce mu się trzęsły. Wyglądał, jakby miał za moment zemdleć ze strachu. O takiej właśnie reakcji marzyła Maggie. To była zemsta, której wyczekiwała z nadzieją. Tyle że stojący przed nią mężczyzna nie był Albertem Stuckym.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Wtorek, wczesny poranek
31 marca

Maggie otworzyła drzwi hotelowego pokoju. Stał za nimi Delaney. Bez słowa odwróciła się, cofnęła do środka i zaczęła znów krążyć, zostawiwszy gościa w progu. Kątem oka widziała, że Delaney się namyśla. Już zrobił krok do przodu, ale wciąż trzymał za klamkę, z taką miną, jakby wolał wiać gdzie pieprz rośnie. Maggie była ciekawa, w jaki sposób jej koledzy zdecydowali, który z nich ma do niej zajść. Może rzucali monetą i Delaney przegrał?

Wciąż się przechadzała, nie zwracając na niego uwagi, a on starał się nie wchodzić jej pod nogi. Usiadł przy małym stoliku, który zachybotał, gdy Delaney oparł na nim łokieć. Podniósł pusty plastikowy kubek Maggie i wziął do ręki miniaturową butelkę szkockiej, powąchał i odstawił. Miał zawinięte rękawy koszuli i rozchylony kołnierzyk. Pozbył się już krawata. W pewnym momencie Maggie zauważyła, że Delaney pociera ręce o nieogoloną twarz aż ku łysiejącemu czołu. Zmusi go, żeby przemówił pierwszy. Nie była w nastroju do rozmowy. I na pewno nie była w nastroju do wysłuchiwania wykładu. Czemu nie mogą jej po prostu zostawić w spokoju?

– Martwimy się o ciebie, Maggie.

A więc zaczęło się. Musiał uderzyć z dołu, z całą tą pieprzoną troską. No i mówił do niej po imieniu. Zrobiło się naprawdę poważnie. Zaczynała żałować, że nie zjawił się u niej Turner. Ten przynajmniej trochę by powrzeszczał.

– Nie ma powodu – powiedziała cicho.

– Spójrz na siebie. Jesteś tak nakręcona, że nawet nie potrafisz usiedzieć.

Wsadziła ręce do kieszeni spodni i nagle się wystraszyła. Dlaczego te spodnie na niej wiszą? Kiedy tak schudła? Nie trzeba pokazywać Delaneyowi, jak bardzo drżały jej dłonie.

– To zwyczajna pomyłka – broniła się, nie dając mu szansy, żeby ją oskarżył.

– Oczywiście.

– Z tyłu wyglądał identycznie jak Stucky. No i dlaczego trzy razy zignorował mój rozkaz?

– Bo on nie rozumie po angielsku.

Zatrzymała się i spojrzała na niego. Coś podobnego nie przyszłoby jej do głowy. Bo i jak? Była przekonana, że ma do czynienia ze Stuckym. Nie miała cienia wątpliwości.

– To czemu uciekał przed Turnerem?

– Kto wie. – Delaney dosłownie wsadził palce w oczy. – Może jest tu nielegalnie? Chodzi o to, Maggie, że ty nie tylko zmusiłaś go, żeby rozrzucił po całym chodniku swoją cielęcinę, ty mu o mało nie odstrzeliłaś głowy.

– Nie odstrzeliłam mu głowy. Postępowałam zgodnie z protokołem. Nie widziałam Turnera, nie widziałam, co ten pieprzony kretyn ma w rękach, i do tego on nie odpowiadał. Co ty byś, cholera, zrobił na moim miejscu?

Po raz pierwszy ich spojrzenia się spotkały. Nie pozwoliła, by Delaney się odwrócił, choć czuła, jak bardzo jest skrępowany.

– Pewnie to samo. – Wreszcie umknął wzrokiem.

Maggie zdawało się, że na jego twarzy pojawił się cień zażenowania. Przychodząc tu, Delaney nie kierował się tylko troską czy złością. Oparła się o komodę, jedyny solidny mebel w tym pomieszczeniu, szykując się na ciąg dalszy.

– O co chodzi, Delaney?

– Dzwoniłem do Cunninghama – powiedział, podnosząc wzrok, ale na nią nie patrząc. – Musiałem mu powiedzieć, co się stało.

– A niech cię, Delaney – mruknęła pod nosem i zaczęła znów krążyć, żeby się wyciszyć.

– Martwimy się o ciebie, Maggie.

– Dobra.

– Widziałem twoje oczy, Maggie, i byłem przerażony. Widziałem, jak bardzo chciałaś nacisnąć ten spust.

– Ale tego nie zrobiłam, tak? Czy to się nie liczy? Nie nacisnęłam tego chrzanionego spustu!

– Jeszcze nie.

Stanęła przy oknie, kierując spojrzenie na światła placu. Przygryzła dolną wargę. Światła zaczęły jej się rozmywać przed oczami. Nie będzie krzyczeć. Zacisnęła powieki. Delaney nie ruszał się ani nie odzywał. A ona mogła mu pokazać tylko swoje plecy.

– Cunningham chce, żebyś jutro wróciła do Quantico – rzekł powoli, przepraszająco. – Wysłał Stewarta, żeby dokończył za ciebie zajęcia. Dotrze tu za parę godzin, nie musisz martwić się o poranną sesję.

Maggie obserwowała samochody, które prześlizgiwały się przez skrzyżowanie. Z tej wysokości przypominały jej komputerową grę. Światła uliczne migały, niezdecydowane, czy świecić, czy się wyłączyć, ponieważ niebo powoli jaśniało w oczekiwaniu wschodu słońca. Za niespełna godzinę Kansas City zacznie się budzić, a ona nawet jeszcze nie położyła się do łóżka.

– Czy przynajmniej powiedziałeś Cunninghamowi o Ricie?

– Tak.

Nie doczekawszy dalszego komentarza, odwróciła się do niego z nagłą nadzieją. Patrzyła mu w twarz, gdy zadała pytanie:

– I co, on wierzy, że to Stucky?

– Nie wiem. Nie powiedział, a ja nie pytałem.

– To może chce, żebym pomogła w rozwiązaniu sprawy?

Delaney ponownie umknął jej wzrokiem, wbijając oczy w blat stołu. Bez słów zgadła, jak bardzo się myliła.

– Jezu! Cunningham też myśli, że mi odbiło – powiedziała cicho i wróciła do okna. Oparła czoło o chłodną szybę, licząc, że to uciszy jej nerwy. Czemu nie czuje zwykłego otępienia, tylko rozdrażnienie i nagłe poczucie klęski?

Po długiej ciszy usłyszała, jak Delaney wstaje i kieruje się do drzwi.

– Zająłem się wszystkim. Twój samolot odlatuje tuż przed pierwszą. Nie mam dziś żadnych zajęć, chętnie zawiozę cię na lotnisko.

– Nie kłopocz się, wezmę taksówkę – rzekła, nie ruszając się z miejsca.

Delaney jeszcze się ociągał. Nie chciała znów spotkać się z nim wzrokiem. Nie miała zamiaru dać mu rozgrzeszenia, bez którego, jak wiedziała, będzie męczyło go poczucie winy. Gdzieś w dole samochody znowu włączyły się do gry, wpasowując się w odpowiednie okienka, czarne, czerwone i białe, zatrzymując się i ruszając.

– Maggie, po prostu się o ciebie martwimy – powiedział po raz nie wiadomo który.

– Dobra. – Nie ukrywała, że czuje się zraniona i wściekła.

Zaczekała, aż drzwi zamkną się za nim z miękkim klaśnięciem, przeszła długość pokoju i zamknęła zasuwkę. Stała oparta plecami o drzwi, wsłuchując się w głośne bicie własnego serca, czekając, aż opuszczą ją złość i rozgoryczenie. Dlaczego nie potrafi tego wszystkiego tak po prostu zaakceptować? Musi wracać do swojego nowego, dużego domu z rzeczami w kartonach i swojego nowiutkiego, wymyślnego systemu alarmowego. Musi się z tym pogodzić, zanim pośliźnie się tak fatalnie, że spadnie z krawędzi i nie będzie już odwrotu.

Przyciśnięta do drzwi i wgapiona w sufit czekała, jeśli nie na spokój w sercu, to przynajmniej na powrót zdrowego rozsądku. Potem, podejmując decyzję, przeszła na środek pokoju i zaczęła zrzucać ciuchy, które nosiła od

poprzedniego ranka. W ciągu paru minut była już w niebieskich dżinsach, podkoszulku i starych adidasach. Zapięła pas z bronią, wrzuciła odznakę do bocznej kieszeni spodni i włożyła granatową wiatrówkę z napisem FBI. Nie używała podręcznego laboratorium już od miesięcy, lecz nigdy nie wyjeżdżała bez niego z domu. Wyjęła stamtąd kilka par gumowych rękawiczek, plastikowe torebki na dowody i chirurgiczną maseczkę, przenosząc to wszystko do kieszeni kurtki.

Dochodziła szósta rano. Miała tylko sześć godzin, lecz postanowiła, że nie opuści miasta, dopóki nie znajdzie dowodu, który połączyłby Stucky'ego z morderstwem Rity. Nie obchodziło jej, że być może zmuszona będzie przeszukać wszystkie śmietniki i wszystkie porzucone pojemniki po jedzeniu na wynos w dzielnicy handlowo-rozrywkowej Kansas City. Czując niespodziewany przypływ energii, chwyciła kartę magnetyczną od pokoju i wymaszerowała.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

– Halo, psze pani. Czego pani tu, kurde, grzebie?

Maggie zerknęła przez ramię, nie przestając przekopywać śmieci. Stała po kolana w całym tym świństwie. Adidasy były uwalane sosem barbecue, ręce w rękawiczkach lepiły się. Oczy paliły od ostrej mieszanki zapachów czosnku, środka na mole, zepsutego jedzenia i innych odpadków.

– FBI! – krzyknęła wreszcie przez papierową maskę i obróciła się na tyle, żeby mężczyzna zobaczył żółte litery na jej kurtce.

– O kurde! Serio? Może pomóc?

Spojrzała na niego, powstrzymując się przed odgarnięciem włosów z twarzy, za to odganiając wściekle atakujące muchy. Mężczyzna był młody, koło dwudziestki. Przez jego szczękę biegła ciemnoróżowa i spuchnięta szrama, a czerwona pręga na nosie świadczyła o świeżym złamaniu.

– Mam więcej pomocników, niż potrzebuję. Kilka śmietników dalej stoi miejscowa policja – skłamała i uśmiechnęła się pod maską, gdy chłopak natychmiast popadł w nerwowe wygibasy. Zaczął kręcić głową we wszystkie strony i przestępować z nogi na nogę, wyraźnie szykując się do błyskawicznej ucieczki.

– Taa, dobra. No to powodzenia. – Otworzył drzwi śmietnika i zniknął na tyłach jakiegoś magazynu.

Maggie odrzuciła na bok duży plastikowy worek, nawet go nie otwierając. Stucky nigdy nie ukryłby niczego tak głęboko. Dawniej pozostawiał swoje niespodzianki na widoku, gdzie łatwo znajdowali je przypadkowi, niczego nieświadomi ludzie. A zatem może to przetrząsanie śmietników to czysta strata czasu?

I wtedy dojrzała róg białego kartonowego pudełka. Powoli zbliżyła się do niego, unosząc wysoko nogi, jakby szła przez wodę. W dwu poprzednich pojemnikach znalazła kanapkę ze zzieleniałym kotletem i oślizłe żeberka. Pomimo to za każdym razem, gdy udało jej się wypatrzyć następne, puls przyspieszał. Poczuła gwałtowny skok adrenaliny. Gwałtownie zamachała na muchy i odgarnęła zgniłą sałatę, pety i zwinięte kawałki metalowej folii.

Ostrożnie podniosła pojemnik, trzymając go w pozycji poziomej, i położyła na brzegu śmietnika. Pudełko było niewielkie, takie na jedną porcję ciasta albo sałatkę, czyli w sam raz, by ukryć w nim nerkę lub płuco. Te organy zajmowały mało przestrzeni. Maggie znalazła kiedyś płuco jednej z ofiar Stucky'ego w pojemniku, który był niewiele większy od kanapki.

Po plecach spływał jej pot, chociaż poranek był chłodny i wilgotny. Czuła, że śmierdzi tak samo jak śmieci, w których grzebała. Wciągnęła powietrze i opanowała drżenie rąk. Maska chirurgiczna przylgnęła do ust i nosa. Maggie otworzyła pojemnik. Buchnął na nią taki smród, że odwróciła głowę i wstrzymała oddech, ale po kilku sekundach powróciła do niego wzrokiem. Kto by pomyślał,

że zepsuty ser fettuccine może tak bardzo się zwarzyć i cuchnąć jak zepsute jaja? Tak przynajmniej określiła Maggie zawartość pudełka, choć trudno było powiedzieć coś dokładniej bez odgarnięcia z wierzchu cienkiej warstwy mętnego zielonoszarego nalotu. Zamknęła i zabezpieczyła pudełko.

– Znalazła pani coś ciekawego?

Niski głos przestraszył ją. Czyżby młody gangster zmienił zdanie? Chwyciła się brzegu śmietnika, żeby się nie pośliznąć i nie wpaść w śmieci. Kiedy się obróciła, stanęła twarzą w twarz z inspektorem Fordem. Ledwo go rozpoznała, bo podobnie jak ona miał na sobie swobodny strój, niebieskie dżinsy, szarą znoszoną koszulkę i niebieską czapkę z daszkiem z napisem Kansas City Royals. Wyglądał dużo młodziej niż w garniturze pod krawatem i w towarzystwie starszego kolegi.

Ściągnęła w dół maseczkę chirurgiczną.

– Okazuje się, że w tym kraju marnuje się zbyt dużo żywności – powiedziała, odkładając pojemnik i przesuwając się ostrożnie na drugą stronę śmietnika, gdzie zostawiła na bruku skrzynkę, po której wspięła się na górę.

– Dotąd nie wiedziałem, że takie sprawy też leżą w gestii FBI.

Spojrzała na niego, zastanawiając się, czy szykował jakąś dłuższą przemowę, jednak tylko uśmiechnął się.

– A pan? Ten strój to konspiracja czy ma pan wolne? – spytała, ściągając lateksowe rękawiczki i wskazując na jego czapkę z daszkiem.

– Mógłbym zadać pani to samo pytanie.

– Ja akurat mam trochę wolnego – rzekła, jakby miało wystarczyć to za wyjaśnienie, że grzebie w miejskim śmietniku, tkwiąc w po kolana w obrzydliwych odpadkach.

– Hej, Ford, gdzieś ty się podział, do diabła? – zawołał znajomy głos zza rogu.

– Tutaj!

Zanim jeszcze właściciel owego głosu pojawił się przed nią, Maggie ogarnęła prawdziwa trwoga. Nick Morrelli był nadal tak przystojny, jak go zapamiętała, wysoki i szczupły. Kroczył zdecydowanie. On także ubrany był swobodnie, w niebieskie dżinsy i czerwoną koszulkę z napisem Nebraska Cornhuskers. Nie poznał jej od razu, a kiedy tak się stało, na jego twarzy pokazały się dołeczki.

– Maggie?

Rzuciła na bok gumowe rękawiczki i zerwała maseczkę z szyi, dokładając ją do śmieci.

– Cześć, Nick. – Starała się udawać, że nie dzieje się nic nadzwyczajnego. Brnęła przez śmieci, z braku innej ofiary wściekle wkurzona na muchy, które garnęły się do niej z rosnącym zainteresowaniem. Machała na nie, upychając kosmyki włosów za uszy, jak najdalej od twarzy.

– No tak, zapomniałem, że wy się przecież znacie. – Ford też się uśmiechał. – Maggie ma akurat wolny ranek, więc się relaksuje – poinformował Nicka całkiem poważnym głosem.

– Jezu, Maggie, cieszę się, że cię widzę.

Jej twarz z miejsca poczerwieniała.

– Przestaniesz się cieszyć, jak się do ciebie zbliżę – rzekła, żeby powstrzymać sentymenty związane z ponownym spotkaniem.

Chwyciła się krawędzi śmietnika i przerzuciła nogę na drugą stronę. Jej stopa zwisała, poszukując skrzynki. Zanim na nią trafiła, Nick chwycił ją w pasie. Jej udo otarło się o jego pierś. I chociaż od świtu atakowały ją rozmaite aromaty, od razu poczuła delikatny zapach wody kolońskiej Nicka.

Kiedy stanęła obiema nogami na ziemi, wciąż ją trzymał, ale Maggie unikała jego wzroku. Nie miała ochoty patrzeć na żadnego z tych facetów. Potrzebowała czasu, by zwalczyć to niespodziewane trzepotanie w środku. A niech to! Przecież nie jest małolatą. Skąd, do diabła, to kotłowanie w głowie i w brzuchu?

Zajęła się otrzepywaniem z odpadków, które przykleiły się do jej spodni i butów. Niestety, kiedy podniosła głowę, obaj mężczyźni wlepiali w nią oczy. W dalszym ciągu uciekała spojrzeniem od Nicka. Pamiętała, jak głęboko przenikały ją jego oczy, jak skutecznie odkrywały jej słabość, którą chowała nawet przed sobą.

– A więc – odezwał się znów Ford, zerkając na śmietnik – miała pani owocne łowy?

Nie wiedziała, ile powiedzieli mu Turner i Delaney o jej obsesji związanej ze Stuckym. Czy Ford widział, jak bardzo zbliżyła się poprzedniego wieczoru do nieprzekraczalnej granicy? I o czym rozmawiał z Nickiem? Dobrze wiedział, że się znają, i pewnie ani na moment o tym nie zapomniał.

W końcu to przecież Ford zaprosił Nicka na wspólną kolację, chociaż nie padło słowo wyjaśnienia, dlaczego ostatecznie się nie zjawił. Może nie chciał się z nią spotkać? Jasne, to by wszystko tłumaczyło. Skoro już zamieszkał w Bostonie, dlaczego dotąd nie dał znaku życia? Widziała, jak teraz pochłaniał ją wzrokiem, obserwował, uśmiechał się, ale szczęśliwie nie robił z tego powtórnego spotkania wielkiej hecy.

– Nie, niczego nie znalazłam – odparła wreszcie. Chciała zmienić temat, zanim inspektor Ford domyśli się, że szukała ludzkich organów, a nie jakiegoś przeoczonego dowodu. – Pan się teraz zajmuje tą sprawą?

– Oficjalnie nie. Najprawdopodobniej popracujemy nad tym parę godzin z Milhavenem. Ale dzisiaj mam wolne. Właśnie wybieramy się z Nickiem na wczesny lunch.

– Zawsze wybieracie boczne uliczki?

Ford wyszczerzył zęby w uśmiechu i rzucił okiem na Nicka.

– Nikomu nie odpuści, co?

– Nie, z pewnością nie. – Nick spojrzał jej prosto w oczy, a ona wiedziała, o czym naprawdę pomyślał. Kiedyś tak bardzo, tak intymnie się do siebie zbliżyli. Trwało to niewiarygodnie krótko, a potem rozjechali się w swoje strony... i tyle, jeśli chodzi o ową niespełnioną bliskość.

– No, inspektorze. – Musiała zażartować, obrócić na własną korzyść ich dobry nastrój. Nie wolno jej dopuścić do tego, żeby Ford uświadomił sobie, że ona nie ma żadnego

prawa węszyć na jego terenie. I tak miała już problem z Cunninghamem. – Chciał pan tu jeszcze rzucić okiem, co?

– Dobra, przyłapała mnie pani. – Uniósł w górę obie ręce. – Opowiadałem Nickowi o ostatniej nocy.

Maggie skuliła się w sobie, nie wiedząc, o czym dokładnie mówili. Nick znał całą historię, wszystkie dotyczące jej i Stucky'ego drastyczne szczegóły. Był świadkiem jej nocnych koszmarów. Mimo wszystko jej twarz pozostała obojętna, jakby poprzednia noc była taka ot, rutynowa dla agentki FBI. Prawdę mówiąc, nie obchodziło jej, co myśli Ford, nawet jeśli uważał, że Maggie traci rozum. Ale za nic nie chciała, by tak samo sądził Nick. Czekała w milczeniu, a Ford mówił dalej:

– Wczoraj bardzo mnie pani zaciekawiła, O'Dell.

O Boże, pomyślała, powiedziała jednak:

– Czym?

– Ten cały Albert Stucky, aż mi dreszcz przeszedł po plecach.

Przeniosła spojrzenie z Forda na Nicka, szukając jakiegoś znaku, który podpowiedziałby jej, czy ci mężczyźni traktują ją poważnie. Jeśli Ford chce ją tylko poklepać protekcjonalnie po głowie i zapewnić, że bardzo się myliła, nie będzie tracić powietrza na to, żeby mu odpowiadać.

– Myśli pan, że mam obsesję? – Nie potrafiła zatrzymać w sobie tych słów, złość bowiem zapanowała nad nią. Nick od razu to zauważył i wyraźnie się zmartwił, natomiast Ford szczerze się skonfundował.

– Nie, nie to miałem na myśli… Cóż, zresztą może trochę. To znaczy wczoraj w nocy tak myślałem.

– Albert Stucky ma środki i dość rozumu, żeby dotrzeć tam, gdzie tylko chce, i to w każdej chwili. Niech pan ani przez sekundę nie sądzi, że Kansas City może się czuć bezpieczne, bo Stucky do tej pory nie uderzył na Środkowym Zachodzie. – No tak. Nie miała zamiaru dać się ponieść furii. Była wściekła, że Stucky do tego stopnia zawładnął jej emocjami. Na samo wspomnienie jego nazwiska Maggie wprost się gotowała w środku. Starała się przybrać obojętny wyraz twarzy, no i wystrzegała się oczu Nicka. Co z tego, skoro cały czas czuła je na sobie?

Ford też patrzył na nią, wcale jednak nie oskarżycielsko, jak tego mogła się spodziewać. Po prostu czekał, aż Maggie dokończy swoją kwestię. Ponieważ jednak milczała, zapytał:

– Mogę coś wtrącić?

– Proszę bardzo. – Maggie skrzyżowała ramiona na piersi, starając się co sił, żeby wyglądać arogancko. Nauczyła się tego dopiero niedawno.

– Tak, wczoraj w nocy myślałem, że puszczają pani nerwy, że z powodu obsesji traci pani zdrowy rozsądek. Bo niby dlaczego ten Stucky miałby uderzyć w Kansas City, a nie na Wschodnim Wybrzeżu, jak zawsze? Wiem, że seryjni mordercy trzymają się terenu, który dobrze znają, gdzie czują się pewnie. Teren łowów drapieżnika… Ale dziś rano, przed spotkaniem z Morrellim, byłem przy autopsji Rity. – Inspektor Ford zerknął na Nicka i stało się jasne, że o tym właśnie rozmawiali tego ranka. Wrócił spojrzeniem do

Maggie, zaczekał chwilę, aż skupi się na jego twarzy, i wreszcie powiedział: – Wygląda na to, że naszej ofierze brakuje prawej nerki.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Tully spojrzał na zegarek. Dyrektor Cunningham nie miał zwyczaju spóźniać się na spotkanie. Tully siedział i czekał. Może jego zegarek spieszy się? Jak mówiła Emma, był przecież stary i niemodny.

Tully przyglądał się ogromnej mapie, która wisiała za biurkiem szefa. Był to osobisty dziennik pokładowy Cunninghama prowadzony przez dwadzieścia lat pracy na stanowisku szefa Pomocniczego Wydziału Dochodzeniowego. Pinezki wskazywały miejsca, gdzie uderzył seryjny morderca. Każdy z nich miał przypisany sobie inny kolor pinezki. Tully zastanowił się, jak szybko szefowi zabraknie kolorów. Na mapie były już powtórzenia, na przykład zwykła czerwień, jasna czerwień i przezroczysta czerwień.

Tully wiedział, że Cunningham pracował nad najbardziej szokującymi zabójstwami, włączając w to sprawy Johna Wayne'a Gacy'ego czy Zabójcy z Green River. W porównaniu z nim Tully był żółtodziobem. Pracował nad portretami psychologicznymi morderców dopiero od sześciu lat, i to głównie w zaciszu gabinetu. Nie wiedział, jak da się żyć dzień po dniu z przejawami takiego okrucieństwa, nie stając się zblazowanym lub cynicznym.

Rozejrzał się znów po pokoju. Wszystko, co znajdowało się na biurku – oprawny w skórę terminarz, dwa długopisy,

czysta kartka do notatek bez żadnych bazgrołów na rogach i miedziana tabliczka z nazwiskiem – było uporządkowane, ułożone prostopadle do siebie, jakby każdego ranka Cunningham układał to za pomocą linijki. Tully zdał sobie nagle sprawę, że w tym schludnym i surowym biurze nie znajdował się choćby jeden osobisty drobiazg. Żadnej bluzy rzuconej w kąt, żadnej miniaturowej koszykówki, żadnego zdjęcia. Tully nie miał pojęcia, jak wygląda prywatne życie szefa.

Spostrzegł, co prawda, obrączkę na jego palcu, ale wydawało się, że Cunningham mieszka na stałe w Quantico. Nigdy nie zmieniał terminów spotkań w związku z meczem małej ligi czy wizytą u dzieci w college'u. Tak, Tully nie wiedział nic o tym cichym, mówiącym łagodnym głosem mężczyźnie, który stał się najbardziej szanowanym człowiekiem w FBI. Ale za jaką cenę?

– Przepraszam, że musiał pan czekać – powiedział Cunningham, wpadając do środka. Zdjął marynarkę i starannie powiesił ją na oparciu krzesła, potem usiadł. – Co pan znalazł?

Początkowo ten pragmatyczny, rzeczowy sposób bycia denerwował Tully'ego, który na Środkowym Zachodzie przywykł do bardziej wyszukanych manier. Teraz jednak doceniał, że od razu może zająć się istotą rzeczy, nie tracąc czasu na długie powitania i towarzyskie ploteczki. Chociaż z drugiej strony taki styl uniemożliwiał bliższe poznanie się na prywatnym gruncie.

– Właśnie dostałem faks z policji w Kansas City. – Wyjął kartkę z teczki i wręczył ją szefowi. – Pierwsze raporty z autopsji wskazują, że przyczyną śmierci było podcięcie gardła. Ofiara, poza kilkoma siniakami, nie ma innych urazów ani śladów walki. Jest jeszcze cięcie w prawym boku, przez które wyjęto jej nerkę.

– Znaleziono ją?

– Jeszcze nie. Zresztą policja z Kansas dotąd jej nie szukała. Możliwe, że ktoś ją znalazł, nie wiedział, co to jest, i wyrzucił.

Tully czekał cierpliwie, aż szef skończy czytać raport. Wreszcie Cunningham oparł się o biurko i potarł brodę.

– Co pan o tym sądzi, agencie Tully?

– Czas się nie zgadza. To się stało za szybko po dziewczynie z pizzerii. No i za daleko, całkiem poza jego terytorium. Był też odcisk palca, kciuka. Wygląda na to, że znowu został zostawiony celowo, tym razem na parasolce, która należała do ofiary. Nie ma na niej śladów ofiary. Musiały zostać zmazane. To znowu nie pasuje do Alberta Stucky’ego.

Cunningham zmarszczył czoło, przez zmrużone oczy patrząc na raport i postukując palcem wskazującym w górną wargę. Zmarszczki na jego twarzy były bardziej widoczne niż zwykle, a w krótkich włosach pojawiło się więcej siwizny.

– A więc to Stucky czy nie?

– Raport koronera wskazuje jednoznacznie na Stucky’ego – rzekł Tully. – Media jeszcze tego nie nagłaśniały,

naśladowca nie miał więc motywacji. Odcisk kciuka może należeć do przypadkowego przechodnia. Ofiarę znalazł kelner. Mówi się, że ktoś mógł niechcący zatrzeć ślady. Policja z Kansas wysyła kopię odcisku do CJIS, Centrum Informacyjnego Sądownictwa Karnego w Clarksburg. Przekonamy się, czy odpowiada niezidentyfikowanemu odciskowi z Newburgh Heights. Bardzo prawdopodobne, że oba odciski należą do kogoś, kto przypadkiem znalazł się w miejscu zbrodni, kiedy wszystkie inne ślady zostały wyczyszczone.

– Dobrze, powiedzmy, że tak to wygląda. A więc co dalej, jeśli to jest Stucky?

Tully wiedział, o co pytał Cunningham. Więcej, szef znał już odpowiedź, ale chciał ją usłyszeć. Oczekiwał potwierdzenia tego, co było oczywiste.

– Jeśli to Stucky, z marginesem błędu bliskim zera można stwierdzić, że pojechał do Kansas City za agentką O’Dell. Szuka sposobu, żeby ją znowu w to wciągnąć.

Cunningham zerknął na zegarek.

– Powinna być już w drodze.

– Sprawdziłem, sir. Zamierzam wyjechać po nią na lotnisko. Zmieniła lot na wieczorny.

Cunningham potrząsnął głową i westchnął zirytowany. Chwycił za telefon i nacisnął kilka guzików.

– Anita, masz numer telefonu hotelu w Kansas, w którym zatrzymała się O’Dell?

Tully wyobraził sobie, jak świetnie zorganizowana Anita niezwłocznie dociera do właściwej informacji. Cunningham

zatrzymał sekretarkę, którą odziedziczył po swoim poprzedniku, i zdawał się na jej doświadczenie i kompetencje w wielu ważnych sprawach, którymi sam nie mógł się zająć. Anita, jeśli to w ogóle możliwe, była jeszcze bardziej skrupulatna niż jej szef.

– Dobrze – powiedział Cunningham do słuchawki. – Bądź tak dobra i skontaktuj się z nią, choćbyś miała zostawić tylko wiadomość. Znajdź ją, jeśli się już wymeldowała. Chcę ją widzieć w swoim biurze jutro o ósmej rano. – Zawahał się i słuchał przez chwilę, trąc nos pod okularami. – Aha, zapomniałbym. Więc O'Dell ma być o dziewiątej. Dziękuję, Anito. – Odłożył słuchawkę i spojrzał wyczekująco na Tully'ego.

– Jak długo chce pan ją trzymać z dala od tej sprawy? – odważył się wreszcie Tully na pytanie, które samo się nasuwało na usta.

– Tak długo, jak to będzie konieczne.

Tully przyglądał się bacznie twarzy szefa i nic nie potrafił odczytać z nieporuszonego, pełnego rezerwy oblicza. Darzył Cunninghama ogromnym szacunkiem, ale za słabo go znał, by wiedzieć, jak daleko może się posunąć. Postanowił jednak zaryzykować.

– Jestem pewien, że ona go śledzi. Sama… To dlatego przesunęła lot.

– Tym bardziej należy ją tu ściągnąć. – Cunningham przetrzymał spojrzenie Tully'ego, dając mu ostrzeżenie, żeby nie przeciągał struny. – Co jeszcze słychać w Newburgh Heights?

– Mamy samochód dziewczyny z pizzerii. Był na parkingu przy lotnisku, tuż obok wozu kompanii telefonicznej, którego kradzież zgłoszono dwa tygodnie temu.

– Wiedziałem. – Cunningham oparł się znów i zaczął bębnić palcami po blacie. – Stucky już tak robił. Kradł auto, a czasem tylko tablice rejestracyjne, z parkingu na lotnisku. Samochody stoją tam dłużej niż gdzie indziej, więc zawsze miał szansę, że zdąży je oddać, zanim wróci właściciel. Skonfiskowali już ten wóz?

Tully przytaknął, kartkując informacje, jakie miał na ten temat.

– Mało prawdopodobne, by Stucky coś istotnego tam zostawił. Samochód jest czysty. Znaleźliśmy jednak dwa zamówienia.

Pogrzebał w teczce i wyjął dwa świstki papieru, jeden podarty, a drugi ze śladami zgniecenia. Oba leżały na podłodze samochodu dziewczyny. Czerwona plama w rogu okazała się sosem, a nie krwią. Tully podał kartki szefowi.

– Ta podarta jest z pierwszej tury. Numer czwarty na liście to nowy adres agentki O’Dell.

Cunningham wbił łokcie w biurko. Po raz pierwszy po trzech miesiącach pracy w Quantico Tully dostrzegł złość na twarzy szefa. Jego oczy zwęziły się.

– A zatem ten pieprzony drań nie tylko wie, gdzie ona mieszka, ale jeszcze ją śledzi.

– Na to wygląda. Rozmawiałem z agentem Delaneyem. Powiedział, że ta kelnerka z Kansas, gdy całą trójką poszli do knajpy, rozmawiała z nimi w niedzielny wieczór. Może

Stucky wybiera kobiety, z którymi O’Dell ma jakiś kontakt? Pewnie liczy, że poczuje się odpowiedzialna za ich śmierć.

– To kolejna cholerna gra. On ma obsesję na punkcie Maggie. Wiedziałem, że jej nie odpuści.

– Chyba tak. Wolno coś dodać, sir?

– Oczywiście.

– Zaproponował mi pan agenta do pomocy. A także psychologa kryminalnego. To domena O’Dell. Zasugerował pan nawet, że mamy pod ręką kogoś, kto odpowie nam na pytania związane z medycznym aspektem sprawy. Jeśli się nie mylę, O’Dell studiowała jakiś czas medycynę. – Tully urwał, dając szefowi szansę, żeby go przystopował. Ale Cunningham patrzył tylko na niego ze stoickim wyrazem twarzy i po prostu czekał. – Proszę zatem oficjalnie – ciągnął Tully – o agentkę O’Dell, zamiast trzech czy czterech dodatkowych ludzi. Jeśli Stucky ją namierza, tylko ona może nam pomóc go złapać.

Tully spodziewał się złości, a przynajmniej zniecierpliwienia szefa. Tymczasem twarz Cunninghama pozostała bez wyrazu.

– Zastanowię się nad pańską prośbą – powiedział. – Proszę dać mi znać, jak przyjdą z Kansas jakieś nowe informacje.

– Tak, sir – rzekł Tully i podniósł się. Było oczywiste, że rozmowa dobiegła końca.

Zanim jednak dotarł do drzwi, Cunningham znów złapał za telefon, a Tully zastanowił się, czy jego prośba została już załatwiona odmownie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Maggie nie mogła się doczekać, aż zrzuci z siebie wilgotne, śmierdzące ubranie. Wszyscy w hotelowym foyer potwierdzili jej podejrzenia. Zwyczajnie cuchnęła. Dwie osoby nagle musiały wyjść z windy, a ci, którzy dzielnie podróżowali z nią w górę, starali się przez wszystkie dwadzieścia trzy piętra wstrzymywać oddech.

Inspektor Ford podrzucił ją i Nicka do hotelu, a sam pojechał do domu, gdzie czekała go rozmowa z żoną, która na pewno będzie ciekawa, czemu jej mąż śmierdzi jak worek ze śmieciami. Pokój Nicka znajdował się w południowej wieży ogromnego hotelowego kompleksu, co tłumaczyło, dlaczego dotąd nie wpadli na siebie z Maggie. Znaczyło to też, że obie windy trzeba będzie zdezynfekować.

Wszyscy troje spędzili kilka godzin przetrząsając śmietniki, przeszukując kosze i szukając porzuconych w restauracjach i barach plastikowych pojemników. Sprawdzali parapety, schody przeciwpożarowe i doniczki na kwiaty. Maggie nawet nie zauważyła czarnych burzowych chmur, dopóki nie zerwała się ulewa, zmuszając ich do zakończenia poszukiwań. Oczywiście gdyby była sama, nie poddałaby się, bo deszcz w przyjemny sposób zmywał z niej napięcie i smród. Jednak grzmoty i błyskawice sprawiły, że stała się jeszcze bardziej nerwowa.

Inspektor Ford zapewnił ją, że Albert Stucky zostanie uznany za podejrzanego w sprawie zabójstwa Rity, nawet jeśli nie znajdą brakującej nerki. Maggie nie mogła pojąć, dlaczego Stucky odstępuje od swoich zwyczajów. A może niepodejrzewający niczego klient któregoś z barów zabrał nerkę Rity do domu? Może schował pojemnik do lodówki, nawet nie zaglądając do niego? To idiotyczne, Maggie nie dopuszczała nawet takiej myśli. Ale nic więcej nie mogła teraz zrobić.

Gdy tylko znalazła się w swoim pokoju, zobaczyła, że czerwona lampka w jej aparacie telefonicznym mruga. Postanowiła natychmiast odsłuchać wiadomość. Alarmujące informacje o kolejnej próbie samobójczej jej matki były dla niej czymś tak powszednim jak manikiur dla innych kobiet. Ale czyż matka nie miała nowych przyjaciół, którzy mieli się nią opiekować? Kto zatem mógł do niej dzwonić? Na sekretarce była tylko jedna wiadomość i, jak się okazało, była naprawdę pilna.

– Mówi Anita Glasco w imieniu dyrektora Cunninghama. Agentko O’Dell, dyrektor chce panią widzieć w swoim biurze jutro o dziewiątej rano. Proszę do mnie oddzwonić, gdyby było to dla pani niemożliwe. Dziękuję i życzę szczęśliwej podróży, Maggie.

Uśmiechnęła się, słysząc uspokajający głos Anity, mimo iż wiadomość zdenerwowała ją. Zaczęła krążyć po pokoju, żeby powstrzymać złość, zanim na dobre ją schwyci. Zirytował ją sposób, w jaki szef zapewnił sobie jej niezwłoczny powrót. Wiedział, że Maggie nigdy nie

zlekceważyłaby jego prośby o spotkanie. Ciekawa była, co Cunningham wie dotąd o sprawie Rity, czy w ogóle był łaskaw się z nią zapoznać. W końcu Delaney na pewno przedstawił to tak, jakby Maggie popadła w obłęd, uległa halucynacjom.

Sprawdziła, która godzina, i zeskrobała coś zaschniętego i szeleszczącego ze swojej twarzy. Do wieczornego lotu miała jeszcze sześć godzin. Był to ostatni tego dnia samolot do Waszyngtonu. Jeśli ma się spotkać z Cunninghamem rano, nie może dłużej odwlekać powrotu. Ale jak, do diabła, ma opuścić Kansas City ze świadomością, że jest tu Albert Stucky, że gdzieś się czai w tym mieście? Może właśnie w tej chwili szuka kolejnej ofiary?

Dwa razy sprawdziła drzwi. Zamknęła je dodatkowo na łańcuch i podstawiła pod klamkę drewniane krzesło. Potem rozebrała się do bielizny i wrzuciła śmierdzące ubrania i buty do plastikowego worka. Wciąż jednak czuła smród, zapakowała więc ten worek do dwóch kolejnych, aż odurzający fetor został zablokowany.

Udała się do łazienki, nie zapominając o smith & wessonie. Położyła go na półce, by cały czas był pod ręką. Nie zamykając drzwi do łazienki, zdjęła biustonosz i figi. Wreszcie mogła wziąć prysznic.

Silny strumień wody bił i masował jej ciało. Podkręciła temperaturę tak bardzo, ile tylko zdołała wytrzymać. Pragnęła pozbyć się nie tylko odoru, ale też lęku, który zakradł się jej pod skórę. Tej plagi robali, która atakowała ją zawsze, kiedy wiedziała, że Albert Stucky jest w pobliżu.

Szorowała się zapamiętale, aż skóra jej poczerwieniała. Chciała oczyścić umysł, chciała, żeby jej ciało zapomniało o ranach.

Kiedy wyszła spod prysznica, przetarła zaparowane lustro. Patrzyły na nią z lustra brązowe oczy, w których już była widoczna ta przeklęta słabość. Blizna też znajdowała się na swoim miejscu. Jej ciało stało się księgą pamiątkową.

Blizna zaczynała się tuż pod piersią. Maggie zmusiła się, żeby dotknąć jej czubkiem palca wskazującego. Żeby prześledzić dotykiem wypukłość, która ciągnęła się aż do brzucha.

„Wypatroszyłbym cię w sekundę”. Tak do niej mówił, dobrze to pamiętała. Nie, Stucky jej nie informował, on jej to obiecywał. Wtedy była gotowa na śmierć. Złapał ją w pułapkę. Zmusił, żeby patrzyła, jak kroi i patroszy dwie kobiety. Towarzyszyła ich śmierci. Groził, że jeśli Maggie zamknie oczy, przyprowadzi następną kobietę i zrobi z nią to samo. I dotrzymał słowa.

Od tamtych obrazów i dźwięków nie było ucieczki. Zakrwawione piersi, trzask pękających kości, łomot kija baseballowego spadającego na czaszkę. Tyle tam było krwi, która tryskała z pociętych żył i tętnic, od noża zatapianego w brzuchach i macicach... Dla Stucky’ego nie istniały żadne granice, nie było żadnych sentymentów czy świętości. Tak, był potworem, ale czyżby takim się urodził? Czy jako nastolatek nie przeżywał pierwszego zauroczenia, nie całował się z jakąś koleżanką, nie dotykał jej piersi? Czy nigdy nie zdawało mu się, że jest zakochany? Czy od razu

był owym nieludzkim monstrum, traktującym kobiece ciało, z całą jego tajemną intymnością, jako obiekt krwawej zabawy? Tak, zabawy. Ciął i kroił, rozrywał i niszczył, a krzyki sprawiały mu przyjemność i dodawały animuszu. Ot, takie... hobby. Nie szaleńcza namiętność, nie chory, schizofreniczny przymus, tylko ulubione zajęcie.

Czuła, że jest ochlapana krwią, zbryzgana kawałkami kości i fragmentami mózgu, słyszała rozrywające głowę krzyki o pomoc i plaśnięcia zakrwawionych ludzkich organów. Co jeszcze mógł jej zrobić? Śmierć byłaby wybawieniem. Ale nie, on tylko zostawił jej wieczną pamiątkę po sobie, tę szramę.

Maggie schwyciła koszulkę i szybko ją nałożyła, mimo że była mokra, bo musiała jak najprędzej zakryć swoje ciało. Potem wzięła z szafki czystą zmianę bielizny i spodnie. Wciąż kapało jej z włosów, kiedy z wielką ulgą znalazła w podręcznej lodówce dwie miniaturowe buteleczki szkockiej. Dzięki Bogu za dobrą pracę hotelowego personelu.

Nagle przestraszyło ją lekkie stukanie do drzwi. Szybko porwała z łazienki broń. Zanim odsunęła krzesło spod drzwi, spojrzała w judasza. Nick miał mokre i zmierzwione włosy. Przebrał się w czyste dżinsy i świeżo wyprasowaną koszulę, której rękawy podwinął do łokcia.

Maggie odstawiła krzesło na miejsce przy biurku i wsadziła rewolwer z tyłu za pasek spodni. Dopiero gdy otworzyła drzwi i wzrok Nicka prześliznął się wzdłuż jej

ciała, uprzytomniła sobie, że wprawdzie włożyła cienki podkoszulek, ale zapomniała o biustonoszu.

– Szybki jesteś – powiedziała, ignorując ogarniające ją emocje, spowodowane spojrzeniem Nicka.

– Natychmiast wyskoczyłem z tamtych ciuchów. – Był wyraźnie zażenowany. – Buty będę musiał wyrzucić. Jest na nich jakieś paskudztwo, którego nawet nie potrafię zidentyfikować.

Mierzyli się wzrokiem. Jego obecność, jego zapach wytrącały ją z równowagi. Nie mogła myśleć, była podniecona. Mówiła sobie, że to gorący prysznic tak ją rozgrzał.

– Pomyślałem sobie, że może skoczymy na drinka albo coś zjemy – wykrztusił wreszcie. – Znajdziesz jeszcze czas przed odlotem?

– Powinnam… umm… powinnam się przebrać.

Jego oczy nie pozwalały jej odejść. Była wściekła na siebie za to, że tak bardzo pragnęła go dotknąć. Trzeba zamknąć drzwi, pomyślała, wziąć w karby swoje zmysły, pozbierać się. Tymczasem usłyszała, jak sama mówi:

– Wejdź, co tak stoisz w progu?

Wahał się i trwało to tak długo, że gdyby tylko chciała, miała szansę odwołać zaproszenie. Jednak usunęła się, robiąc mu przejście, a potem podeszła do szafy, wyrzucając z niej po omacku różne rzeczy, udając, że czegoś szuka, choć tak naprawdę chodziło tylko o pretekst, by nie patrzeć na Nicka.

W końcu wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi.

– Spędzamy sporo czasu w hotelowych pokojach.

Zerknęła na niego, zdenerwowana wspomnieniami, które wywołały na jej policzkach rumieniec. W małym pokoju hotelowym w Platte City, w stanie Nebraska, o mały włos nie przespali się ze sobą. Pięć miesięcy później czuła to samo podniecenie. Nie mogła się temu nadziwić. Jak Nick zdołał, pojawiając się ni stąd, ni zowąd, zaatakować ją taką masą uczuć, skoro właśnie przeżywała emocje całkiem innego rodzaju?

Wyciągnęła z szafy biały sweterek pod szyję, zrobiony z bawełnianej przędzy, luźny i wygodny. Tym razem nie zapomniała też o biustonoszu.

– Zaraz będę gotowa – rzuciła, znikając w łazience.

Przebrała się szybko, starając się nie dotykać swojego ciała. Ręcznikiem wytarła włosy i zaczesała je do tyłu, sięgając po suszarkę, lecz w końcu z niej zrezygnowała. Przez chwilę miała zamiar zostawić rewolwer, ale się rozmyśliła, ściągając tylko do dołu sweter i sprawdzając w lustrze, czy dokładnie zakrywa broń.

Nick stał przy oknie i przyglądał się, jak Maggie wkłada skarpetki i wsuwa stopy do butów.

– Wciąż cię dręczą koszmary? – Wskazał na buteleczki szkockiej stojące na stole.

– Tak – prawie warknęła, a potem odwróciła się i sięgnęła po odznakę oraz pieniądze. Nie życzyła sobie, żeby Nick Morrelli wtrącał się w jej życie osobiste i myślał, że ma prawo dzielić z nią czy też wytykać jej słabości. – Gotowy? –

spytała. Ruszyła ku drzwiom i otworzyła je bez oglądania się na Nicka.

O mały włos nie przewróciła się o tacę, która leżała na korytarzu tuż przy jej pokoju. Spojrzała w dół na talerz przykryty srebrną pokrywą. Na białej, świeżo odprasowanej lnianej serwetce połyskiwały sztućce i dwie puste szklanki.

– Zamawiałeś coś? – spytała Nicka, który stał już u jej boku.

– Nie. I nie słyszałem, żeby ktoś pukał.

Przeszedł nad tacą i rozejrzał się po korytarzu. Maggie nasłuchiwała, nie było jednak słychać żadnych kroków, trzaskających drzwi ani windy.

– To pewnie pomyłka – powiedział Nick, nie zdołał jednak ukryć zdenerwowania.

Maggie przyklękła obok tacy. Zaczynała się bać. Ostrożnie, kciukiem i palcem wskazującym wysunęła lnianą serwetkę spod sztućców. Rozwinęła ją, a następnie za jej pomocą chwyciła srebrną pokrywę. Uniosła ją i w jednej chwili korytarz wypełnił się nieznośnym odorem.

– Jezu… – szepnął Nick i cofnął się.

Na środku talerza leżała krwawa masa. Maggie wiedziała, że to brakująca nerka Rity.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Nie minęło kilka minut, gdy hotelowe foyer zapełniło się policjantami z całego Środkowego Wschodu. Wszystkie wyjścia i windy zostały obstawione, dokładnie spenetrowano korytarze na dwudziestu pięciu piętrach, sprawdzono też podziemia. Przesłuchano obsługę i pracowników kuchni. Jednak Maggie wiedziała, że i tak nikt niczego nie znajdzie.

Dla każdego zbrodniarza przebywanie w hotelu pełnym glin, szeryfów, detektywów i agentów FBI graniczyłoby z czystym samobójstwem, a demonstracyjne ujawnianie swojej obecności za pomocą makabrycznego dowodu zbrodni byłoby niemieszczącym się w głowie szaleństwem. Lecz dla Alberta Stucky'ego był to tylko kolejny punkt do zdobycia w toczącej się grze. Maggie widziała oczami wyobraźni, jak Stucky siedzi sobie gdzieś na boku i rozbawiony przygląda się całemu temu zamieszaniu, błądzeniu, daremnym poszukiwaniom. Dlatego postanowiła sprawdzić miejsca najmniej podejrzane.

Na pierwszym piętrze hotelu znajdowało się atrium, z którego widać było w dole cały hol wejściowy. Stanęła przy mosiężnej balustradzie, lustrując hol: kolejkę przy rezerwacji, mężczyznę przy fortepianie, kilku gości przy stolikach w zamkniętej szklanymi ścianami kafejce, mężczyznę za ladą recepcji, kierowcę taksówki

dźwigającego bagaże. Stucky mógł łatwo wmieszać się w to tło. Pasowałby tu. Nikt z obsługi nie zauważyłby go, gdyby wszedł do kuchni w białej bluzie i czarnym krawacie.

– I co?

Maggie podskoczyła, ale zdołała się powstrzymać i nie chwyciła za broń.

– Wybacz. – Nick miał szczerze strapioną minę. – Byłby idiotą, gdyby się tu jeszcze kręcił. Moim zdaniem już dawno go tu nie ma.

– Stucky lubi obserwować. Reakcje ludzi wyraźnie go bawią. Połowa z tych policjantów nie ma bladego pojęcia, jak on wygląda. Jeśli będzie siedział cicho, mogą go nigdy nie znaleźć. On posiada diabelską zdolność do wtapiania się w tłum.

Maggie wciąż lustrowała hol. Czuła, że Nick na nią patrzy. Miała już dosyć tego ciągłego obstrzału spojrzeń, jakby wszyscy tylko czekali, aż kompletnie się posypie. Chociaż Nick pewnie naprawdę się martwił.

– Nic mi nie jest – powiedziała, odpowiadając na niewypowiedziane pytanie.

– Wiem. Mimo to niepokoję się. – Przechylił się przez balustradę, ocierając się ramieniem o jej ramię.

– Cunningham uważa, że chroni mnie, trzymając z dala od tego śledztwa.

– A ja nie mogłem zrozumieć, co cię skłoniło do pracy dydaktycznej. John powiedział o plotkach, że się wypaliłaś, straciłaś pazur.

Domyślała się tego, a jednak te słowa zabolały jak policzek. Wystrzegała się wzroku Nicka. Odsunęła z oka kosmyk włosów, zakładając go za ucho. Pewnie wyglądała jak szalona... agentka FBI, pomyślała, z potarganymi włosami i w obwisłym ubraniu.

– Też tak myślisz? – spytała, niepewna, czy chce znać odpowiedź.

Stali ramię w ramię, wsparci o balustradę, ale ich oczy mijały się, unikając niebezpiecznego zbliżenia. Nick milczał zbyt długo.

– Powiedziałem Johnowi, że ta Maggie O’Dell, którą znam, jest twarda jak stal. Na własne oczy widziałem, jak przykładano ci nóż i nic.

Jej kolejna skaza. Szalony morderca chłopców, którego ścigali z Nickiem w Nebrasce, rzucił się na nią z nożem i zostawił ją w podziemnym tunelu, by wykrwawiła się na śmierć.

– Cios nożem wydaje mi się dużo łatwiejszy do przeżycia niż to, co robi ze mną Stucky.

– Wiem, że nie to chciałabyś usłyszeć, Maggie, ale moim zdaniem Cunningham dobrze robi, trzymając cię od tego z daleka.

Tym razem na niego spojrzała.

– Jak możesz tak mówić? Przecież to jasne, że Stucky znowu ze mną gra.

– No właśnie. Chce cię znów włączyć w swoje gierki. Po co mu się tak podstawiać?

– Nie rozumiesz, Nick. – O mało nie wybuchnęła złością. Starała się jednak mówić spokojnie i cicho. Rozmowa o Stuckym łatwo mogła doprowadzić ją na krawędź histerii. – Stucky będzie mnie prowokował, czy będę w tym śledztwie, czy nie. Cunningham nie jest w stanie mnie ochronić, a na dodatek nie pozwala mi działać.

– Zdaje się, że to on kazał ci wracać dziś wieczór?

– Agent Tully odbierze mnie z lotniska niczym drogocenną przesyłkę – zadrwiła. Nawet nie próbowała ukrywać złości, bo niby po co? – To śmieszne, Nick. Albert Stucky jest tu, w Kansas City. Powinnam tu zostać.

Nick nie wymyślił żadnego sensownego komentarza. W milczeniu wpatrywali się w tłum na dole. Nie patrzyli na siebie, pilnowali, by ich oparte o barierkę dłonie przypadkiem się nie musnęły. Aż wreszcie Nick przysunął się do Maggie i delikatnie przywarł do jej ramienia, a ona nagle poczuła się bezpiecznie. Już nie była sama.

– Wciąż mi na tobie zależy, Maggie – rzekł cicho, patrząc w bok. – Myślałem, że już zapomniałem. Próbowałem zapomnieć. Ale kiedy zobaczyłem cię dziś rano, wiedziałem, że nic się nie zmieniło.

– Nie chcę o tym mówić, Nick. Nie mogę. Nie teraz. – Żołądek miała skurczony ze strachu i oczekiwania. Nie potrzebowała żadnych innych emocji.

– Dzwoniłem do ciebie, kiedy przeniosłem się do Bostonu – ciągnął Nick, jakby jej nie słyszał.

Spojrzała na niego. Czyżby miał jej coś ważnego do powiedzenia? Wątpiła, by ten nieuleczalny flirciarz nagle

wewnętrznie się odmienił.

– Nie wiedziałam – odparła, zaciekawiona i przestraszona, że to może być kłamstwo.

– W Quantico nie chcieli mi powiedzieć, gdzie jesteś ani kiedy wrócisz. Powiedziałem im nawet, że dzwonię z biura prokuratora okręgowego z Suffolk. – Zerknął na nią z uśmiechem. – Niestety, nie zrobiłem na nich wrażenia.

Bezpieczna historyjka. Nie do sprawdzenia. Skupiła się znów na holu. Trzej mężczyźni taszczyli bagaże, idąc za dobrze ubraną kobietą o srebrnych włosach, w płaszczu przeciwdeszczowym London Fog, który nie miał na sobie ani kropli deszczu.

– W końcu zadzwoniłem do kancelarii Grega.

– Co?

Odsunęła się gwałtownie od balustrady, czekając, aż Nick zrobi to samo i popatrzy jej w oczy.

– Ani ciebie, ani twojego męża nie ma w książce telefonicznej Wirginii – bronił się Nick. – Miałem nadzieję, że w kancelarii Brackman, Harvey i Lowe nie zlekceważą tego, że ktoś z biura prokuratora okręgowego chce rozmawiać z jednym z ich prawników, mimo że jest po godzinach.

– Rozmawiałeś z Gregiem?

– Naprawdę nie zamierzałem. Miałem nadzieję, że to ciebie złapię w domu. Pomyślałem, że jeśli odbierze Greg, powiem, że muszę się z tobą porozumieć w sprawie niedokończonego śledztwa w Nebrasce. Byłem pewien, że nadal szukasz księdza Kellera.

– Ale Greg tego nie kupił?

– Nie. – Nick, choć zakłopotany, mówił dalej: – Powiedział, że staracie się uratować wasze małżeństwo i poprosił jak dżentelmen, żebym to uszanował i trzymał się z daleka.

– Greg tak powiedział? Że jest dżentelmenem? Jakby wiedział, co to znaczy. – Potrząsnęła głową i znów spojrzała na dół, udając, że zajęła ją krzątanina w holu. Greg tak się wyćwiczył w sztuce kłamstwa, że pewnie sam zaczął wierzyć w swoje brednie. – Dawno to było?

– Parę miesięcy temu. – Dołączył do niej, tym razem stając w pewnej odległości.

– Miesięcy? – W głowie jej się nie mieściło, że Greg nawet jej o tym nie wspomniał, że się nie zdradził podczas jakiejś sprzeczki.

– Zaraz po tym, jak się przeprowadziłem, czyli musiał to być ostatni tydzień stycznia. Odniosłem wrażenie, że wciąż mieszkacie razem.

– Zdecydowaliśmy, że przez jakiś czas zostaniemy w tamtym mieszkaniu, bo i tak rzadko tam bywaliśmy. Ale poprosiłam Grega o rozwód w sylwestra. Pewnie myślisz, że okazałam się bezduszna. – Patrzyła, jak sprzątacze wjeżdżają do holu z wielkimi przyrządami do woskowania podłogi. – Byliśmy na przyjęciu urządzonym przez jego firmę. Chciał, żebyśmy grali szczęśliwą parę. – Przełożony personelu technicznego miał podkładkę do pisania, na nogach eleganckie buty. Maggie wyciągnęła szyję, żeby przyjrzeć się jego twarzy. Był młodszy i wyższy od Stucky’ego. – Wszyscy mi gratulowali, witali w nowej pracy.

Zepsuli Gregowi niespodziankę. Załatwił mi posadę szefa działu dochodzeniowego w jego firmie, tylko drobiazg, zapomniał mnie o tym poinformować. Nie mógł potem zrozumieć, dlaczego nie skaczę z radości. Przecież dużo przyjemniej przekopywać się przez dokumenty wielkich korporacji, szukając źle wykorzystanych funduszy, niż grzebać w śmietnikach w poszukiwaniu ludzkich organów.

– Jezu, faktycznie głupio zrobił.

Odwróciła się do niego i nagrodziła uśmiechem.

– Jestem strasznie upierdliwa, co?

– Tak, i bardzo piękna.

Zarumieniła się i szybko odwróciła głowę, zirytowana na Nicka, który sprawił, że nagle poczuła się kobietą, gdy świat wokół wariował.

– W końcu, w zeszłym tygodniu, przeprowadziłam się do własnego domu. Sprawa rozwodowa powinna być sfinalizowana w ciągu paru tygodni.

– Może byłabyś bezpieczniejsza, gdybyś została w tamtym mieszkaniu? Ze względu na Stucky'ego.

– Newburgh Heights to prawie przedmieście Waszyngtonu i jedna z najbezpieczniejszych okolic w Wirginii.

– Taa, ale nie podoba mi się, że mieszkasz sama.

– Wolę być sama, bo gdyby do mnie trafił, nikt inny nie ucierpi. Nie tym razem.

– Jezu, Maggie! Chcesz, żeby on cię znalazł?

Nie patrzyła na niego. Nie chciała widzieć jego zatroskanej twarzy. Nie zdołałaby tego udźwignąć. Skoncentrowała się na mężczyznach w niebieskich

kombinezonach, którzy walczyli z mopami. Nie doczekawszy się odpowiedzi, Nick chwycił Maggie za rękę i przycisnął ją do piersi, i trzymał tam, ogrzewając ją na swoim sercu. Stali i patrzyli, jak ludzie na dole woskują hotelową posadzkę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Waszyngton, Dystrykt Kolumbia
Środa, 1 kwietnia

Czuł na sobie wzrok doktor Gwen Patterson, kiedy białą laską stukał o jej meble, szukając miejsca, gdzie mógłby usiąść. Ładne gniazdko. W gabinecie unosił się zapach kosztownej skóry i polerowanego drewna. Ale dlaczego miałoby być inaczej? Była kobietą z klasą, wyrafinowaną, obytą, mądrą i utalentowaną. Nareszcie trafił swój na swego, jak to mówią.

Przetarł dłonią blat biurka, nie znajdując wiele przeszkód – telefon, kilka bloczków z kartkami na notatki i terminarz, otwarty na środzie, pierwszym dniu kwietnia. Dopiero wtedy przypomniało mu się, że to prima aprilis. Co za ironia! O mało się nie uśmiechnął. Odwrócił się i niewiele brakowało, a zderzyłby się z komódką. Antyczna waza cudem uszła z życiem. Okno nad komódką wychodziło na Potomac. Widział w szybie, że Gwen skrzywiła się na widok jego lekkomyślnych zmagań.

– Sofa jest po pana lewej stronie – poinstruowała go w końcu, nie ruszając się zza biurka. Usłyszał w jej głosie powściągane zniecierpliwienie, a mimo to nie przyszła mu z pomocą. Znakomicie. Zdała pierwszy test na piątkę.

Wyciągnął rękę, trafiając na miękką skórę. Usadowił się ostrożnie.

– Napije się pan czegoś, zanim zaczniemy?

– Nie – żachnął się, choć nie miał powodu, żeby być niegrzecznym, poza jednym, a mianowicie że niepełnosprawnym zawsze uchodziło to na sucho. Był to powszechnie uznawany przywilej inwalidztwa, zresztą jeden z nielicznych. Wreszcie, by doktor Patterson nie uznała, że z niego straszny cham, dodał uprzejmie: – Wolałbym, żebyśmy od razu przeszli do rzeczy.

Położył laskę blisko siebie, zwinął skórzaną kurtkę i umieścił ją na kolanach. Pokój był ciemny, żaluzje zasunięte do połowy. Zastanawiał się, czemu zadała sobie tyle trudu. Poprawił na nosie okulary przeciwsłoneczne. Szkła były odblaskowe, więc nikt nie mógł zobaczyć jego oczu. Nikt nie domyślał się, że on widzi. Fantastyczny sposób na podglądanie. Wszyscy, którzy gapili się na niego, czuli się bezkarni, dlatego nie kryli swego współczucia. Nikomu nie przyszło do głowy sprawdzić, czy ten ślepiec naprawdę jest ślepy. Bo po co, u diabła, ktoś miałby udawać ślepca?

Tyle że, o ironio, kłamstwo mogło się zamienić w prawdę. Lekarstwa przestawały działać i nie sposób było zaprzeczać faktom: widział coraz gorzej. Tyle razy mu się dotąd udawało, czyżby szczęście w końcu go opuściło? Nie, nie wierzył w jakieś bzdurne przeznaczenie. No to co, że potrzebuje niewielkiej pomocy, jednego czy dwu rekwizytów, wsparcia starego przyjaciela, żeby wnieść

w swoje życie trochę radości? Czyż nie po to właśnie są przyjaciele?

Przechylił na bok głowę, niby po to, by lepiej słyszeć doktor Patterson, a tak naprawdę, żeby mierzyć ją wzrokiem. Patrząc przez ciemne szkła w półmroku pokoju, musiał mrużyć oczy. Terapeutka nie spuszczała z niego wzroku, siedząc wygodnie na krześle, opanowana i pewna siebie.

Wreszcie wstała i sięgnęła po żakiet od kostiumu wiszący na oparciu krzesła, ale po chwili wahania zostawiła go na miejscu. Następnie obeszła biurko i oparła się o jego nieskazitelnie czysty blat. Teraz była dokładnie na wprost pacjenta. W tej chwili wyglądała na osobę łagodną i słabą. Miała gładką skórę, wgłębienia i wypukłości tam gdzie trzeba i niewiele zmarszczek jak na kobietę dobrze po czterdziestce. Jasne włosy nosiła rozpuszczone, łagodnie głaskały jej podbródek. Ciekaw był, czy to jej naturalny kolor włosów. Uśmiechnął się. Może będzie musiał sam znaleźć odpowiedź?

Oparł się plecami o sofę. Boże, jak doktor Patterson cudownie pachniała, chociaż nie potrafił zidentyfikować perfum. Zazwyczaj trafnie rozpoznawał kosmetyki używane przez jego kobiety, ale ten zapach był mu nieznany. Cienka czerwona jedwabna bluzka pozwalała zobaczyć małe krągłe piersi i wzniesienia sutków. Cieszył się, że terapeutka nie włożyła żakietu. Położył dłonie na kolanach, upewniając się, że kurtka szczelnie zakrywała rosnącą wypukłość. Był rad,

że nowa dieta składająca się z filmów porno pomogła mu wyleczyć przejściowe kłopoty.

– Tak jak w przypadku wszystkich moich pacjentów, panie Harding – zaczęła nareszcie – chciałabym poznać najpierw pański cel. Co chce pan osiągnąć dzięki naszym spotkaniom?

Powstrzymał uśmiech. Doktor Patterson właśnie spełniała jeden z jego celów. Pochylił głowę w jej kierunku i patrzył dalej na jej piersi.

– Nie jestem pewny, czy rozumiem pytanie. – Nauczył się, że dobrze jest stwarzać kobietom okazję do wyjaśnienia sprawy. Czuły się wtedy górą, a on chciał, aby ona uwierzyła, że ma nad nim kontrolę.

– Mówił mi pan przez telefon – ciągnęła, dobierając starannie słowa – że chce pan popracować nad jakimiś problemami dotyczącymi pana życia seksualnego. – Ani nie podkreśliła określenia „życie seksualne”, ani nie zawahała się, wypowiadając je. To dobrze, bardzo dobrze. – Muszę wiedzieć dokładniej, czego pan ode mnie oczekuje, żebym mogła panu pomóc. Co spodziewa się pan osiągnąć dzięki naszym spotkaniom?

Nadszedł czas, żeby sprawdzić, czy łatwo ją zaszokować.

– To proste. Chcę znowu pieprzyć kobiety.

Zamrugała, a jej jasna twarz odrobinę się zaróżowiła, jednak nie wykonała najmniejszego choćby gestu. Trochę go to rozczarowało. Może powinien posunąć się dalej i dodać, że chciałby tak pieprzyć się z kobietą, aby jej nie zapieprzyć na śmierć. Jego nowe zwyczaje nie różniły się

zbytnio od tych, które obowiązują w świecie owadów i innych zwierząt. Może powinien porównać swoje rytuały seksualne do obyczajów modliszki, która odgryza głowę partnera, kiedy ten zaczyna kopulację.

Czy byłaby w stanie zrozumieć, że orgazm, w ogóle wszelka satysfakcja erotyczna, zwiększa się niepomiernie, gdy łączy się z bólem? Czy powinien jej wyznać, że widok kobiety zalanej krwią i krzyczącej o litość powoduje w nim eksplozję orgazmu, której nie osiągnąłby w żaden inny sposób? Czy pojęłaby, że przez tę odrażającą konieczność może stracić fundamenty swego istnienia, ostatni pierwotny instynkt?

Nie, nie podzieli się z nią niczym podobnym, to jednak zbyt wiele. Tak zachowałby się Albert Stucky, najpierw epatując słowami, a potem, gdyby zdarzyła się okazja, zamieniając je w czyn, lecz on musi się pohamować i nie zniżać do poziomu swojego starego przyjaciela.

– Może mi pani pomóc, pani doktor? – spytał, wysuwając brodę, jakby nasłuchiwał jej ruchu, jej reakcji.

– Na pewno mogę spróbować.

Przeniósł wzrok ponad jej ramię, obracając się nieco w bok, mimo że stała przed nim.

– Pani się rumieni – powiedział i pozwolił sobie na szorstki uśmiech.

Czerwień na jej policzkach pogłębiła się. Uniosła dłoń na wysokość szyi w bezskutecznej próbie powstrzymania tego procesu.

– Dlaczego pan tak sądzi?

Czyżby zaprzeczała? Czyżby miała go rozczarować kłamstwem?

– Zgaduję – rzekł łagodnie, zachęcając ją, by mu zawierzyła, by mu pozwoliła dotrzeć do swoich skrywanych słabości. Jeśli ma zrealizować zamierzony cel, doktor Gwen Patterson nie może poczuć się zagrożona. Jako specjalistka zasłużenie cieszyła się dobrą opinią. Zdobyła renomę, wnikając w umysły najsłynniejszych i najgroźniejszych, najbardziej zdeprawowanych przestępców. Zastanawiał się, co by pomyślała, gdyby wiedziała, że tym razem to ona jest królikiem doświadczalnym.

– Powinien pan wiedzieć, że jestem psychologiem o dosyć długim stażu – próbowała zbagatelizować swoją reakcję, ale zauważył, że rumieniec pozostał na jej twarzy. – Słyszałam mnóstwo szokujących historii, o wiele bardziej szokujących niż pański problem. Nie musi się pan martwić, że mnie pan zawstydzi, panie Harding.

No dobra, więc chce działać ostrożnie i zachować dystans, nie dając mu dostępu do swego wnętrza. Ale i tak był podekscytowany. Cieszyło go to wyzwanie.

– Być może – kontynuowała – na początek powinien pan mi powiedzieć, dlaczego nie znajduje pan już przyjemności w seksie?

– Czy to nie oczywiste? – Posłużył się tonem, który wydoskonalił do perfekcji. Takim, w którym była złość, uraza, a przy tym na tyle smutnym, że wywoływał stosowną miarkę współczucia. Zazwyczaj to się sprawdzało.

– To nie jest oczywiste.

Wsadził jedną rękę pod zawiniątko kurtki. Jak ona to ułatwiała! Jak to się mówi, podstawiała mu wszystko pod nos. Położył dłoń na nabrzmiałym członku.

– Jeśli myśli pan, że pański... – zawahała się – że pańska niesprawność...

– Może to pani nazywać wprost. Jestem ślepy. To słowo mnie nie rusza.

– No dobrze, a zatem jest pan ślepy, ale to nie ma bezpośredniego związku z libido.

Podobało mu się, jak wypowiedziała wyraz „libido”. Podobał mu się układ jej ust, choć były dość wąskie i nieduże. Z przyjemnością patrzył, jak lekko unosiła górną wargę. Wyczuwał u niej akcent, którego nie potrafił zlokalizować. Może górny Nowy Jork? Zapragnął, żeby powiedziała „penis” albo „fellatio”. Ciekawe, jak wtedy ułożyłyby się jej wargi?

– Czy to chciał pan powiedzieć, panie Harding? – przerwała jego myśli. – Że tracąc wzrok, stracił pan też tę umiejętność?

– Mężczyźni są w dużym stopniu wzrokowcami, zwłaszcza kiedy chodzi o podniecenie.

– To prawda – rzekła, sięgając za siebie po teczkę z papierami, które zawierały historię jego choroby. – Kiedy zaczął pan tracić wzrok?

– Jakieś cztery lata temu. Musimy o tym mówić?

Spojrzała na niego znad dokumentów, a potem przeniosła się na drugi koniec biurka. Czujnie nie obrócił za nią głowy.

– Tak, jeśli może to pomóc rozwiązać pana bieżące problemy. Uważam, że powinniśmy o tym porozmawiać.

Spodobało mu się jej zdecydowanie, ten bezpośredni ton. Doktor Gwen Patterson nie będzie się z nim patyczkować. Co za cudowne słowo – patyczkować. Potarł dłonią wybrzuszenie między nogami.

– Ma pan coś przeciw temu, panie Harding? Nie wygląda pan na człowieka, który boi się wyzwań.

Nie odpowiedział od razu tylko dlatego, żeby nie przerywać doznania. Było tak przyjemne. Ona i tak pomyśli, że rozważał jej słowa.

– Nie mam nic przeciw temu – oznajmił, z pewnym trudem powściągając uśmiech. Nie, nikt, kto zna Walkera Hardinga, nie powie, że jest człowiekiem, który cofa się przed czymkolwiek. Ale jeśli miał zaakceptować nowe wyzwanie, będzie musiał oprzeć się na umyśle genialnego zbrodniarza, którego doktor Patterson nie miała jeszcze okazji poznać. Tak, grał teraz nową rolę, ale wciąż zależał od geniuszu swojego starego przyjaciela, Alberta Stucky’ego.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Tully odebrał najświeższy faks, który właśnie przyszedł z policji w Kansas City. Przejrzał go, zbierając jednocześnie notatki i zdjęcia z miejsca zbrodni. Za dziesięć minut czekało go spotkanie z dyrektorem Cunninghamem, a w głowie wciąż miał kłótnię z córką, która wybuchła zaledwie godzinę temu. Emma czekała ze swoją rewelacją, aż Tully podwiezie ją pod bramę szkoły. Była cholernie dobra. Ale czego mógł się spodziewać? Była wykształcona w sztuce ataku z zaskoczenia przez prawdziwego mistrza, czyli własną matkę.

– Aha, tak przy okazji – powiedziała mimochodem – Josh Reynolds zaprosił mnie na imprezę z okazji promocji. Za tydzień w piątek. Potrzebuję nowej sukienki. No i nowych butów.

Natychmiast wpadł w szał. Emma była taka młoda. Zachował się tak, jakby zupełnie wyleciało mu z głowy, że pozwolił jej na randki. No cóż, przypadkiem wyraził się niezręcznie, a córka natychmiast to podchwyciła. Ale nie pozwoli sobą manipulować.

– Czyżbym o czymś zapomniał? – spytał z takim sarkazmem, że dotąd się wstydził.

Przesłała mu swoje najbardziej raniące, pełne bólu spojrzenie. Jaki z niego ojciec, że tak bardzo nie ufa własnej córce? Tak mądrej i rozsądnej… Przecież miała już prawie

piętnaście lat! Toż to staropanieństwo w porównaniu z jej koleżankami, które, jak go zapewniała, umawiają się na randki co najmniej od dwóch, a nawet trzech lat. Skorzystał z okazji, że Emma sama podsunęła mu argument, i wystrzelił starą jak świat rodzicielską gadką o odpowiedzialności. Otóż nawet gdy najlepsza przyjaciółka postanowiła skoczyć z mostu, to wcale nie znaczy, że mamy skakać za nią w głębinę. Poza tym nie chodzi wcale o brak zaufania. Miał czterdzieści trzy lata, ale nie zapomniał, jaki był zadziorny i krnąbrny jako nastolatek. Chętnie przedyskutowałby to z Caroline, ale z góry wiedział, że stanęłaby po stronie córki. Czyżby był po prostu nadopiekuńczym ojcem?

Wcisnął faks do teczki i ruszył korytarzem. Po rozmowie z inspektorem z Kansas City, Johnem Fordem, Tully był przygotowany na to, że Cunningham będzie w podłym humorze. Zabójstwo kelnerki do złudzenia przypominało robotę Stucky'ego. Nikt inny nie podrzuciłby nerki ofiary pod drzwi pokoju hotelowego agentki O'Dell. Tully sam się dziwił, dlaczego nie leciał teraz do Kansas, żeby być z O'Dell.

– Dzień dobry, Anito – pozdrowił siwowłosą sekretarkę, która o każdej porze dnia wyglądała nieposzlakowanie i była zawsze na wszystko przygotowana.

– Kawa, agencie Tully?

– Tak, proszę. Śmietanka, ale...

– Bez cukru, pamiętam. Zaraz panu przyniosę. – Gestem zaprosiła go do gabinetu. Powszechnie było wiadomo, że

tylko za jej przyzwoleniem wolno tam wejść.

Cunningham rozmawiał przez telefon. Skinął głową w stronę Tully’ego i wskazał krzesło na wprost biurka.

– Tak, rozumiem – mówił do słuchawki. – Oczywiście, zrobię to.

Odłożył słuchawkę nagle, bez pożegnania, zgodnie ze swym zwyczajem. Poprawił okulary, wypił łyk kawy, potem spojrzał na Tully’ego. Miał co prawda świeżą koszulę i ciasno zawiązany krawat, ale zdradzały go oczy, podpuchnięte z braku snu, czerwone, uwypuklone przez dwuogniskowe okulary.

– Zanim zaczniemy... – Zawiesił głos i spojrzał na zegarek. – Czy ma pan jakieś informacje na temat Walkera Hardinga?

– Hardinga? – Tully musiał jak najprędzej wyrzucić z głowy krnąbrnych nastolatków i różowe sukienki. – Proszę o wybaczenie, sir. Nie znam tego nazwiska.

– Był partnerem Alberta Stucky’ego, prowadzili razem interesy – odpowiedział od drzwi kobiecy głos.

Tully zakręcił się na krześle i zobaczył młodą, ciemnowłosą kobietę, ubraną w granatowy spodnium. Była atrakcyjna, tyle zauważył w pierwszej chwili.

– Agentko O’Dell, proszę wejść. – Cunningham wstał i wskazał jej miejsce obok Tully’ego.

Tully przypatrywał jej się, kartkując notatki i niezręcznie odsuwając je na bok.

– Agent specjalny Maggie O’Dell, a to agent specjalny R.J. Tully.

Tully podniósł się i uścisnął wyciągniętą dłoń Maggie. Z miejsca zrobiła na nim wrażenie swoim mocnym uściskiem i tym, jak patrzyła mu prosto w oczy.

– Miło mi pana poznać, agencie Tully.

Była szczera. Była profesjonalistką. Ani śladu po tym, przez co musiała przejść minionej nocy. Ani trochę nie wyglądała na kogoś, kto znalazł się o krok od załamania psychicznego.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Wiele o pani słyszałem.

Tully widział, że Cunningham już się zniecierpliwił tymi grzecznościami.

– Czemu pyta pan o Walkera Hardinga? – spytała O'Dell, zajmując miejsce.

Tully ponownie wziął do ręki swoją teczkę. A więc była przyzwyczajona do stylu szefa. Tully żałował, że nie przygotował się staranniej do spotkania, zamiast histeryzować nad cnotą Emmy. Szczerze mówiąc, nie wierzył, by O'Dell się pojawiła.

– Ze względu na agenta Tully'ego, dla jego dobra – wyjaśniał Cunningham. – Walker Harding i Albert Stucky stworzyli internetową giełdę, jedną z pierwszych, na początku lat dziewięćdziesiątych. Dorobili się na tym milionów.

– Przepraszam, ale chyba nie mam żadnych informacji na jego temat – powiedział Tully, przerzucając swoje dokumenty i notatki, i to kilkakrotnie.

– Tak sądziłem – stwierdził z żalem Cunningham. – Harding zniknął z horyzontu na długo przedtem, zanim Stucky znalazł sobie nowe hobby. Sprzedali swój interes, podzielili się pieniędzmi i każdy poszedł swoją drogą. Nie było powodu, żebyśmy zajmowali się Hardingiem.

– Nie bardzo rozumiem – powiedział Tully, zerkając na agentkę O'Dell. Chciał sprawdzić, czy tylko on znalazł się w niezręcznej sytuacji. – Jeśli istnieje jakiś powód, dla którego należałoby nim się teraz zająć, to ja go nie znam.

Przerwała im Anita, wpływając do pokoju i wręczając Tully'emu parującą filiżankę.

– Dziękuję, Anito.

– Coś dla pani, O'Dell? Kawa? A może dietetyczna pepsi, jak co rano?

O'Dell uśmiechnęła się i Tully domyślił się, że obie kobiety są ze sobą w dobrej komitywie.

– Dziękuję, Anito, nic mi nie trzeba.

Sekretarka uścisnęła jej ramię bardziej matczynym niż zawodowym gestem, po czym wyszła, zamykając za sobą drzwi.

Cunningham usiadł, złożył dłonie i podjął rozmowę dokładnie w tym miejscu, w którym została przerwana.

– Po sprzedaży interesu i podziale majątku Walker Harding zaszył się gdzieś w odosobnieniu. Jakby zniknął z powierzchni ziemi. Wydaje się, że nie ma żadnych śladów po tym człowieku, żadnych transakcji, nic.

– Jaki to ma związek ze sprawą Alberta Stucky'ego? – Tully nie pozbył się zakłopotania.

– Sprawdziłem loty z ostatniego tygodnia z Dulles i Reagan National do Kansas City. Nie spodziewałem się znaleźć na liście pasażerów Alberta Stucky’ego. – Przeniósł wzrok z Tully’ego na O’Dell. – Szukałem pseudonimów, których Stucky używał w przeszłości. I wtedy zobaczyłem, że sprzedano bilet na lot z Dulles do Kansas, na niedzielne popołudnie, na nazwisko Walker Harding.

Cunningham czekał na jakąś reakcję. Tully patrzył przed siebie, tupiąc nerwowo nogą, bo informacja nie zrobiła na nim wielkiego wrażenia.

– Proszę wybaczyć, sir, ale ten człowiek nic nie znaczy. Może to w ogóle zupełnie ktoś inny.

– Może. Mimo to, agencie Tully, sugeruję, żeby pan dowiedział się wszystkiego co możliwe o Walkerze Hardingu.

– Dyrektorze, a po co ja tu jestem? – spytała O’Dell uprzejmie, jednak odpowiednio śmiało, by pokazać, że nie ma zamiaru dłużej tu siedzieć bez wyjaśnienia.

Tully miał ochotę uśmiechnąć się, nie spuszczał jednak wzroku z Cunninghama. Trudno było nie polubić O’Dell. Kątem oka widział, jak wierciła się na krześle, a jednak trzymała język za zębami. Odsunięto ją od tej fazy śledztwa, odstawiono na bok, faktycznie była na swoistej uwięzi. Tully był ciekaw, czy złościła się, bo musiała siedzieć i słuchać o szczegółach sprawy, w której nie miała już nic do powiedzenia. A może Cunningham zmienił zdanie? Tully przyjrzał mu się, ale z twarzy szefa trudno było cokolwiek wyczytać.

Ponieważ Cunningham nie odpowiadał, Maggie uznała, że musi mówić dalej.

– Proszę wybaczyć, ale rozmawiamy o bilecie być może kupionym przez mężczyznę, z którym być może Albert Stucky nie kontaktował się od lat. Natomiast jednego możemy być pewni. To Albert Stucky zamordował tę kobietę w Kansas City i zapewne wciąż tam przebywa.

Tully skrzyżował ramiona i czekał, co dalej. Bardzo chciał pochwalić tę kobietę, którą uznano za wypaloną ryzykantkę. Tego ranka z pewnością wzniosła się na szczyt. Ale nie agent Tully był tu od udzielania pochwał.

Cunningham rozłożył dłonie i pochylił się do przodu, opierając łokcie na biurku i patrząc tak, jakby znalazł się w szachowej pułapce. Był jednak gotów na swój ruch.

– W sobotę w nocy, jakieś trzydzieści kilometrów stąd, została zamordowana młoda kobieta, jej ciało wrzucono do śmietnika. Wyjęto jej śledzionę, jakby zrobił to chirurg, i umieszczono w porzuconym pudełku po jedzeniu na wynos.

– W sobotę? – O’Dell poruszyła się niespokojnie. – W Kansas City nie działał naśladowca. Zostawił tę cholerną nerkę pod moimi drzwiami.

Tully skrzywił się. Do diabła z szachami. Cunninghamowi nawet powieka nie drgnęła.

– Młoda kobieta dostarczała do domów pizzę. Porwano ją, kiedy robiła swój objazd.

Agentka O’Dell zaniepokoiła się jeszcze bardziej, krzyżując nogi, potem prostując je znów, jakby z trudem

powściągała słowa. Tully wreszcie zrozumiał, jak bardzo jest wykończona.

Cunningham kontynuował:

– Niemożliwe, żeby zabrano ją daleko. Prawdopodobnie stało się to w bliskiej okolicy. Zgwałcił ją i odbył stosunek analny, podciął gardło i wyjął śledzionę.

– Mówiąc o stosunku analnym, ma pan na myśli, że zrobił to sam, czy posłużył się jakimś przedmiotem?

Tully nie widział różnicy. Czy nie było to dość odrażające? Cunningham spojrzał na niego, szukając odpowiedzi. Mógł jej niestety udzielić, i to z pamięci. Młoda dziewczyna była za bardzo podobna do Emmy, żeby zapomniał choćby najmniejszy szczegół. Wszystko wryło się w jego pamięć, czy tego chciał, czy nie.

– Nie znaleziono nasienia, ale koroner jest przekonany, że była to penetracja penisem. Nie znaleziono śladu ani pozostałości jakiegokolwiek przedmiotu.

– Stucky nigdy dotąd tego nie robił. – O’Dell była bardzo poruszona. – Nigdy. To zupełnie nie w jego stylu. Stosunek analny? W jakim celu? Nic się nie zgadza. On lubi patrzeć na twarze swoich ofiar, musi w nie patrzeć. To mu sprawia przyjemność. To jego afrodyzjak. Musi widzieć strach, przerażone i pełne bólu oczy, wykrzywione, błagające o litość usta. To jest w jego stylu. A od tyłu nic by nie zobaczył.

Cunningham zaczął stukać palcami po blacie, jakby czekał, aż O’Dell skończy.

– Ta dziewczyna tej nocy, kiedy ją zamordowano, dostarczyła pizzę do pani nowego domu.

Zapadła cisza, przytłaczająca i nagle zogromniała, kiedy ustało bębnienie palców po biurku. Cunningham i Tully wpatrywali się w Maggie. Oparła się, wodząc po nich wzrokiem. Tully poznał po jej oczach, że świetnie rozumiała, co naprawdę się stało. Potarła twarz dłonią i wsadziła kosmyk włosów za ucho. Wciąż jednak milczała.

– Dlatego właśnie, agentko O’Dell, nie ma znaczenia, czy jest pani w Kansas, czy tu. On panią śledzi. – Cunningham poluzował krawat i podwinął rękawy, jakby nagle w pokoju zapanował upał. Te gesty absolutnie nie pasowały do niego. – Albert Stucky chce panią wciągnąć w swoją grę, i nie ma znaczenia, czy nadal będę panią trzymał z daleka od sprawy, czy też nie.

– A trzymając mnie z daleka, sir, odbiera mi pan jedyną szansę obrony. – Jej głos zadrżał. Tully zobaczył, jak Maggie przygryzała dolną wargę. Chciała powstrzymać dalsze słowa czy drżenie?

Cunningham zerknął na Tully’ego, usiadł i westchnął zrezygnowany.

– Agent Tully prosił mnie, żebym pozwolił pani asystować mu przy tej sprawie.

O’Dell rzuciła zdumione spojrzenie na Tully’ego. Zmieszał się, choć nie miał ku temu powodu. Przecież nie zwrócił się z tą prośbą, żeby zrobić jej przysługę. Przez niego narażała się na straszliwe niebezpieczeństwo. Ale cóż, prawdę mówiąc, potrzebował jej. A gdyby być do końca szczerym,

tylko agentka O’Dell miała szansę schwytać Stucky’ego. Bez niej ten potwór będzie mordował młode kobiety... i nastoletnie dziewczęta... jeszcze przez długie lata.

– Postanowiłem wyrazić na to zgodę pod dwoma warunkami i zaznaczam, że nie podlegają one żadnym negocjacjom ani kompromisom. Po pierwsze, agent Tully będzie w dalszym ciągu prowadził to śledztwo, natomiast pani obowiązkiem jest dzielić się z nim wszystkimi informacjami i wiedzą. Nie wolno pani, agentko O’Dell, prowadzić samodzielnych poszukiwań... ani sprawdzać tego, co podpowie pani intuicja... bez agenta Tully’ego. Zrozumiano?

– Oczywiście. – Głos Maggie był znów pewny i stanowczy.

– Po drugie, chcę, żeby poszła pani do naszego psychologa.

– Sir, nie sądzę...

– Agentko O’Dell, żadnych dyskusji, żadnych kompromisów. Doktor Kernan sam zdecyduje, ile razy w tygodniu powinna się pani u niego pojawiać, a pani się temu podporządkuje.

– Doktor James Kernan? – O’Dell wyglądała na przestraszoną.

– Tak. Anita umówiła panią na pierwszą wizytę. Proszę u niej to sprawdzić. Urządza też dla pani biuro. Agent Tully zajmuje teraz pani dawny pokój i nie ma potrzeby robić dodatkowego zamieszania z przeprowadzkami. A teraz wybaczcie, ale mam spotkanie.

Tully zgarnął rozgrzebane notatki i zaczekał przy drzwiach na O’Dell. Spojrzał na jej twarz. Ta kobieta właśnie dostała to, czego od dawna tak pragnęła, a jednak nie wyglądała na zadowoloną. Może gdzieś tam, w głębi ducha.

Ale nad wszystkim górowało zdenerwowanie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Rozemocjonowana Tess spieszyła się na poranne spotkanie, choć zarazem, gdy jechała pustymi ulicami, ogarnęło ją poczucie winy. Po cichu, bez pożegnania wyszła z mieszkania Daniela, który jeszcze spał. Nie miała jednak siły na kolejną sprzeczkę. Narzekałby, że Tess wychodzi tak wcześnie, bo przed pracą koniecznie musi wpaść do siebie, wziąć prysznic i przebrać się, jakby nie mogła tego robić w jego domu. A tak naprawdę chciał, żeby została, ponieważ rankami był silnie pobudzony i chciał się z nią kochać.

No i mówiłby te bzdury: „Mamy dla siebie tak mało czasu, potrzebujemy tych kilku chwil rano”.

Za każdym razem, gdy zostawała u niego na noc, wypływał ten sam argument: „Jak możemy się przekonać, czy naprawdę do siebie pasujemy, Tess, skoro nigdy nie czytamy wspólnie :New York Timesa; ani nie jemy razem śniadania w łóżku”.

Właśnie takie przykłady jej podał. Jak mógł wierzyć w to, co mówił, jeśli prawie nie odzywał się do niej podczas wspólnych kolacji? Wydawało się, że tylko rano, kiedy miał ochotę na szybki numerek, naprawdę przejmował się tym, czy do siebie pasują.

Tylko wtedy zależało mu na niej. Bo przez pozostałe dziewięćdziesiąt dziewięć procent czasu robił wszystko, by

nie było między nimi dobrze. Oczywiście kompletnie nie zdawał sobie z tego sprawy i uważał, że zachowuje się jak należy. Jak to Daniel.

Tess zupełnie się w tym pogubiła. Żadna wróżka nie wręczyła jej cudownego kluczyka, za pomocą którego tworzyło się udane związki, a sama nic nie potrafiła wymyślić. Może więc wspólna lektura „New York Timesa" czy wspólne śniadanie naprawdę wiodą do tego celu? Skąd mogła wiedzieć? Jej dotychczasowe związki, mówiąc delikatnie, nie były udane, no i jeszcze nigdy nie była blisko z kimś takim jak Daniel Kassenbaum.

Daniel był wyrafinowany, inteligentny, obyty. Mój Boże, ten facet prawie bez zastanowienia rozwiązywał krzyżówkę w „New York Timesie"! Jednak inaczej niż on, Tess nie oszukiwała się co do ich związku. Wiedziała, jak niewiele ich łączy. Zresztą Daniel nie krył się z tym, że lokował ją dużo niżej od siebie. Często wytykał jej braki, jakby była uliczną kwiaciarką Elizą Doolittle, a on profesorem Higginsem, usiłującym wyprowadzić ją na ludzi. Ot, nie dalej jak wczoraj, gdy chciała się z nim naradzić, w co zainwestować pieniądze, Daniel zbył ją krótkim zdaniem: „Nie wchodź w coś, czego nie rozumiesz".

Jedynym polem, na którym Tess przewyższała Daniela o niebo, był seks. Nadrabiała to, czego jemu brakowało. Wiele razy powtarzał jej, oczywiście tylko w chwilach namiętności, że jest wyjątkowa, jest jego najlepszą kochanką. Z jakiegoś chorego powodu cieszyła się, że ma nad nim tę władzę, choć z drugiej strony seks z Danielem,

dla niego tak wyjątkowy, dla niej był niczym. Ratowała się techniką, wyrafinowanymi lub najdzikszymi sztuczkami, ale w środku czuła kompletną pustkę.

Zaczęła się nawet obawiać, że zatraciła zdolność do przeżywania orgazmu i wielka namiętność jest dla niej niedostępna, kiedy Will Finley, zupełnie obcy mężczyzna, wskrzesił w niej te uczucia. Zamiast jednak nabrać pewności siebie, zirytowała się i zaniepokoiła. Wciąż świeża pamięć namiętnych dłoni i warg Willa sprawiała, że ułomność Daniela stawała się dla Tess coraz dotkliwsza. Wolałaby już zapomnieć o nocy z Willem, żałowała, że tequila nie pozbawiła jej pamięci. Bo teraz o niczym innym nie potrafiła myśleć. Wspomnienie tamtej nocy wirowało w jej głowie jak muzyczne rondo.

Była kiedyś tak dobra w blokowaniu niechcianych wspomnień. Temu właśnie służyła tequila. W przeszłości nadużywała alkoholu. Tańczyła i flirtowała, uprawiała seks z wieloma mężczyznami. Grała i oszukiwała w bilard, urządzając dzikie, seksowne przedstawienia dla każdego, kto chciał ją dopingować. Wierzyła, że taki nieustający bieg do przodu pomoże jej zapomnieć horror dzieciństwa. W końcu nie mogła zrobić nic bardziej szokującego, destrukcyjnego ani przerażającego niż to, przez co przeszła jako dziecko.

A jednak udało jej się doprowadzić tylko do tego, że w jej życiu zapanowała pustka. I, o ironio, dopiero butelka wódki i nasenne prochy na zagrychę ją przebudziły. Od tamtej chwili minęło już siedem lat, a od pięciu Tess zawzięcie

harowała, żeby stworzyć się na nowo i zostawić w martwej niepamięci zarówno własne dzieciństwo, jak i owe ciemne lata, podczas których próbowała uciec od niego.

W tym celu porzuciła szalony pęd Waszyngtonu, wszelkie jego pokusy, wódkę i narkotyki. Kluby nocne i łóżka kongresmanów. W barze Louiego było Tess prawie jak w domu. Dostała pracę barmanki i wynajęła małe mieszkanko nad rzeką. Kiedy poczuła, że jest już gotowa, wróciła do Blackwood w Wirginii i sprzedała rodzinną farmę, owo piekło na ziemi, gdzie mieszkała ze swoją ciotką i wujem. O ich śmierci dowiedziała się od adwokata. Myślała, że świat odetchnie z ulgą, a ona zyska spokój, gdy odejdą w zaświaty, lecz nic takiego się nie stało.

Była zła na siebie, że wciąż te wspomnienia tak bardzo ją gryzły, ale cóż... Początkowo chciała zostawić farmę na pastwę losu, wreszcie jednak nabrała sił i postanowiła ją sprzedać. Najpierw jednak kazała zburzyć dom i wszystkie budynki gospodarcze. Zadbała o to, żeby schron przeciwsztormowy, w którym tyle razy siedziała za karę, został zasypany ziemią. Dopiero wówczas była w stanie tam pojechać.

Zarobiła na tej transakcji przyzwoitą sumę, która pozwoliła jej zacząć nowe życie, co wydawało się sprawiedliwą odmianą losu, jako że tyle lat jej tam zabrano. Tess uzupełniła wykształcenie i zdobyła licencję agenta nieruchomości, po czym w spokojnej okolicy, gdzie nikt nie znał jej przeszłości, kupiła mały domek.

Kiedy zdobyła pracę w agencji Heston Realty, została członkinią kilku stowarzyszeń biznesowych. Delores wprowadziła ją do Skyview Country Club, twierdząc, że to takie miejsce, gdzie Tess pozna wielu przyszłych klientów. Wciąż czuła się w takich miejscach nieswojo, ale tam właśnie spotkała Daniela Kassenbauma. To dopiero było imponujące zwycięstwo, dowód jej nowego, naznaczonego sukcesami życia. Skoro udało jej się zdobyć kogoś tak dobrze wychowanego, pewnego siebie i wykształconego jak Daniel, osiągnie, co tylko zechce, myślała.

Tak, potrzebowała Daniela. Jest ambitny, praktyczny, zrównoważony, a co najważniejsze, szanowany. Reprezentował wszystko, czego pragnęła... nie, czego potrzebowała w nowym życiu. Co z tego, że Daniel nie potrafił jej dotykać ani nie znał słów, które chciałaby usłyszeć? W szerszej perspektywie to się nie liczyło. Przecież nie była w nim zakochana. Nigdy w nikim się nie zakocha. To zbyt wielkie ryzyko, więc po co angażować się emocjonalnie? Przecież miłość i te rzeczy nie są istotne w udanych związkach. To znaczy, są istotne, ale w sensie negatywnym, bo działają destruktywnie.

Tess wjechała miatą od frontu pod numer 5349 na Archer Drive. Rzuciła wzrokiem, przekonując się, że przyjechała za wcześnie. Nie było jeszcze widać klienta, z którym umówiła się na dziesiątą. Prawdę mówiąc, nie było widać żadnych śladów życia. Okoliczni mieszkańcy ruszyli już w długą drogę do pracy, ci zaś, którzy zostali w domach, pewnie nie wstali jeszcze z łóżek. Tess postanowiła wykorzystać

dodatkowy czas, żeby upewnić się, czy piętrowy kolonialny dom nadaje się do prezentacji.

Powtórnie przejrzała się w lusterku. Kiedy jej zmarszczki wokół ust i pod oczami tak się pogłębiły? Po raz pierwszy w życiu wyglądała na swój wiek. A całe lata zajęło jej dotarcie na zajmowane teraz miejsce. Daniel stanowił istotną część układanki, którą była jej nowa osobowość. Uwiarygodniał ją. Nie wolno jej tego zniszczyć. Czemu więc nie może się pozbyć obrazu Willa Finleya w niebieskim ręczniku wokół bioder, mężczyzny, który obudził jej uśpione zmysły?

Potrząsnęła głową i chwyciła teczkę, zbyt mocno zatrzaskując drzwi samochodu. Echo rozeszło się po cichej okolicy. Żeby to naprawić, szła chodnikiem powoli, nie stukając obcasami.

Dom był w ofercie od ponad ośmiu miesięcy, lecz wzbudzał niewielkie zainteresowanie. Mimo to właściciele twardo stali przy swojej cenie, albowiem, jak to najczęściej działo się na obrzeżach Newburgh Heights, byli ludźmi bogatymi i ze sprzedażą mogli czekać w nieskończoność, natomiast zbyt niska kwota byłaby ujmą na ich honorze i dotkliwą raną zadaną ich skąpstwu. Niestety takie podejście ogromnie utrudniało negocjacje.

Tess zaczęła otwierać stalowe drzwi bezpieczeństwa. Klucz zbyt łatwo przekręcił się w zamku. Nie słyszała kliknięcia zapadki. Drzwi były otwarte i teraz, stojąc już w holu, Tess zobaczyła, że ktoś wyłączył system alarmowy.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

– Cholera – mruknęła Tess i włączyła światło. Nie było więc żadnej awarii prądu, nie było powodu, żeby system alarmowy był wyłączony.

Zapisała sobie w pamięci, żeby zagadnąć o to poprzedniego agenta, który pokazywał ten dom. Pewnie był to jeden z tych imbecyli z Peterson Brothers. Bez przerwy zapominali o takich rzeczach, ich etyka zawodowa była etyką alfonsów. Krążyły ostatnio plotki, że jeden z braci Petersonów urządzał orgietki w pustym domu klienta.

Raptem Tess przypomniała sobie, że ten dom miał ogromną sypialnię i łazienkę z oknem w dachu.

– Żebym tylko nie wpadła w jakieś bagno.

Spojrzała na zegarek. Zostało jej piętnaście minut. Rzuciła teczkę w kąt salonu, podciągnęła rękawy żakietu i ruszyła schodami do góry, po drodze zrzucając buty. Tylko nie to, nie tego ranka, kiedy jej cierpliwość i nerwy już raz poddane zostały próbie, gdy wyszła po cichu od Daniela. Teraz pewnie Daniel szykuje się do biura i na pewno jest wściekły, nabuzowany i jak diabli podniecony. Te jego seksualne poranki... Na szczęście Tess zostawiła komórkę w samochodzie. Znając Daniela, pewnie już próbował dodzwonić się do niej, żeby ją złajać. Och, jak on lubił te swoje reprymendy.

W połowie schodów usłyszała, że otwierają się frontowe drzwi. Klient przyszedł przed czasem. I po co? Ściągnęła w dół rękawy i zaczęła szukać swoich skórzanych pantofli, w pośpiechu wślizgując w nie stopy. Kiedy znalazła się z powrotem u stóp schodów, wysoki, ciemnowłosy mężczyzna właśnie szedł przez obszerny salon. Nieprzysłonięte niczym okna wpuszczały kaskady słonecznego, oślepiającego światła, które go otaczało trochę niesamowitym nimbem.

– Halo?

– Wiem, jestem wcześniej.

– Nic nie szkodzi. – Tess nie zdradziła się, że jest trochę na niego zła, nie zdążyła bowiem sprawdzić głównej sypialni.

Mężczyzna odwrócił się, wtedy dopiero zauważyła jego białą laskę. Natychmiast zastanowiła się, jak się tu dostał. Wyjrzała przez okno, lecz nie dostrzegła żadnego pojazdu na kolistym podjeździe.

Dawała mu jakieś trzydzieści parę lat, był więc jej równolatkiem, choć trudno jej było dokładnie ocenić czyjś wiek, skoro nie widziała oczu. Okulary firmy Ray-Ban, które nosił ten mężczyzna, miały wyjątkowo ciemne szkła. Zauważyła też modną jedwabną koszulę z otwartym kołnierzem, kosztowną skórzaną kurtkę i świeżo odprasowane drelichowe spodnie. Niezbyt to wszystko do siebie pasowało, ale trudno wymagać od niewidomego, by dbał o takie szczegóły.

Mężczyzna miał przystojne, chociaż ostre rysy, zbyt napiętą, gładko wygoloną szczękę, wąskie, niebrzydko wycięte wargi i wystające kości policzkowe. Trochę już zaczął łysieć na zatokach, choć jego ciemne, krótko przystrzyżone włosy wciąż były gęste i bez śladu siwizny.

– Walker Harding – przedstawił się. – To pani jest tą agentką, z którą rozmawiałem przez telefon?

– Tak, Tess McGowan. – Wyciągnęła do niego rękę, potem cofnęła ją zażenowana. Przecież Harding nic nie widział.

Mężczyzna zawahał się, po czym powoli wyjął dłoń z kieszeni. Wyciągnął ją w jej stronę, była silna i krzepka. Nieco chybił celu, jego palce znalazły się z boku Tess. Zbliżyła się, uścisnęła mu rękę i natychmiast poczuła, jak jego dłoń wprost ją pochłaniała. Długie palce oplotły jej nadgarstek i trwały tak przez kilka chwil. Co do diabła? To nie był powitalny uścisk, ale pieszczota, pomyślała spłoszona. Odsunęła jednak od siebie tę myśl i otrząsnęła się z psychicznego dyskomfortu. Klienci mogą zachowywać się różnie, a ją obowiązuje chłodny, uprzejmy profesjonalizm.

– Właśnie przyjechałam – powiedziała, zabierając rękę. – Nie zdążyłam się jeszcze tu rozejrzeć – tłumaczyła, myśląc, że dla Hardinga to i tak wszystko jedno. Jak w ogóle miała mu pokazać dom, skoro nie widział choćby jednej cholernej rzeczy?

Mężczyzna ruszył bez słowa przez salon. Postukiwał przed sobą laską, ale szedł pewnie. Zatrzymał się przy wykuszowym oknie, które wychodziło na tyły domu.

Odszukał klamkę i otworzył okno. Przez chwilę stał nieruchomo, jakby jego uwagę przyciągnęło coś na podwórzu.

– Cudowne słońce – odezwał się wreszcie, przechylając do tyłu głowę, chwytając ostry blask prosto na twarz. – Może to zabrzmi głupio, ale lubię, jak w domu jest dużo okien.

– Nie, to wcale nie brzmi głupio. – Mówiła głośniej niż potrzeba, a przecież jej klient był ślepy, a nie głuchy.

Studiowała jego profil. Nos był lekko zakrzywiony, dojrzała też szramę tuż pod linią podbródka. Może Harding stracił wzrok w wyniku wypadku? Pomimo kalectwa mężczyzna był bardzo pewny siebie. Poruszał się sprawnie i stanowczo, naprawdę dobrze sobie radził. W jego ruchach była jednak jakaś sztywność, nienaturalność. Bez przerwy wkładał ręce do kieszeni. Czyżby to nerwy?

– Dużo tu iglastych drzew? – spytał.

Tess wzdrygnęła się, jakby zapomniała, w jakim celu się spotkali.

– Słucham?

– Czuję zapach iglastych drzew. Są zawsze zielone i pachną przez cały rok. To dobrze. Chyba jest ich tu sporo? Są duże czy małe?

Podeszła do niego, stając jednak na tyle daleko, żeby zachować uprzejmy dystans, a jednocześnie widzieć podwórko. Nieruchomość otaczało sporo zieleni, głównie sosen i cedrów, które na końcu podwórza tworzyły naturalną barierę. Ale ona nie czuła ich zapachu.

Oczywiście Harding miał bardziej wyczulone pozostałe zmysły, skoro stracił wzrok, pomyślała.

– Są bardzo duże. Cedry i sosny. Tworzą szpaler, który rozdziela dwie posiadłości.

– Świetnie. Lubię prywatność i spokój. – Obrócił się ku niej z uśmiechem. – Mam nadzieję, że nie przeszkadza pani tak wszystko mi opisywać, mówić, jak wygląda?

– Skądże znowu – odparła Tess, mając nadzieję, że jej słowa zabrzmiały przekonująco. – Od czego chce pan zacząć zwiedzanie?

– Powiedziano mi, że jest tu wspaniała, duża sypialnia. Możemy tam teraz pójść?

– Dobry wybór – powiedziała. Cholera! Żałowała, że nie przyjechała wcześniej. Żeby tylko ten dupek Peterson nie zostawił tam jakiegoś burdelu. – Pójdzie pan sam, czy woli pan wziąć mnie pod rękę?

– Cudownie pani pachnie. To Chanel numer pięć, prawda?

– Tak. – Czyżby z nią flirtował? Tess poczuła się wytrącona z równowagi.

– Pójdę w ślad za pani cudownym zapachem. Niech pani idzie pierwsza.

– Dobrze, bardzo proszę.

Ruszyła zbyt wolno i zaraz na półpiętrze Harding wpadł na nią, uderzając w jej plecy wyciągniętą ręką. Zostawił chwilę swoją dłoń na jej biodrze, jakby musiał odzyskać równowagę. Tak przynajmniej tłumaczyła to sobie Tess. Doświadczyła dużo bardziej szokujących zaczepek i obmacywanek.

Główna sypialnia pachniała środkiem czyszczącym. Tess rzuciła wzrokiem dokoła. Ten, kto był tam ostatni, na szczęście porządnie wysprzątał po sobie, i to całkiem niedawno. Tess zdziwiła się, że pan Harding, którego zmysły okazały się tak czułe, teraz nie skomentował tych intensywnych zapachów.

– Pokój ma dziewięć na sześć metrów – poinformowała. – Na ścianie południowej znajduje się okno wykuszowe, które wychodzi na tyły domu. Na podłodze jest dębowy parkiet. Na...

– Przepraszam, pani McGowan.

– Proszę mi mówić Tess.

– Tak, Tess. – Uśmiechnął się krótko. – Mam nadzieję, że się pani nie obrazi, ale chciałbym wiedzieć, z kim rozmawiam. Jak pani wygląda? Mogę dotknąć pani twarzy?

Najpierw pomyślała, że chyba się przesłyszała. Nie miała pojęcia, co mu odpowiedzieć. Pamiętała jego dotyk na półpiętrze i zastanawiała się teraz, czy były to obmacywanki, czy zwykły przypadek.

– Proszę wybaczyć. Uraziłem panią – rzekł przepraszająco niskim, łagodnym głosem.

– Nie, ależ nie. – Jeśli nie weźmie się w garść, przez tę idiotyczną paranoję straci klienta. – Obawiam się tylko, że nie jestem wystarczająco przygotowana, żeby panu pomóc.

– To nie będzie bolało – powiedział, jakby był chirurgiem, który właśnie objaśnia przebieg operacji. – Dotknę pani tylko opuszkami palców. Nie podrapię pani, zapewniam. –

Jego usta wykrzywiły się w kolejnym uśmiechu, a Tess zrobiło się głupio, że robi z igły widły.

– Więc proszę. – Zbliżyła się do niego, lecz była pełna obaw.

Odstawił na bok laskę i zaczął powoli, delikatnie, od jej włosów, posługując się obiema rękami. Patrzył przy tym gdzieś ponad jej ramieniem. Czuła lekki zapach amoniaku, ale nie wiedziała, czy pachną tak jego dłonie, czy może to ta wszechogarniająca woń świeżo umytej drewnianej podłogi? Palce Hardinga dotknęły jej czoła, a stamtąd ześliznęły się na powieki.

Miał wilgotne palce, lecz starała się nie zwracać na to uwagi. Zerknęła jednak na jego twarz, żeby się przekonać, czy jej klient czuł się równie niezręcznie jak ona. Ale nie, był spokojny, a jego palce przesuwały się właśnie wzdłuż policzków. Odrzuciła podejrzenie o pieszczotę. Ale zaraz potem palce mężczyzny znalazły się na jej wargach. Zaskoczona własnymi odczuciami i przestraszona podejrzeniami, Tess spojrzała mu w oczy. Starała się ujrzeć coś za ciemnymi szkłami, a kiedy jej się udało, zobaczyła, że mężczyzna wbija się w nią wzrokiem. Czy to możliwe? Nie, ależ nie. To tylko paranoja, obsesja, pozostałość po przeszłym życiu.

Palce powędrowały na jej brodę, a stamtąd w dół, na szyję. Musnęły dekolt, otarły się o obojczyk i zatrzymały. Całkiem jakby Harding sprawdzał, jak daleko może się posunąć. Tess zaczęła się cofać w momencie, kiedy objął palcami jej gardło.

– Co pan robi? – Złapała powietrze i chwyciła go za ręce.

Wzmocnił uścisk, zaczął ją dusić i wpatrywał się w nią, tak, wpatrywał, z krzywym uśmiechem na ustach. Wbiła paznokcie w jego dłonie, lecz stały się teraz jak imadło, chwyciły ją niczym zęby pitbulla. Walczyła, wykręciła się, ale pchnął ją do tyłu. Uderzyła głową w ścianę z taka siłą, że z bólu zamknęła oczy. Nie mogła złapać tchu. Nie mogła myśleć. Boże, jaki on był silny!

Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła, że Harding cofnął jedną rękę. Mogła wciągnąć powietrze w obolałe płuca. Zanim zdołała nabrać sił, przytrzymał ją, by nie upadła, wsadził jej łokieć w gardło i znów odciął dopływ powietrza. Wtedy spostrzegła w jego ręce strzykawkę.

Ogarnęło ją przerażenie, zaczęła machać rękami i nogami. Walczyła mężnie, ale wszystko na nic. Igła przebiła jej żakiet i zagłębiła się w ramieniu. Czuła, jak jej ciało drży. Po kilku sekundach pokój zaczął wirować, a potem zapadła ciemność.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Wszedłszy do gabinetu doktora Jamesa Kernana, Maggie poczuła się znowu jak dziewiętnastoletnia studentka college'u. Znów była zawstydzona, oszołomiona i zastraszona, no i ta woń, i wystrój pokoju... Gabinet znajdował się w Wilmington Towers w Waszyngtonie, a nie na Uniwersytecie Stanu Wirginia, ale wciąż wyglądał tak samo i pachniał identycznie jak tamten.

Maggie natychmiast poczuła zapach zastałego dymu z papierosów, starej skóry i maści do nacierania ben-gay. Niewielką przestrzeń zaśmiecały te same osobliwe rekwizyty. Przedni płat ludzkiego mózgu wydymał się w wypełnionym formaldehydem słoju, który służył jako podpórka na książki, przytrzymując, o ironio, takie pozycje jak: „Tajemnica Hitlera. W poszukiwaniu źródeł zła", „O marzeniu sennym" Freuda oraz pierwsze, rzadko spotykane wydanie „Alicji w Krainie Czarów". Ta ostatnia najbardziej pasowała do profesora psychologii, który tak gładko zawsze potrafił wyczarować Szalonego Kapelusznika.

Na mahoniowym kredensie po drugiej stronie pokoju stały stare przyrządy o intrygujących kształtach i niewiadomym przeznaczeniu. Studenci medycyny wreszcie dochodzili do wniosku, że były to instrumenty chirurgiczne niegdyś używane do lobotomii, na ścianie bowiem za mahoniowym biurkiem wisiały czarno-białe fotografie przedstawiające ów

zabieg. Inna, równie niepokojąca fotografia przedstawiała młodą kobietę poddawaną elektrowstrząsom. Puste oczy i poddańcza poza pacjentki, a także przytłaczająca, złowieszcza aparatura, zawsze kojarzyły się Maggie bardziej z egzekucją niż z zabiegiem lekarskim. Było dla niej przykre, że w jej profesji nawet do dziś posługiwano się tak brutalnymi metodami, utrzymując przy tym, że jest to korzystne dla osób z zaburzeniami psychicznymi.

Kernan był znakomitym przykładem wszelakich związanych z tym zawodem dziwactw. Jego gabinet świetnie świadczył o swym właścicielu, ekscentryku znanym zarówno z okrutnych żartów o „psychicznych”, jak i z własnej wersji kuracji elektrowstrząsowej, którą udoskonalał na swoich studentach.

Człowiek ten uwielbiał gry umysłowe i podstępnie potrafił wciągnąć w nie każdego. W jednej chwili przewiercał zaskoczonego studenta szybką serią pytań, nie dając szansy na odpowiedź, a zaraz potem lądował w kącie sali i w milczeniu przywierał twarzą do ściany. Po chwili już skakał z ławki na ławkę, prowadząc przy tym wykład, co groziło, że ten niewysoki i krępy, ale mocno podstarzały mężczyzna wreszcie runie na ziemię. Nawet studenci, którzy już go znali, nie wiedzieli, czego spodziewać się po takim oryginale. I temu człowiekowi FBI powierzyło ocenę stanu jej umysłu?

Maggie usłyszała dobrze znany odgłos jego kroków za drzwiami. Instynktownie wyprostowała się i przestała się rozglądać. Samo oczekiwanie na tego człowieka

wystarczyło, żeby zmieniła się w niekompetentną studentkę.

Doktor Kernan wszedł do gabinetu i zasiadł za biurkiem, nie rozpoznając Maggie ani nawet nie dając znaku, że ją zauważa. Zapadł się w skórzanym fotelu, który wydał serię zgrzytów. Albo może odezwały się starcze stawy? Maggie nie była tego pewna.

Kernan zaczął kopać w stosach papierów. Przyglądała się w milczeniu z rękami złożonymi na kolanach. Lekarz jakby skurczył się podczas tych dziesięciu lat, kiedy go nie widziała.

Już wtedy, gdy była studentką, wydawał jej się stary, ale teraz jego ramiona mocno się pochyliły, a dłonie, pokryte brązowymi plamami, drżały. Włosy miał tak samo białe jak wówczas, tyle że było ich mniej. Cienkie piórka odkrywały brązowe plamy na czole i czubku głowy, a kępki białych włosów wystawały mu z uszu.

Wreszcie znalazł to, czego szukał tak rozpaczliwie. Walczył z metalowym pudełkiem, w którym trzymał miętówki. Wyjął dwie i jedną podał Maggie.

– O’Dell, Margaret – powiedział do siebie, jakby wciąż jej przed sobą nie widział.

Rozpoczął kolejny etap poszukiwań na biurku.

– Rocznik 1990. – Przewracał palcem strony teczki. Maggie zerknęła na okładkę, żeby sprawdzić, czy doktor czyta jej dane, ale na nalepce był napis: „Dwadzieścia pięć najlepszych internetowych stron porno”.

– Pamiętam jedną Margaret O’Dell – powiedział głosem starca, który mówi do siebie. Nadal nie podnosił wzroku. – O’Dell, O’Dell.

Maggie nerwowo przekręciła się na krześle, z trudem opanowując wybuch złości. No cóż, przez te lata nic się nie zmieniło. To oczywiste, że doktor Kernan traktował pacjentów tak samo jak swoich studentów. Po prostu inaczej nie potrafił. Musiał uprawiać durne zabawy słowne, natrząsać się z nazwisk i imion, układać z nich prześmiewcze rymy. Tak właśnie zastraszał.

– Przygotowanie do studiów medycznych – ciągnął, grzebiąc w liście internetowych stron pornograficznych. Kilka razy zatrzymywał się na czymś, ściągał usta i cmokał z aprobatą. – Siedziała z tyłu w lewym rogu i bardzo mało notowała. Średnia studentka. Interesowała się jedynie cechami dziedzicznymi i zachowaniami zbrodniarzy.

Maggie ukryła swoje zdumienie. To mogły być drobne fakty, które notował niegdyś w kartotekach studentów. Na pewno też przejrzał dzisiaj jej dokumenty, żeby mieć nad nią przewagę. Nie musiał się zresztą specjalnie starać. Maggie czekała, z trudem powstrzymując drżenie rąk, którymi miała ochotę chwycić się skórzanych podłokietników, żeby się uspokoić i nie uciec przed tą śmieszną inkwizycją.

– Zdobyła tytuł magistra z psychologii behawioralnej – kontynuował sucho. – Dostała stypendium w Quantico. – Wreszcie spojrzał na nią bladoniebieskimi oczami, które pływały za powiększającymi, grubymi, kwadratowymi

szkłami. Krzaczaste brwi sterczały na wszystkie strony. Potarł brodę i mówił dalej: – Ciekawe, co byś, u diabła, robiła, gdybyś była wzorową studentką? – Spojrzał na nią wyczekująco.

Jak zwykle zaskoczył ją. Nie wiedziała, co powiedzieć. Potrafił rozbroić człowieka, sprawić, że czuł się niewidzialny, a potem nagle domagał się odpowiedzi na coś, co nigdy nie było pytaniem. Maggie milczała, wytrzymując jego spojrzenie. Obiecała sobie, że się nie podda. Była wściekła, że ten człowieczek redukuje ją do niepewnej, pozbawionej głosu nastolatki ledwie kilkoma słowami i tym swoim cholernym wzrokiem. Nie tak wyobrażała sobie terapię. Cunningham bardzo się pomylił w tej kwestii. Wysyłanie jej do kogokolwiek było stratą czasu, a już wysłanie jej do Kernana graniczyło z kompletną bzdurą. Ten człowiek nie tylko nie mógł jej pomóc, ale miał wszelkie dane ku temu, by negatywnie wpłynąć na stan psychiczny Maggie.

– Więc tak, Margaret O’Dell. Cicha ptaszyna siedząca w kącie, kiepska studentka, którą obchodzili tylko kryminaliści i która źle się czuła na moich wykładach, jest teraz agentem specjalnym FBI, nosi broń i lśniącą odznakę. No i teraz myśli, że nie powinna była znaleźć się w moim gabinecie. – Popatrzył na nią znowu, oczekując jakiejś odpowiedzi, ale wciąż nie zadając żadnego pytania. Oparł łokcie na chwiejącym się stosie papierzysk i splótł dłonie. – Nie mylę się, prawda? Uważasz, że niepotrzebnie tu przyszłaś.

– Tak – odparła stanowczo i wyzywająco, chociaż lekarz zdołał bardzo ją zastraszyć.

– A więc twoi przełożeni się mylą? Tyle lat nauki, tyle lat zdobywania doświadczeń, i nagle taki beznadziejny błąd? Tak sądzisz?

– Nie powiedziałam tego.

– Doprawdy? Tego nie powiedziałaś?

Te jego gierki słowne, umysłowe łamigłówki, przekręcanie wszystkiego... Kernan był w tym mistrzem. Maggie wiedziała, że musi się maksymalnie skoncentrować. Nie może pozwolić, by przekręcał jej słowa, by złapał ją w pułapkę.

– Spytał mnie pan, czy moim zdaniem powinnam się tu znaleźć – tłumaczyła spokojnie. – A ja zwyczajnie odpowiedziałam, że nie powinnam tu być. Bo tak właśnie uważam.

– Och – powiedział z westchnieniem i znów zatopił się w fotelu. Położył ręce na chudej piersi, wymięta marynarka rozsunęła się. – Cieszę się, że mi to wyjaśniłaś, Margaret O’Dell.

W jej wspomnieniach wszystkie spotkania sam na sam z tym człowiekiem zapisały się jak przesłuchania. Było to bardzo denerwujące, że ów zamroczony, przytępiony, mały stary człowiek, który wyglądał, jakby spał w fotelu, wciąż posiada taką moc. Ale ona nie dopuści, żeby wyprowadził ją z równowagi. Patrzyła więc na niego i czekała.

– No to powiedz mi, Margaret O’Dell, która uważasz, że nie powinnaś znaleźć się w moim gabinecie. Czyżby ta

twoja obsesja związana z Albertem Stuckym sprawiała ci dużą frajdę?

Jej żołądek skurczył się w jednej chwili. A niech go szlag! Nie da się uderzyć z zaskoczenia.

– Oczywiście, że nie. – Mówiła zrównoważonym tonem, patrząc mu w oczy. Nie wolno jej teraz mrugać. Liczyłby mrugnięcia jej powiek. Niezależnie od swoich grubych szkieł Kernan widział każdy jej grymas i każde drgnięcie.

– To dlaczego wciąż jesteś tym opętana?

– Bo chcę go złapać.

– I tylko ty jesteś do tego zdolna?

– Znam go lepiej niż inni.

– No tak, oczywiście. Dzielił się z tobą swoim hobby. To prawda. Zostawił ci też tatuaż, swój znak firmowy, żebyś go zapamiętała.

Zapomniała już, że Kernan potrafi być tak okrutny. Ale nawet teraz zachowywała spokój. Nie da się sprowokować.

– Poświęciłam dwa lata, idąc jego tropem. Dlatego sądzę, że znam go lepiej niż inni.

– Rozumiem – rzekł, przekrzywiając głowę. – To znaczy, że twoja obsesja minie, kiedy go złapiesz.

– Tak.

– I kiedy zostanie ukarany?

– Tak.

– Bo on musi ponieść karę, prawda?

– Dla kogoś takiego jak Albert Stucky nie ma dość wysokiej kary.

– Doprawdy? Kara śmierci też byłaby niewystarczająca?

Maggie zawahała się, doskonale świadoma jego kąśliwego sarkazmu, spodziewając się jakiegoś podstępu. Ciągnęła jednak dalej.

– Umrze tylko raz, niezależnie od tego, ile kobiet zamordował.

– A tak, rozumiem. Czyli to nie będzie adekwatna kara. Co by cię zadowoliło?

Milczała. Nie połknie tego haczyka.

– Chciałabyś zobaczyć, jak on cierpi, prawda, Margaret O'Dell?

Wytrzymała jego wzrok. Nie mrugaj, mówiła sobie. On tylko czeka, aż ci się powinie noga. Ustawia cię, popycha, zmusza, żebyś pokazała swoją nienawiść.

– Jaki rodzaj cierpienia wybrałabyś dla niego? Ból? Przejmujący ból, taki nie do wytrzymania? – Wbijał w nią wzrok i czekał. Nie odwróciła oczu. – Nie, nie ból – powiedział po chwili, jakby znalazł odpowiedź w jej oczach. – Nie. Wolałabyś lęk, prawda? Chciałabyś, żeby cierpiał, czując nieznośny lęk. – Mówił zupełnie zwyczajnie, tonem pozbawionym oskarżenia czy zaczepności. Ot, zapraszał ją do zwierzeń.

Maggie trzymała ręce na kolanach. Siedziała wciąż prosto, nadal nie uciekała spojrzeniem i czuła coraz większą złość.

– Chciałabyś, żeby doświadczył tego samego lęku, tej samej bezradności, którą odczuwała każda z jego ofiar. – Pochylił się lekko do przodu. – Ten sam lęk, który czułaś, kiedy złapał cię w pułapkę. Kiedy ciął cię nożem.

Zamilkł, a Maggie czuła na sobie jego czujny wzrok. W pokoju zrobiło się parno, brakowało powietrza. Z trudem powstrzymała się od założenia za ucho kosmyka włosów, który opadał na wilgotne czoło. Pohamowała się, żeby nie przygryźć dolnej wargi. Odpowiedziała spojrzeniem.

– Mam rację, Margaret O'Dell? Chcesz, żeby pan Albert Stucky wił się w agonii strachu, tak jak ty się wiłaś?

Nie mogła znieść, że lekarz mówi o tym draniu z szacunkiem, dodając słowo „pan". Jak on śmie?

– Widząc, jak zwija się na krześle elektrycznym, nie byłabyś usatysfakcjonowana, prawda? – napierał.

Zaczęła wykręcać palce. Jej dłonie były mokre. Czemu w tym pokoju jest tak cholernie gorąco? Miała czerwone policzki, w głowie jej tętniło.

– Nie, krzesło elektryczne nie jest adekwatną karą za jego zbrodnie, co? Masz w głowie gorszą karę. Prawda? I jak zamierzasz ją wykonać, Margaret O'Dell?

– Zmuszając go, żeby patrzył mi prosto w oczy, kiedy strzelę temu pieprzonemu gadowi między oczy – rzuciła, nie dbając już o to, że właśnie dała się złapać w psychologiczną pułapkę zastawioną przez doktora Jamesa Kernana.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Tess McGowan próbowała otworzyć oczy, ale nie pozwoliły jej na to zbyt ciężkie powieki. Udało jej się zamrugać nimi i zobaczyła najpierw błysk światła, a potem ciemność. Siedziała na czymś miękkim, a ziemia pod nią poruszała się wolno z niskim pomrukiem i stałym drganiem. Gdzieś w górze ktoś śpiewał spokojnym, głębokim głosem o tym, jak krzywdzi się tych, których się kocha.

Dlaczego nie może się ruszyć? Jej ręce były omdlałe, nogi jak z betonu. Ale jedyna przeszkoda, która ją unieruchamiała, biegła przez ramiona i brzuch. Samochód. Tak, została zapakowana do samochodu. Stąd te wibracje, ruch, przytłumione dźwięki. Dlaczego jednak wciąż nie mogła otworzyć oczu?

Spróbowała raz jeszcze. I znów tylko mrugnęła. Zanim ciężkie powieki opadły, przed jej oczami mignęły światła innego samochodu. Była noc. Ale jak to możliwe? Przecież dopiero co był ranek...

Oparła głowę. Czuła woń jaśminu, lekką, delikatną, subtelną. Tak, przypomniała sobie, że kilka dni wcześniej kupiła nową saszetkę zapachową i wsadziła ją pod siedzenie. A zatem jest w swoim samochodzie. To ją uspokoiło, ale zaraz uprzytomniła sobie, że jeśli to nie ona prowadzi, musi z nią ktoś być. Czy to Daniel? Dlaczego nic nie pamiętała? Czemu ma wrażenie, jakby jej umysł był

zasnuty pajęczynami? Czyżby znowu zaliczyła jakąś alkoholową noc? O dobry Boże! Czy znowu poderwała jakiegoś obcego faceta?

Obróciła lekko głowę, nie unosząc jej z podgłówka. Każdy ruch przychodził jej z wielkim trudem. Poruszała się w zwolnionym tempie. Jeszcze raz usiłowała otworzyć oczy. Jej powieki ponownie opadły.

Zaczęła więc uważnie słuchać. Tak, to czyjś oddech. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć. Na przykład zapytać, dokąd jadą. Takie zupełnie zwyczajne pytanie. Milczała jednak. Usłyszała wprawdzie cichy pomruk, ale nie pochodził on z jej ust. Potem samochód zaczął zwalniać, do jej uszu dotarło słabe brzęczenie. Poczuła powiew świeżego powietrza i wiedziała, że otworzyło się okno. Samochód zatrzymał się, choć silnik nadal był włączony. Woń spalin powiedziała jej, że utkwili w korku. Ponowiła próbę otwarcia oczu.

– Dobry wieczór, sierżancie – powiedział niski głos z siedzenia obok.

Czy to Daniel? Głos wydał jej się znajomy.

– Dobry wieczór – zagrzmiał inny głos. – Och, przepraszam – ciągnął szeptem. – Nie zauważyłem, że pańska żona śpi.

– Co się stało?

Tess również chciała wiedzieć, co się stało. O co tu chodzi? Dlaczego nie jest w stanie się ruszyć? Czemu nie może otworzyć oczu? Jaka żona śpi gdzieś obok? Czy ten sierżant miał ją na myśli?

– Mała kraksa, robimy porządek po drugiej stronie mostu. Tak to jest, jak się ludzie spieszą w godzinach szczytu. Potrwa jeszcze minutkę czy dwie. Potem państwa przepuścimy.

– Nie ma pośpiechu – powiedział głos spokojnie.

Zbyt spokojnie. To nie mógł być Daniel, bo on zawsze się spieszy. Od razu dałby sierżantowi do zrozumienia, z jak ważną personą rozmawia. No i koniecznie zrobiłby scenę, nigdy nie odpuszczał takich okazji, mimo że nie znosiła, kiedy zachowywał się w ten sposób.

Ale jeżeli to nie Daniel, to kto?

Przebiegł ją dreszcz.

Nie ma pośpiechu? Tak, głos był jej znany.

Nagle wróciła jej pamięć.

„Pachnie pani cudownie”, mówił jej ten sam głos. Nieodległe wspomnienia wracały do niej fragmentami. Dom na Archer Drive. Chciał zobaczyć główną sypialnię. „Mam nadzieję, że się pani nie obraziła”.

Chciał zobaczyć jej twarz. „To nie będzie bolało”. Nie, chciał poczuć jej twarz. Jego ręce, jego palce w jej włosach, na policzkach, na szyi. Potem te same ręce zaciskające się na jej gardle, ciasno i mocno. Dusiła się. Była unieruchomiona. Ciemne oczy. I uśmiech. Tak, uśmiechał się, kiedy zaciskał palce na jej szyi. Bolało ją to. Przestań. To tak boli. Bolała ją głowa, czuła, jak wali nią o ścianę. Walczyła pięściami i paznokciami. Boże, jaki on silny.

I naraz to poczuła. Ukłucie igły, która zatopiła się głęboko w jej ramieniu. Pamiętała, że zrobiło jej się wtedy gorąco,

palące ciepło rozeszło się po jej żyłach. Pamiętała, jak zawirował pokój.

Teraz spróbowała podnieść tę samą rękę. Nie drgnęła, ale bolała. Co on jej zaaplikował? I kim był, do diabła? Dokąd ją zabierał? Nawet jej lęk znalazł się w pułapce, w postaci kuli, która utknęła w gardle i nie mogła się wydostać na zewnątrz. Nie była w stanie poruszyć ani ręką, ani nogą. Nie mogła zamachnąć się, kopnąć, uderzyć czy uciec. Mój Boże, nie mogła nawet krzyknąć.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Nie oglądając się, Maggie minęła wejście do Quantico i udała się prosto do domu. Niedawno skończyło się spotkanie z Kernanem. Spotkanie? To chyba żart. Potrząsnęła głową i zaczęła krążyć po salonie. Godzinna jazda z Waszyngtonu w żadnej mierze nie ochłodziła jej złości. Co to za psycholog, który sprawia, że pacjenci mają ochotę walić pięściami w ścianę?

Przy schodach stały torby, których nie rozpakowała po powrocie z Kansas. Pudła w dalszym ciągu stały po kątach. Maggie zdawało się, że ma nerwy na wierzchu. W głowie huczało, kark zesztywniał. Nie pamiętała, kiedy ostatnio coś jadła.

Mogłaby się teraz przebrać i pobiegać. Zapadał zmierzch, ale to nigdy nie stanowiło dla niej przeszkody. Powstrzymywała ją jednak świadomość, że Stucky może ją obserwować. Czy wrócił już z Kansas? Czy był gdzieś w okolicy i przyczajony czekał na nią? Chodziła od okna do okna, przyglądając się ulicy, potem drzewom za domem, mrużąc oczy, żeby śledzić cienie tańczące za drzewami. Szukała czegoś, co odbiegałoby od normy, jakiegoś podejrzanego ruchu, ale w lekkim wietrze każdy szelest liści, każdy trzask gałązki stawiał ją na nogi.

Gdy zbliżała się do domu, przy końcu ulicy zauważyła robotnika, który sprawdzał kratki ściekowe. Jego

kombinezon wydał jej się podejrzanie czysty, a buty zbyt błyszczące. Od razu domyśliła się, że to jeden z ludzi Cunninghama. Jak szef zamierza złapać Stucky'ego, stosując tak amatorskie sztuczki? Stucky, genialny kameleon, roześmiałby mu się w nos. Z taką łatwością przeistaczał się i zmieniał role, że z pewnością wypatrzyłby kogoś, kto robi to samo, tyle że bez talentu.

To okropne czuć się we własnym domu jak w klatce, ale tak niestety było z Maggie. Co gorsza, w domu panowała śmiertelna cisza. Oprócz stukotu swych obcasów po drewnianej podłodze Maggie nie słyszała nic więcej. Żadnych ludzi od przeprowadzek, silników samochodowych, żadnych dzieci. Ale czyż nie tego właśnie chciała, kupując ten dom? Spokoju i ciszy, miejsca, w którym można schronić się przed światem. Czyż nie taki właśnie był jej zamiar? Jak brzmi to stare powiedzenie? Uważaj, czego pragniesz...

Wydobyła swój stary odtwarzacz CD i przekopała karton z płytami. Niektóre z nich były jeszcze w oryginalnych opakowaniach. Prezenty, których nie miała czasu przesłuchać. W końcu wybrała wczesne nagrania Jima Brickmana, z nadzieją że solo fortepianowe ukoi jej rozpalone nerwy. Po kilku taktach muzyki Maggie zobaczyła przez okno Susan Lyndell, która właśnie wjeżdżała na jej podjazd. To tyle, jeśli chodzi o ucieczkę przed stresem.

Otworzyła drzwi, zanim Susan pokonała stopnie prowadzące na ganek. Powitała sąsiadkę badawczym spojrzeniem.

– Jak się udał wyjazd? – spytała Susan, jakby były dobrymi przyjaciółkami.

– W porządku. – Maggie delikatnie chwyciła ją za łokieć i szybko wciągnęła do holu.

Susan spojrzała na nią ze zdumieniem. W czasie pierwszej wizyty Maggie ledwo wpuściła ją przez drzwi, a teraz takie coś!

– Wróciłam wczoraj wieczorem – mówiła Maggie, zamykając drzwi. Myślała tylko o tym, że Stucky je widzi. Stucky, który wybiera swoją następną ofiarę.

– Chciałam do pani zadzwonić, ale nie ma pani jeszcze w książce.

– Nie, jeszcze nie – powiedziała Maggie stanowczo, jakby Susan zamierzała zapytać o numer. – Rozmawiała pani z inspektorem Manksem?

– Prawdę mówiąc, właśnie z tym przychodzę. Wracając do naszej rozmowy, myślę, że się myliłam.

– W czym się pani myliła? – Maggie czekała na odpowiedź, a sąsiadka rzucała okiem po kartonach, zastanawiając się pewnie, jakim cudem stać było Maggie na taki dom.

– Rozmawiałam z Sidem – powiedziała wreszcie Susan, choć wciąż rozpraszały ją rzeczy Maggie, a raczej ich brak.

– Z panem Endicottem? O czym pani z nim rozmawiała?

– Sid to dobry człowiek. Nie chciałam, żeby sam przez to wszystko przechodził. Pomyślałam, że ma prawo wiedzieć. No, wie pani… o Rachel i tym mężczyźnie.

– Tym monterze od telefonów?

– Tak. – Susan dalej unikała wzroku Maggie, ale nie miało to już nic wspólnego z otoczeniem.

– Co mu pani powiedziała?

– Tylko tyle, że Rachel mogła z nim wyjechać.

– Aha. – Maggie zastanawiała się, co sprawiło, że Susan Lyndell tak łatwo zdradziła przyjaciółkę. I czemu nagle uwierzyła, że Rachel uciekła z jakimś nieznajomym, kiedy jeszcze parę dni temu podejrzewała, że mógł ją skrzywdzić? – I co na to pan Endicott?

– Och, pewnie pani nie słyszała. W garażu nie było samochodu Rachel. Policjanci, jak wtedy się zjawili, zobaczyli mercedesa Sida i nie wiedzieli, że jej samochód zniknął. Wie pani, ona zwykle odwoziła Sida na lotnisko, kiedy wyjeżdżał z miasta, żeby nie musiał zostawiać wozu na parkingu. Sid strasznie się boi o swój samochód. Tak czy owak myślę, że Rachel jednak uciekła z tym mężczyzną. Była nim zauroczona.

– A co z psem?

– Z psem?

– Znaleźliśmy rannego psa... pod łóżkiem.

Susan wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia – rzekła, jakby trudno było od niej oczekiwać, żeby wiedziała wszystko.

Rozdzwoniła się komórka i Maggie wyraźnie zawahała się. Nie chciała rozmawiać przez telefon przy Susan, ta jednak zaczęła się wycofywać.

– Pójdę już. Chciałam tylko, żeby pani wiedziała. – I zanim Maggie zdążyła zaprotestować, sąsiadka była już za

drzwiami, oddalając się, jak stwierdziła Maggie, w lekkich podskokach. Ani trochę nie przypominała tamtej trzęsącej się z nerwów kobiety, którą spotkała przed paroma dniami.

Maggie szybko zamknęła drzwi i zaktywowała system alarmowy. A telefon wciąż dzwonił.

– Maggie O'Dell.

– Chryste, nareszcie. Kup sobie lepszą komórkę, Maggie. Chyba znowu wysiada ci bateria.

W jednej chwili napięcie z powrotem zaatakowało kark i ramiona. Powitanie Grega zawsze brzmiało jak wyrzut.

– Miałam wyłączony telefon. Nie było mnie w mieście. Wysłałam ci wiadomość – przeszła natychmiast do rzeczy, nie chcąc, żeby dalej ględził.

– Powinnaś chyba mieć jakąś sekretarkę czy pocztę, co? – upierał się. – Dwa dni temu dzwoniła twoja matka. Nie wiedziała nawet, że się przeprowadziłaś. Na Boga, Maggie, mogłaś do niej przynajmniej zadzwonić i dać jej swój nowy numer.

– Dzwoniłam. Jak się czuje?

– Po głosie powiedziałbym, że świetnie. Mówiła, że jest w Las Vegas.

– W Las Vegas? – Matka nigdy nie opuszczała Richmondu. I co za wybór! Tak, Las Vegas to idealne miejsce dla alkoholików o skłonnościach samobójczych.

– Mówiła, że jest z jakimś wielebnym Everettem. Powinnaś lepiej jej pilnować, to twoja matka.

Maggie oparła się o ścianę i wzięła głęboki oddech. Greg nigdy nie rozumiał jej związków z matką. Bo niby jak?

Pochodził z modelowej wprost rodziny, odpowiednio konserwatywnej i hołdującej cnotom wszelakim, jak pastor przykazał.

– Greg, nie zostawiłam jednego kartonu?

– Nie, nic tu nie ma. Nie doszłoby do tego, gdybyś wynajęła tych z United. A nie mówiłem?

Maggie zignorowała to cholerne „a nie mówiłem”.

– Jesteś pewny? Słuchaj, nie obchodzi mnie, czy go otworzyłeś albo czy w nim grzebałeś.

– Posłuchaj, co mówisz. Nie ufasz mi, nikomu już nie wierzysz. Naprawdę nie widzisz, do czego doprowadziła cię ta pieprzona robota?

Maggie pomasowała kark. Czy on musiał jej tak utrudniać?

– Sprawdziłeś w piwnicy? – spytała, wiedząc, że pudło nie mogło tam trafić, ale dawała Gregowi ostatnią szansę, jeśli faktycznie je otworzył.

– Nie, nic tam nie ma. Co w nim było? Jeden z twoich cennych rewolwerów? Nie możesz spać, nie mając ze czterech pod ręką? Bo tyle chyba ich masz?

– Mam dwa, Greg. Dla agenta FBI to nic niezwykłego.

– Fakt. Ale dla mnie to o jeden za dużo.

– Zadzwoń do mnie, jeśli pudło jednak się znajdzie, dobrze?

– Nie ma go tu.

– Dobra. To cześć.

– Zadzwoń do matki od czasu do czasu – powiedział na pożegnanie i rozłączył się.

Maggie oparła głowę o ścianę i zamknęła oczy. Starała się powstrzymać pulsowanie w głowie, w karku, w ramionach. I wtedy nagle zadzwonił dzwonek do drzwi, a ona chwyciła za broń, zanim zdołała to sobie uświadomić. Jezu drogi! Może Greg miał rację? Naprawdę żyła w jakimś szalonym, paranoicznym świecie.

Obok latarni na podjeździe stała furgonetka z napisem Klinika Weterynaryjna Rileya. Mężczyzna w białym kombinezonie i czapce z daszkiem stał na ganku Maggie. Obok niego spokojnie siedział biały labrador z niebieską obrożą i taką samą smyczą. Maggie poznała psa z domu Endicotta, lecz i tak czujnie przyjrzała się mężczyźnie, upewniając się, że to nie jakiś przebieraniec. W końcu stwierdziła, że jest dużo niższy od Stucky'ego.

– Endicottowie mieszkają w końcu ulicy – poinformowała, otworzywszy drzwi.

– Wiem – rzucił mężczyzna. Miał mocną szczękę, czerwoną twarz, czoło lśniące kroplami potu, jakby przybiegł tu, a nie przyjechał samochodem. – Pan Endicott nie chce wziąć psa.

– Co?

– Nie chce wziąć psa.

– Tak powiedział? – Maggie wydało się to nieprawdopodobne po tym, co pies przeszedł.

– Powiedział, że to chrzaniony pies jego żony. Proszę wybaczyć, że się wyrażam, ale ja tylko powtarzam. No, niezbyt dokładnie, bo powiem pani, że on wcale nie powiedział „chrzaniony". Wiadomo, w czym rzecz, no nie?

No, ale powiedział, że to chrzaniony pies jego żony, i jak ona uciekła i zostawiła tego głupiego psa, to on też go nie chce.

Maggie patrzyła na psa, który położył się płasko na ziemi, przestraszony uniesionym głosem mężczyzny. Lub może zrozumiał, o czym mówili?

– Nie bardzo wiem, czego pan ode mnie oczekuje. Nie spodziewam się, żebym potrafiła zmienić zdanie pana Endicotta. Nawet go nie znam.

– Pani nazwisko i adres jest na formularzu, który pani podpisała, przywożąc psa. Inspektor Manx kazał nam odwieźć go do pani.

– Ach tak? – To Manx ją tak urządził. – A jeśli go nie wezmę? Co pan z nim zrobi?

– Mam polecenie od pana Endicotta, żeby go utopić. No, najpierw uśpię, a dopiero potem utopię.

Maggie spojrzała znów na psa, a on, w tej samej chwili, podniósł na nią swoje smutne, melancholijne brązowe oczy. A niech to szlag! Pojęcia nie miała, jak opiekować się psem. Tak rzadko bywała w domu. Nie powinna mieć psa. Ale kiedyś o tym marzyła, tylko matka nie chciała mieć żadnego zwierzaka w domu, natomiast Greg był uczulony na psy i koty. Tak przynajmniej powiedział, kiedy przyprowadziła do domu znajdę. Nieważne, czy miał tę alergię, czy nie, wiedziała, że nie tolerowałby w domu żadnego stworzenia na czterech łapach, które wspinałoby się na jego cenne skórzane meble i drapało je pazurami. I to ostatecznie przeważyło.

– Jak się wabi? – spytała, biorąc smycz z rąk mężczyzny.
– Harvey.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Boston, Massachusetts
Czwartek, 2 kwietnia

Will Finley nie mógł usiedzieć w miejscu. Cały ranek był taki pobudzony. Teraz biegał po korytarzach sądu okręgowego. Otarł twarz drżącą ręką. Za dużo kofeiny, za mało snu, oto jego problem. No i to, że Tess McGowan nie odpowiedziała na żaden z jego telefonów. Był już czwartek. Od poniedziałku zostawiał wiadomości na sekretarce automatycznej w jej domu i w biurze. Wychodząc od niej, zabrał wizytówkę, których stosik leżał na antycznym biurku w sypialni, dzięki czemu poznał jej telefony i nazwisko. Cholera, próbował nawet zostawić informację w barze „U Louiego”, aż przysadzisty właściciel rzucił mu w końcu: „Cholera, daj spokój Tess, odpieprz się”.

Dlaczego więc nie umiał zostawić jej w spokoju? Dlaczego pochłaniała jego myśli? Żadna kobieta nie opętała go dotąd tak bardzo. Czemu więc akurat ta? Nawet Melissa dostrzegła, że jest czymś zaabsorbowany, zwłaszcza poprzedniego wieczoru, kiedy napomknęła, że mogłaby zostać u niego na noc. Praktycznie wyrzucił ją za drzwi, posługując się kiepską wymówką, że musi się dobrze wyspać przed ważną rozprawą. Co się z nim stało? Czyżby naprawdę bał się, że Melissa odkryje jego zdradę, jeśli

dotknie jej ciała inaczej niż zwykle? A może nie chciał wymazywać z pamięci nocy z Tess, którą odtwarzał już tyle razy i wciąż nie miał dość?

Cholera, ale burdel.

Ruszył w stronę archiwum i wpadł na Nicka Morrellego.

– Hej, gdzie tak pędzisz? – powiedział Nick, pomagając Willowi zbierać papiery, które wysypały się z jego teczki.

Podnieśli się w końcu. Will wciąż omiatał wzrokiem podłogę, upewniał się, czy niczego nie przeoczył. Tylko tego mu jeszcze brakowało, żeby zgubił jakiś dokument, który dałby obronie przewagę w tym procesie.

– No, gdzie się tak spieszysz? – spytał raz jeszcze Nick.

– Nie spieszę się. – Will wyprostował plecy i przeczesał włosy palcami. Zastanawiał się, czy Nick dostrzegł, że trzęsą mu się ręce. Obaj od niedawna pracowali w biurze prokuratora okręgowego, ale Nick był jednym z wykładowców Willa na wydziale prawa Uniwersytetu Stanu Nebraska. Will w dalszym ciągu postrzegał Nicka bardziej jako nauczyciela niż kolegę, tym bardziej że były profesor wziął go pod swoje skrzydła, pomagając przywyknąć do szaleńczej bostońskiej gonitwy.

– Wyglądasz okropnie – zmartwił się Nick. – Nic ci nie jest?

– Nie, jest okej.

Nick jakoś nie dał się przekonać. Spojrzał na zegarek.

– Pora na lunch. Może skoczymy na dół na jakiegoś burgera? Ja stawiam.

– Dobra. Taa, pewnie. Jeśli stawiasz. – Jezu! Nawet mówił jak wariat. – Tylko wrzucę to do archiwum.

Było tak ciepło, że z powodzeniem można było chodzić w samej koszuli, lecz obaj mężczyźni byli w marynarkach. Will uświadomił sobie, że będzie musiał ją nosić do końca dnia, jeśli plamy potu pod pachami na koszuli stały się tak widoczne, jak mu się zdawało. Może źródłem tych wszystkich fizycznych reakcji był po prostu strach? W końcu zbliżał się ślub, jeszcze tylko kilka tygodni wolności. Do cholery! Jak to możliwe?

Will zanudzał rozmową o sprawach, które się zdarzyły, kiedy Nick był w Kansas City. Tylko w ten sposób mógł zapomnieć o zatroskanym spojrzeniu byłego profesora. Ten słuchał uprzejmie, aż wreszcie wybrał moment, gdy Will zatkał się frytkami, i zapytał:

– Może wreszcie mi powiesz, co cię gryzie?

Will wytarł keczup z kącików ust i przełknął. Chwycił pepsi i przepłukał gardło. No i tyle, musiał więc wreszcie coś powiedzieć.

– Dlaczego myślisz, że coś jest nie tak?

– Nie powiedziałem, że coś jest nie tak, tylko że czymś się gryziesz.

– Aha. – Znowu wytarł usta, żeby zyskać na czasie. Do cholery, jest przecież prawnikiem i jakoś przebrnie przez tę rozmowę.

– Więc co jest nie tak?

Will odsunął talerz. Zdołał pożreć połowę hamburgera i prawie wszystkie frytki, zanim Nick przełknął drugi kęs.

Czuł, że pali go zgaga, umiejscowiwszy się gdzieś pośrodku klatki piersiowej. Jakby trzeba mu było jeszcze jednej fizycznej dolegliwości.

– Chyba spieprzyłem wielką szansę.

Nick nie przestał jeść, jednak uważnie przyglądał się Willowi. Wreszcie powiedział:

– Chyba nie chodzi ci o sprawę Prucello?

– Nie, to nie ma nic wspólnego z pracą.

Nick odetchnął, lecz zaraz zmarszczył brwi.

– Strach cię obleciał przed ślubem?

Will duszkiem wypił pepsi. Zawołał kelnera i wskazując na pustą szklankę, poprosił o następną. Zresztą najchętniej łyknąłby coś mocniejszego.

– Może, nie wiem. – Przysunął krzesło i pochylił się nad stołem, chciał bowiem mówić cicho w hałaśliwym o tej porze lokalu. Przy dwu sąsiednich stolikach siedzieli ludzie, których znał z sądu. – W niedzielę wieczorem poznałem kobietę. Chryste, Nick! Była... niesamowita! Nie mogę przestać o niej myśleć.

Nick przeżuwał powoli i patrzył na Willa, jakby przemyśliwał, co odpowiedzieć. Jeśli ktokolwiek potrafi go zrozumieć, myślał Will, to na pewno jest to Nick Morrelli. Will wiedział, że plotki na temat Nicka i jednej ze studentek, cudownej czarnulki, a także kilku urodziwych wykładowczyń, nie były czczymi gadkami. Nick Morrelli zasłużenie cieszył się opinią podrywacza-konesera. Z hultajskim wdziękiem uwodził kobiety, które miały w sobie owo „coś”, a potem z takim samym wdziękiem

rozstawał się z nimi, kiedy zaś porzucił uniwersytet i objął stanowisko szeryfa Platte City, nadal buszował w damskich serduszkach, programowo unikając poważniejszych związków.

– Ta kobieta – rzekł powoli Nick – to dziwka?

Will o mało się nie zakrztusił.

– Nie, skąd – odparł, rozglądając się, czy nikt nie zwrócił uwagi na jego podekscytowanie. – Ci kolesie, Mickey, Rob, Bennet, no, podpuścili mnie, żebym ją zarwał. Siedziała przy barze. Fantastyczna babka, seksowna i taka... bo ja wiem, swobodna, wyluzowana. Ale to nie żadna pieprzona dziwka – żachnął się. Przerwał i zniżył głos, bo patrzyli na niego dwaj mężczyźni z sąsiedniego stolika. – Jest ode mnie starsza, pewnie w twoim wieku. Bardzo atrakcyjna, i tak zajebiście... zmysłowa. Ale w jakiś wyrafinowany sposób, rozumiesz, nie żadne tam tanie numerki. Jest agentem nieruchomości.

Kelner ponownie napełnił szklankę Willa, którą ten natychmiast opróżnił do połowy. Nick nie przerywał jedzenia, jakby nic się nie działo. Willa trochę to wkurzało. To on się, kurde, zwierza, a Nicka bardziej obchodzi ten pieprzony burger.

– Chcesz powiedzieć, że dobra z niej dupa?

– Jezu Chryste, Nick!

– Co? Czy nie o to ci chodzi?

– Człowieku, myślałem, że kto jak kto, ale ty mnie zrozumiesz. Zapomnij o tym. Zapomnij, że ci o tym powiedziałem. – Will przysunął sobie talerz i zaczął znów

wpychać do ust frytki, nie patrząc na Nicka. Jakaś kobieta, siedząca przy sąsiednim stoliku, przesłała mu uśmiech. No cóż, nie wiedziała, że ma do czynienia z idiotą.

– Daj spokój, Will, zachowaj rozsądek chociaż przez minutę. – Nick czekał, aż Will zacznie go słuchać. – Chcesz przeputać te wszystkie lata z Melissą przez jedno superpieprzenie?

– Nie, jasne, że nie. – Will osunął się na krześle i walczył z węzłem krawata. Podniósł wzrok na Nicka. – Nie wiem, co robić.

– Will, posłuchaj. Miałem wiele świetnych kobiet. Ale nie wolno dopuścić do tego, żeby jedno, nawet niewiarygodnie świetne pieprzenie, decydowało o twoim życiu.

Zapadła cisza. Nick kończył swoją porcję. Will wyprostował się, potem znowu pochylił się nad stołem i wtedy zobaczył, że umoczył rękaw w keczupie. O gówno! Ostatnio tracił więcej forsy na pralnię niż na żarcie.

– To nie był tylko seks, Nick. – Czuł, że musi to wyjaśnić, ale nie był pewny, czy sam to rozumiał. – To było coś więcej. Nie wiem, jak to nazwać. Miała w sobie coś takiego. Nie mogę o niej zapomnieć. Rozumiesz, taka silna, namiętna, seksowna, niezależna babka, która potrafi też być... no kurde, nie wiem... i bezbronna, i słodka, i zabawna, i... i taka prawdziwa. Fakt, oboje wypiliśmy i prawie się nie znaliśmy, ale... ale ciągle to pamiętam.

Patrzył, jak Nick wyjmuje banknoty i kładzie przy rachunku, i zastanawiał się gorączkowo, czy nie popełnił

błędu, wypowiadając głośno swoje myśli. Może powinien był zachować je dla siebie?

– Okej, i co zamierzasz z tym zrobić?

– Nie wiem – rzekł Will z rezygnacją. – No cóż, chciałbym znowu się z nią spotkać, żeby pogadać. Zobaczyć... do diabła, nie wiem, Nick.

– Zadzwoń do niej. Co cię powstrzymuje?

– Próbowałem, ale nie odpowiada na moje wiadomości.

– To wpadnij do niej, zaproś na lunch. Kobiety lubią, jak facet zaczyna działać.

– Jest mały problem. To pięć godzin samochodem stąd. Ona mieszka w takim małym mieście pod Waszyngtonem. Newton. Neberry, Newburgh. Taa, chyba Newburgh.

– Moment. Pod Waszyngtonem, mówisz? Newburgh Heights? W Wirginii?

– Taa? Skąd wiesz?

– Moja znajoma kupiła tam właśnie dom.

– Jaki ten świat mały. – Will patrzył na Nicka, który nagle nad czymś głęboko zaczął myśleć. – Myślisz, że się znają?

– Wątpię. Maggie jest agentką FBI.

– Zaraz. To ta sama agentka, która tamtej jesieni pomagała ci w śledztwie?

Nick skinął głową. Nie musiał nic mówić. Will widział, że to ta sama kobieta. Już kilka miesięcy temu przekonał się, że lepiej nie wspominać w rozmowie z Nickiem jej nazwiska, bo zaraz mu odbijało. Może ta kobieta opętała Nicka?

– To czemu nigdy do niej nie wpadłeś ani nie zaprosiłeś na lunch?

– Po pierwsze, dopiero kilka dni temu dowiedziałem się, że się rozwodzi.

– Kilka dni temu? Chwileczkę... To ona była na tej imprezie w Kansas City?

– Tak, miała tam wykład o seryjnych mordercach.

– I?

– I nic.

Will zobaczył, że Nickowi rzednie mina i ogarnia go irytacja. Tak, znowu mu odbijało.

– Ale się z nią widziałeś? Rozmawiałeś z nią?

– Taa. Spędziliśmy razem popołudnie, grzebiąc w śmietniku.

– Co? To jakaś nowa gra wstępna?

– Nie – rzucił Nick. Nie był w nastroju do żartów. – Daj spokój, wracajmy do roboty.

Wstał, poprawił przekrzywiony krawat i zapiął marynarkę, dając znak, że rozmowa dobiegła końca. Will postanowił to zlekceważyć i napierał dalej.

– Wygląda na to, że ta Maggie to twoja Tess.

– Co ty pleciesz, dzieciaku. Co to ma niby znaczyć? – Rzucił mu spojrzenie, po którym Will od razu wiedział, że trafił.

– Ta Maggie tak cię opętała jak mnie Tess. Może powinniśmy wybrać się razem na wycieczkę do Newburgh Heights?

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Maggie była zdumiona. Agentowi Tully’emu udało się sprawić, że jej dawny pokój stał się jeszcze mniejszy. Książki, które nie mieściły się w wąskiej, sięgającej od podłogi do sufitu biblioteczce, tworzyły pochyłe wieże w kącie. Krzesło przeznaczone dla gości ginęło pod stosami gazet. Na biurku tacka na przychodzącą korespondencję przysypana była stertą nierówno ułożonych dokumentów i teczek. Łańcuszki ze spinaczy do papieru leżały w różnych dziwnych miejscach – nerwowy nawyk człowieka, który stale musiał mieć zajęte czymś ręce. Samotny kubek chwiał się na stercie kodeksów i podręczników komputerowych. Zaglądając przez drzwi, Maggie zobaczyła jeszcze szary strój do biegania wiszący w miejscu, gdzie ludzie zwykle wieszają trencze albo płaszcze przeciwdeszczowe.

Jedynym przedmiotem w tym pomieszczeniu, któremu nadano szczególną wagę, była fotografia w zwykłej drewnianej ramce, która stała w prawym górnym rogu biurka. Ów narożnik pozbawiony był innych rzeczy. Maggie od razu rozpoznała agenta Tully’ego, choć zdjęcie musiało zostać zrobione kilka lat wcześniej. Mała dziewczynka o jasnych włosach miała jego ciemne oczy, lecz poza tym wyglądała jak młodsza wersja swej matki. Było to zdjęcie szczęśliwej rodziny.

Maggie obawiała się spojrzeć na nie z bliska, jakby groziło to odkryciem jakiegoś sekretu. Jak to jest, kiedy człowiek jest taki szczęśliwy? Czy ona kiedykolwiek to czuła, choćby przez krótki czas? Patrząc na agenta Tully'ego, zgadywała, że jego szczęście gdzieś się ulotniło. Nie chciała znać szczegółów. Od lat pracowała sama i teraz była zirytowana, że Cunningham pozwolił jej wrócić do sprawy Stucky'ego pod warunkiem, że stworzy tandem z Tullym. Miała wrażenie, że wciąż była karana za jeden głupi błąd, jaki popełniła w swojej zawodowej karierze. Chodziło o samotny, a co ważniejsze samowolny wyjazd do tego magazynu w Miami, gdzie czekał na nią Stucky i podstępnie zmusił ją, żeby była świadkiem.

Zgoda, przynajmniej w części Cunningham kierował się też jej bezpieczeństwem. Agenci pracowali w parach, żeby się nawzajem chronić, ale psychologowie-agenci pracowali zazwyczaj w pojedynkę i Maggie do tego przywykła. Obecność Turnera i Delaneya, którzy wciąż się przy niej kręcili, bardzo jej przeszkadzała. Oczywiście uszanuje wyznaczone przez Cunninghama reguły, ale… czasami nawet najlepsi agenci, ba, najbliżsi partnerzy zapominają podzielić się ze sobą jakimś szczegółem.

Agent Tully wszedł, dźwigając dwa kartony. Maggie pomogła mu znaleźć kawałek wolnego miejsca i odebrała od niego jedno pudło.

– To chyba już wszystkie dokumenty.

Chciała mu już powiedzieć, że wszystkie dokumenty, z których zrobiła dla siebie kopie, mieszczą się doskonale

w jednym pudełku, ale jednak darowała sobie wykład o organizacji pracy. Najważniejsze było to, by Tully wreszcie zreferował jej, jakie nowe materiały pojawiły się podczas ostatnich pięciu miesięcy.

– Mogę zobaczyć ostatnią teczkę?

– Sprawa dziewczyny z pizzerii leży na moim biurku. – Przeszukiwał biurko. – Mam tu też sprawę z Kansas City. Przysyłają mi faksem różne rzeczy.

Maggie o mały włos nie rzuciła się z pomocą. Miała ochotę zgarnąć wszystkie te teczki i zrobić z nimi porządek. Jak ten facet, cholera jasna, w ogóle coś znajduje?

– Zaraz, to chyba to. Tak, tu są dokumenty dotyczące dziewczyny z pizzerii.

Podał jej pękającą w szwach teczkę. Papiery i zdjęcia wystawały z niej pod najrozmaitszymi kątami. Maggie otworzyła ją i najpierw poukładała dokumenty, dopiero potem zaczęła im się przyglądać.

– Czy możemy mówić o niej po imieniu?

– Słucham? – Agent Tully w dalszym ciągu kopał w pobojowisku na biurku. W końcu znalazł okulary w drucianych oprawkach, włożył je i spojrzał na Maggie.

– Dziewczyna z pizzerii. Czy możemy mówić o niej po imieniu?

– Oczywiście – odparł, chwytając kolejną teczkę i przerzucając jej zawartość.

Poczuł się trochę zbity z tropu. Maggie wiedziała, że nie znał na pamięć imienia ani nazwiska dziewczyny. Nie miało to nic wspólnego z brakiem szacunku, natomiast pozwalało

zachować dystans. Psychologowie często mówią „ofiara” albo Jane lub John Doe, zależnie od płci. Spotykają ofiary zazwyczaj wtedy, kiedy jako zakrwawiona masa niezbyt są podobne do swych żywych wcieleń. Maggie niegdyś postępowała tak samo, posługiwała się ogólnymi określeniami właśnie po to, żeby zachować emocjonalną neutralność. Aż zdarzyło się, że spotkała małego chłopca, który nazywał się Timmy Hamilton. Pokazał jej swój pokój oraz kolekcję kart z baseballistami, a zaraz potem został porwany. I teraz było dla Maggie ważne, jak miała na imię dziewczyna z pizzerii. Ta śliczna, młoda blondynka, która dostarczyła jej pizzę w poprzednim tygodniu i którą Maggie zapamiętała jako pełną życia, radosną osobę. Ta sama, która nie żyła tylko dlatego, że dostarczyła jej tę pizzę.

– Jessica – wyrzucił z siebie wreszcie agent Tully. – Nazywała się Jessica Beckwith.

Maggie zdała sobie sprawę, że sama mogła łatwo to sprawdzić. Dokument, który znajdował się na samym wierzchu, był raportem koronera z autopsji i były w nim umieszczone dane osobowe dziewczyny. Maggie starała się jednak nie myśleć o jej rodzicach, bo jednak pewien dystans był absolutnie niezbędny.

– Znaleziono cokolwiek w miejscu zbrodni, z czego można by zrobić test DNA?

– Nic istotnego. Odciski palców, które nie odpowiadają odciskom Stucky’ego. Dziwna rzecz, wyglądało na to, jakby ktoś wszystko dokładnie wyszorował i zostawił tylko te odciski, palec wskazujący i kciuk. Możliwe, że należą do

aspiranta, który wepchał paluchy, gdzie nie trzeba, a teraz boi się do tego przyznać. AFIS jeszcze nie przysłał wyników.

– Narzędzia zbrodni nie znaleziono, tak?

– Zgadza się. To było coś bardzo cienkiego, bardzo ostrego, z jednym ostrzem. Myślę, że może skalpel, bo łatwo się nim kroi.

Maggie wzdrygnęła się, co Tully zauważył.

– Przepraszam – powiedział. – To pierwszy przykład, jaki mi wpadł do gowy.

– Czy na ciele były ślady śliny? Sperma w ustach?

– Nie, i wiem, że to niepodobne do Stucky'ego.

– Jeśli to Stucky.

Czuła, że Tully na nią patrzył, ale unikała bezpośredniego kontaktu wzrokowego, wpatrując się w raport z autopsji. Czemu Stucky teraz powstrzymuje się, czemu nie kończy? Przecież nie zadaje sobie z pewnością trudu, żeby założyć kondom. Kiedy zidentyfikowano go jako Alberta Stucky'ego, nie przejął się tym ani trochę i dalej robił swoje. Co znaczyło tyle, że popisywał się jurnością, kilkakrotnie gwałcąc swoje ofiary, a także często zmuszając je do seksu oralnego. Maggie chętnie obejrzałaby ciało dziewczyny. Wiedziała już, czego szukać. Chodziło o pozornie nieistotne fizyczne dowody, na podstawie których można było stwierdzić, czy dokonana zbrodnia zgadza się ze wzorcem zachowań Stucky'ego. Niestety, u dołu formularza znajdowała się informacja, że ciało Jessiki oddano już rodzinie. Gdyby nawet zdołała powstrzymać na jakiś czas pochówek, po znakach i tak nie byłoby śladu, z pewnością

zostały bowiem zmyte przez pracownika zakładu pogrzebowego.

– Znaleźliśmy w tamtym śmietniku ukradziony telefon komórkowy – dodał nagle agent Tully.

– Były na nim jakieś odciski?

– Czysty jak łza, ale biling wykazał, że tego samego wieczoru dzwoniono z niego do pizzerii.

Maggie przestała czytać i podniosła wzrok na Tully'ego. Mój Boże, czy to może być takie proste?

– Tak ją porwał? Po prostu zamówił pizzę?

– Tak myśleliśmy początkowo – wyjaśniał. – Znaleźliśmy listę adresów, pod które dziewczyna miała się udać. Sprawdziliśmy dokładnie adresy i telefony. Kiedy Cunningham stwierdził, że Newburgh Heights to pani nowe miejsce zamieszkania, szukaliśmy pani adresu. Od razu go znaleźliśmy. Wszystkie inne adresy też były miejscowe. Ale większość osób była wtedy w domu i otrzymała zamówioną pizzę. Tylko paru nie złapałem jeszcze telefonicznie, ale wybieram się do Newburgh Heights, żeby to sprawdzić.

Podał jej dwie fotokopie czegoś, co wyglądało jak kawałki podartego papieru z kołonotatnika. Obie listy zawierały łącznie dwanaście adresów. Adres i nazwisko O'Dell były na pierwszej liście.

Maggie oparła się o ścianę. Była przemęczona. Większą część ostatniej nocy przespacerowała od okna do okna, wyglądając i czekając. Spała tylko trochę w samolocie z Kansas City, ale co to za odpoczynek.

– Gdzie znaleziono samochód?

– Na parkingu przy lotnisku. Była tam też furgonetka kompanii telefonicznej, której kradzież zgłoszono parę tygodni temu.

– I żadnych śladów w samochodzie Jessiki? – spytała, przeglądając listę adresów.

– Trochę błota na pedale gazu, no i ślady krwi oraz jasne włosy w bagażniku. Oczywiście Jessiki. Przewiózł ciało na śmietnik jej wozem. Żadnych śladów walki w aucie, jeśli o to pani pyta. Musiał ją najpierw gdzieś zabrać. Problem w tym, że w Newburgh Heigths nie ma opuszczonych magazynów ani budynków przeznaczonych do rozbiórki. Myślałem, że mógł jej podać adres jakiejś firmy, wiedząc, że wieczorem nikogo tam nie będzie. Ale na liście brak takich adresów.

Wtem Maggie rozpoznała jeden z adresów. Wyprostowała się i odsunęła od ściany. Nie, to nie może być takie proste. Przeczytała raz jeszcze.

– Może chodziło mu o jakieś bardziej luksusowe miejsce.

– Trafiła pani na coś? – Agent Tully stał już u jej boku, patrząc na kartkę papieru, którą przeglądał mnóstwo razy. Ale, oczywiście, on nie mógł tego wiedzieć. Bo i skąd?

– Ten adres. – Maggie pokazała palcem miejsce w dolnej połowie strony. – Ten dom jest na sprzedaż. Od dość dawna stoi pusty.

– Żartuje pani. Jest pani pewna? Telefon jest tam wciąż podłączony, zawsze włącza się automatyczna sekretarka.

– Właściciele mogą odbierać wiadomości. Tak, jestem pewna, że ten dom jest na sprzedaż. Jakieś dwa tygodnie

temu oglądałam go z moją agentką nieruchomości.

Reszta adresów już jej nie obchodziła. Wsadziła kartkę pod pachę i ruszyła do wyjścia, ale Tully ją zatrzymał.

– Chwileczkę! – zawołał, chwytając pogniecioną marynarkę z krzesła za biurkiem i potknął się o parę znoszonych mokasynów, których Maggie wcześniej nie zauważyła. Kurczowo złapał się rogu biurka, żeby nie upaść, i wtedy jeden ze stosów nie wytrzymał. Kartki i fotografie rozsypały się po podłodze. Maggie rzuciła się z pomocą, jednak Tully dał jej znak, że sam sobie poradzi. No i zabrał się do roboty, szybko, nerwowo, bez ładu i składu.

Zrezygnowana Maggie oparła się o framugę. Nie dość, że Cunningham kazał jej iść do doktora Kernana, to jeszcze na domiar złego zmusił ją do współpracy z tym niezgułą, z tym pożal się Boże agentem. Ten śmieszny, żałosny człowieczek miał zmierzyć się ze Stuckym? Czysta kpina.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Maggie starała się nie wybuchnąć, kiedy Delores Heston z Heston Realty usiłowała znaleźć właściwy klucz. Słońce wsączało się do środka zza linii drzew. Maggie nie mieściło się w głowie, że straciły już tyle czasu, bezskutecznie szukając Tess McGowan. I chociaż pani Heston była więcej niż życzliwa, Maggie ogarnął niepokój. Była rozdrażniona i pełna obaw. Miała pewność, że właśnie w tym domu Albert Stucky zamordował Jessicę Beckwith. Było to takie proste rozwiązanie, takie banalne i tak bardzo pasowało do Stucky'ego.

Pani Heston wyłowiła kolejny pęk kluczy, Maggie wierciła się coraz gwałtowniej, przestępując z nogi na nogę.

– Naprawdę nie wiem, gdzie jest Tess. Z pewnością wzięła sobie parę dni wolnego.

Tak samo mówiła przez telefon, ale w jej głosie wyczuwało się zdenerwowanie. Martwiła się o swoją pracownicę.

– Któryś z tych musi w końcu pasować.

– Powinniście je opisać. – Maggie starała się powściągnąć irytację. Wiedziała, że pani Heston wykazała się dużą uprzejmością, pozwalając im rozejrzeć się po domu. Oczywiście podali fałszywy pretekst, niby że prowadzą śledztwo w sprawie domniemanego włamania. Od kiedy to agenci FBI zajmują się lokalnymi kradzieżami? Na

szczęście pani Heston przyjęła to za dobrą monetę i nie zadawała niepotrzebnych pytań.

– To są dodatkowe klucze. Mamy komplet oznakowanych, ale widać Tess zapomniała je oddać po wczorajszej prezentacji domu.

– Wczorajszej? Czyżby pokazywała komuś wczoraj ten dom?

Pani Heston przystanęła. Teraz już nie kryła niepokoju. Jej głos zabrzmiał piskliwie i alarmująco.

– Tak, jestem pewna, że to było wczoraj. Przed wyjściem z biura sprawdzałam rozpiskę. Środa, pierwszy kwietnia. A o co chodzi? Podejrzewają państwo, że włamanie nastąpiło wcześniej?

– Trudno powiedzieć – odparła Maggie, siląc się na obojętny ton, chociaż miała chęć kopać w drzwi. – Zna pani nazwisko klienta?

– Nie, nazwisk klientów nie ma na tablicy. Dane osobowe są tajne.

– Ale gdzieś musi być zapisane to nazwisko. Czy tak?

– Tess na pewno gdzieś je zanotowała, ale we wstępnej fazie negocjacji, podczas prezentacji domu, te dane jeszcze nie trafiają do mnie. Dopiero później. Ufam moim agentom i nie stoję im za plecami. – Była rozgoryczona. Pytania agentki, choć niby normalne w formie, były agresywne i napastliwe.

Maggie rozumiała to. Nie chciała sprawiać przykrości pani Heston, ale musiała otworzyć te cholerne drzwi.

Rozejrzała się i zobaczyła, że agent Tully wyłania się z domu po drugiej stronie ulicy. Długo tam siedział. Maggie zaczęła się już zastanawiać, czy blondynka, która powitała ich w drzwiach, tak się w nim z miejsca zakochała, czy może miała aż tyle do powiedzenia. Sądząc po uśmiechu, jakim kobieta obdarzyła na pożegnanie Tully'ego, Maggie uznała, że chodziło o pierwszą ewentualność. Patrzyła, jak wysoki, tyczkowaty agent biegnie przez ulicę. Poruszał się pewnie długimi krokami. W ciemnym garniturze, okularach przeciwsłonecznych i z krótko przystrzyżonymi włosami wyglądał jak typowy agent FBI, chociaż Tully był zbyt grzeczny, zbyt przyjacielski i o wiele za bardzo uczynny. A przy tym potworny bałaganiarz. Gdyby nie powiedział jej, że pochodzi z Cleveland, pomyślałaby, że jest ze Środkowego Zachodu. Kto wie, może w Ohio dodają coś do wody.

– Ten dom ma system alarmowy. – Pani Heston wciąż szukała odpowiedniego klucza. – O, proszę, nareszcie.

Gdy zamek zaskoczył, agent Tully wbiegł na stopnie ganku. Pani Heston odwróciła się przestraszona.

– Pani Heston, to agent specjalny R.J. Tully.

– O rety, to jakaś ważna sprawa.

– Całkiem rutynowa, proszę pani. Od dawna poruszamy się w parach, tak zarządziła góra – rzekł Tully z uspokajającym uśmiechem.

Maggie chciała spytać, czy Tully dowiedział się czegoś od sąsiadki, musiała jednak poczekać z tym na odpowiedni moment. Ale tak bardzo nie znosiła czekać.

Gdy tylko weszli do holu, Maggie zobaczyła, że system alarmowy jest wyłączony. Nie paliło się ani nie mrugało żadne światełko.

– Jest pani pewna, że alarm powinien pracować? – spytała Maggie.

– Tak, jestem zupełnie pewna. Mamy to zapisane w kontrakcie z właścicielem domu. – Heston nacisnęła kilka guzików i system obudził się. – Nie rozumiem tego. Tess na pewno nie zapomniałaby go aktywować.

Maggie pamiętała, że Tess McGowan bardzo starannie aktywowała i dezaktywowała systemy alarmowe we wszystkich pokazywanych jej domach, również w tym. Systemy alarmowe były bardzo istotne dla Maggie. Wiedziała, że ten był dość powszedni, odpowiedni dla kogoś, kto żyje sobie w spokoju i obawia się tylko drobnych złodziejaszków. No cóż, mało kto musi barykadować się przed seryjnymi mordercami.

– Mogę się rozejrzeć? – spytał agent Tully, kiedy Maggie była już w połowie schodów prowadzących na górę. Kiedy doszła na półpiętro, usłyszała przerażony głos pani Heston.

– O mój Boże!

Maggie przechyliła się przez dębową barierkę. Pani Heston wyciągała rękę w kierunku teczki, która spoczywała w kącie salonu.

– To Tess. – Do tej chwili pośredniczka zachowywała się profesjonalnie. Jej raptowny atak paniki był drażniący.

Kiedy Maggie znalazła się znowu na dole, agent Tully trzymał teczkę w ręku i zaczął ostrożnie wyjmować jej

zawartość przez białą chusteczkę do nosa.

– Niemożliwe, żeby ta dziewczyna zostawiła tutaj teczkę i nie wróciła po nią. – Pani Heston wyrzucała słowa kompletnie spanikowana. – Jej notes, portfel... dobry Boże, coś tu nie gra!

Maggie przyglądała się, jak agent Tully wyciąga ostatni przedmiot z torebki: pęk oznakowanych kluczy. Od razu wiedziała, że to klucze od tego domu.

Ogarnęły ją mdłości. Tess McGowan z własnej woli pokazywała komuś ten dom poprzedniego dnia, ale żadną miarą nie opuściła go dobrowolnie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

– Nie wiemy, czy Stucky ma z tym coś wspólnego – starał się przekonywać Tully, niepewny, czy wierzy własnym słowom.

Było jasne, że musi zachować obiektywizm. Od momentu gdy opuściła ich pani Heston, z agentką O’Dell zaczęło się dziać źle. Spokojna, zrównoważona, profesjonalna, chodziła teraz szybkimi krokami tam z powrotem. Przeczesywała krótkie, ciemne włosy, upychała za uszy kosmyki, mierzwiła je i znowu zakładała za uszy. Głos rwał jej się i pobrzmiewał dziwnym tonem. Jakby chwilami drżał.

Tully nie bardzo wiedział, jak powinien z nią postępować. Kompletnie różniła się od kobiety, z którą spędził większość tego dnia.

Zapadł zmierzch. Agentka O’Dell przewędrowała cały piętrowy dom, zapalając wszystkie możliwe światła i zaciągając zasłony tam, gdzie je znalazła, kiedy już dosyć napatrzyła się w ciemność przez każde okno. Czy spodziewała się, że on tam będzie?

Teraz po raz drugi przeszukiwała parter. Tully uważał, że powinni już iść. Dom był czysty. Co prawda w głównej sypialni dominowała silna, świeża jeszcze woń amoniaku, ale poza tym nic nie wskazywało na to, że cokolwiek się tu wydarzyło. A już na pewno nie brutalne morderstwo czy gwałtowne porwanie.

– Nie ma żadnego śladu, że stało się tu coś podejrzanego – podjął. – Chyba powinniśmy już iść. – Zerknął na zegarek i wzdrygnął się, bo minęła już dziewiąta wieczorem. Emma da mu popalić za to, że musiała siedzieć tyle czasu u pani Lopez.

– Tess McGowan to agentka, która sprzedała mi dom – powtórzyła Maggie. To było najdłuższe zdanie, jakie wypowiedziała podczas ostatnich kilku minionych godzin. – Nie rozumie pan? Nic pan nie łapie?

Dokładnie rozumiał, co Maggie ma na myśli. Jemu też przyszło to do głowy. Tak, Albert Stucky z pewnością wiedział o Tess, przecież obserwował agentkę O'Dell. Tess, dziewczyna z pizzerii, kelnerka z Kansas City, wszystkie one miały jakiś związek z Maggie. Ale nie było żadnego dowodu na to, że McGowan zaginęła, prócz tej porzuconej teczki, a nie był to wystarczający dowód. Tully nie miał zamiaru dolewać oliwy do ognia.

– Na razie nie ma żadnego znaczącego dowodu na to, że pani McGowan została uprowadzona. I na pewno nic więcej nie zdziałamy w tym domu. Zresztą jest już noc. Może rano uda nam się wpaść na ślad pani McGowan.

– Nie znajdziemy jej. On ją porwał. – Głos Maggie drżał, chociaż usiłowała nad tym zapanować. – Dołączył ją do swojej kolekcji. Może już nie żyje. – Jej ręce sięgnęły po broń, potem zniknęły w kieszeniach. – A jeśli nawet jeszcze żyje, to pewnie życzy sobie rychłej śmierci – dodała niemal szeptem.

Tully przetarł oczy. Pozbył się okularów kilka godzin temu. Zaczynał się bać O’Dell. Nie chciał nawet myśleć o tym, że Albert Stucky znowu powiększył swoją kolekcję. Znalazłszy się z powrotem za swoim biurkiem, zakopany w księgach i dokumentach, miał przed sobą pękającą w szwach teczkę z danymi zaginionych kobiet z całego kraju. Takich, które zniknęły bez śladu w ciągu ostatnich pięciu miesięcy po ucieczce Stucky’ego.

Nie było w tym nic niezwykłego. Takie rzeczy zdarzały się zawsze. Niektóre z tych kobiet odchodziły z domów i nie chciały, żeby ktoś je odnalazł. Inne były maltretowane przez swoich mężów czy kochanków i też wolały zniknąć. Ale wiele z nich ulatniało się gdzieś bez powodu. Tully na tyle dobrze już poznał grę Stucky’ego, żeby modlić się teraz po cichu, by żadna tych z kobiet nie uzupełniła jego kolekcji.

– Proszę posłuchać, dzisiaj naprawdę nic więcej już nie zdziałamy.

– Musimy zrobić test luminolem. Możemy ściągnąć Keitha Ganzę i obejrzeć główną sypialnię.

– Tam nic nie ma. Nie ma powodu podejrzewać, że w tym domu coś się stało, agentko O’Dell.

– Światło luminescencyjne może pokazać nam świeże odciski palców. Luminol wykaże, czy nie ma śladów krwi w jakichś szparach, śladów, których nie widać gołym okiem. Stucky na pewno postarał się wszystko wyczyścić, ale krew nie zmywa się tak łatwo. – Mówiła, jakby go nie słyszała. Jakby go tam wcale nie było, jakby mówiła do siebie.

– Dziś wieczorem nie zrobimy nic więcej. Jestem wykończony. Pani też. – Kiedy znowu spojrzała na schody, delikatnie chwycił ją za rękę. – Agentko O’Dell.

Wyrwała się, jej spojrzenie rozgorzało złością. Stała twardo na nogach, patrząc na niego, jakby wyzywała go na pojedynek. Potem bez uprzedzenia zakręciła się na pięcie i pomaszerowała do drzwi, wyłączając po drodze światło.

Tully pobiegł na górę i pogasił lampy, a kiedy wrócił na dół, O’Dell czekała w holu, aktywując system alarmowy. Dopiero kiedy zamknął na klucz drzwi wejściowe i ruszyli w stronę samochodu, zobaczył, że w opuszczonej ręce Maggie ściska rewolwer.

I nagle uświadomił sobie, że ta histeria, frustracja, złość, których był świadkiem, tak naprawdę wywodzą się z lęku. Jakiż był głupi, że nie pojął tego wcześniej. Agentka specjalna Maggie O’Dell była śmiertelnie przerażona. Bała się nie tylko o Tess McGowan, bała się o siebie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Tess ocknęła się gwałtownie. Miała wrażenie, że jej gardło wyłożone jest papierem ściernym. Było tak wysuszone, że przełykanie śliny sprawiało jej ból. Powieki były ciężkie jak żaluzje z ołowiu. Czuła się tak, jakby ktoś położył jej na piersiach ciężar nie do zniesienia. Ale było to tylko złudzenie, choć ból przeszywał ją prawdziwy. Leżała na czymś, co okazało się wąską, nierówną pryczą. Pomieszczenie, w którym się znajdowała, było słabo oświetlone i musiała zmrużyć oczy, żeby coś zobaczyć. Otaczał ją zapach stęchlizny. Wiało, więc podciągnęła pod brodę gryzący koc.

Pamiętała, że podczas jazdy samochodem nie była w stanie się ruszyć. W szalonej panice uniosła obie ręce, szczęśliwie przekonując się, że nie są niczym skrępowane, za to ciężkie i nieruchawe. Jakby nie należały do niej, jakby ktoś odciął połączenie nerwowe między jej mózgiem i rękami. Mimo to poruszały się.

Zaczęła się podnosić do pozycji siedzącej i jej mięśnie w jednej chwili zaprotestowały. Zakręciło jej się w głowie i poczuła tak raptowny przypływ mdłości, że natychmiast położyła się z powrotem. Dobrze wiedziała, czym jest kac, ale to było dużo gorsze. Do jej krwiobiegu wstrzyknięto jakąś substancję. Nagle przypomniała sobie ciemnowłosego mężczyznę i strzykawkę. Boże drogi, gdzie on ją przywlókł?

Omiotła wzrokiem niewielką przestrzeń. Nudności nie pozwalały jej podnieść głowy z poduszki, więc z trudem obróciła głowę, żeby się rozejrzeć. Znajdowała się w jakiejś drewnianej chacie czy szałasie. Zgniłe drewno przepuszczało słabe światło między belkami. Było to jedyne światło. Tess domyślała się, że niebo pokrywają chmury lub też jest za późno albo za wcześnie na słońce. W pomieszczeniu nie było okien. Na jednej ze ścian niewielka przestrzeń, która mogła być kiedyś oknem, została zabita deskami. Poza łóżkiem nie było żadnych sprzętów, tylko wysokie plastikowe wiadro w kącie.

Tess rozglądała się dalej i znalazła coś, co wyglądało na drzwi, wypatrzyła bowiem zawiasy i coś, co przypominało dziurkę od klucza. Oczywiście, wiedziała, że drzwi są zamknięte, może nawet zaryglowane od zewnątrz, musiała jednak spróbować je otworzyć.

Powoli usiadła i odczekała chwilę. Atak nudności zmusił ją do złożenia głowy na poduszce.

– Cholera! – krzyknęła i natychmiast tego pożałowała. A jeśli on ją obserwuje lub podsłuchuje?

Musi się wziąć w garść. To nic trudnego, w końcu tyle kaców przeżyła bez większego szwanku. A jednak w tym otoczeniu czuła się nieswojo. Dlaczego on to zrobił? Czego od niej chce? Może wziął ją za kogoś innego? Kolejny atak paniki ścisnął jej żołądek. Nie była w stanie zastanawiać się nad tym, jakie zamiary ma wobec niej ten mężczyzna. Nie mogła myśleć o tym, jak się tu dostała. Nie będzie więc

o tym myśleć, bo to ją tylko paraliżuje tak jak ten płyn ze strzykawki.

Przewróciła się na bok, żeby złagodzić mdłości. Ostry ból przeszył jej bok, przez moment zdawało jej się, że wtoczyła się na jakiś gwóźdź czy kolec. Ale nic takiego tam nie było, tylko twardy, nierówny materac. Wsadziła rękę pod bluzkę, zauważając, że ktoś ją wyciągnął zza paska spodni. Brakowało też jednego guzika, pozostałe zaś były odpięte.

– Nie, nie, przestań – skarciła się gorączkowym szeptem.

Nie wolno jej myśleć o tym, co mógł zrobić jej ten mężczyzna, kiedy była nieprzytomna. Najpierw musiała sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Nie znalazła żadnej otwartej rany, żadnych lepkich plam krwi. Mimo to była niemal pewna, że ma złamane albo mocno poobijane jedno żebro. Niestety pamiętała z przeszłości, jak to boli. Ostrożnie wodziła palcami pod piersią, przygryzając dolną wargę. Pomimo przeszywającego bólu stwierdziła, że to raczej potłuczenie, a nie złamanie. To dobrze. Z potłuczonym żebrem da się żyć, natomiast złamanie mogło oznaczać przebite płuco. Jeszcze jeden drobiazg, którego wolałaby nie doświadczać.

Wysunęła stopę spod koca i spuściła ją na podłogę. Była bosa. Co on zrobił z jej butami i skarpetkami? Rzuciła wokół okiem. Jej wzrok przywyknął już do półmroku, chociaż nie widziała wyraźnie. Zdawało jej się, że ma piasek pod szkłami kontaktowymi. Nieważne. W szałasie nie było nic do oglądania.

Dotknęła palcami podłogi. Była zimniejsza, niż się spodziewała, musiała jednak przyzwyczaić się do zmiany temperatury, zanim spróbuje wstać. Powietrze w szałasie było przenikliwie chłodne i wilgotne.

Potem usłyszała miękkie kap, kap, kap o dach. A więc padał deszcz. Ten dźwięk zazwyczaj ją uspokajał. Teraz pomyślała nerwowo, czy ten przegniły dach mocno przecieka, i poczuła nową falę dreszczy. Wiedziała, że wiadro w kącie nie jest przeznaczone do zbierania przeciekającej przez sufit wody. Było dla niej, a więc mężczyzna zamierzał trzymać ją tu dłużej. Ta myśl na nowo obudziła w niej strach.

Wygramoliła się z łóżka i stanęła bosymi stopami na zimnych deskach, zginając się w pasie i przytrzymując łóżka. Przygryzła wargę aż do krwi, na siłę powstrzymując wymioty i czekając, aż minie jej zawrót głowy.

Jej tętno przyspieszyło, w głowie huczało jak wiatr w pustym tunelu. Starała się skoncentrować na kapaniu deszczowych kropli. W ich naturalnym, spowszedniałym rytmie pragnęła znaleźć odrobinę spokoju. Łudziła się, że pozwoli jej to zachować choć trochę jasności umysłu. Nagły trzask grzmotu przeraził ją. Obróciła się szybko do drzwi, jakby spodziewała się ujrzeć w nich swego prześladowcę. Kiedy jej serce trochę się wyciszyło, omal nie wybuchnęła śmiechem. To tylko grzmot. Zwyczajny grzmot. Nic więcej.

Powoli przyjrzała się swoim stopom, nakłaniając łagodnie swój żołądek do porządku, nie zważając na ból w boku i dławiącą panikę. Teraz dopiero przekonała się, jak

nierówno oddycha. W jej gardle tkwiła jakaś przeszkoda, która w każdej chwili groziła wybuchem histerycznego krzyku. Udaremnienie tego wymagało sporego wysiłku.

Ciało Tess ogarnęły dreszcze. Złapała wełniany koc, owinęła się nim i związała dwa rogi pod brodą, zostawiając swobodę rękom. Zerknęła pod łóżko, spodziewając się znaleźć tam coś, co mogłoby jej pomóc w ucieczce. Łudziła się też, że jednak odszuka swoje buty. Nie było tam nic, nawet kurzu. Stało się jasne, że porywacz przygotował dla niej to miejsce, i to całkiem niedawno. Gdyby chociaż nie zabrał jej skarpet i butów... Raptem przypomniała sobie, że pod spodniami miała rajstopy.

O Boże! Jednak ją rozebrał. Nie wolno jej o tym myśleć. Musi skupić się na czymś innym. Zamknąć pamięć. Nie myśleć o bolących miejscach, których mógł dotykać ten szaleniec. Trzeba z tym skończyć, odciąć się. Natychmiast. Skoncentrować całą energię na tym, żeby się stąd wydostać.

Znowu zasłuchała się w deszcz i czekała, aż jego rytm uśmierzy bojaźń, pozwoli wyregulować chrapliwy oddech.

Kiedy była już w stanie opanować mdłości i ruszyć przed siebie, skierowała niemrawe kroki w stronę drzwi. Klamka okazała się zardzewiałą zasuwką. Raz jeszcze Tess rozejrzała się, żeby sprawdzić, czy niczego nie przeoczyła, czy nie było tam nic, co pomogłoby jej się uwolnić. Nawet kąty pomieszczenia były wymiecione do czysta. Wtem dojrzała zardzewiały gwóźdź, który utkwił w szparze między deskami podłogi. Wyciągnęła go paznokciem

i przyjrzała się dziurce od klucza. Drzwi faktycznie były zamknięte, ale czy zaryglowano je od zewnątrz?

Uspokoiła drżące palce i wsadziła gwóźdź do dziurki. Przez chwilę obracała nim fachowo na wszystkie strony. To jej kolejna umiejętność zdobyta w czasach niechlubnej młodości. Nie praktykowała już jednak całe lata. Zamek jęknął i zaskrzypiał, opierając się. O Boże, gdyby tylko... Coś poddało się z metalicznym stukotem.

Tess chwyciła zasuwkę, pociągnęła ją i drzwi swobodnie otworzyły się. Prawie się przewróciła, tak bardzo była zaskoczona. Nie były zaryglowane. Odczekała chwilę. Jakie to proste. Ale czy to szczęście, czy może kolejna pułapka?

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Piątek, 3 kwietnia

Tully prowadził jedną ręką, drugą walczył z plastikową przykrywką kubka z kawą. Czemu fast foody muszą zabezpieczać wszystko jak dla małych dzieci? Naciskał więc przykrywkę i naciskał, aż wreszcie pękła z trzaskiem, rozbryzgując gorącą kawę na kolana wściekłego agenta.

– Niech to cholera! – warknął, zjeżdżając na pobocze z piskiem hamulców i przy okazji rozlewając resztę kawy na siedzenie. Złapał chusteczki ligninowe i przytknął je do tapicerki, żeby płyn nie wsiąkł, ale brązowe plamy wgryzły się już w kremowy materiał. Po namyśle Tully zerknął we wsteczne lusterko, z ulgą stwierdzając, że nikogo za nim nie ma.

Przełączył bieg na parkowanie i zdjął nogę z pedału gazu, dopiero wtedy przekonując się, jak bardzo jego ciało usztywnia się podczas stresu. Oparł się wygodnie i potarł brodę, czując pod ręką zadraśnięcia, które zawdzięczał maszynce do golenia. Spędził z agentką O’Dell tylko jeden dzień, a już czuł się, jakby wciągnęła go za sobą w czeluść strachu i obsesji, gdzie sama znajdowała się od dawna.

Może zrobił błąd, zwracając się do Cunninghama z prośbą, żeby pozwolił O’Dell znów pracować w sprawie Stucky’ego. Ostatni wieczór udowodnił, że ta kobieta po

prostu nie wytrzymuje napięcia. Wiadomość, jaką zostawiła mu rano na sekretarce, prosząc o spotkanie w domu przy Archer Drive, uświadomiła Tully’emu, że czeka go jeszcze trudniejsze zadanie.

Nie znaleźli w tamtym domu niczego, co domagałoby się dalszych poszukiwań, a tu O’Dell informuje go, że ma pisemne pozwolenie od pani Heston oraz od właścicieli domu na wejście do tego budynku. Ciekawe, czy wyciągnęła ich z łóżka w środku nocy? Bo jak inaczej udałoby jej się zdobyć pisemną zgodę między późnym wieczorem i świtem? I jak ma, do diabła, przekonać tę całą Maggie, że działała irracjonalnie, że coś sobie wymyśla i zwyczajnie traci cenny czas?

Ostatni wieczór pokazał Tully’emu, jak bardzo O’Dell jest zakręcona. Nie ma sposobu, by zapanować nad nią, a jakakolwiek próba powstrzymania jej mogłaby tylko pogorszyć sytuację. Nie miał jednak zamiaru donosić o tym Cunninghamowi. Nie mógł. Jeszcze nie teraz. Najpierw musi sobie sam z tym poradzić. Musi okiełznać O’Dell, bo tylko wtedy zaczną wreszcie posuwać się do przodu.

Wysączył tych kilka kropel kawy, które zostały w plastikowym kubku, i spojrzał na zegarek. Tego dnia ten przeklęty zegarek spóźniał się, jeśli wierzyć w solidność cyfrowego zegara w samochodzie. Nie było jeszcze nawet siódmej. O’Dell zostawiła mu wiadomość około szóstej, kiedy był pod prysznicem. Zastanawiał się, czy w ogóle położyła się spać tej nocy.

Odłożył kubek, rozmasował napięty kark i ruszył. Od celu dzieliły go tylko trzy przecznice. Kiedy skręcił we właściwą ulicę, jego napięcie zastąpiła złość. Na podjeździe stała zaparkowana czerwona toyota O’Dell i granatowa niebieska furgonetka, którą zazwyczaj jeżdżą laboranci. O’Dell nie straciła czasu, nie była też łaskawa zaczekać na jego aprobatę. I co z tego, że on prowadzi to śledztwo, skoro nikt nie zwraca na niego żadnej pieprzonej uwagi? Należy to ukrócić, i to zaraz.

Idąc w stronę drzwi, mijał mrugające wzdłuż podjazdu lampy, które widać nie mogły się zdecydować, czy mają się zapalić, czy zgasnąć. Przydałby się deszcz. Za każdym razem, kiedy zapowiadało się na wiosenną ulewę, chmury deszczowe zraszały wybrzeże i ani myślały dalej się trudzić, gdy przetaczały się w głąb lądu. Tego ranka całkiem przesłoniły słońce, słychać było nieodległe grzmoty. Taka pogoda odpowiadała nastrojowi Tully’ego, kiedy zbliżał się do wejścia z zaciśniętymi pięściami. Nie znosił konfrontacji. Jeżeli nie potrafi zmusić do posłuszeństwa własnej córki, jak może spodziewać się, że poradzi sobie z agentką O’Dell?

Drzwi były otwarte, system alarmowy milczał. Tully szedł za głosami, które dochodziły z góry, z głównej sypialni. Keith Ganza miał na sobie krótki biały fartuch laboratoryjny. Tully ciekaw był, czy ten gość posiada w ogóle normalną cywilną odzież.

– Agencie Tully – powiedziała O’Dell, wychodząc mu naprzeciw w gumowych rękawiczkach i ze słojami pełnymi jakiegoś płynu. – Jesteśmy prawie gotowi, skończyliśmy

właśnie mieszać luminol. – Postawiła słoiki na podłodze w rogu, gdzie Ganza rozłożył swój sprzęt. – Znacie się, prawda? – spytała, jakby pomyślała, że Tully zmarszczył brwi, ponieważ nie został przedstawiony.

– Tak – rzucił, hamując złość, żeby nie posądzono go o brak profesjonalizmu.

Ganza kiwnął mu głową i dalej przygotowywał kamerę wideo, która stała na trójnogu na środku pokoju. Kilka woreczków, większa liczba słoi i cztery czy pięć butelek ze sprejem, z których miał być rozpylany płyn, stało na podłodze. Niebieskie pudełko tkwiło oparte o ścianę. Tully rozpoznał, że są w nim lampy luminescencyjne. Wszystkie okna były szczelnie zakryte czymś czarnym, przyklejonym do framug, żeby do środka nie przedostawało się światło. Było tak ciemno, że trzeba było zapalić w sypialni żyrandol. Także łazienka była oświetlona. Tully nie wiedział, czy zasłonili również świetlik w suficie, a jeśli tak, to w jaki sposób. Uznał to wszystko za pożałowania godne. Para w gwizdek, nic więcej.

Agentka O’Dell zaczęła napełniać luminolem butelki ze sprejem, korzystając z pomocy lejka. Nie zostało w niej ani śladu po roztrzęsionej, znerwicowanej, wykończonej kobiecie z poprzedniego wieczoru.

– Agentko O’Dell, musimy porozmawiać.

– Oczywiście, słucham. – Nie przerwała jednak pracy i nie podniosła na niego wzroku.

Ganza, na szczęście, zupełnie nie zwracał uwagi na nastrój Tully’ego.

– Musimy porozmawiać na osobności.

Teraz oboje, O’Dell i Ganza, spojrzeli na niego. Żadne z nich nie przerwało jednak swoich czynności. O’Dell zakręcała napełnione butelki. Tully chciał, żeby zobaczyła, jak bardzo jest zły. Żeby się tym przejęła albo co najmniej poczuła się winna.

– Zmieszanego luminolu należy użyć natychmiast – wyjaśniła i zabrała się do napełniania kolejnej butelki.

– Wiem – wycedził Tully przez zaciśnięte zęby.

– Mam zgodę na piśmie – ciągnęła, nalewając płyn. – Luminol jest bezwonny. Kiedy wyschnie, pozostaje po nim tylko biały proszek. Żaden kłopot dla właściciela domu.

– To też wiem – warknął Tully, chociaż wcale nie traktowała go protekcjonalnie. Tym razem jednak O’Dell i Ganza przenieśli na niego wzrok, robiąc przerwę w pracy. Skąd u niego ta nagła histeria i brak rozsądku?

– Więc na czym polega problem, agencie Tully? – Maggie podniosła się, wprawdzie stając tuż przed nim, ale nie było w tym nic wyzywającego, co tylko pogorszyło sprawę.

Nawet na pomarszczonej i wymizerowanej twarzy Ganzy widać było zniecierpliwienie. On i O’Dell wpatrywali się w Tully’ego z ledwie skrywaną dezaprobatą, jakby bezmyślnie sabotował pracę.

– O ile pamiętam, wczoraj wieczorem uzgodniliśmy, że nic tu nie ma.

– Nie, uzgodniliśmy, że wczoraj już nic nie dało się zrobić. Chociaż lepiej było zrobić to wczoraj w nocy. Mam nadzieję,

że jest wystarczająco ciemno. I tak mamy szczęście, że niebo jest zachmurzone.

Ganza przytaknął. Teraz oboje czekali. Raptem wszystkie obiekcje Tully'ego, które kilka minut wcześniej zdawały się absolutnie logiczne, stały się niedojrzałe, nieuzasadnione i aroganckie. A przecież tu naprawdę nic nie było. W idiotyczny sposób marnowali czas i wysiłek. Ale nie będzie tego mówił, niech O'Dell przekona się sama. Może to wreszcie ją usatysfakcjonuje.

– No to lećmy z tym koksem – odezwał się w końcu. – Co mam robić?

– Proszę zamknąć drzwi i stanąć obok kontaktu. – Ganza ruszył ku niemu, zabierając kamerę wideo. – Powiem panu, kiedy zapalić światło i znowu zgasić. Maggie, weź dwie butelki. Ty będziesz pryskać. Ja stanę za tobą i będę filmował.

Tully stanął na wyznaczonej pozycji. Nie ukrywał swojej niechęci i rozdrażnienia, był bliski karczemnego wybuchu. Ale w żaden sposób nie mógł sobie na to pozwolić. Cokolwiek by uczynił, na O'Dell i Ganzie nie zrobiłoby to najmniejszego wrażenia. Byli tak zaangażowani w swoje zadanie, że gdyby nie to cholerne światło, które miał włączać i wyłączać, w ogóle by go nie zauważali.

Tully patrzył, jak O'Dell bierze butelki ze sprejem i trzyma je jak rewolwery, z palcami wskazującymi na spustach.

– Zacznij od ściany najbliżej drzwi i posuwaj się w stronę łazienki – instruował Ganza jednostajnym tonem. Przypominał Tully'emu Icaboda Crane'a. Głos tego

człowieka był pozbawiony emocji, idealnie pasował do wysokiej, lekko pochylonej postaci i przemyślanych, precyzyjnych ruchów.

– Maggie, pamiętaj. Zaczynasz od ściany, od góry do dołu. Potem podłoga, od ściany do środka – kontynuował Ganza. – Nie przerywaj spryskiwać stąd do łazienki. Skończymy na drzwiach łazienki. Pewnie będziesz musiała dolać luminolu.

– Dobra.

Tully zrozumiał nagle, że O'Dell i Ganza robili to już razem przy niejednej okazji. Łatwo się porozumiewali, znali swoje role. Stanowili zgrany zespół, nie mówiąc już o tym, że O'Dell zdołała ściągnąć Ganzę o świcie, chociaż na pewno miał przepełniony terminarz, jak zawsze.

Tully czekał oparty o zamknięte drzwi, ręce skrzyżował na piersi. Przyłapał się na tym, że przytupuje nogą. Był to nerwowy zwyczaj, który wytykała mu Emma. Mówiła wtedy, że zachowuje się jak ktoś nieoświecony. Skąd ona u diabła brała takie słówka? Nie mogła zwyczajnie nazwać go prostakiem? Och, co za głupoty chodzą mu po głowie! Tak czy owak przestał przytupywać.

– Jesteśmy gotowi, agencie Tully. Proszę zgasić światło – powiedział Ganza.

Tully nacisnął kontakt i pochłonęła go ciemność. Przez zasłony w oknach nie przedostawał się ani skrawek światła. Tully nie potrafiłby już nawet określić, z której strony znajdują się okna.

– Znakomicie – usłyszał głos Ganzy.

Kolejnym dźwiękiem było słabe elektroniczne piknięcie, a w miejscu, gdzie Tully wyobrażał sobie Ganzę z kamerą, pojawiła się czerwona plamka.

– Możemy zaczynać, jeśli jesteś gotowa, Maggie – rzekł Ganza.

Tully słyszał równo i skrzętnie rozpryskiwany płyn. Wyglądało na to, że Maggie skrapia całą ścianę. Ciekawe, ilu będzie potrzebowała butelek, ile słoików luminolu, żeby nareszcie dotarło do niej, że nie ma tu czego szukać. Nagle ściana zaczęła świecić w jednym miejscu. Tully wyprostował się. Miał wrażenie, że na karku i ramionach włosy stanęły mu dęba.

– Jezu Chryste! – wydał stłumiony okrzyk, patrząc na smugi, zygzaki i linie papilarne, którymi wysmarowana była cała ściana, świecąca teraz, jakby pomalowano ją fluorescencyjną farbą.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

Maggie odsunęła się, robiąc miejsce Keithowi. Wyglądało to gorzej, niż się obawiała. Jakby ktoś zdesperowany i przerażony chwytał się ściany, ciągnął po niej dłońmi, wbijał w nią paznokcie. Odciski były niepokaźne, wielkości niemal dziecięcej dłoni. Maggie natychmiast przypomniała sobie delikatne, drobne dłonie Jessiki Beckwith, która podawała jej doręczoną pizzę.

– Jezu, to niemożliwe.

Po raz drugi dobiegł ją z ciemności głos Tully'ego. Wiedziała, że nie wierzył, by cokolwiek znaleźli w tym domu. Był przekonany, że nic złego tu się nie stało. Nie czuła jednak triumfu, udowadniając mu, że się pomylił, natomiast ogarnęły ją nudności, a w głowie zawirowało. W pokoju zrobiło się nagle za gorąco. Co się z nią dzieje, cholera jasna? Owszem, zdarzało jej się to, ale w początkach zawodowej kariery, i była pewna, że ma to już za sobą. A tu proszę, drugi raz w tym tygodniu żołądek odmawiał jej posłuszeństwa.

– Keith, jakie są szanse, że to płyn do czyszczenia? Dom jest na sprzedaż. Pachnie, jakby ktoś tu ostatnio porządnie szorował.

– Oj, szorował, szorował. Ktoś chciał się tego pozbyć.

– Ale luminol też jest wrażliwy na wybielacz – mówiła dalej. – Może firma sprzątająca wyszorowała wszystko

łącznie ze ścianami? – Czemu nie potrafiła uwierzyć w namacalne fakty? I to po bezsennej nocy, kiedy w napięciu czekała na odkrycie tego, o czym była całkowicie przekonana? Dlaczego nagle zaczęła siebie przekonywać, że plamy i smugi znajdujące się na wprost jej oczu zrobiła nadgorliwa sprzątaczka?

– W komórce jest spory zapas środków czyszczących. Mop, wiadro, gąbki i płyny do mycia. Pachną tak samo jak to, czego tutaj użyto, ale żaden z nich nie zawiera wybielaczy – mówił Ganza. – Sprawdziłem. Poza tym żaden z tych środków nie zostawia takich śladów.

Maggie przymusiła się do spojrzenia na odciski, póki były jeszcze widoczne. Linie papilarne rozciągały się, wydłużały, bo ich właścicielka przeciągała rękami po ścianie. Maggie zamknęła oczy, odsuwając od siebie obrazy, które podrzucała jej wyobraźnia. Tak łatwo mogłaby zobaczyć, co tu się wydarzyło, niczym sceny z okrutnego filmu puszczone w zwolnionym tempie.

– Maggie, jesteś gotowa?

Podskoczyła z przestrachu. Keith stał tuż obok, pokój ponownie znikał w ciemności.

– Zróbmy teraz podłogę od tego miejsca do łazienki.

Czuła, że trzęsą jej się ręce, którymi ściskała butelki z rozpylaczem. Na szczęście żaden z towarzyszących jej mężczyzn nie mógł tego zobaczyć. Maggie skupiła się na tym, którędy ma się posuwać i jak daleko znajdowała się od łazienki. Kiedy wreszcie zapanowała nad sobą, zaczęła spryskiwanie. Szła ostrożnie bokiem, uważając, żeby nie

ochlapać swoich nóg. Nie dotarła jeszcze do drzwi łazienki, kiedy podłoga zaświeciła się jak pas startowy. Za plecami Maggie rozbłyskiwały ślady po wleczonej osobie.

– O mój Boże! – jęknął znów Tully, a Maggie miała ochotę warknąć na niego, żeby się zamknął. Nie dość, że sama była w kiepskim w stanie, to jeszcze jej partner nie radził sobie z własnym szokiem. Drażniło ją to ogromnie.

Ganza skierował na podłogę czerwoną plamkę i sunął śladem tego, co było smugą zostawioną przez zakrwawione stopy wleczone po parkiecie. Maggie odgarnęła do tyłu kosmyki włosów i otarła pot z czoła. Czy Jessica była już nieprzytomna, kiedy Stucky zaciągnął ją do łazienki? Dziewczyna musiała stracić dużo krwi, jeżeli stoczyła walkę, której ślady widniały na ścianie. Czy Jessica była świadoma, co się z nią dzieje, gdy Stucky wsadził ją do wanny? Kiedy mówił jej dokładnie o wszystkich przerażających rzeczach, które miał zamiar z nią zrobić? Żyła jeszcze czy może już była martwa, kiedy zaczął ciąć jej ciało?

– Zróbmy tu przerwę – rzekł Keith. – Agencie Tully, proszę zapalić światło.

Rozbłysły żarówki. Maggie zamrugała. Była szczęśliwa, że może zatrzymać swój umysł, który właśnie zaczął pędzić na samo dno piekieł. Jeszcze chwila i usłyszałaby krzyki Jessiki, jej błaganie o pomoc. Bank pamięci Maggie posiadał bogaty zapas takich makabrycznych nagrań. Wiedziała, że się ich nie pozbędzie. Nic, nawet najdłuższy upływ czasu, nie mógł tego dokonać.

– Agentko O’Dell?

Tym razem przestraszył ją Tully, który stanął przed nią znienacka. Rozejrzała się, Keith był czymś zajęty w kącie pokoju. Dopiero w tej chwili zauważyła, że odebrał z jej rąk rozpylacze i zaczął je napełniać.

– Muszę panią przeprosić – mówił agent Tully. Nie miał już na sobie marynarki, niestarannie podwinął rękawy koszuli, rozpiął też kołnierzyk i poluzował krawat. – Naprawdę jeszcze przed godziną mógłbym się założyć, że tu nic nie ma. Wyszedłem na ostatniego dupka.

Maggie patrzyła na niego i próbowała sobie przypomnieć, kiedy ktoś, zwłaszcza jakiś funkcjonariusz organu porządku publicznego, przepraszał ją, a tym bardziej przyznawał się do błędu. Czy ten facet jest w ogóle prawdziwy? Nie był zmieszany, lecz szczerze skruszony.

– Muszę przyznać, agencie Tully, że jeśli chodzi o mnie, to miałam po prostu przeczucie.

– Maggie, pamiętaj, żebyśmy wyciągnęli zatyczkę z wanny – przerwał im Ganza. – Jestem prawie pewien, że tam się do niej dobrał nożem. Może uda nam się znaleźć jakieś resztki.

Agent Tully pobladł, a nawet, jak zauważyła Maggie, skrzywił się.

– Wczoraj wieczorem zapomnieliśmy sprawdzić jedno miejsce, agencie Tully. Pojemnik na śmieci, który jest na zewnątrz – powiedziała, żeby odwrócić jego uwagę. – Skoro dom jest niezamieszkany i na sprzedaż, ci, którzy wywożą śmieci, mogli go ominąć.

Był wdzięczny, że dała mu okazję do ucieczki, i natychmiast z niej skorzystał.

– Pójdę sprawdzić.

Po wyjściu Tully'ego Maggie przyszło do głowy, że przecież może w śmietniku natrafić na równie drastyczne odkrycie. Może więc wcale go nie uratowała? Wyciągnęła parę nowych lateksowych rękawiczek i wyrzuciła te, które zabrudziły się luminolem. Keith wypakował klucz francuski, śrubokręt i kilka plastikowych woreczków na ewentualne dowody.

– Jesteś nadzwyczaj miła dla tego nowego faceta – powiedział.

Zerknęła na niego. Co prawda skierował wzrok na swój bagaż, widziała jednak, że skrycie się uśmiecha. No cóż, obserwował ją w różnych sytuacjach i dobrze wiedział, jaka z niej bywa cholera.

– Potrafię być miła. Nigdy nie twierdziłam, że to całkiem niemożliwe.

– Ja też nie. – Wygrzebał z torby patyczki higieniczne, kilka szczoteczek, kleszcze oraz parę małych brązowych buteleczek i ułożył wszystko w jednej linii, jakby robił remanent. – Nie przejmuj się, Maggie, będę milczał jak grób. Nie chciałbym ci zepsuć opinii. – Tym razem na nią spojrzał jasnoniebieskimi oczami spod ciężkich powiek. Te oczy widziały w ciągu przeszło trzydziestu lat tyle grozy i zła, że znacznie przekraczało to dawkę okropności dozwoloną dla jednego człowieka. Lecz teraz te same oczy uśmiechały się do niej.

– Keith, co wiesz o agencie Tullym?

– Słyszałem same dobre rzeczy.

– Oczywiście, że same dobre rzeczy. Wygląda jak skrzyżowanie pana Rogersa i agenta Muldera.

– Agenta Muldera? – Uniósł brwi.

– No wiesz, tego z telewizyjnego serialu „Z Archiwum X”.

– Tak, wiem, o kim mówisz. Zdziwiłem się tylko, że ty to wiesz.

Zaczerwieniła się, jakby odkrył jej intymny sekret.

– Widziałam okazjonalnie parę odcinków. To co słyszałeś o Tullym? – Wróciła szybko do tematu. – Przy pierwszym spotkaniu wydał mi się strasznym niezgułą, ale to przecież nie może być prawda, bo takich u nas się nie trzyma. Zresztą byłam wkurzona na cały świat, to i jemu się dostało. Więc co wiesz o nim?

– Przyjechał z Cleveland na prośbę Cunninghama, no to musi być dobry, nie? Ktoś mówił, że jemu wystarczy popatrzeć na zdjęcie z miejsca zbrodni i dziewięć na dziesięć razy trafia z profilem mordercy.

– Zdjęcia z miejsc zbrodni. Wreszcie rozumiem, dlaczego teraz nerwy mu wysiadają. Przyzwyczajony jest do schludnej, czystej roboty. No cóż, przywyknie i do bagna. Wszyscy przywykamy.

– Tak, przywykamy. A co do niego, to nie wydaje mi się, żeby długo był w FBI, może jakieś pięć, sześć lat. Pewnie udało mu się wśliznąć, zanim przekroczył limit wieku.

– A czym się zajmował przedtem? Tylko proszę, nie mów mi, że był prawnikiem.

– Coś nie tak z prawnikami? – wtrącił agent Tully, stając w drzwiach.

Maggie spojrzała mu w oczy, żeby przekonać się, czy nie ma im za złe tej wymiany zdań. Keith wrócił do roboty, zrzucając na Maggie ciężar ewentualnych wyjaśnień.

– Byłam ciekawa – powiedziała bez cienia przeprosin.

– Mogła pani mnie spytać.

Tak, był zły, chociaż udawał, że nic się nie stało. Ciekawe, czy zawsze trzymał emocje na wodzy?

– Okej. Czym się pan zajmował, zanim znalazł się pan w biurze?

Tully trzymał w ręce czarny worek na śmieci.

– Zajmowałem się oszustwami ubezpieczeniowymi. – W drugiej dłoni, w lateksowej rękawiczce, trzymał zwitek, który wyglądał na papierek po batonie. – Powiem wam, że ten facet ma słabość do słodyczy.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

Maggie, próbując opanować drżenie ręki, ścisnęła rewolwer i wycelowała w ciemną postać.

Zacisnęła zęby, poczuła tężejące mięśnie.

– Niech to szlag! – wrzasnęła w pustej strzelnicy. Przyszła tu, kiedy agent Ballato, instruktor strzelania, skończył swoją lekcję. W piątki o tak późnej porze miała to miejsce wyłącznie dla siebie.

Próbowała się rozluźnić, opuściła ręce, poruszyła głową na boki. Co jest? Dlaczego jest taka spięta? Jakby miała lada chwila eksplodować.

Przesunęła gogle na czubek głowy i oparła się o przegrodę. Kiedy opuścili z agentem Tullym dom na Archer Drive, zadzwoniła do inspektora Forda z Kansas City. Szczegółowo zrelacjonował jej zabójstwo Rity, opisał tonące we krwi mieszkanie, powalane spermą poduszki, a także resztki skóry i tkanek, które specjaliści od medycyny sądowej znaleźli w wannie. Było to łudząco podobne do tego, co zostało odkryte w łazience na Archer Drive, poza jednym wyjątkiem, a mianowicie Stucky nie pofatygował się, żeby posprzątać po sobie u Rity. Czemu więc tak pedantycznie pucował dom na Archer Drive po zabiciu Jessiki? Czyżby dlatego, że zamierzał powtórnie wykorzystać ten adres? Czy zaciągnął tam także Tess McGowan? A jeśli tak, gdzie ją teraz trzyma, do diabła?

Maggie zamknęła oczy, marząc o tym, by wreszcie powrócił jej swobodny oddech. Musi mieć jasny umysł. Musi mieć w sobie spokój. Wyobraźnia zbyt łatwo podsuwała jej rozmaite obrazy. No cóż, to bywa przydatne w jej pracy, i przez lata świadomie ćwiczyła tę umiejętność, uczyła się widzieć to, co akurat było niedostępne dla jej oczu, ale teraz tak bardzo nie chciała z tego korzystać. Lecz umysł jej nie słuchał i wszelkie wysiłki szły na marne. Obrazy powracały. Widziała drobne dłonie Jessiki Beckwith podające jej pizzę. Potem widziała te same dłonie, które wbijają się paznokciami w ścianę pustej sypialni. Dlaczego nikt nie słyszał jej krzyków, które w głowie Maggie brzmiały tak przejmująco i donośnie?

Maggie odłożyła broń i przetarła oczy. Ale i to nic nie pomogło. Wciąż miała w pamięci przyjazną mimo zmęczenia twarz Rity, kelnerki, która obsługiwała ich w niedzielny wieczór w zadymionym barze z grillem. Zaraz potem, tak zupełnie sam z siebie, przypłynął obraz tej samej Rity, gdy martwa i zmasakrowana, z podciętym gardłem, leżała zagrzebana w śmietniku. A potem krwawa bryłka na lśniącym talerzu, która niegdyś była jej nerką. Obie kobiety zginęły wyłącznie z tego powodu, że spotkały na swej drodze agentkę specjalną O’Dell. Teraz Maggie nabrała przekonania, że kolejne dwie kobiety zaginęły z tej samej przyczyny.

Chciało jej się wyć i ryczeć. Modliła się, żeby przestało jej dudnić w głowie i pulsować w skroniach. Żeby przestały się trząść te cholerne ręce. Od chwili gdy Tully znalazł garść

papierków po batonach, Maggie wciąż myślała o Rachel Endicott. Może to jednak przesada, może to zbyt pochopny wniosek? A jednak starała się z całych sił znaleźć powiązanie między zniknięciem Rachel i Tess.

Na schodach w domu Rachel było błoto wymieszane z jakąś niezidentyfikowaną metaliczną substancją. Tully powiedział, że na pedale gazu w samochodzie Jessiki znaleziono jakieś połyskujące plamy. Czyżby to była ta sama substancja? Tully dodał coś jeszcze, ale nie pamiętała już, o co chodziło. Męczyło ją to. Czy nie dotyczyło to czasem raportu policyjnego? Niech to szlag! Dlaczego miała taką dziurawą pamięć?

Czuła się tak, jakby jej mózg pruł się, darł na strzępy i odpadał kawałkami. Zdawało jej się, że ma nerwy na wierzchu. Mięśnie, napięte w bezustannej gotowości, bolały nie do zniesienia. A najgorsze, że zupełnie nad tym nie panowała.

Albert Stucky doprowadził ją na skraj przerażającej psychicznej czeluści, kruszył to wszystko, co Maggie dotąd w sobie miała, w co wierzyła. Niweczył ład moralny, etyczne rozróżnienie i klasyfikację uczynków. Powiódł ją więc dokładnie tam, gdzie chciał. Stała się jego wspólniczką, uczestniczyła w jego dziele, będącym czystym złem. To ona dokonywała wyboru, która kobieta stanie się następną ofiarą. Zgodnie z jego życzeniem Maggie dzieliła z nim odpowiedzialność, wszystko po to, by zrozumiała moc zła, jak tego chciał Stucky.

Tylko jaki ostateczny cel mu przyświecał? Czyżby pragnął w ten sposób obudzić w niej bestię?

Podniosła smith & wessona, pieszcząc chłodny metal, obejmując czule, niemal z szacunkiem, rękojeść broni. Zostawiła zwisające, wyciągnięte z uszu zatyczki, nie zsunęła na oczy ochronnych okularów. Uniosła lekko zgiętą w łokciu prawą rękę i podtrzymała ją lewą. Maggie wbiła wzrok w cel, a potem sześć razy nacisnęła spust, aż do ostatniego pocisku. Wokół rozniósł się charakterystyczny zapach.

Kiedy opuściła rękę, dzwoniło jej w uszach, a serce dudniło. Wcisnęła guzik znajdujący się na ścianie i wzdrygnęła się. Cel zaczął się przybliżać, poskrzypując na kółkach. Ciemna postać, sylwetka jej ofiary, zatrzymała się z szelestem papieru i brzękiem metalu. Maggie trafiła bezbłędnie. Nabrała głęboko powietrza i westchnęła. Powinna być zadowolona. A czuła jedynie, że zbliża się do krawędzi, która już się pod nią kruszy. Sześć perfekcyjnie wystrzelonych kul trafiło zgodnie z jej zamiarem, czyli dokładnie między oczy celu.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

Tess pośliznęła się i z trudem wyhamowała. Bose stopy miała całe w błocie. Czuła jego zapach, przykleiło się także do rąk, spodni i poobcieranych łokci. Nie pamiętała, kiedy podarła jej się bluzka. Teraz łokcie prześwitywały przez dziury, skóra była podrapana i zakrwawiona, a na dodatek uwalana smrodliwą, gliniastą mazią. Nie zauważyła, kiedy przestało padać. Wiedziała jednak, że to przejściowe rozpogodzenie, ponieważ niebo znowu pociemniało od chmur, a wokół gęstniała szara mgła, której smugi okrążały ją jak niespokojne, unoszące się z ziemi duszki. Dobry Boże, nie wolno jej myśleć o takich rzeczach, w ogóle nie wolno jej teraz myśleć. Tylko biec do przodu.

Musiała jednak choć na chwilę oprzeć się o drzewo, by złapać oddech. Do tej pory posuwała się jedyną ścieżką, jaką zdołała znaleźć w gęstym lesie, mając nadzieję, że będzie to droga ku wolności. Niestety, mimo heroicznych starań i wieloletniej pracy nad samokontrolą Tess zaczęły puszczać nerwy. Rządził nią strach, którego nie mogła opanować. Bez przerwy miała w głowie jedno, że jeszcze moment i nieznajomy wypadnie zza drzewa i znowu ją złapie.

Suche, połamane gałęzie zaczepiały o pelerynę z koca. Co rusz ciągnęły do tyłu, jakby ktoś łapał Tess za szyję, przez co wciąż przypominała sobie o siniakach i zadrapaniach,

jakie zrobił jej porywacz. Nie pozwoliła jednak odebrać sobie koca, walczyła o niego rozpaczliwie, stanowił bowiem jej obronną tarczę. Była mokra od deszczu i potu, mokre włosy oklejały twarz, a jedwabna bluzka przylgnęła do ciała jak druga skóra. Gęsta mgła powodowała, że wszystko wokół jeszcze mocniej tonęło w wilgoci. Do zmroku, kiedy ciemność zawładnie niekończącym się lasem, została co najwyżej godzina. Ta myśl wywołała w Tess nową panikę. Już prawie nie widziała nic wokół siebie przez mokre opary. Dwukrotnie pośliznęła się, o mało nie wpadając do wody, wszędzie tu bowiem były jakieś strumienie i bajora. Kiedy zapadnie ciemność, dalsza wędrówka stanie się niemożliwa.

Porywacz z oczywistych powodów zabrał jej zegarek, choć zostawił pierścionek i kolczyki z szafirem. Z pocałowaniem ręki zamieniłaby teraz wart trzy tysiące dolarów pierścionek za swojego timeksa. Fatalnie się czuła, gdy nie wiedziała, która jest godzina. A jaki to w ogóle dzień? Czy to jeszcze środa? Nie. Kiedy obudziła się w samochodzie, na zewnątrz było ciemno. Tak, jedyne światło padało z innych aut jadących po drodze. Znaczyłoby to, że przespała większość czwartku. Nagle uświadomiła sobie, że nie ma najmniejszego pojęcia, jak długo była nieprzytomna. To mogło trwać nawet parę dni. Przecież nie wiedziała, czym ją ten drań nafaszerował ani czy nie ponawiał dawki.

Oddychanie znowu zaczęło jej sprawiać kłopot, strach sie rozpanoszył. Spokój. Trzeba się uspokoić. Trzeba zastanowić się bez nerwów, jak przetrwać noc. Instynkt pchał ją do biegu, lecz był to podszept bezrozumnego

strachu, natomiast rozum podpowiadał coś innego. Nocna wędrówka przez gęsty, podmokły las z pewnością zakończyłaby się złamaniem lub wpadnięciem do wody, czyli niechybną śmiercią. Dlatego Tess musiała znaleźć jakieś odpowiednie miejsce, gdzie mogłaby przeczekać do rana. Pomyślała nawet przez moment, że nie należało opuszczać szałasu. Co dała jej ta ucieczka? Tam przynajmniej było sucho. Z obecnej perspektywy twarde, nierówne łóżko wydawało się czymś wspaniałym. Teraz nie wiedziała nawet, gdzie się znajduje. Nie wyglądało na to, żeby zbliżyła się choćby do granicy leśnej głuszy, chociaż z całą pewnością pokonała już wiele kilometrów.

Przykucnęła i wsparła plecy o szorstki pień. Ledwo trzymała się na nogach, ale nie usiadła wygodniej, w każdej bowiem chwili musiała być gotowa do biegu. Nad jej głową, niczym ponure memento, skrzeczały czarne wrony. Przestraszyła się, lecz tkwiła nieporuszona, zbyt zmęczona, zbyt słaba, żeby zejść im z widoku. Złowrogie ptaki sadowiły się na nocny odpoczynek na wierzchołkach drzew. Łopocząc skrzydłami, całymi setkami zlatywały się ze wszystkich stron i zajmowały pozycje. Ich krakanie zdało się roztrzęsionej Tess zwiastunem śmierci.

Aż nagle pomyślała, że przecież ptaki nie sadowiłyby się w niebezpiecznym miejscu. A jeśli nawet w nocy pojawi się jakieś zagrożenie, zareagują na nie skuteczniej niż system alarmowy.

Zaczęła rozglądać się za miejscem, gdzie wygodnie mogłaby usiąść. Ziemię zakrywała masa liści i sosnowych

igieł, opadłych z drzew jeszcze poprzedniej jesieni. Wszystko było jednak mokre od deszczu i mgły. Tess zadrżała na samą myśl o położeniu się na wyziębionej ziemi.

Wrony nie przestawały krakać. Tess podniosła wzrok, przyglądając się gałęziom. Od dzieciństwa nie wspinała się na drzewo. Wtedy był to istotny element taktyki przetrwania, umożliwiający ukrycie się przed ciotką i wujem, teraz jednak poczuła w obolałych mięśniach, że nie jest to mądry pomysł. A jednak tam, wysoko, byłoby najbezpieczniej. Przecież porywacz nie będzie jej szukać na drzewie, nie dopadną jej też nocne drapieżniki. Dobry Boże, zapomniała z tego wszystkiego, że zwierzęta też mogą być groźne.

Drzewo, przy którym stała, układało się w idealne Y, tworząc pośrodku naturalne siedlisko. Niezwłocznie zabrała się do dzieła, wyszukując odpowiednie gałęzie. Zamierzała zrobić z nich prymitywną drabinkę. Dwie duże, sękate kłody miały posłużyć za podstawę konstrukcji, inne za szczeble. Tak sobie to wymyśliła. Jeśli zdoła sięgnąć niższych gałęzi drzewa, będzie mogła wdrapać się na siedlisko.

Nie zwracała uwagi na zmęczenie, udawała, że jej stopy wcale nie są pokaleczone. Mimo rosnącego bólu w mięśniach pracowała zapamiętale, czując przypływ nowej energii. Jej serce waliło jak oszalałe, tym razem jednak nie ze strachu, ale z podniecenia.

Wrony w górze ucichły, jakby z uwagą obserwowały jej szaleńczą pracę. A może usłyszały coś innego? Tess zamarła, starając się wyciszyć chrapliwy oddech. Las zamarł w groźnej, tajemniczej ciszy.

Wtem coś usłyszała.

Najpierw zabrzmiało to jak zew rannego zwierzęcia, stłumiony, wysoki jęk. Powoli odwróciła się i zmrużyła oczy, bo mgła i zmrok nie pozwalały nic zobaczyć. Zerwał się wiatr, który tworzył nocne cienie. Poruszające się gałęzie stawały się machającymi rękami, szelest liści brzmiał jak czyjeś kroki.

Tess zastanawiała się gorączkowo, czy zdoła wspiąć się na drzewo bez pomocy drabiny. Wbiła paznokcie w korę pnia. Podciągnęła się, chwytając się najbliższej gałęzi, która zatrzeszczała pod jej ciężarem, ale nie pękła. Tess mocno trzymała się gałęzi, chociaż odpryski kory wpadały jej do oczu. Miała już przerzucić nogę, kiedy stłumiony jęk zamienił się w słowa.

– Pomocy. Proszę mi pomóc.

Przyniesione przez wiatr słowa były wyraźne i czytelne. Tess zamarła, wciąż wisząc na gałęzi. Może to jakieś słuchowe omamy? Może jest już tak wyczerpana, że traci zmysły?

Ramiona omdlewały jej z bólu. Jeśli miała dostać się na drzewo, musiała zebrać resztki energii.

Lecz oto znowu, jakby zza mgły, popłynęły ku niej słowa:

– Proszę, niech mi ktoś pomoże.

Był to głos kobiety, która musiała być gdzieś niedaleko.

Tess zeskoczyła na ziemię. W gęstniejącej ciemności widziała najwyżej na pół metra. Szła wolno, trzymając się ścieżki, w milczeniu licząc kroki, z wyciągniętymi przed siebie rękami. Gałęzie chwytały ją za włosy, agresywnie wyrywały się ku niej. Tess szła za głosem. Bała się odezwać, bała się zdradzić swoją obecność. Kroczyła ostrożnie, wciąż odliczając, by po zawróceniu trafić z powrotem do kryjówki na drzewie.

Dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy. Potem nagle ziemia otworzyła się pod jej stopami. Tess pochłonęła czeluść.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

Tess leżała na dnie jakiejś jamy. Rozsadzało jej głowę, w boku paliło żywym ogniem. W żyłach krążył strach i zabijał wszelką logiczną myśl. Powoli zapadała się w gliniastą maź, która zdawała się brać ją w posiadanie.

Zakrztusiła się od błotnego smrodu i to ją otrzeźwiło. Myśleć, zastanowić się, sprawdzić, gdzie się znalazła. Ale jak to zrobić, gdy ciemność zapadała coraz szybciej? Tess widziała już tylko słaby zarys gałęzi nad sobą. Oceniła też, że leży w dole głębokim na co najmniej cztery metry. Dobry Boże, nigdy się stąd nie wygrzebie. Czyżby miał to być jej grób?

Usiłowała wstać, ale zaraz upadła, bo powalił ją ból w kostce. Musi znaleźć w sobie siłę! W panice znów się poderwała i zaczęła obmacywać ściany dołu. Grudy mokrej ziemi wyślizgiwały jej się z rąk, robaki przełaziły między palcami. Och, byle tylko nie było tu węży, bała się ich tak bardzo! Szamotała się w pułapce, wspinała i zjeżdżała w dół. Nagle zdała sobie sprawę, że krzyczy. Przestraszyła się, umilkła, lecz krzyk nadal trwał. Była już pewna, że traci rozum. Krzyk przemienił się w jęk, potem w niskie zawodzenie dobywające się z pogrążonego w ciemności kąta.

Po plecach Tess przeleciał dreszcz. To był głos, który ją tu doprowadził. Czy to jakiś szatański podstęp?

– Kto tu jest? – wyszeptała w ciemności.

Jęk przeobraził się w przytłumiony szloch.

Tess czekała. Prześliznęła się wzdłuż ściany, nie zważając na ból w kostce. Podniosła wzrok, spodziewała się, że ujrzy nad sobą uśmiech swojego porywacza. Zobaczyła tylko błysk światła, w którym rozpoznała odległą błyskawicę.

– Kto tu jest? – krzyknęła, ulegając pełnej determinacji emocji. – Co tu robisz, do diabła? – Nie była pewna, czy rzeczywiście chce znać odpowiedź na swoje drugie pytanie.

– On... to zrobił. – Głos dobywał się z wysiłkiem, był wysoki, skrzekliwy. – Okropne, okropne rzeczy... – ciągnęła jakaś kobieta. – On to... zrobił. Próbowałam go powstrzymać. Nie mogłam. Nie miałam siły. – Zaczęła znowu jęczeć.

Strach kobiety był niemal namacalny. Chwycił Tess za gardło i wlazł jej pod skórę. Nie, nie może wziąć na siebie jeszcze i tego.

– Miał nóż – powiedziała z jękiem kobieta. – Pociął... pociął mnie.

– Jest pani ranna? Krwawi pani? – Tess nie była zdolna do najmniejszego ruchu. Jej oczy przywykały powoli do ciemności, ale jedyne, co widziała, to skulony cień jakieś dwa metry od niej.

– Powiedział... powiedział, że mnie zabije.

– Kiedy tu panią zostawił? Pamięta pani?

– Związał mi ręce.

– Pomogę pani rozwiązać...

– Związał mi nogi.

– Mogę...

– Podarł mi ubranie, potem zdjął opaskę z oczu. Powiedział... powiedział, że chce, żebym widziała. Chciał... żebym patrzyła. Potem.... zgwałcił mnie.

Tess otarła twarz, rozcierając łzy błotem. Pomyślała o swoim ubraniu, rozpiętej bluzce, braku rajstop. Poczuła mdłości. Nie mogła o tym myśleć. Nie chciała o tym pamiętać. Nie w tej chwili.

– Pociął mnie, kiedy krzyczałam – zwierzała się dalej kobieta. Nie umiała już przerwać. – Chciał, żebym krzyczała. Nie mogłam mu się przeciwstawić. Był taki silny. Był na mnie taki ciężki. O mało... o mało nie zgniótł mi kości. Przycisnął mi ręce nogami. Siedział na mnie, żeby wsadzić... żeby mógł... wsadził mi do gardła. Krztusiłam się, a on wsadził głębiej. Dusiłam się. Nie mogłam się ruszyć. A on...

– Dosyć! – wrzasnęła Tess, zdumiona własnym krzykiem. Nie poznawała swojego głosu, przeraził ją piskliwy ton. – Proszę, niech się pani zamknie!

W jednej chwili zapadła cisza. Żadnych jęków, żadnych szlochów. Tess drżała, krew w jej żyłach zastygła. Poczuła odór śmierci.

Znów rozległ się grzmot, tym razem dużo bliżej. Błyskawice cięły niebo, rozświetlając ciemność w górze, lecz nie docierając do czarnej dziury. Tess oparła głowę o ścianę i wpatrywała się w gałęzie, kościste upiorne ramiona, które machały w jej stronę w świetlnym rozbłysku.

Z wysiłku, z jakim ratowała się przed konwulsjami, bolało ją dosłownie wszystko.

Oplotła się ramionami, zdecydowana odeprzeć wspomnienia i lęki z dzieciństwa. Tak ciężko pracowała, żeby się ich pozbyć, i nie pozwoli, by znów nią zawładnęły. Nie pozwoli? Dobre sobie, przecież właśnie wsączają się w jej żyły i zatruwają cały organizm. Nie podda się temu, pracowała tyle lat, by zyskać siłę, i teraz udowodni, że niełatwo zniszczyć Tess McGowan!

Tylko że upiory przeszłości właśnie opanowywały jej duszę i umysł. Tess wiedziała, że jeśli im się podda, będzie ostatecznie zgubiona. Narzuciła sobie spokój, choć drżała z przerażenia, narzuciła sobie rozwagę, choć myśli miała rozedrgane.

Nie, nie da im wrócić. Boże, nie teraz, błagała. Nie w tej chwili, kiedy jest taka bezbronna, kompletnie bezradna.

Lunął deszcz. Tess ześliznęła się po ścianie, czując, jak błoto ponownie ją wsysa. Zaczęła kołysać się w przód i w tył. Objęła się ciasno ramionami, próbując chronić się przed zimnem i wspomnieniami, lecz jedno i drugie przebiło się przez tę wątłą zaporę.

Tess znów miała sześć lat i została pogrzebana żywcem.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

– Myślę, że Stucky porwał też moją sąsiadkę.

– Maggie, daj spokój. Teraz to już naprawdę paranoja. – Gwen siedziała w fotelu Maggie, sącząc wino i głaszcząc wielki łeb Harveya, który legł na jej kolanach. Z miejsca się zaprzyjaźnili. – To znakomite wino, nabierasz w tym wprawy. Widzisz, są jeszcze inne rzeczy do picia prócz szkockiej.

Kieliszek Maggie był wciąż po brzegi pełen wina. Maggie szperała w papierach dotyczących zabójstw Jessiki i Rity, które dał jej Tully. Poza tym nie spodziewała się Gwen tak wcześnie. Nie zdążyła wypić dość szkockiej, żeby pozbyć się niepokoju, który zagościł w niej na stałe. Łudziła się, że dzięki ćwiczeniom na strzelnicy choć trochę wróci do równowagi, ale tym razem nawet szkocka nie znieczuliła jej wystarczająco. Miała taką mgłę przed oczami, że z trudem odczytywała to, co sama niedawno napisała. Jedyne, co ją choć trochę ucieszyło, to fakt, że nareszcie, po tylu latach przyjaźni, wybrała wino, które smakowało niezwykle tej wybrednej Gwen.

Gwen była znakomitą kucharką, kochała dobre jedzenie i szlachetne trunki. Kiedy zadzwoniła, pytając, czy może wpaść z kolacją, Maggie pobiegła do „Liquor Mart” zobaczyć, co mają tam na półkach. Sprzedawczyni, atrakcyjna, choć nazbyt entuzjastycznie traktująca swoją

pracę brunetka o imieniu Hannah, zapewniała Maggie, że bolla sauve to „znakomite półwytrawne białe wino z pikantną nutką kwiatową i morelową”. Hannah przekonywała też, że to wino doskonale skomponuje się z kurczakiem i szparagami, które obiecała przynieść Gwen.

Wino było dla Maggie zbyt skomplikowanym trunkiem. Co innego szkocka. Nie zmuszała do wyboru między merlotem, chardonney, chablis, czerwonym i białym. Należało pamiętać tylko jedno słowo: „szkocka”, można też było dodać: „bez wody”. To proste. I z pewnością skuteczne. Chociaż nie tego wieczoru. Była tak spięta, że czuła nieustanny ból w mięśniach i gniecenie w klatce piersiowej. Organizm gwałtownie reagował na nadmiar emocji, ostrzegał bólem, że coś jest nie tak. Coś bardzo nie tak.

– A co mówi policja o zniknięciu Rachel?

– Nie wiem dokładnie. – Maggie przeglądała teczkę z wycinkami prasowymi, wciąż nie mogąc znaleźć tego, czego szukała. – Inspektor prowadzący śledztwo zadzwonił do Cunninghama, by poskarżyć się, że wtrącam się w nie swoje sprawy. Nie bardzo więc mogę zadzwonić do niego i powiedzieć: „Cześć, chyba rozwiązałam tę sprawę, w którą zabroniłeś mi się mieszać”. Z tego, co mówiła mi inna sąsiadka, wynika, że wszyscy, włączając w to męża, postanowili uznać, że Rachel uciekła z domu.

– Nie rozumiem. A zdarzyło jej się to już kiedyś?

– Nie mam pojęcia. Ale mieści ci się w głowie, że ten typ nie chciał wziąć z powrotem jej psa?

– Owszem, jeśli faktycznie uważa, że odeszła z innym facetem. Tylko w ten sposób może ją ukarać.

– Ale to w żaden sposób nie tłumaczy, dlaczego znaleźliśmy psa w takim opłakanym stanie. Było tam pełno krwi i na pewno nie należała tylko do Harveya. – Maggie zauważyła, że Gwen skrobie labradora po głowie, jakby wykonywała jakiś zabieg leczniczy. – A tak swoją drogą, kto daje psu na imię Harvey?

Pies podniósł wzrok na Maggie, ale ani drgnął.

– To świetne imię, co się czepiasz? – oznajmiła Gwen, nie przerywając delikatnej pieszczoty.

– Tak samo nazywał się czarny labrador, którego David Berkowitz uważał za opętanego.

Gwen przewróciła oczami.

– I skąd ci to nagle przyszło do głowy? Może Rachel jest fanką Jimmy’ego Stewarta albo kocha stare filmy i nazwała tak psa na cześć Harveya, niewidzialnego królika?

– Fakt, jakoś o tym nie pomyślałam. Ciekawe dlaczego? – Maggie oddała cios. Prawdę mówiąc, nie miała ochoty myśleć o właścicielce Harveya ani o tym, co ją spotkało, albo co wciąż musi znosić z rąk Stucky’ego. Boże, to on ją porwał, była pewna. Wróciła do papierów. Złościło ją, że nie pamiętała dokładnie, co mówił jej Tully. Coś ją dręczyło. Coś, co łączyło zniknięcie Rachel z morderstwem Jessiki. I nie chodziło jej tylko o błoto. Ale nie pamiętała, niestety, co skłoniło ją do takich przypuszczeń. Liczyła, że któryś z policyjnych raportów obudzi jej pamięć.

– Czemu, cholera, nie uznano męża za głównego podejrzanego? – zirytowała się nagle Gwen. – Dla mnie to by było logiczne wyjaśnienie.

– Musiałabyś poznać inspektora Manksa, żeby znaleźć odpowiedź. Facet jest kompletnie pozbawiony zdolności logicznego myślenia.

– Nie tylko on, jak mi się zdaje. Przecież samo się narzuca, że to mąż jest głównym, a właściwie jedynym podejrzanym, a ty nagle wyskakujesz z tym, że to Stucky ją porwał, bo... Dobra, powiem wprost. Uważasz, że Stucky porwał Rachel Endicott, bo jesteś pewna, że zabił tę dziewczynę z pizzerii, i znalazłaś papierki po batonach w obu miejscach zbrodni.

– I błoto. Nie lekceważ błota. – Maggie właśnie czytała raport z laboratorium na temat samochodu Jessiki. Błoto z pedału gazu zawierało jakąś metaliczną substancję, którą rozpracowywał teraz Keith. Znowu przypomniało jej się błoto z błyszczącymi drobinkami na schodach w domu Rachel Endicott. A jeśli Manx zechciał łaskawie wziąć je do badania? Wtedy należałoby porównać oba wyniki. Jednak trudno się spodziewać, żeby Manx dobrowolnie podzielił się z nią rezultatami badań swojej próbki.

– No dobra – powiedziała Gwen. – Błoto jeszcze rozumiem, jeśli okaże się, że jest identyczne w obu wypadkach. Ale papierki po batonach? No i co z tego, że były w tych domach? Wybacz, ale trochę naciągasz.

– Stucky podrzuca części ciała swoich ofiar w papierowych pojemnikach, bo go to bawi. Dlaczego nie

miałby zostawiać po sobie papierków po batonach? W ten sposób gra nam na nosie. Pokazuje, że jest gotów popełnić tak niewyobrażalną zbrodnię, a potem zakąsić batonikiem.

– A więc te papierki to część gry?

– Tak. – Maggie podniosła wzrok i zobaczyła, że Gwen tego nie kupiła. – Czemu tak trudno ci w to uwierzyć?

– Przyszło ci kiedyś do głowy, że ktoś nie może się obyć bez takich batonów? Na przykład morderca, a może ofiara, choruje na cukrzycę. Chorzy na cukrzycę często mają przy sobie coś słodkiego, na wypadek gdyby spadł im cukier. Wahania poziomu cukru mogą być spowodowane stresem albo wstrzyknięciem zbyt dużej dawki insuliny.

– Stucky nie jest cukrzykiem.

– Jesteś pewna?

– Tak – rzekła Maggie, święcie przekonana o swojej racji, a potem zdała sobie sprawę, że w laboratorium chyba nigdy nie badano krwi Stucky'ego pod kątem poziomu cukru.

– Skąd masz tę pewność? – upierała się Gwen. – Prawie jedna trzecia ludzi z drugim typem cukrzycy nawet nie podejrzewa, że na nią cierpi. Tego się nie bada rutynowo, dopiero wtedy, kiedy pojawiają się oznaki choroby albo ktoś w rodzinie chorował na cukrzycę. Pamiętaj, że pierwsze symptomy są prawie niezauważalne.

Maggie wiedziała, że Gwen ma rację. Ale przecież wiedziałaby też, gdyby Stucky był cukrzykiem. Miała w jego kartotece analizę krwi i DNA. Chyba że coś się zmieniło. Nie, jakoś nie mogła sobie wyobrazić, by Stucky mógł ulec

czemukolwiek poza srebrnymi kulami lub kołkiem osinowym wbitym prosto w serce.

– A ofiary? – spytała Gwen. – Może to były ich batony. Może one chorowały na cukrzycę?

– Zbyt nieprawdopodobny zbieg okoliczności. Nie wierzę w zbiegi okoliczności.

– Nie, wolisz za to wierzyć, że Albert Stucky porwał twoją sąsiadkę, która tak naprawdę nawet nie zdążyła być twoją sąsiadką, a do tego porwał jakąś agentkę nieruchomości tylko dlatego, że kupiłaś od niej dom. Powiem ci, Maggie, że to po prostu śmieszne. Nie masz żadnego dowodu, że któraś z tych kobiet faktycznie zaginęła, nie mówiąc już o udziale Stucky'ego.

– Gwen, to nie przypadek, że kelnerka z Kansas City i dziewczyna z pizzerii spotkały mnie kilka godzin przed śmiercią, którą zadano im w taki sam sposób. To ja jestem jedynym łącznikiem. Chyba nie myślisz, że życzę Tess albo Rachel, by porwał je Stucky? Tysiąc razy wolałabym, żeby siedziały sobie teraz na jakiejś bezludnej plaży, popijając pina coladę u boku fantastycznych kochanków.

Jej głos zamienił się w pisk, czego nie cierpiała. Tak jak nie znosiła, kiedy trzęsły jej się ręce i tętniło w uszach. Pochyliła się nad teczkami, usiłując znaleźć jakiś sens w doprowadzonych przez Tully'ego do ładu, a raczej do bezładu, papierach. Czuła na sobie spojrzenie Gwen. Może przyjaciółka miała rację? Może paranoja wypaczyła już rozsądek Maggie? A jeżeli naprawdę przesadzała? Jeżeli jej

umysł ześliznął się już z granicy rozsądku i zaczął wpadać w mentalną przepaść? Było to bardzo prawdopodobne.

– Jeśli to prawda, co mówisz, to znaczy, że Stucky cię śledzi.

– Tak – powiedziała Maggie, starając się, żeby jej głos brzmiał beznamiętnie.

– Jeśli wybiera kobiety, które weszły z tobą w jakiś kontakt, to czemu oszczędził mnie?

Maggie spojrzała na Gwen i z przerażeniem spostrzegła w jej oczach, oczach silnej i pewnej siebie kobiety, mgnienie strachu.

– Bo on nie wybiera moich znajomych, tylko kogoś, kto się ze mną zetknął. Dzięki temu trudniej przewidzieć jego następny ruch. Chce, żebym czuła się współwinna. Nie sądzę, żeby chciał mnie zniszczyć. A gdyby coś ci się stało, byłabym zdruzgotana.

Chciała zamknąć temat i odrzucić taką ewentualność. Sięgnęła znów po teczkę. Mówiąc szczerze, myślała już o tym, że Stucky może szukać kontaktu z jej najbliższymi. Byłby to logiczny krok...

– Rozmawiałaś o tym z agentem Tullym?

– Ty jesteś moją przyjaciółką, a uważasz, że mi odbiło. To co by on pomyślał? Po co, do diabła, miałabym się z nim tym dzielić?

– Bo jest twoim partnerem i powinniście wspólnie się przez to przedzierać, niezależnie od tego, że jakiś ślad wygląda na kompletną bzdurę. Obiecaj mi, że nie będziesz sama tego sprawdzać.

Maggie znalazła właśnie nowy zbiór dokumentów i zabrała się do ich przeglądania. Czyżby rzeczywiście miała wybujałą wyobraźnię, czy jednak jest coś, co prowadzi Rachel Endicott do Stucky'ego?

– Maggie, słyszałaś?

Zerknęła na Gwen. Jej gładkie zwykle czoło było zmarszczone od troski, ciepłe zielone oczy poszarzały od zgryzoty.

– Obiecaj mi, że nie będziesz działać sama, na własną rękę – domagała się Gwen.

– Nie będę działać sama. – Maggie wyjęła brązową kopertę i wyciągała jej zawartość.

– Mała, ja naprawdę nie żartuję. Jak tylko nabiorę jakichś podejrzeń, doniosę na ciebie do Cunninghama. – Musiała być naprawdę zdesperowana, skoro posunęła się do takiej groźby.

– E tam, nie zrobisz tego.

– Cholera, jasne, że nie…

Maggie podniosła wzrok na przyjaciółkę. Nawet Harvey patrzył na nią smutnymi, brązowymi oczami. A był to ten sam pies, który dwie poprzednie noce chodził w tę i z powrotem, sprawdzał drzwi wejściowe i wszystkie okna, wypatrywał swojej pani, czekał, aż zabierze go jego pan, jakby ani chwili dłużej nie był w stanie znieść towarzystwa Maggie.

– Gwen, proszę, nie przejmuj się tak. Przyrzekam, że nie zrobię żadnego głupstwa. – Wyjęła jakiś dokument i nareszcie miała przed oczami to, czego tak szukała. Był to

raport z lotniska i notatka policji w sprawie białej furgonetki Forda. – Mam. To jest to, co mnie tak męczyło.

– Co takiego?

Maggie wstała i zaczęła chodzić po pokoju.

– Susan Lyndell powiedziała mi, że Rachel Endicott mogła uciec z monterem telefonów.

– I jaki masz dowód? Jej rachunek telefoniczny? – Gwen kpiła już w żywe oczy.

– To notatka o konfiskacie samochodu przez policję. Kiedy policja znalazła auto Jessiki na parkingu obok lotniska, przy okazji znaleźli tam furgonetkę skradzioną jakieś dwa tygodnie wcześniej. Stała obok.

– Wybacz, Maggie, ale się gubię. Czyli co, Stucky ukradł tę furgonetkę i porzucił ją, kiedy skończył robotę? Co to ma wspólnego z twoją sąsiadką?

– Furgonetka należy do Północno-Wschodniej Kompanii Telefonicznej Bella. – Maggie czekała na reakcję Gwen, lecz ta uparcie milczała. – Okej, wiem, że to dalekie powiązanie, ale przyznasz, że jednak zbyt duże jak na zwykły zbieg okoliczności i…

– Wiem, wiem. – Gwen uniosła rękę, żeby jej przerwać. – Ty nie wierzysz w zbiegi okoliczności.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

Tess nie pamiętała tak czarnej, długiej i strasznej nocy, chociaż jej dzieciństwo obfitowało w podobne atrakcje. Siedziała przyczajona w rogu, ściskając podkulone kolana, i starała się zapomnieć, że jej gołe, opuchnięte stopy nurzają się w śmierdzącym błocie. Nareszcie przestało padać, lecz z oddali dochodził huk grzmotu, niski, ponury dźwięk, który przetaczał się nad głową jak ciężki, siejący grozę głaz. Czy to chmury nie pozwalają słońcu wzejść, czy może ten szaleniec zawarł pakt z diabłem?

Od czasu do czasu Tess słyszała jęk drugiej kobiety. Jej oddech, jej postękiwania dobiegały z tak bliska. Szczęśliwie nie było już szlochu ani wysokiego zawodzenia. Kiedy niebo pojaśniało, jęczący kłębek zaczął nabierać wyraźniejszych kształtów.

Tess zamknęła oczy. Zdawało jej się, że ma pod powiekami piasek, oczy ją piekły i paliły. Wszystko przez ten jej upór i niechęć do noszenia szkieł kontaktowych, których nie trzeba wyjmować. Najchętniej tarłaby oczy, aż by je wydrapała. Wkrótce będzie musiała dokonać wyboru, wyjąć szkła kontaktowe albo je zostawić. Kiedy po raz wtóry podniosła powieki, zamrugała kilka razy i wprost oniemiała. W zamglonym świetle ujrzała naprzeciw siebie kompletnie nagą kobietę w pozycji embrionalnej. Jej skóra była umazana błotem i czymś, co wyglądało na krew i fekalia.

– O Boże – wyszeptała Tess. – Czemu mi pani nie powiedziała, że jest pani naga?

Tess podniosła się z trudem. Ból w kostce rzucił ją na kolana, ale jakoś dało się wytrzymać. Podjęła ponowną próbę i dźwignęła się na drugą nogę. Nerwowo ściągnęła węzeł na szyi, żeby utrzymać na sobie pelerynę z koca. Kobieta trzęsła się. Ale to nie było zwyczajne drżenie. Zdawało się, jakby wszystkie mięśnie dostały konwulsji. Szczękała zębami, a dolna warga krwawiła od ciągłego przygryzania.

– Boli panią? – spytała Tess, zdając sobie natychmiast sprawę, jak głupio to zabrzmiało.

Tess zrzuciła z siebie koc i ostrożnie owinęła nim kobietę. Koc był zawilgocony, a mimo to grzał ją przez całą noc. Miała nadzieję, że podobnie posłuży nieznajomej.

Zachowując dystans, zaczęła lustrować potworne siniaki na jej ciele, otwarte rany i ślady, które wyglądały na ukąszenia ludzkimi zębami.

– Boże. Trzeba panią zawieźć do szpitala. – Kolejne idiotyczne stwierdzenie. Jak miała niby dostać się do szpitala, skoro tkwiła w tej cholernej dziurze?

Wydawało się, że kobieta w ogóle nie słyszy. Szeroko otwartymi oczyma wpatrywała się w ścianę błota, a splątane włosy kleiły się do twarzy. Tess wyciągnęła rękę i odsunęła z jej policzka jeden kosmyk. Kobieta nawet nie mrugnęła. Była w szoku, to pewne. Tess zastanawiała się, czy jej umysł wycofał się już w głąb, w głuchą, niedostępną jaskinię. Tak właśnie wiele razy postępowała Tess

w dzieciństwie. Tylko w taki sposób mogła się bronić, gdy wciąż karano ją niekończącymi się pobytami w zamkniętym, ciemnym schronie przeciwsztormowym. Czasami tkwiła tam kilka dni.

Pogłaskała kobietę po policzku, wycierając przy okazji błoto i odgarniając włosy. Na widok śladów zębów i siniaków, które pokrywały gęsto jej szyję i piersi, żołądek podszedł Tess do gardła. Wokół szyi widniała otwarta rana. Wyglądała jak wgłębienie po sznurze zaciśniętym tak mocno, że przeciął skórę.

– Może się pani poruszyć? – spytała Tess, nie doczekała się jednak odpowiedzi.

Spojrzała do góry, żeby oszacować głębokość ich piekła, kiedy wsączyło się doń trochę światła. Było lepiej, niż początkowo sądziła. Około trzech, najwyżej trzy i pół metra głębokości, w dole powierzchnia jakieś trzy metry na dwa. Mógł to być stary rów czy okop o nierównych ścianach, częściowo zawalony. W środku sterczały korzenie drzew, tu i ówdzie wystawały skały. Były też świeże ślady łopaty, świadczące o tym, że porywacz przygotował pułapkę.

Jak bardzo trzeba być wynaturzonym, żeby potraktować drugiego człowieka w taki sposób? Nie była nawet w stanie o nim myśleć. Ani też wyobrażać go sobie, bo natychmiast ją to porażało. Musiała skupić się na tym, jak wydostać się z pułapki. Jak to, do diabła, zrobić?

Przyklękła obok kobiety. Koc musiał spełnić swoje zadanie, bo już tak nie drżała. Należało jeszcze sprawdzić, czy nie ma jakichś złamań.

Tess uznała, że po pęknięciach w ścianach dołu i sterczących skałach mogłaby się wspiąć i opuścić to więzienie. Nie dałaby jednak rady wyciągnąć nieznajomej.

Kiedy Tess dotknęła jej ramienia, zobaczyła, w co wlepione są z taką mocą jej oczy. Przestraszona, odskoczyła. Potem zmusiła się jednak, żeby spojrzeć z bliska, nie zważając na szok i obrzydzenie. Tuż przed nią, zagrzebana częściowo w ziemi, a częściowo odkryta przez deszcze znajdowała się ludzka czaszka. Puste oczodoły zwracały się wprost na Tess.

Wtedy uświadomiła sobie, że wcale nie znalazła się w pułapce, tylko w swoim grobie.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

Sobota, 4 kwietnia

Włożyła świeżą, czerwoną jedwabną bluzkę. W czerwieni było jej do twarzy. Podkreślała jej rudoblond włosy. Miała zwyczaj zdejmować żakiet i siadać na rogu biurka. Nie chciało jej się poprawić spódnicy, która podniosła się, odkrywając zgrabne uda. Piękne, czułe uda, które kazały mu myśleć o tym, jak cudownie byłoby zatopić w nich zęby.

Czekała, aż odezwie się pierwszy, skrobiąc coś w notesie, pewnie notując obserwacje na jego temat. Lecz wcale go nie obchodziło, co tam wypisywała. Bardziej interesowało go, jakie jęki wyda z siebie, kiedy wreszcie się w nią wbije, wepchnie się w nią głęboko i mocno, aż ona zacznie krzyczeć. Cudowna chwila. Takie krzyki sprawiały mu nadzwyczajną przyjemność, zwłaszcza kiedy akurat był w środku. Wibracje powodowane tymi wrzaskami były jak fala uderzeniowa wywołana pieprzonym trzęsieniem ziemi, które on spowodował.

To była jedna z wielu rzeczy, które łączyły go ze starym przyjacielem, dawnym partnerem. Tego przynajmniej nie musiał udawać. Pchnął okulary przeciwsłoneczne na grzbiet nosa i uświadomił sobie, że ona czeka.

– Panie Harding – przerwała jego myśli. – Pan nie odpowiada na moje pytania.

Zapomniał, jakie było to pieprzone pytanie. Przechylił głowę i wysunął szczękę w patetycznym geście, który mówił: „Wybaczcie, ale jestem ślepcem”.

– Pytałam, czy pomogły panu zaproponowane przeze mnie ćwiczenia.

No pewnie. Kiedy czekał, ludzie zawsze ułatwiali mu sytuację, podpowiadali, powtarzali swoją wypowiedź albo wstawali i sami robili to, o co go prosili przed chwilą. Zdobywał w tym wprawę. To dobry znak, na wypadek gdyby miało tak zostać.

– Panie Harding?

Jaka dzisiaj niecierpliwa. Chciał dowiedzieć się, kiedy ostatnio się rżnęła. Niewątpliwie miała z tym problem. A może powinna obejrzeć kilka pornosów z jego najnowszej kolekcji?

Dowiedział się, że jest rozwódką, i to od dwudziestu pięciu lat. Jej małżeństwo trwało zaledwie dwa lata, ot, taki grzech młodości. Niewątpliwie zaliczyła od tamtej pory kilku kochanków, chociaż takie informacje trudno było znaleźć w Internecie.

Sposób, w jaki skrzyżowała ramiona, świadczył niezbicie, że traci opanowanie. W końcu odezwał się grzecznie:

– Ćwiczenia udały się całkiem nieźle, ale to ani o niczym nie świadczy, ani nie pomaga.

– Dlaczego pan tak mówi?

– No bo jak ma mi pomóc? Co z tego, że… proszę wybaczyć… ostro rozgrzeję małego generała, tak na twardy gwint, skoro jestem sam?

Uśmiechnęła się, co zdarzyło się pierwszy raz, odkąd się spotkali.

– Od czegoś trzeba zacząć.

– Dobrze, ale obawiam się, że jeśli zasugeruje mi pani teraz dmuchane lalki, będę musiał zaprotestować.

Kolejny uśmiech. Był na fali. Powiedzieć jej teraz, że chciałby, żeby to ona była tą lalką? Rozmyślał, jak dobrze mógłby wydmuchać jej słodkie, seksowne, małe usteczka. Był pewny, że całkiem nieźle by je naszpikował.

– Nie, na razie nie mam żadnych propozycji – rzekła, nie odgadując nic z tego, co chodziło mu po głowie. – Zachęcam jednak do kontynuowania tych ćwiczeń. Powinien pan mieć, przepraszam za wyrażenie, sposób na podniecenie się, na którym będzie pan mógł polegać, kiedy znajdzie się pan z kobietą i problem znów się pojawi.

Kiwała lewą stopą, wciąż siedząc na rogu biurka. Czarne skórzane czółenko huśtało się na czubkach jej palców. Chciałby zobaczyć spadający bucik i przekonać się, czy malowała paznokcie. Uwielbiał czerwone paznokcie u stóp.

– Trzeba się pogodzić z tym, że wiele z naszych poglądów na temat seksu – ciągnęła, choć prawie jej nie słuchał – pochodzi od naszych rodziców. Zwłaszcza chłopcy naśladują zachowania swoich ojców. Jaki był pański ojciec, panie Harding?

– Z pewnością nie miał problemów z kobietami – rzucił i natychmiast pożałował, że zdradził, jaki to bolesny temat. Już ona tego nie zostawi. Uczepi się. Będzie napierała, żeby się w to wgryzać, aż dotrze do jego matki. Chyba że...

chyba że on wszystko odwróci i postawi ją w takim położeniu, że sama odstąpi od tematu.

– Mój ojciec często przyprowadzał do domu kobiety. Nawet pozwalał mi patrzeć. Czasami te kobiety chciały, żebym się dołączył. Zna pani innego trzynastolatka, który mógłby się pochwalić, że kobieta ssała go, kiedy jego ojciec pieprzył ją od tyłu?

Udało się. Druzgocący wstrząs. Za chwilę spojrzy na niego z litością. Zabawne, że prawda ma tak nieprawdopodobną siłę. Nagle ktoś zastukał do drzwi i terapeutka podskoczyła, a on patrzył przed siebie w nicość jak poczciwy pieprzony ślepiec.

– Przepraszam, że przeszkadzam – zawołała przez drzwi jej sekretarka. – Na trzeciej linii jest rozmowa, na którą pani czekała.

– Muszę odebrać telefon, panie Harding.

– Proszę bardzo. – Wstał i po omacku poszukał laski. – Możemy dzisiaj skończyć wcześniej.

– Jest pan pewny? To mi zabierze minutę, najwyżej dwie.

– Jestem zmęczony. Poza tym myślę, że dzisiaj pani zapracowała na więcej, niż przewiduje stawka. – Wynagrodził ją uśmiechem, by powstrzymać nieunikniony protest.

Czekając na windę, czuł, jak złość zaczyna się w nim burzyć. Nie znosił wspominać swoich rodziców. Nie miała prawa mu o nich przypominać. Posunęła się za daleko. Tak, doktor Gwen Patterson przekroczyła nieprzekraczalną granicę.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY

Dyrektor Cunningham zarekwirował dla nich niewielką salę konferencyjną na pierwszym piętrze. Tully'ego przede wszystkim ucieszyły okna, które wychodziły na las przy skraju pola treningowego. Nie przeszkadzało mu, że musiał wielokrotnie pokonywać schody i zasuwać do innej części budynku, żeby przenieść swoje rzeczy z zawalonego po brzegi, ciasnego biura.

Rozłożył wszystko, co zdołali zebrać w ciągu minionych pięciu miesięcy. O'Dell jak cień postępowała za jego plecami, nalegając, żeby poukładać to w równe stosy, wzdłuż jednej linii na długim konferencyjnym stole, chronologicznie od lewej do prawej. Tully'ego wcale nie wkurzała jej upierdliwość, co więcej, wręcz go rozbawiła. Każde z nich w sobie właściwy sposób podchodziło do takich układanek. Maggie rozpoczynała od rogów, układała wszystko w jednej linii, on zaś lubił rozrzucić całość na środku i zbierać potem na chybił trafił przypadkowe fragmenty, które składał do kupy. Żaden z tych sposobów nie był ani jedynie słuszny, ani pozbawiony istotnych racji. To kwestia wyboru, chociaż Tully powątpiewał, by pedantyczna Maggie kiedykolwiek zgodziła się z takim stwierdzeniem.

Rozpięli mapę Stanów Zjednoczonych, na której czerwonymi pinezkami zaznaczyli miejsca, gdzie

popełniono ostatnie morderstwa: Kansas City i Newburgh Heights. Niebieskie pinezki oznaczały siedemnaście innych miejsc, gdzie znaleziono ofiary Stucky'ego, zanim złapano go w sierpniu minionego roku. A przynajmniej te, o których było im wiadomo, ponieważ kobiety, które kolekcjonował Stucky, często grzebane były przez niego na odludziu, w głębokich, nieuczęszczanych lasach. Sądzono więc, że co najmniej kilkanaście nieznanych jeszcze ofiar czeka na odkrycie przez przypadkowych rybaków, myśliwych czy turystów. Na dokonanie tak wielu przerażających zbrodni Stucky'emu wystarczyły niecałe trzy lata. Tully nie chciał nawet myśleć o tym, co mogło się wydarzyć w ciągu ostatnich pięciu miesięcy, a o czym oni jeszcze nie wiedzieli.

Tully trwał wpatrzony w mapę, zostawiając O'Dell robienie porządków. Zdecydowaną większość czasu Stucky spędził na wschodnich krańcach Stanów Zjednoczonych, od Bostonu na północy do Miami na południu. Szczególnie płodne było dla niego wybrzeże Wirginii i tylko Kansas City stanowiło anomalię. Jeśli Tess McGowan faktycznie zaginęła, znaczyło to, że Stucky rzeczywiście rozpoczął znowu swoją grę z O'Dell. Że znowu ją w to wciągał, angażował w swoje zbrodnie. Działał przy tym niezwykle sprytnie, bo wybierał kobiety, które wchodziły jedynie w przypadkowy kontakt z O'Dell, natomiast jej przyjaciół i rodziny nie ruszał. Taki sposób postępowania powodował, że nie sposób było przewidzieć jego następnych kroków. Co więc, u diabła, mogli zrobić? Trzymać O'Dell pod kluczem,

dopóki go nie złapią? Na polecenie Cunninghama już i tak kilku agentów pilnowało jej domu i nie spuszczało z niej oka. Tully był zdumiony, że O’Dell się z tym pogodziła.

I oto mają sobotni ranek, a ona grzebie w dokumentach, jakby to nie był weekend. Każdy na jej miejscu po tym, co przeszła minionego tygodnia, nie wyściubiłby dotąd nosa spod kołdry. Co prawda tego ranka, jak zauważył Tully, O’Dell nie zadbała o to, by zakamuflować makijażem cienie pod oczami. Na nogach miała stare adidasy, do łokci zawinęła rękawy batystowej bluzki i wsadziła ją do spranych dżinsów. Znajdowali się w bezpiecznym, chronionym miejscu, ale O’Dell nie pozbyła się broni. Smith & wesson kaliber 38 tkwił gotów do strzału u jej boku. W porównaniu z O’Dell Tully czuł się odstawiony jak na przyjęcie. Przeszło mu dopiero wtedy, gdy zajrzał do nich Cunningham, jak zwykle w szeleszczącej, świeżej i porządnie odprasowanej koszuli. Wtedy Tully dostrzegł plamy od kawy na swojej białej koszuli i luźno zawiązany krawat.

Spojrzał na zegarek. Obiecał Emmie, że zje z nią lunch i że wreszcie poważnie pogadają o tym szkolnym balu. Postanowił już, że będzie się twardo trzymał swojego stanowiska. Proszę bardzo, niech Emma nazwie go zacofanym, ale nie ma najmniejszego zamiaru pozwalać jej w tym wieku na randki. Dla niego wciąż była na to za młoda. Może za rok.

Zerknął na O’Dell, która stała nad raportami Keitha Ganzy. Nie podnosząc wzroku, spytała:

– Są jakieś informacje od ochrony lotniska?

– Nie, ale teraz, kiedy Delores Heston załączyła raport o zaginięciu, możemy dostać list gończy na samochód. Czarna miata rzuca się w oczy. Chociaż, czy ja wiem? Może McGowan po prostu miała ochotę wyskoczyć gdzieś na parę dni?

– No to zepsujemy jej wakacje. A co z jej facetem?

– Daniel Kassenbaum ma dom i firmę w Waszyngtonie oraz drugi dom i biuro w Newburgh Heights. Wczoraj wieczorem wreszcie udało mi się go wytropić w jego klubie. Jakoś nie sprawiał wrażenia specjalnie zmartwionego. Powiedział mi nawet, że ma pewne podejrzenia, że McGowan go zdradza. A potem czym prędzej dodał, że łączy ich dość luźny związek, taki bez zobowiązań. Właśnie takich słów użył. Jeżeli Kassenbaum ma rację, to może faktycznie panienka wypuściła się pobalować w ukryciu z jakimś tajemniczym kochankiem.

O’Dell popatrzyła na niego.

– Jeżeli on twierdzi, że McGowan go zdradza, to może sam ma coś wspólnego z jej zniknięciem?

– Naprawdę się tym nie przejął, uwierz mi. To chyba nie jest dla niego nic ważnego, byle tylko dostał, co mu się należy. – O’Dell zrobiła zdziwioną minę, natomiast Tully poczuł nagły przypływ emocji, bo ten temat zbyt był mu bliski i za bardzo go dotykał. No cóż, Kassenbaum do złudzenia przypominał mu tego dupka, dla którego rzuciła go Caroline. Mówił jednak dalej: – Powiedział mi też, że po raz ostatni widział McGowan we wtorek w nocy, kiedy

została w jego domu. Ale skoro jemu się wydaje, że ona go oszukuje, to czemu zatrzymał ją na noc?

O’Dell wzruszyła ramionami.

– Poddaję się.

Nie wiedział, czy O’Dell mówi serio, czy z niego kpi. Jednak Kassenbaum naprawdę go wkurzył i teraz nie potrafił się powstrzymać.

– Naprawdę nie wiesz, agentko O’Dell? Zaprasza ją do siebie, bo jest aroganckim gnojkiem, który dba wyłącznie o siebie. I ma wszystko gdzieś, jemu wystarczy, że dobrze sobie podupczy. – O’Dell przyglądała mu się. Pomyślała, że Tully powinien jednak wiedzieć, kiedy skończyć z takim odsłanianiem się. Jednak nie wiedział. – Do cholery, co kobiety widzą w takich sukinsynach?

– Dobrze sobie podupczyć? Tak to nazywacie w Ohio?

Tully czuł, że twarz zalewa mu purpura, natomiast O’Dell zwyczajnie uśmiechnęła się i wróciła do akt. Powstrzymała partnera, nie chciała, by zdradził zbyt wiele, czego później będzie żałował. Choć i tak powiedział wszystko.

Natomiast on był przekonany, że nie miała zielonego pojęcia, jak bardzo rozwścieczał go ten temat. Poprzedniego wieczoru Daniel Kassenbaum potraktował go jak służącego, dla którego nie ma czasu, rugając go, że przerywa mu kolację. I nawet nie przyszło mu do głowy, że Tully być może też powinien w tym czasie siedzieć przy stole, a nie zajmować się poszukiwaniem jego dziewczyny. Może Tess McGowan faktycznie wyrwała się gdzieś z kochankiem. Jeśli tak, to brawo.

Tully stanął znowu nad mapą. Zaznaczyli na niej kółkami prawdopodobne lokalizacje kryjówki Stucky'ego, najbardziej oddalone od zasiedlonych terenów obszary leśne. Było ich do sprawdzenia bardzo dużo, za dużo. Posiadali tylko jedną wskazówkę, owo błoto z połyskującymi drobinkami znalezione w samochodzie Jessiki Beckwith i w domu Rachel Endicott. Keith Ganza przygotował już listę chemicznych substancji, które mogły wchodzić w rachubę, ale i tak nie zawężało to obszaru poszukiwań. Prawdę mówiąc, Tully zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie szukają w niewłaściwych miejscach. Może powinni przeczesać opuszczone tereny miejskie? W końcu w Miami Stucky korzystał z pustego magazynu, gdzie odkryła go O'Dell.

– A może jakieś tereny fabryczne, przemysłowe? – rzucił, by sprawdzić, co jego partnerka powie o tej teorii.

Przerwała swoją pracę i podeszła do niego, przypatrując się mapie.

– Myśli pan o tych substancjach, które Keith znalazł w błocie?

– Wiem, że on ma inne przypuszczenia, ale podobnie było z magazynem z Miami. – Powiedziawszy to, zerknął natychmiast na O'Dell, uświadamiając sobie, że to dla niej trudny temat. Nic takiego jednak nie pokazała po sobie.

– Gdziekolwiek się ukrywa, nie może to być daleko stąd. Według mnie z godzinę, najwyżej dwie i pół godziny drogi samochodem. – Przesuwała po mapie palcem w promieniu mniej więcej stu kilometrów od jej domu w Newburgh

Heights. – Nie mógł odjechać zbyt daleko, bo wciąż mnie obserwuje.

Tully spojrzał na nią kątem oka. Szukał jakichś śladów paniki, strachu, które widział u niej poprzedniej nocy. Zdumiało go, jak dobrze potrafiła się maskować. O'Dell nie była zresztą pierwszym agentem FBI, który posiadał doprowadzoną do perfekcji umiejętność trzymania w ryzach swoich emocji. Oczywiście wiedział, że wymagało to od niej sporego wysiłku. Ciekawe, jak długo O'Dell zdoła utrzymać się w ryzach, zanim szwy zaczną znowu pękać?

– Na tej mapie brak wszystkich nieczynnych starych fabryk i magazynów. Sprawdzę to w Departamencie Stanu, może tam coś mają.

– Proszę nie zapomnieć o Marylandzie i Waszyngtonie.

Tully zanotował coś na brązowej papierowej torbie z McDonalda, w której przyniósł śniadanie. Przez moment usiłował sobie przypomnieć, kiedy ostatnio jadł coś domowego. Może jednak weźmie Emmę na lunch do jakiejś sympatycznej restauracji? Dość tych fast foodów. Najwyższy czas usiąść przy zasłanym obrusem stole.

Kiedy się odwrócił, O'Dell stała już nad dokumentami. Zajrzał jej przez ramię na zdjęcia z miejsc przestępstwa, które właśnie układała. Nie patrząc na niego, odezwała się:

– Musimy je znaleźć, agencie Tully, i to szybko, bo będzie za późno.

Nie musiał pytać, kogo miała na myśli. Mówiła o Tess McGowan i swojej sąsiadce. Tully wciąż nie był przekonany, że zostały brutalnie porwane, nie mówiąc już o jakimś

związku ze Stuckym. Nie zdradził jednak O’Dell swoich wątpliwości, tak samo jak nie przyznał się, że rozmawiał z inspektorem Manksem z Newburgh Heights. Jeśli dopisze im szczęście, uparty i niechętny do jakiejkolwiek współpracy Manx wspaniałomyślnie zdecyduje się podzielić z nimi dowodami, które znalazł w domu Endicottów. Co prawda Tully nie spodziewał się wiele. Według Manksa to rutynowa sprawa. Znudzona żonka uciekła z monterem telefonów i tyle.

Nie dopuszczał myśli, że Manx może mieć rację. Potrząsnął głową. Stokroć bardziej wolał, by kryło się za tym coś innego, jakaś dyskretna sprawa rodzinna albo potrzeba kilku dni samotności. Co się w tych czasach wyprawiało z tymi mężatkami? Po raz drugi tego ranka przypomniał sobie o Caroline i bardzo mu się to nie podobało.

– Jeśli nie myli się pani co do tych kobiet – powiedział, zachowując dla siebie własne zastrzeżenia – to znaczy, że Stucky dwie kobiety zamordował, a dwie kolejne porwał, i to wszystko podczas jednego tygodnia. Sądzi pani, że jest do tego zdolny?

– To trudne, ale nie niemożliwe. Musiałby porwać Rachel Endicott w piątek rano, potem wrócić do Newburgh Heights, zobaczyć Jessicę przed moimi drzwiami, zawieźć ją do domu na Archer Drive i zabić tego samego dnia po południu albo w sobotni ranek.

– Trochę chyba za gęsto, co?

– Tak – przyznała. – Ale nie dla Stucky’ego.

– Czy ja wiem? Potem musiałby się dowiedzieć, że jest pani w Kansas City, i to dokładnie, z adresem. Musiałby zobaczyć panią z Delaneyem, Turnerem i tą kelnerką...

– Ritą.

– Tak, Ritą. To było w niedzielę wieczorem, tak?

– Około północy... a właściwie w poniedziałek nad ranem. Jeśli Delores Heston się nie myli, Tess pokazywała klientowi dom na Archer Drive w środę. – Unikała wzroku Tully'ego. – Wiem, jak to brzmi, ale proszę pamiętać, do czego Stucky był kiedyś zdolny. – Znów zabrała się do sortowania zdjęć. – Zawsze był problem z odnalezieniem ciał. Niektóre znajdowano dużo później, długo po zgłoszeniu zaginięcia. Większość była już tak zniekształcona, że mogliśmy jedynie odgadywać czas zgonu. Ale tamtej wiosny, zanim wpadł nam w ręce, ustaliliśmy, że zabił dwie kobiety, zostawiając je w śmietniku, i że porwał pięć innych do swojej kolekcji. I to wszystko w przeciągu niecałych trzech tygodni, jak wyliczyliśmy na podstawie pierwszego zgłoszenia zaginięcia. Te pięć ciał odnaleźliśmy dopiero po wielu miesiącach, wszystkie były w jednym masowym grobie. Dwie z ofiar były torturowane i zamordowane w różnym czasie. Pewne znaki świadczyły o tym, że osaczał je i szczuł jak zwierzęta. Polował na nie. Znaleźliśmy dowody, że posługiwał się kuszą ze strzałami.

Tully rozpoznawał fotografie. O'Dell ułożyła przed sobą serię zdjęć, które przedstawiały rany jednej z ofiar. Gdyby nie były opisane, trudno byłoby zgadnąć, że pokazują tę samą osobę. Była to jedna z owych pięciu kobiet

znalezionych w masowym grobie. Ciało, co należało do rzadkości, odkopano, zanim zaczęło się rozkładać i zanim dobrały się do niego zwierzęta. Było jednym z niewielu całych i nietkniętych przez czas.

– To Helen Kraski – powiedziała O'Dell. – Była w tamtej piątce. Stucky dusił ją i pociął nożem. Odciął jej lewy sutek. Miała złamaną prawą rękę i nadgarstek. W lewej łydce tkwiła złamana strzała. – O'Dell mówiła bez cienia emocji, zbyt rzeczowo. – W płucach znaleźliśmy ziemię. Kiedy ją zakopywał, jeszcze żyła.

– Chryste, pieprzony skurwysyn.

– Musimy go powstrzymać, agencie Tully. Musimy to zrobić, zanim wpełznie do jakiejś niedostępnej dziury. Zanim nam ucieknie, ukryje się i zacznie się zabawiać swoją nową kolekcją.

– Tak będzie. Musimy tylko wiedzieć, gdzie on się, do diabła, chowa. – Udawał, że nie zwrócił uwagi, iż Maggie powiedziała „powstrzymać", a nie „schwytać", choć dobrze wiedział, na czym polega różnica.

Odsunął się i znowu zerknął na zegarek.

– Muszę wyjść o jedenastej. Obiecałem córce, że zjem z nią lunch.

O'Dell zabrała się z kolei do raportów od Ganzy. Była tam analiza odcisków palców, czytała ją już po raz trzeci. Tully nie miał pewności, czy dotarły do niej jego słowa.

– A może wybierze się pani z nami? – Gdy zdumiona podniosła wzrok, natychmiast wrócił do zawodowego

tematu. – Wciąż mi się zdaje, że te ślady wcześniej zostawił ktoś, kto oglądał dom, by go kupić.

– Stucky wyszorował łazienkę do czysta – rzekła na to. – Ale zostawił dwa wyraźne, pełne odciski. Nie, on chciał, żebyśmy je znaleźli. Już tak robił. To one właśnie posłużyły nam do ostatecznej identyfikacji. – Przetarła oczy, jakby pamięć była zbyt męcząca. – Nie znaliśmy wtedy jego nazwiska, nie mieliśmy zielonego pojęcia, kim jest Kolekcjoner. Stucky zapewne uważał, że za bardzo się z tym grzebiemy. Jestem pewna, że umyślnie zostawił odciski palców. To taka głupota i nieostrożność, że musiał je zostawić z premedytacją.

– Skoro tak, to po co zadawał sobie tyle trudu ze sprzątaniem? Dotąd jakoś o to nie dbał.

– Może posprzątał, bo zamierzał jeszcze korzystać z tego domu.

– McGowan?

– Tak.

– Okej. To po co zostawił odciski, które do niego nie należą? Tak samo było na śmietniku koło pizzerii i na tej parasolce w Kansas.

O’Dell zadumała się, przestała przekładać papiery i spojrzała na Tully’ego, jakby wahała się, czy mu odpowiedzieć.

– Keith nie znalazł identycznych odcisków w rejestrach AFIS-u, jest jednak pewien, ze wszystkie należą do tej samej osoby.

– Żartuje pani. Jest tego pewny? No, skoro tak, to mordercą jest ktoś inny, nie Stucky.

Podniósł na nią wzrok, czekając na jakąś reakcję, jednak twarz Maggie była pozbawiona emocji, podobnie jak jej głos, kiedy oznajmiła w końcu:

– Morderstwa Jessiki i Rity mają ze sobą bardzo wiele wspólnego. Wiem też, że Stucky, mimo krótkiego czasu, dałby sobie z tym radę. Ale stosunek analny z Jessicą odbiega od tego, co dotąd robił Stucky. No i Jessica była dużo młodsza od kobiet, które zwykle wybierał.

– Co chce pani powiedzieć, O’Dell? Że to jakiś naśladowca?

– Raczej wspólnik.

– Co? Zwariowała pani!

Wbiła wzrok w dokumenty. Tully wyczuwał, że sama nie była pewna swojej teorii. O’Dell przez lata przyzwyczaiła się do samodzielnej pracy i samodzielnego rozstrzygania problemów. Nagle dotarło do niego, że musiała znaleźć w sobie naprawdę głębokie pokłady zaufania, skoro podzieliła się z nim swoimi podejrzeniami.

– Wiem, że mówi to pani serio, ale dlaczego Stucky miałby sobie brać wspólnika? Przyzna pani, że seryjni mordercy nie mają takiego zwyczaju.

W odpowiedzi O’Dell wyciągnęła kilka skserowanych stron z jakiejś gazety i wręczyła je Tully’emu.

– Pamięta pan, jak Cunningham wymienił nazwisko Walkera Hardinga, z którym Stucky wspólnie prowadził interesy? Mówił, że jego nazwisko było na liście pasażerów

samolotu. – Tully skinął głową i zaczął przeglądać artykuły, a Maggie dodała: – Niektóre z nich mają już dobrych kilka lat.

Artykuły pochodziły z „Forbes”, „Wall Street Journal”, „PC World” i kilku innych czasopism związanych z biznesem i handlem. Artykuł w „Forbes” zilustrowany był zdjęciem. I choć czarno-biała fotografia nie ujawniała wszystkich szczegółów, znajdujący się na niej dwaj mężczyźni mogli śmiało uchodzić za braci. Obaj byli ciemnowłosi, mieli pociągłe twarze i ostre rysy. Tully rozpoznał przeszywające oczy Stucky’ego. Niezależnie od kiepskiego zdjęcia wiedział, że są niemal pozbawione koloru. Młodszy z mężczyzn miał na twarzy uśmiech, Stucky zachował stoicki i poważny wyraz twarzy.

– To ten jego wspólnik, tak?

– Tak. Dwa artykuły wspominają, jak wiele ich łączy i jak ze sobą rywalizują. Wydaje się jednak, że rozstali się w przyjaźni. Nie wiem, czy wciąż utrzymują ze sobą kontakt, ale nie można wykluczyć, że nadal rywalizują, tylko w innej grze.

– Ale czemu teraz nagle, po tylu latach? Jeżeli działają w podobny sposób, to dlaczego nie jest tak od początku, od kiedy działał Stucky?

O’Dell usiadła i zaczesała włosy za uszy. Wyglądała na wykończoną. Na potwierdzenie tego wypiła łyk dietetycznej pepsi, która, jak Tully już zauważył, służyła jej za substytut kawy. Była to już trzecia pepsi tego ranka.

– Stucky zawsze był samotnikiem – zaczęła wyjaśniać. – O Hardingu mam tylko te artykuły, nie zdążyłam go dotąd sprawdzić. Ale to naprawdę niezwykłe, że Stucky nie prowadził interesów sam. Nigdy się nad tym porządnie nie zastanawiałam, a powinnam była. Może łączyło ich coś ważnego, albo wciąż łączy, jakiś silny związek, z którego nawet Stucky nie zdawał sobie aż dotąd sprawy. A może z jakiegoś powodu stwierdził, że potrzebuje swojego starego przyjaciela?

Tully kręcił głową.

– Chyba chwyta się pani tego jak tonący brzytwy. Doskonale zna pani statystyki, tak jak ja, a one mówią, że seryjni mordercy nie biorą sobie partnerów ani wspólników.

– Ale Stucky nie pasuje do żadnych statystyk. Poprosiłam Keitha, żeby sprawdził, czy brano kiedyś odciski palców od Hardinga. Moglibyśmy przekonać się, czy pasują do tych, które pozostawiono w miejscu przestępstwa.

Tully przeglądał dalej artykuły, aż coś wpadło mu w oko.

– Będzie mały problem z pani teorią.

– Co pan znalazł?

– Pod artykułem w „Wall Street Journal” jest przypis. Stucky i Harding rozwiązali spółkę, kiedy u Hardinga wykryto jakąś chorobę.

– Tak, czytałam to.

– Do końca? Druk jest zamazany, to pewnie kopiarka. W każdym razie Walker Harding nie może być wspólnikiem Stucky’ego, chyba że znalazł jakieś cudowne lekarstwo. Napisali tu, że zaczął tracić wzrok.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

Maggie zaczekała, aż Tully wyjdzie na spotkanie z córką, a potem zajęła się poszukiwaniem wszelkich możliwych informacji na temat Walkera Hardinga. Tłukła w klawiaturę, przeglądając strony FBI oraz inne internetowe strony. Harding, ogłosiwszy publicznie bez wdawania się w szczegóły, że ma jakieś problemy zdrowotne, zniknął bez śladu przed czterema laty. Maggie uświadomiła sobie, że Keith Ganza najpewniej nie znajdzie jego odcisków palców. Czuła, że Harding jest wciąż związany ze Stuckym, choć podpowiadał jej to tylko instynkt. Czuła, że mu pomaga, że wciąż z nim pracuje.

Z informacji, do jakich dotarła, a było ich naprawdę niewiele, dowiedziała się, że to Harding był mózgiem spółki, że był prawdziwym komputerowym czarodziejem. Stucky z kolei wniósł sto tysięcy dolarów. Zainwestował, ryzykując utratę pieniędzy. Maggie zauważyła, że spółka zaczęła działać z pomocą kapitału inwestycyjnego w tym samym roku, w którym ojciec Stucky'ego zginął w niewyjaśnionym wypadku na łodzi. Stucky był w tej sprawie przesłuchiwany, ale nie wysuwano w stosunku do jego osoby żadnych oskarżeń. Śledztwo było rutynowe, a prowadzono je wyłącznie z tego powodu, że Stucky był jedynym spadkobiercą majątku ojca, przy którym sto tysięcy dolarów znaczyło tyle co kieszonkowe.

Trudno było dotrzeć do informacji o Hardingu z czasów przed rozpoczęciem interesów ze Stuckym. Maggie nie znalazła nic na temat jego dzieciństwa prócz tego, że, podobnie jak Stucky, został wychowany przez samotnego, nadopiekuńczego ojca. Jego nazwisko figurowało na liście absolwentów MIT z 1985 roku, co znaczyłoby, że jest trzy lata młodszy od Stucky'ego. W dokumentach stanu Wirginia nie było śladu jego świadectwa ślubu, prawa jazdy ani żadnej nieruchomości zapisanej na jego nazwisko.

Gdy Maggie zaczęła z kolei przeszukiwać rejestry stanu Maryland, do pokoju zapukała Thea Johnson.

– Agentko O'Dell, jest telefon do agenta Tully'ego. Wiem, że wyszedł na chwilę, ale to chyba coś ważnego. Odbierze pani?

– Jasne. – Maggie nie wahała się ani chwili, sięgając po słuchawkę. – Na której linii?

– Piątej. To inspektor z Newburgh Heights. Jakiś Manx, zdaje się.

W tej samej chwili żołądek Maggie wykonał woltę. Zrobiła głęboki wdech i przełączyła się na piątkę.

– Inspektorze Manx, agent Tully wyszedł na lunch. Mówi jego partnerka, agentka O'Dell.

Czekała, aż inspektor przypomni sobie jej nazwisko. W słuchawce zapadła cisza, przerwana tylko westchnieniem. W końcu odezwał się głos.

– O'Dell? Nie wtrącała się pani przypadkiem ostatnio w nie swoje sprawy?

– To zabawne, inspektorze Manx, ale w FBI nie mamy zwyczaju czekać na ozdobne zaproszenia. – Nie obchodziło jej, że się zirytował. Jeśli Manx dzwoni do Tully'ego, to znaczy, że czegoś od nich chce. A poza tym co jej może zrobić? Poskarżyć się Cunninghamowi, że znowu była dla niego niemiła?

– Kiedy wróci Tully?

A więc tak to rozgrywa.

– Jezu, nie wiem, nie mówił mi. Może nie wrócić do poniedziałku.

Przeczekała milczenie Manksa, wyobrażając sobie jego zdegustowaną minę. Pewnie nerwowo przeczesywał dłonią swoją nową odlotową fryzurkę.

– Tully rozmawiał ze mną wczoraj wieczorem o tej McGowan, co to niby zaginęła w Newburgh Heights.

– Ona zaginęła, inspektorze. Nie niby. Zdaje się, że w pana rejonie dziwnym trafem giną kobiety. Co się tam dzieje? – Chyba przesadziła. Trzeba się trochę wycofać.

– Pomyślałem, że Tully powinien wiedzieć, że dzisiaj rano przeszukaliśmy jej dom. Kręcił się tam jakiś facio.

– Co? – Maggie usiadła, ściskając słuchawkę.

– Mówił, że jest znajomym i że się o nią martwi, nie? Wyglądał, jakby chciał się włamać. Zatrzymaliśmy go do przesłuchania. Pomyślałem tylko, że Tully'ego to zainteresuje, nie?

– Nie wypuściliście go jeszcze?

– Nie, chłopcy z nim jeszcze gadają. Ma porządnego cykora. I od razu chciał dzwonić do swojego adwokata.

Chyba coś nabroił.

– Proszę go nie wypuszczać, dopóki nie porozmawiamy z nim, to znaczy ja i agent Tully. Będziemy u was za jakieś pół godziny.

– Pewnie, nie ma sprawy. Już się nie mogę doczekać, O’Dell.

Maggie odłożyła słuchawkę, chwyciła kurtkę i była już prawie na dworze, kiedy przypomniała sobie, żeby zawiadomić Tully’ego. Wymacała w kieszeni kurtki komórkę. Zadzwoni do niego z drogi. Nie, wcale nie chce się go pozbyć. Nie ma zamiaru łamać ustanowionych przez Cunninghama reguł. Nie chce tylko psuć Tully’emu lunchu z córką.

Tak przynajmniej sobie wmawiała. A faktycznie chciała pojechać tam sama. Jeśli Manx złapał Stucky’ego czy choćby Hardinga, Maggie chciała mieć go tylko dla siebie.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY

Kiedy słońce wzeszło wyżej i do środka przedostało się więcej światła, Tess mogła nareszcie zobaczyć tę piekielną norę. Okazało się, że czaszka sterczą ca ze ściany nie była jedynym ludzkim szczątkiem, jaki się tam znajdował. Obmyte przez deszcz, ze ścian i błotnistego podłoża wystawały pod różnymi kątami inne kości.

Początkowo Tess wmówiła w siebie, że to na pewno jakiś stary cmentarz, zbiorowa mogiła, która pozostała po bitwie z czasów wojny secesyjnej. Ale po chwili znalazła czarny biustonosz z fiszbinami i damskie skórzane czółenko ze złamanym obcasem. Nie były stare ani zniszczone, mogły leżeć kilka tygodni, najwyżej parę miesięcy.

W jednym z kątów ktoś całkiem niedawno usypał kopiec. Tess patrzyła nań, bojąc się podejść bliżej, jakby pod wpływem jej kroków mógł się rozpaść i odkryć makabryczną zawartość.

Promienie słońca dodawały nadziei, wiedziała jednak, że niedługo znikną. Udało jej się delikatnie przesunąć swoją współtowarzyszkę na środek nory, żeby i ona zaznała słonecznych promieni, od których nawet mokry koc zaczął wysychać. Tess rozłożyła go na kamieniach, zostawiając kobietę nagą, za to skąpaną w ciepłym świetle.

Tess zaczynała przywykać do kwaśnego odoru swej współtowarzyszki. Gdy zbliżała się do niej, nie czuła już

mdłości. Kobieta musiała wiele razy oddawać kał, skulona w kącie, a nawet przewrócić się i ubrudzić własnymi odchodami. Tess żałowała, że nie miała wody, by ją obmyć. Gdy zaś pomyślała o wodzie, poczuła nieznośną suchość w gardle. Nieznajoma na pewno była kompletnie odwodniona. Teraz nie rzucały nią już konwulsje, nie szczękała zębami, tylko lekko drżała. Wydawało się nawet, że oddychała spokojniej. Tess zauważyła też, że pod wpływem słońca, które głaskało jej skórę, przymknęła oczy, jakby nareszcie była zdolna odpocząć. A może tylko ostatecznie wybrała śmierć?

Tess przysiadła na złamanej gałęzi i zaczęła lustrować norę. Była przekonana, że uda jej się z niej wydostać. Dwa razy próbowała się wspinać i dwa razy dotarła do brzegu. Za każdym razem wyglądała zza krawędzi, a ulga i satysfakcja, jaką wtedy czuła, przejmowały ją do łez. Jednak za każdym razem wracała na dół, dbając o to, żeby nie nadwerężać spuchniętej kostki.

Nie chciała myśleć o tamtym szaleńcu. Zrozumiała, że ta nora gwarantuje im pewne bezpieczeństwo. Przecież wrzucił tu tę kobietę, spodziewając się, że prędko umrze od ran i zimna. Być może planował później tu wrócić, by usypać następny kopiec nad martwym ciałem. W każdym razie kiedy odkrył ucieczkę Tess, nie mógł się domyślić, że znalazła się tutaj.

Nie znaczyło to, rzecz jasna, że zamierzała zostać w tej jamie. Po pierwsze musiała dotrzeć do jakichś ludzi,

zawiadomić policję i zorganizować ratunek dla nieszczęsnej współtowarzyszki niedoli. To było najważniejsze.

Ale poza tym okropnie czuła się w pułapce, a ta piekielna nora za bardzo przypominała jej ciemny schron przeciwsztormowy, w którym ciotka i wujek zamykali ją za karę. Dla dziecka godzina pod ziemią była nie do zniesienia, a dzień czy dwa dni wprost nie do wyobrażenia. Nawet teraz pojęcia nie miała, czym zasłużyła sobie na tak okrutne traktowanie. Wówczas wierzyła w każde słowo ciotki, gdy ta nazywała ją złym dzieckiem i zaciągała do zawilgoconej komnaty tortur. Za każdym razem Tess wykrzykiwała słowa przeprosin i błagała o łaskę.

– Nie przyjmuję żadnych przeprosin – mawiał ze śmiechem jej wuj.

W ciemności Tess modliła się, żeby przyszła jej na ratunek matka. Przypominała sobie jej ostatnie słowa: „Zaraz wrócę, Tess”. Ale matka nigdy nie zjawiła się, żeby ją wybawić. W ogóle nigdy nie wróciła. Jak mogła zostawić ją pod opieką tak złych ludzi?

Tess dorastała, nabierała sił. Ciotka nie była w stanie sobie z nią dłużej radzić, i wtedy inicjatywę przejął wuj. Tyle że jego kara przychodziła w nocy, kiedy zakradał się do jej sypialni. A kiedy się zamknęła, wyjął drzwi z zawiasów. Podniosła krzyk, bo przecież krzyk musiał dotrzeć do ciotki, ale szybko zdała sobie sprawę, że ciotka wszystko słyszała. Zawsze wszystko wiedziała. Od początku. I miała to gdzieś.

Tess uciekła do Waszyngtonu, gdy skończyła piętnaście lat. Błyskawicznie utwierdziła się w przekonaniu, że

darmowe, choć znienawidzone lekcje wuja mogą przynieść jej całkiem niezły dochód. Miała piętnaście lat, a sypiała z kongresmanami i czterogwiazdkowymi generałami. Od tamtej pory minęło prawie dwadzieścia lat. Dopiero niedawno wyrwała się z tamtego świata. Rozpoczęła samodzielne życie i była pewna jak diabli, że nie ma ochoty kończyć go w tej norze.

Podniosła się i podeszła do kobiety. Przykucnęła obok niej i położyła dłoń na jej ramieniu.

– Nie wiem, czy mnie słyszysz. Mam na imię Tess. Chcę ci powiedzieć, że mam zamiar nas stąd wydostać. Nie zostawię cię tutaj, nie pozwolę ci tu umrzeć.

Tess przyciągnęła gałąź, żeby w słońcu usiąść obok nieznajomej. Kontuzjowana kostka wymagała odpoczynku. Zakopała stopę w błocie, które łagodziło rany i otarcia na skórze. Nie zwracała już uwagi na łażące po niej glisty.

Raz jeszcze objęła spojrzeniem sterczące kamienie i korzenie drzew, ustalając w myśli plan. I kiedy już zaczynało ją ogarniać zwątpienie, kobieta przysunęła się odrobinę i nie otwierając oczu, odezwała się:

– Mam na imię Rachel.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIERWSZY

Maggie sama nie wiedziała, czego właściwie oczekuje. Czy to możliwe, myślała, żeby Albert Stucky albo Walker Harding był tak głupi i dał się złapać policji z Newburgh Heights? A jednak, kiedy Manx wprowadził ją do pokoju przesłuchań, serce jej zamarło. Przystojny młody mężczyzna bardziej przypominał studenta college'u niż twardego kryminalistę, którego opisał jej Manx, upierając się, że ten gość musi mieć coś na sumieniu.

Chłopak poderwał się na widok Maggie. Jak widać, nawet w areszcie nie zapomniał o dobrych manierach.

– Nastąpiło wielkie nieporozumienie – zaczął tłumaczyć, jakby Maggie wniosła z sobą rozsądek, a więc i nadzieję.

Ubrany był w sportowe spodnie i sweter. Może Manx, policjant z Newburgh Heights, tak właśnie wyobrażał sobie włamywaczy?

– Siadaj, kurde, szczeniaku – rzucił inspektor, jakby chłopak podniósł się, żeby go zaatakować.

Maggie obeszła Manksa i usiadła przy stole naprzeciwko młodego mężczyzny, popatrującego na Manksa i dwóch mundurowych, którzy w jednej chwili znaleźli się w pokoju.

– Jestem Maggie O'Dell, agentka specjalna FBI – powiedziała, czekając, aż chłopak zwróci na nią uwagę.

– FBI? – przestraszył się i poruszył się na krześle. – Coś się stało Tess, tak?

– Wiem, że pan to już wyjaśniał, ale jak pan poznał panią McGowan, panie...

– Finley. Nazywam się Will Finley. Poznałem Tess w poprzedni weekend.

– Poprzedni weekend? A więc nie byliście starymi przyjaciółmi? A może pokazywała panu jakąś nieruchomość?

– Słucham?

– Pani McGowan jest agentem nieruchomości. Czy w miniony weekend pokazywała panu jakiś dom?

– Nie. Spotkaliśmy się w barze. My... spędziliśmy razem noc.

Maggie zastanowiła się, czy chłopak nie kłamie. Tess McGowan nie wyglądała na ćmę barową, no i była już po trzydziestce. Maggie wydawało się mało prawdopodobne, by mogła zainteresować się takim młodzikiem. Chyba że chciała się zemścić na swoim facecie, który był dobrze ustawioną grubą rybą. Oczywiście nie potrafiła też wyobrazić sobie Tess z tym facetem, którego agent Tully nazwał aroganckim typkiem. Lecz cóż, nic nie wiedziała o prywatnym życiu Tess McGowan i wszystko było możliwe. Tak czy owak, nie miała wątpliwości, że Will Finley nie przyłożył ręki do jej zniknięcia. Ucieszyła się, że nie przywlokła tu ze sobą Tully’ego i nie przerwała mu lunchu z córką.

– Co się stało Tess? – dopytywał się Will. Miał przy tym szczerze zafrasowaną minę.

– Może ty nam powiesz, co? – rzucił Manx zza pleców Maggie.

– Ile razy mam panu powtarzać? Nic jej nie zrobiłem. Nie widziałem jej od poniedziałku rano. Nie odpowiadała na moje telefony. Martwiłem się o nią. – Przetarł twarz drżącą ręką.

Maggie była ciekawa, jak długo już go trzymają. Był zmęczony i zniecierpliwiony. Po kilku godzinach w tym samym pomieszczeniu, siedząc w tej samej pozycji i wysłuchując w kółko tego samego pytania, nawet najbardziej niewinny człowiek może się załamać.

– Will. – Poszukała jego wzroku. – Nie wiemy, co się stało z Tess. Po prostu zaginął po niej ślad. Mam nadzieję, że będzie pan w stanie nam pomóc.

Patrzył na nią, jakby nie był pewny, czy jest z nim szczera, czy może blefuje.

– Może coś pan pamięta – kontynuowała spokojnie, w przeciwieństwie do Manksa. – Może zwróciło pańską uwagę coś, co pomogłoby nam ją odnaleźć?

– Bo ja wiem. Cóż, mało ją znam.

– Dosyć, żeby ją przerżnąć, co? – rzucił znów Manx, nie wychodząc z roli złego policjanta.

Maggie nie zwracała na niego uwagi, natomiast Will Finley spojrzał na niego rozbieganym wzrokiem. Wyraźnie miał poczucie winy. Manx słusznie zauważył, że chłopak coś ukrywa. Ale nie chodziło o to, że skrzywdził Tess, tylko że spędził z nią noc, choć był związany z inną kobietą. Miał to po prostu wypisane na twarzy.

– Gdzie byliście tamtej nocy?

– Proszę pani, ja znam swoje prawa i wiem, że nie muszę odpowiadać na te pytania. – Wreszcie postanowił się bronić. Maggie nie miała mu tego za złe, zwłaszcza że inspektor traktował go jak podejrzanego. – Nie rozumiem, jak może wam pomóc informacja, gdzie to robiliśmy, kiedy i w jaki sposób.

– Rżnąłeś starszą, doświadczoną kobietę, gówniarzu, i powinieneś tu skakać z radości, że masz się z kim podzielić detalami.

Maggie wstała, stanęła twarzą w twarz z Manksem, z wielkim trudem zachowując spokój i trzymając na wodzy cierpliwość.

– Inspektorze Manx, pozwoli pan, że porozmawiam z panem Finleyem sam na sam?

– Nie podoba mi się ten pomysł.

– A dlaczego?

– Cóż… – Manx zawahał się, starając się wymyślić jakiś powód. Maggie słyszała niemal, jak trzeszczą zardzewiałe zawiasy w jego błyskotliwym mózgu. – To może być niebezpieczne, takie sam na sam.

– Jestem doświadczoną agentką specjalną FBI, inspektorze Manx.

– A po wyglądzie to bym wcale tego nie powiedział – rzekł, z premedytacją prześlizgując się spojrzeniem w dół jej ciała.

– Coś panu powiem. Zaryzykuję. – Zerknęła na mundurowych. – Panowie jesteście świadkami, że to

powiedziałam.

Manx grał na zwłokę. W końcu dał znak policjantom, żeby wyszli. Ruszył za nimi, ale najpierw rzucił w stronę Finleya ostrzegawcze spojrzenie.

– Przeprosiłabym pana za inspektora Manksa, ale to znaczyłoby, że próbuję wytłumaczyć jego zachowanie, a szczerze mówiąc, nie ma na to wytłumaczenia.

Usiadła z westchnieniem, pocierając oczy. Kiedy podniosła wzrok na Willa Finleya, jego twarz rozjaśniał uśmiech.

– Właśnie sobie panią przypomniałem.

– Nie rozumiem.

– Mamy wspólnego przyjaciela.

Gdy otworzyły się drzwi, Maggie podskoczyła na równe nogi, gotowa warknąć na Manksa. Ale to nie był on, tylko jeden z policjantów. Stał cały skruszony.

– Przepraszam bardzo, ale przyjechał adwokat tego chłopaka i koniecznie chce się z nim widzieć przed dalszym przesłuchaniem...

– W ogóle nie macie prawa go przesłuchiwać – przerwał mu głos z głębi korytarza. – Ani jednego pytania. Tylko w obecności adwokata. – Nick Morrelli przepchnął się do pokoju. A kiedy jego oczy spotkały wzrok Maggie, jego złość rozpłynęła się w uśmiechu. – Jezu, Maggie! Kiedy my się przestaniemy spotykać w takich okolicznościach?

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DRUGI

Harvey powitał Nicka w drzwiach groźnym pomrukiem. Wyszczerzył zęby i podwinął górną wargę. Maggie uśmiechnęła się na widok zaskoczonej miny Nicka. A przecież go uprzedzała.

– Mówiłam ci, że mam teraz osobistego ochroniarza, chociaż jesteśmy tylko czasowymi współlokatorami. Spokój, Harvey. – Podrapała psa po łbie. Natychmiast zaczął wymachiwać ogonem. – Harvey, to Nick. Nick to dobry pan.

Nick wyciągnął ostrożnie rękę, by pies ją obwąchał. W ciągu kilku sekund Harvey zdecydował, że Nickowi należy się królewskie traktowanie, i wsadził pysk między jego nogi. Maggie wybuchnęła śmiechem i odciągnęła psa za obrożę. Nick jednak nie był zmieszany, tylko rozbawiony.

– Widzę, że sprawdza dla ciebie rozmaite rzeczy.

Te słowa zaskoczyły Maggie. Wyprosiła psa do salonu, ufając, że Nick nie zauważył jej skonfundowania.

– Wprowadziłam się w zeszłym tygodniu. Nie mam jeszcze mebli. Dopiero wczoraj założyłam żaluzje, ale jeszcze nie wszędzie.

– Wspaniały dom – powiedział Nick, wchodząc na oszkloną werandę i wyglądając na tyły budynku. – Trochę na odludziu. Bezpiecznie tu?

Maggie podniosła na niego wzrok znad systemu alarmowego.

– Tak jak wszędzie. Cunningham przydzielił mi całodobową ochronę. Nie zauważyłeś furgonetki telewizji kablowej na ulicy? Cunningham mówi, że stoją tu, żeby w razie czego złapać Stucky’ego, ale ja wiem, że to dla mnie.

– Mówisz niezbyt przekonująco, jakby nie dawało ci to poczucia bezpieczeństwa.

Rozpięła kurtkę, pokazując mu broń.

– Tylko to jedno daje mi teraz poczucie bezpieczeństwa.

Uśmiechnął się.

– Jezu, naprawdę się podnieciłem, kiedy mi pokazałaś rewolwer.

Twarz Maggie zalał rumieniec. Natychmiast odwróciła wzrok. Niech to szlag! Ledwo się zjawił i już jej się tłucze serce. Chyba zrobiła błąd, zapraszając go do domu. Lepiej było wysłać go do Bostonu razem z Willem.

– Zobaczę, czy jest z czego zrobić kolację. W lodówce mam tylko podstawowe rzeczy. – Uciekła do kuchni, szybko kombinując, co powinna zrobić, jeśli Nick od słownego flirtu przejdzie do bardziej konkretnych zalecanek. Żeby tylko zdołała zachować rozum. – Mógłbyś wyprowadzić Harveya na chwilę na podwórko?

– Pewnie, nie ma sprawy.

– Smycz wisi przy tylnym wyjściu. Naciśnij zielony świecący guzik w alarmie.

– Jakbyś mieszkała w jakiejś fortecy. – Podszedł do czujników. – Nie przeszkadza ci to?

– Nie mam wyboru.

Wzruszył ramionami. Spotkali się wzrokiem. Zobaczyła bezradność w jego oczach, jakby sądził, że powinna coś z tym zrobić, ale nie wiedział co. Nie umiał jej doradzić. Ona zresztą też.

– No cóż, taką mam pracę, Nick. Dobrze o tym wiesz. Wielu policyjnych psychologów mieszka w strzeżonych domach czy osiedlach z bardzo rozbudowanym systemem alarmowym. Człowiek się łatwo przyzwyczaja, że nie ma go w książce telefonicznej i sam pilnuje, żeby nigdzie nie wydrukowali jego adresu. To jest ta część mojego życia, z którą Greg nie chciał mieć nic wspólnego. Uważał, że niszczę siebie i wszystkich wokół, że tylko czekać, jak wyląduję u czubków. Oczywiście przesadzał, ale jednak może miał rację. Może nikt nie powinien tak żyć.

– Greg jest głupi – rzucił Nick, przypinając smycz do obroży Harveya. Pies z uznaniem polizał mu rękę. – Ale cóż, jego strata, moja korzyść. – Przesłał jej uśmiech, nacisnął zielony guzik i pozwolił Harveyowi wyciągnąć się na podwórko.

Maggie obserwowała ich, myśląc, co takiego posiadał ten przystojny, ujmujący facet, że tak łatwo wywoływał w niej emocje nieznane jej od lat. Działało na nią jego ciało? Rozgrzewał jej hormony? Tylko tyle?

Kiedy poznała Nicka poprzedniej jesieni w Platte City, był aroganckim szeryfem, cieszącym się reputacją playboya. Ujął ją jego urok i natychmiast miała to sobie za złe. W ciągu tamtego wyczerpującego, upiornego tygodnia miała okazję dostrzec w Nicku również inne walory.

Wrażliwość, troskę o innych, szczere pragnienie czynienia dobra.

Przed jej wyjazdem z Nebraski Nick wyznał jej miłość. Odrzuciła to. Powtarzała sobie, że wspólne przeżywanie krytycznych chwil często prowadzi do rozmaitych nietrwałych emocji. W Kansas City Nick powiedział jej już tylko, że nie jest mu obojętna. Rozwodząc się Gregiem, rozmyślała nad intencjami Nicka. Czy rzeczywiście była mu tak bliska, czy może miał ochotę wyciąć w wezgłowiu łóżka kolejną kreskę oznaczającą następną zaliczoną kobietę?

Zresztą czy to takie ważne? Nie miała siły myśleć o tym zbyt wiele. Nie wolno jej się teraz rozpraszać. Musi słuchać swojego rozsądku, a nie serca. Chłodna rozwaga, czujność. I, co jeszcze ważniejsze, nie powinna zaangażować swoich uczuć w kogoś, kogo Stucky może jej odebrać w ułamku sekundy.

Nie mogła wyrzucić z myśli słów Gwen, która powiedziała poprzedniego wieczoru, że Stucky może ją śledzić. Maggie nie sądziła, że Gwen coś grozi. Wszyscy byli przekonani, że Stucky wybiera wyłącznie te kobiety, które wchodzą z nią w przelotny kontakt, żeby tym samym uniemożliwić FBI przewidzenie jego następnego celu. Faktem było jednak, że Maggie nie miała wielu znajomych. Gwen utrzymywała, że to dlatego, iż wciąż nie poradziła sobie ze stratą ojca. Psychologiczne bzdety. Zdaniem Gwen, Maggie celowo odcinała się emocjonalnie od swoich kolegów w pracy i potencjalnych przyjaciół. To, co Maggie nazywała

profesjonalnym dystansem, dla Gwen było lękiem przed bliskimi związkami.

– Jeśli nie pozwalasz się zbliżyć ludziom, masz pewność, że cię nie skrzywdzą – wykładała jej matczynym tonem. – Ale jeśli nie dopuszczasz do siebie ludzi, nie pozwalasz im się kochać.

Nick i Harvey wrócili ze spaceru. Harvey niósł w pysku kość, którą kupiła mu Maggie. Myślała, że wyniósł ją i zakopał, bo jej nie chciał, a tymczasem okazało się, że dołek pod drzewem to tylko bezpieczny magazyn. Zapewne musi się jeszcze dużo nauczyć o swoim nowym współlokatorze.

Gdy tylko Nick odpiął smycz, Harvey jak szalony pognał na górę.

– Oho, chyba ma tam coś ważnego do zrobienia – zauważył Nick.

– Powiem ci co. Walnie się w kącie sypialni i będzie godzinami gryzł tę kość.

– Chyba się do siebie przyzwyczajacie, co?

– Co ty. Ten cuchnący brutal wróci do siebie, jak tylko znajdą jego mamuśkę. – Tak przynajmniej sobie powtarzała. A prawda była taka, że poczułaby się haniebnie zdradzona, gdyby nagle pojawiła się Rachel Endicott i Harvey pobiegłby do niej, porzucając Maggie. Sama myśl była jej niemiła, jakby ją ktoś dźgnął. No dobra, może nie dźgnął, tylko ukłuł.

Chodzi o to, że Gwen miała zawsze na podorędziu całą masę takich bajd. Każdy rodzaj bliskości, włączając w to

bliski kontakt z cholernym psem, zazwyczaj kończył się piekielnym bólem. No więc Maggie chroniła się przed tym. Bo była to jedna z niewielu rzeczy w jej pokręconym życiu, przed którymi była w stanie się obronić. Prawdę mówiąc, jedna z ostatnich, które mogła kontrolować.

Wtem uświadomiła sobie, że Nick obserwuje ją, wsparty o framugę drzwi, a jego krystalicznie niebieskie oczy przesłania zmartwienie.

– Maggie, wszystko w porządku?

– Jasne – odparła, widząc po jego uśmiechu, że za długo się wahała i nie udało jej się go przekonać.

– Wiesz co? – powiedział, idąc do niej wolno przez kuchnię i zatrzymując się na wprost jej twarzy, jej oczu. – A może tak pozwoliłabyś mi, żebym się tobą zajął przez jeden wieczór?

Dotknął palcami jej policzka. Przebiegł ją znany już dreszcz. Doskonale wiedziała, co Nick rozumie przez taką opiekę.

– Nick, ja nie mogę.

Poczuła na włosach jego oddech. Jego usta miały za nic jej słowa, bezczelnie przemieszczając się w ślad za palcami. Zanim dotknął jej ust, już rwał jej się oddech. Ale Nick wcale jej nie pocałował, przesunął tylko wargi na drugi policzek. A potem na powieki, nos, czoło i włosy.

– Nick – wykrztusiła, nie wiedząc, czy jej słucha. Serce tłukło się w niej jak oszalałe, nie słyszała nawet własnych myśli. Chociaż trudno powiedzieć, by w tej chwili była zdolna do myślenia. Zamiast śledzić w skupieniu, jak sobie

poczynają ręce i wargi Nicka, myślała o rogu blatu, który wbijał jej się w krzyż, jakby dzięki temu miała utrzymać się w rzeczywistym świecie i nie rozpłynąć w nicości.

W końcu Nick przerwał pieszczotę i spojrzał jej w oczy. Boże, tak niewiele brakowało, żeby w nich zatonęła. Jego dłonie zaczęły przesuwać się czule po jej ramionach, wsunęły się za kołnierzyk i lekko zahaczyły o szyję i kark.

– Chcę tylko, żeby ci było dobrze, Maggie.

– Nick, naprawdę nie mogę tego zrobić. – Słyszała swój głos, ale jej ciało mówiło co innego, krzycząc na nią wściekle, żeby odwołała swoje słowa.

Nick z uśmiechem wrócił palcami do jej policzków.

– Wiem – rzekł i wziął głęboki oddech. Nie było w tym obrazy ani rozczarowania, tylko rezygnacja, jakby jej odpowiedź nie była dla niego zaskoczeniem. – Wiem, nie jesteś jeszcze gotowa. Za wcześnie po Gregu.

Cieszyła się, że ją zrozumiał, bo sama nie była dla siebie tak wyrozumiała. Jak mu to wyjaśnić?

– Z Gregiem czułam się bezpiecznie. – Błąd, tego akurat nie powinna była mówić. Teraz go zraniła.

– A ze mną nie?

– Z tobą, to... – Jego dłonie nie pozwalały jej trzeźwo myśleć, wciąż dotykały, wciąż odbierały jej oddech. Czyżby chciał w ten sposób zmienić jej zdanie? Czy zdawał sobie sprawę, jak łatwo by mu to przyszło? – Z tobą – ciągnęła z trudem – to mnie przeraża, emocje są tak silne. – No i powiedziała, przyznała się do tego głośno.

– Boisz się, że stracisz kontrolę? – spytał, patrząc jej w oczy.

– Boże, przejrzałeś mnie, Morrelli.

– Powiem ci coś. Kiedy będziesz gotowa, podkreślam, kiedy, a nie jeżeli – mówił, nie pozwalając jej uciec wzrokiem i nie zdejmując z niej rąk – pozwolę ci przejąć całkowitą kontrolę. Ale dziś wieczór, Maggie, chcę tylko, żebyś się dobrze poczuła.

Powrócił trzepot w żołądku, i to od razu na najwyższych obrotach.

– Nick…

– Pomyślałem sobie, że mógłbym się zająć kolacją.

Natychmiast poczuła ulgę i westchnęła z uśmiechem.

– Nie wiedziałam, że umiesz gotować.

– Potrafię robić wiele różnych rzeczy, których nie miałem okazji ci pokazać… jeszcze. – I znowu się uśmiechnął.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY TRZECI

Maggie z niedowierzaniem wciągała apetyczne zapachy dochodzące z kuchni. Nawet Harvey przywlókł się z góry poniuchać z bliska, co się szykuje.

– Gdzie nauczyłeś się tak gotować?

– Jestem Włochem, zapomniałaś? – powiedział Nick z akcentem, który ani trochę nie przypominał włoskiego, i zamieszał sos pomidorowy. – Tylko nie mów Christine, okej?

– Boisz się stracić złą opinię?

– Nie, boję się stracić darmowe kolacje.

– Wystarczy już czosnku? – Odłożyła nóż, przerywając siekanie.

– Jeszcze jeden ząbek.

– A co u Christine i Timmy’ego? – Maggie polubiła siostrę Nicka i jego siostrzeńca, mimo że w Nebrasce była krótko.

– W porządku. Bruce wynajął mieszkanie w Platte City. Christine dała mu szansę na powrót, ale Bruce musi się starać. Moim zdaniem ona chce mieć absolutną pewność, że na dobre przestał uganiać się za panienkami. Spróbuj. – Wyciągnął ku niej drewnianą łyżkę.

Maggie ostrożnie dotknęła językiem gorącego sosu.

– Odrobina soli i zdecydowanie więcej czosnku.

– Możesz mi powiedzieć coś o tej Tess? Will kompletnie zwariował na jej punkcie. Masz jakieś podejrzenia?

Maggie nie wiedziała, od czego zacząć ani jak wiele może mu zdradzić poufnych informacji. Wszystko było jeszcze na poziomie przypuszczeń i spekulacji. Patrzyła, jak Nick posypywał solą wrzący sos. Miała wrażenie, jakby zawsze kręcił się po jej kuchni i przygotowywał kolację. Nawet Harvey kroczył za nim krok w krok, uznając go widocznie za nowego pana tego domu.

– Tess to agentka nieruchomości, która sprzedała mi ten dom. Nie minął tydzień i zniknęła w niewiadomych okolicznościach.

Zamilkła, czekając, jak zareaguje Nick. Czy sam zacznie snuć podejrzenia i dojdzie do jakichś wniosków? A może tylko dla niej ten związek był tak oczywisty? Nick przeniósł się do aneksu jadalnego, gdzie Maggie siedziała na stołku i drobiła czosnek. Dolał wina do kieliszków i upił łyk. W końcu na nią spojrzał.

– A ty sądzisz, że Stucky ją zamordował. – Powiedział to spokojnie i otwarcie.

– Tak. Jeśli nawet jej nie zabił, to pewnie wolałaby nie żyć.

Unikała jego wzroku, udawała, że jest bardzo zajęta czosnkiem. Odsuwała od siebie obraz Stucky’ego, który właśnie z uśmiechem rozkraja ciało Tess McGowan albo swoimi gierkami obraca w proch i pył jej psychikę. Na pamięć znała cały katalog jego sadystycznych sposobów niszczenia ludzi. Zaiste, dla kobiet, które wpadły w jego ręce, jedynie śmierć była wybawieniem.

Maggie nagle zaczęła tłuc nożem w główkę czosnku, lecz się zreflektowała, odłożyła nóż i czekała, aż minie jej atak

bezsilnej wściekłości. Przesunęła deskę w stronę Nicka.

Na szczęście nie skomentował jej słów, tylko zsunął drobinki czosnku do gotującego się sosu i w tej samej chwili kuchnię wypełnił nowy, wspaniały aromat.

– Will powiedział mi, że tego ranka, kiedy wychodził od niej, przed jej domem stał jakiś samochód.

– Manx sprawdził numer rejestracyjny. – Była to jedna z niewielu rzeczy, którą się z nią niechętnie podzielił. – Należy do Daniela Kassenbauma, narzeczonego Tess.

Nick zerknął przez ramię.

– Narzeczonego? A ktoś go przesłuchał?

– Mój partner, dosyć pobieżnie. Manx obiecał, że zajmie się tym gruntowniej.

– Jeśli ten facet widział, jak Will wychodził z domu Tess, musiał się nieźle wkurzyć. Może Stucky nie ma jednak nic wspólnego z jej zniknięciem?

– Nie wydaje mi się to tak proste, Nick. Ten facet nie bardzo się przejął zaginięciem Tess ani nawet tym, że być może go zdradza. Coś mi mówi, że Stucky maczał w tym palce.

Nagle rozległ się uprzykrzony dźwięk komórki. Maggie szybko dobiegła do kurtki i wyjęła telefon.

– Maggie O’Dell.

– Mówi Tully.

Niech to szlag, cholera! Całkiem o nim zapomniała. Nie zadzwoniła do niego, nie zostawiła mu nawet wiadomości.

– Agencie Tully. – Pewnie powinna go przeprosić, a przynajmniej wytłumaczyć się.

Zanim jednak zdołała cokolwiek wykrztusić, Tully powiedział:

– Mamy kolejne ciało.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY CZWARTY

Usłyszawszy, że ciało znaleziono poza Newburgh Heights, Tully poczuł ulgę. Telefon był z policji stanowej z Wirginii. Policjant patrolujący ulice oznajmił Tully'emu, że jakiś kierowca zabrał pojemnik na jedzenie na wynos z lady jednej z małych knajpek. Roztrzęsionym głosem wyjaśniał, jak to kierowca sprawdził, dlaczego pudełko przecieka, zanim wrócił do ciężarówki. Liczył na to, że w pojemniku będzie stek z kurczaka, a tymczasem kapała stamtąd krew.

Tully przypomniał sobie ów postój dla ciężarówek, zaraz na północ od Stafford, przy drodze międzystanowej numer 95. Ale dopiero kiedy zajechał przed knajpkę, zdał sobie sprawę, że znajduje się ona na drodze, która wiodła z domu O'Dell do Quantico. I od razu się zdenerwował. Jeśli to nawet nie szczątki Tess McGowan, jest bardzo prawdopodobne, że O'Dell będzie mogła zidentyfikować ciało.

Tully zaklął. Na parkingu stały już wozy telewizji, reflektory czekały w pełnej gotowości na uruchomienie kamer. Do tej pory jakoś dopisywało im szczęście. Nikt, prócz przedstawicieli lokalnych mediów, nie wściubiał nosa i nie wchodził im w drogę, niestety tym razem zjawili się ogólnokrajowi wyjadacze. Grupa dziennikarzy otaczała masywnego brodatego mężczyznę, w którym Tully domyślał się kierowcy ciężarówki. Dzięki Bogu, patrol stanowy miał

dość rozsądku, żeby skonfiskować pojemnik i zamknąć teren wokół lokalu. Na niedostępnym teraz dla gawiedzi terenie obok ogrodzenia z łańcucha stał duży, zniszczony pojemnik na śmieci. Tully ocenił, że miał prawie dwa metry wysokości. Jak Stucky upchał tam ciało, do diabła? I jakim cudem nikt go nie zauważył, skoro stacja benzynowa i knajpa czynne są całą dobę siedem dni w tygodniu?

Błysnął odznaką kilku mundurowym, którzy pilnowali, żeby dziennikarze nie przedostali się na drugą stronę żółtej taśmy. Sam przekroczył ją bez trudu, na co pozwalały mu długie nogi. Na miejscu był już inspektor okręgu Stafford, którego Tully miał okazję poznać przy okazji zabójstwa dziewczyny z pizzerii. Kierował ruchem. Tully nie mógł sobie przypomnieć jego nazwiska. Inspektor pomachał do niego, gdy tylko go ujrzał.

– Nie wyciągaliśmy jej ze śmietnika – oznajmił. – Doktor Holmes powinien zaraz tu być. Właśnie się głowimy, jak ją, cholera, wywlec.

– A jak ją znaleźliście?

– Pewnie byśmy jej nie znaleźli, gdyby nie zostawił tej przekąski.

Tully skrzywił się. Zastanawiał się, za ile lat będzie potrafił mówić o częściach ludzkiego ciała z tak wielką nonszalancją.

Inspektor, nie zauważywszy jego zmieszania, mówił dalej:

– Dobrze, że jeszcze nie wywieźli tego na wysypisko. Wie pan, te duże śmieciarki mieszczą kupę odpadów. Za Boga byśmy jej nie znaleźli. Nikt by się nawet nie poskarżył, że

śmierdzi, bo tam zawsze śmierdzi. No to gościu zabrał się znowu do roboty.

– Tak wygląda.

– Poprzednim razem pracowałem w Bostonie.

Tully wcześniej odgadł to po akcencie, ale nie zamierzał się z tym zdradzać. Nie miał ochoty na koleżeńskie pogaduszki.

Inspektor nie spuszczał z oka dziennikarzy, którzy pchali się na taśmę. Tully odniósł wrażenie, że temu policjantowi nic nie umknie. Poczuł do niego sympatię, choć zapewne było mu to obojętne. I to też spodobało się Tully'emu.

– Taa, pamiętam, jak znaleźli w lesie radną miejską. Ślady zębów, obdarta skóra, mnóstwo ran.

– Stucky to psychopata – stwierdził Tully.

Miał przed oczami zdjęcia ofiar Stucky'ego, które O'Dell rozłożyła na stole w pokoju konferencyjnym. Patrząc na nie, jedno przy drugim, odnosiło się wrażenie, że jakieś stado wygłodniałych wilków rzuciło się na tamte kobiety, zostawiając resztki sępom.

– Czytałem, że on prowadził jakieś pieprzone gierki z jedną z waszych agentek. Dobrze mówię? Że wysyłał jej liściki i inne rzeczy. No, jednym słowem, chciał jej rozum odebrać.

– Tak, to prawda.

– Co się z nią stało?

– Jeśli się nie mylę, właśnie wjeżdża na parking tym czerwonym wozem.

– Kurwa, żartuje pan? Dalej w tym robi?

– Nie ma wyboru.

– Ma baba jaja.

– Można tak powiedzieć – rzekł Tully. Pomyślawszy o Maggie, wyraźnie się zdenerwował. – Sądzę, że agentka O’Dell będzie mogła zidentyfikować zwłoki.

Patrzył na nią. Dzięki służbowej odznace bez trudu przedostała się przez tłum i barierkę, nie obyło się jednak bez zerknięć z wielu stron i zawieszonych spojrzeń. Tully miał okazję pracować w biurze i innych instytucjach wymiaru sprawiedliwości z wieloma atrakcyjnymi kobietami, jednak żadna nie równała się z O’Dell. Nie czuło się w niej zakłopotania, nie obnosiła się ze swoją sławą. Nie stroszyła piórek. Zdawało się, że nie zdaje sobie sprawy z owych spojrzeń, jakby w ogóle nie miała świadomości, że są skierowane właśnie na nią.

Powitała go tylko spojrzeniem. Ujrzał w jej oczach zmęczenie i nerwowe oczekiwanie.

– Inspektorze – Tully znowu uprzytomnił sobie, że nie zna jego nazwiska – to agentka specjalna Maggie O’Dell.

Maggie wyciągnęła rękę. Tully był świadkiem, jak inspektor wymięka.

– Sam Rosen – powiedział, pragnąc jak najszybciej wypełnić lukę w pamięci Tully’ego.

– Inspektorze. – O’Dell przywitała go uprzejmie i oficjalnie.

– Proszę mi mówić Sam.

Tully o mało nie przewrócił oczami.

– Sam – zaczął, starając się powściągać sarkazm – jest z biura szeryfa okręgu Stafford. Był też w miejscu, gdzie znaleźliśmy tę dziewczynę z pizzerii... no... Jessicę Beckwith.

– Czy ciało jest wciąż w śmietniku? – O'Dell nie umiała, a może nie chciała ukryć poruszenia.

– Czekamy na doktora Holmesa – wyjaśnił Sam.

– Mogę tam zerknąć? Na pewno niczego nie ruszę. – Nie czekając na odpowiedź, wyjęła z torby gumowe rękawiczki.

– To nie jest raczej dobry pomysł – rzekł Tully, wiedząc, że O'Dell tak się spieszy, dręczyło ją bowiem pytanie, czy zna ofiarę. Widział, jak Maggie patrzy na śmietnik. Pojemnik był co najmniej ze czterdzieści centymetrów od niej wyższy. Zostawiła ich, kierując się ku niemu.

– Jak wam udało się tam zajrzeć?

– Podjechaliśmy wozem i Davis wdrapał się na dach. Zrobił kilka fotek. Chce pan zobaczyć? – Sam miał taką minę, jakby był gotów zrobić wszystko, o co go poproszą. Tully był zdumiony. A jeszcze bardziej zdumiewało go, że O'Dell zachowywała się, jakby niczego nie słyszała.

– Sam, mógłbyś jeszcze raz podjechać tu wozem?

A może jednak choć trochę do niej docierało? Inspektor Rosen natychmiast krzyknął coś do policjanta, który powstrzymywał napór dziennikarzy, a potem ruszył w jego stronę.

– To wcale nie musi być ona – odezwał się Tully, kiedy Rosen wciąż wydawał polecenia. Wiedział, że O'Dell spodziewa się zobaczyć ciało agentki nieruchomości.

– Chcę asystować przy autopsji. Myśli pan, że uda nam się nakłonić Holmesa, żeby nie czekał z tym do rana? – spytała, nie patrząc na niego.

Po raz pierwszy zwróciła się do niego z prośbą. Dobrze wiedział, że nie przyszło jej to łatwo.

– Będziemy nalegać, żeby zrobił to dzisiaj – obiecał szczerze.

Skinęła głową, wciąż omijając go spojrzeniem. Stali ramię w ramię bez słowa, przyglądając się, jak wóz patrolowy podjeżdża możliwie blisko pod metalowy śmietnik. Maggie głęboko westchnęła, a potem odłożyła czarną teczkę. Inspektor Rosen czekał przy zderzaku. Podał jej rękę, ale nie przyjęła pomocy. Zrzuciła buty i bez wysiłku stanęła gołymi stopami na dachu.

Zamarła na moment, jakby szykując się na to, co za chwilę nieodwołalnie musiało nastąpić, wreszcie wyciągnęła się, żeby zajrzeć w głąb śmietnika.

– Czy ktoś ma latarkę? – zawołała.

Jeden z policjantów pobiegł do swojego wozu i po chwili wręczył jej latarkę na długiej rączce. O’Dell rzuciła na śmietnik strumień światła. Tully patrzył na jej twarz. Maggie przemieszczała światło w różne strony, powoli, systematycznie, fachowo. Tully wiedział, że starała się zobaczyć tyle, ile tylko można było bez użycia rąk, bez ruszania czegokolwiek. Chodziło o nieuchwytne dla niefachowców szczegóły, ale także o genius loci, duch miejsca, ostatnie słowo drapieżnika, który po spełnieniu

krwawego dzieła mógł zostawić tu swój podpis, coś właściwego tylko sobie.

Maggie długo penetrowała pojemnik, lecz jej twarz pozostała bez wyrazu. Tully nie potrafił odgadnąć, czy rozpoznała w ofierze Tess McGowan, czy może nie.

W końcu O'Dell zeszła na dół. Oddała latarkę, zastukała w okno samochodu policyjnego, żeby podziękować kierowcy, i poszukała swoich butów.

– I co? – spytał Tully, przypatrując się jej w wielkim napięciu.

– To nie jest Tess McGowan.

– Całe szczęście – westchnął.

– Żadne szczęście.

Teraz, w świetle ulicznej latarni, zobaczył, jak bardzo jest poruszona. Twarz miała spiętą, wzrok przesłonięty rozpaczliwym znużeniem.

– Więc kto to jest?

– Na imię ma Hannah. Pracowała w sklepie monopolowym „Liquor Mart". Pomogła mi wczoraj wieczorem wybrać wino. – Dotknęła twarzy dłonią. Tully widział, że trzęsą jej się ręce. – Musimy powstrzymać tego pieprzonego skurwysyna – powiedziała po chwili, a Tully przekonał się, że drżał także jej głos, tak zazwyczaj opanowany i chłodny.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIĄTY

Kiedy znikł ostatni promień słońca i świat zaczął pogrążać się w mroku, Tess ponownie poczuła panikę. Udawała, że nie słyszy wewnętrznego głosu, który podpowiadał jej, by w te pędy uciekała z tej nory gdzie pieprz rośnie. Nieważne, dokąd zaprowadziłby ją bezładny bieg, byle znalazła się poza zasięgiem tego piekła, grobowca zmasakrowanych ciał i straconych dusz.

Siedziała tak blisko Rachel, że słyszała jej chrapliwy oddech. Wkrótce wszystko spowije ciemność. Z troską okryła swoją współtowarzyszkę kocem. Mogłaby nie przetrwać kolejnej nocy, wydana na pastwę zimna i wilgoci.

Tess sama nie wiedziała, dlaczego wróciła. Dlaczego nie uciekła. Byłoby przecież lepiej dla Rachel, gdyby znalazła jakąś pomoc. Całe popołudnie kręciła się po lesie i stwierdziła, że w pobliżu nie ma żadnych śladów ludzkiej obecności. Ledwo odnalazła drogę powrotną do jamy, chociaż znaczyła ją szyszkami. Teraz rozmyślała, czy nie popełniła jednak błędu. Czy wracając, nie skazała siebie na rychłą śmierć. Ale nie potrafiła opuścić Rachel.

W znalezionym bucie ze złamanym obcasem Tess przyniosła do nory trochę wody. Rachel musiała być bardzo spragniona, lecz z powodu pociętych i opuchniętych warg większość wody rozlała.

Prawie cały czas milczała, czasem tylko odpowiadała na pytanie Tess krótkim „tak” lub „nie”. Siedziała zagłębiona w sobie, odległa i bardzo słaba. Oddychała z coraz większym trudem, gorączkowała, chorobliwie drżała.

Po wielu godzinach penetrowania okolicy Tess musiała się pogodzić z faktem, że nie zdoła z tej głuszy wyprowadzić Rachel czy raczej wynieść jej na swych barkach. Wiedziała też, że nawet najdłuższy odpoczynek nie zaleczy jej zmaltretowanego ciała. Konieczna była fachowa pomoc medyczna i długi pobyt w szpitalu. Lecz nawet gdyby jakimś cudem okazało się to możliwe, co ze zmaltretowaną, zrujnowaną psychiką? Ile czasu musiałaby trwać psychiatryczna terapia, by ta kobieta znów stała się zdolna do względnie normalnego życia?

A co z nią, z Tess? Jeśli nawet wyjdzie z tego cało, czy odnajdzie w sobie dawną energię i zbawczy entuzjazm, czy jak dawniej będzie potrafiła walczyć o swoją przyszłość, czy też zapadnie w martwą depresję, pogrąży się w tak dobrze jej znanych lękach? Czy znów sięgnie po prochy?

Och, tylko nie to...

Oparła głowę o ścianę, nie zważając już na to, że grudki ziemi wpadają jej za kołnierz. Zamknęła oczy i próbowała myśleć o czymś miłym. Trudne zadanie, biorąc pod uwagę, że tak niewielu przyjemnych chwil zaznała od chwili swych narodzin. Może nawet ani jednej.

I nagle spłynął na nią łagodny, delikatny powiew, czuły, dobry i miły. Uśmiechnęła się. Tak, zaznała w życiu pięknych chwil, i to bardzo niedawno. Will Finley. Ujrzała

jego ciało, jego twarz, jego ręce i głos. Dotykał jej tak delikatnie, z taką czułością, chociaż był bardzo podniecony. Jakby naprawdę chodziło o coś więcej niż fizyczną rozkosz. I tak bardzo zależało mu na tym, żeby jej też było dobrze, jakby jej odczucia były wyjątkowe, wspaniałe.

Nigdy do tamtej nocy seks nie kojarzył się Tess z miłością. Miała wielu mężczyzn i bogatą praktykę w tym względzie. Wiedziała, że powinno być inaczej, ale sama tego nie doświadczyła. Nawet to, co czuła, gdy była z Danielem, nie przypominało w niczym miłości. Swoją drogą wcale się jej nie spodziewała. Nigdy nie obiecywała sobie ani się nie oszukiwała, że ją spotka.

Will Finley pojawił się znikąd. Jak więc może czuć do niego miłość? To tylko jedna noc. Jak to się stało, że tak bardzo różnił się od tych wszystkich obsługiwanych przez nią dotąd facetów? Nie mogła się jednak okłamywać, zwłaszcza teraz. Will Finley i tamta jedna noc były czymś absolutnie wyjątkowym i zupełnie nowym w jej życiu. To nie było tanie i obrzydliwe. Och, było bezcenne i cudowne, bo oto po raz pierwszy przeżyła coś, co przypominało prawdziwą miłość. Lub może nawet nią było? Cóż, rozstali się z Willem i nigdy już się nie zobaczą, ale to nie ma znaczenia. Dzięki tamtym kradzionym godzinom Tess znalazła się w krainie, o której do tej pory nie miała nawet pojęcia, że istnieje.

I to było najważniejsze. Starała się zatem zachować w pamięci najdrobniejsze szczegóły. Miękkie wargi Willa,

dłonie przesuwające się delikatnie po jej ciele, jego mocne ciało, szepty, jego energię i ciepło.

Przez chwilę przebywała z dala od smrodu, zgnilizny i błota. Pomyślała, że może uda jej się nawet zasnąć. Wtem uprzytomniła sobie, że jest dziwnie cicho. Wstrzymała oddech i nasłuchiwała. Podejrzenie, co się stało, rozlało się po jej ciele jak lodowata woda. Serce zamarło jej ze strachu. Ogarnęły ją nieopanowane dreszcze. Objęła się ciasno ramionami, kołysząc się.

– O Boże. O Boże, nie – szeptała rozpaczliwie.

Wreszcie jakoś się opanowała i znów wytężyła słuch. Lecz cisza nie kłamała. Tess wiedziała, że Rachel nie żyje.

Zwinęła się w kącie i pozwoliła sobie na coś, czego surowo zabroniła sobie już w dzieciństwie. Rozpłakała się.

Po chwili szloch przerodził się we wstrząsające, przenikliwe zawodzenie, któremu Tess bez reszty się poddała.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SZÓSTY

O’Dell stała po drugiej stronie metalowego stołu, przypatrując się, jak doktor Holmes przecina skórę denatki, tworząc idealny kształt litery Y pod jej piersiami. Maggie miała na sobie kitel i gumowe rękawiczki. Do tej pory tylko się przypatrywała, nie zadawała żadnych pytań, niczego nie komentowała. Czekała na pozwolenie lekarza, który od czasu do czasu prosił ją o pomoc, i powściągała swoją niecierpliwość, bo zdawało jej się, że zabieg przeciąga się ponad miarę. Powtarzała sobie wtedy, że powinna być wdzięczna koronerowi, który dopuścił ją do udziału w autopsji, no i na jej prośbę nie czekał do poniedziałku, tylko poświęcił sobotni wieczór.

Holmes polecił jej, by zeskrobała brud spod paznokci ofiary, pobrała próbki włosów, śliny i płynów ustrojowych oraz by wykonała pomiary. Maggie była pewna, że Hannah stoczyła z napastnikiem gwałtowną, bezwzględną walkę, bo całe jej ciało pokrywały siniaki. Ten, który sięgał uda i biodra, sugerował, że w trakcie walki spadła ze schodów.

Na podstawie charakterystycznych, odbitych jak pieczątki śladów, Maggie wyobrażała sobie krok po kroku przebieg brutalnego morderstwa. Podobnie jak Jessica, Hannah posłużyła się w pojedynku paznokciami, z tym że udało jej się zedrzeć ze Stucky’ego trochę skóry. Czemu nie dane jej było umrzeć cicho i szybko? Dlaczego Stucky nie dał rady

związać jej, zgwałcić i podciąć gardła, jak zrobił to z Jessicą i Ritą? Czyżby nie był przygotowany na taką obronę?

Maggie miała ochotę podciągnąć rękawy. Pociła się w plastikowym fartuchu. Boże, ależ gorączka. Nie mogli tu zainstalować lepszej wentylacji?

Kostnica stanowa była większa, niż się spodziewała. Wypełniała ją przenikliwa woń lizolu. Ściany pomieszczenia były szare i odrapane. Lady pokrywał brudnożółty laminat, a fluorescencyjne żarówki wisiały nisko nad stołem.

Doktor Holmes miał opinię świetnego specjalisty, lecz Maggie też miała odpowiednie wykształcenie medyczne, włączając w to medycynę sądową, dzięki czemu samodzielnie wykonała bądź czynnie asystowała w wielu autopsjach. Jednak teraz znajdowała się pod wpływem tak silnego stresu i była tak przemęczona, że nie potrafiła zdobyć się na profesjonalny dystans wobec leżącego na stole martwego ciała. Twarz paliła ją od unoszących się nad głową lamp, dusiła się w zamkniętym pomieszczeniu. Do wilgotnego czoła przykleiły jej się mokre włosy i Maggie z trudem powstrzymywała się, żeby ich nie zepchnąć za uszy.

Od momentu kiedy rozpoznała ofiarę, czuła się odpowiedzialna za jej śmierć. Gdyby nie prosiła jej o pomoc w wyborze wina, Hannah cieszyłaby się dotąd życiem.

Och, Maggie dobrze wiedziała, że takie myśli do niczego nie prowadzą. To właśnie Stucky chciał, żeby tak myślała i tak czuła. Nie umiała się jednak od nich odciąć. Nie potrafiła zatrzymać histerii, która zżerała ją od środka, ani

wszechogarniającej złości, która popychała do dzikiej, okrutnej zemsty. Nie była w stanie zapanować nad pragnieniem umieszczenia kuli między oczami Stucky'ego. Złość i porażający przymus zemsty zaczęły ją coraz bardziej przerażać. Bardziej niż wszystko, co mógł jej zrobić Albert Stucky.

– Zmarła niedawno – oznajmił doktor Holmes. Jego głos przywrócił Maggie do rzeczywistości. – Według naszych ustaleń jakieś dwadzieścia cztery godziny temu.

Maggie już to wiedziała. Uprzytomniła sobie, że lekarz nie mówi tego do niej, lecz do dyktafonu, który stał obok niego.

– Brak widocznych znaków plam opadowych, na pewno została więc zamordowana w innym miejscu i przeniesiona w ciągu jakichś dwóch do trzech godzin. – Mówił wciąż rzeczowo, nagrywając informacje.

Maggie doceniała jego swobodę i gawędziarski styl. Pracowała z koronerami, którzy swym wyciszonym szacunkiem lub klinicznym chłodem podkreślali czy wręcz eksponowali bestialstwo i sadyzm zbrodni, z których ofiarami mieli właśnie do czynienia. Maggie wolała myśleć o autopsji jak o szczególnej wyprawie badawczej, widzieć przed sobą na metalowym stole ciało, z którego dusza dawno już uleciała. Jedyne, co w ogóle jeszcze można zrobić dla ofiary, to zdobycie dowodów, które pomogą dotrzeć do sprawcy straszliwego czynu, i tego zadania Maggie była bezwzględnie świadoma. W tym jednak wypadku była przekonana, że ciało Hannah nie zbliży ich do kryjówki Alberta Stucky'ego.

– Słyszałem, że zamieszkał u pani pies.

Maggie dopiero po chwili zorientowała się, że było to skierowane do niej, a nie do dyktafonu. Doktor Holmes, nie słysząc odpowiedzi, podniósł wzrok, uśmiechnął się i dodał:

– Skurczybyk musi być twardy, skoro wylizał się z tych wszystkich ran.

– Tak, twardy.

Jak mogła zapomnieć o Harveyu? Chyba nie jest najlepszą psią panią. Greg miał rację. W jej życiu nie ma miejsca nawet dla psa, nie mówiąc już o ludziach.

– Coś mi się przypomniało. Mogę skorzystać z telefonu?

– Jest w rogu, na ścianie.

Przez chwilę szukała w pamięci swojego domowego numeru. Zdjęła gumowe rękawiczki i otarła czoło rękawem kitla. Nawet słuchawka telefonu cuchnęła tu lizolem. Wystukała numer, pełna poczucia winy, że niewiele brakowało, a zapomniałaby zadzwonić. Wcale by się nie zdziwiła, gdyby Nick wkurzył się i wyszedł. Spojrzała na zegarek. Był kwadrans po dziesiątej. Tak, mogło go już nie być.

– Halo?

– Nick? Tu Maggie.

– No jak tam, w porządku?

Po jego tonie poznała, że się niepokoił, nie było jednak słychać ani śladu złości. Może nie powinna z góry zakładać, że Nick będzie reagował tak samo jak Greg.

– W porządku. To nie Tess.

– Uff. Obawiałem się o Willa.

– Jestem w kostnicy, asystuję przy autopsji. – Przerwała, mimo wszystko czekając na choćby cień złości po drugiej stronie. – Nick, bardzo przepraszam.

– Nic nie szkodzi, Maggie.

– To może jeszcze zabrać ze dwie godziny. – Znowu się zawahała. – Wiem, że ci zepsułam plany, twoją kolację diabli wzięli.

– Maggie, przecież to nie twoja wina. Taką masz pracę. Zresztą nie jesteśmy z Harveyem frajerami i swoje już zjedliśmy. Ale zostawiliśmy ci twoją porcję. Jak wrócisz, odgrzeje się w mikrofalówce.

Był taki wyrozumiały. Dlaczego był taki wyrozumiały? Nie potrafiła się w tym znaleźć.

– Maggie? Na pewno nic ci nie jest?

Zbyt długo milczała.

– Jestem tylko zmęczona. Wybacz, że nie zjadłam z tobą kolacji.

– Mnie też jest przykro. Chcesz, żebym został z Harveyem, aż wrócisz?

– Nie mam prawa cię o to prosić. Nie wiem, kiedy to się skończy.

– Wożę w bagażniku stary śpiwór. Nie będzie ci przeszkadzać, jak się rozłożę na podłodze na noc?

Obraz Nicka Morrellego, który śpi w jej dużym pustym domu, niespodziewanie poprawił jej samopoczucie.

– Może to nie jest najlepszy pomysł – dodał szybko Nick, źle interpretując jej niezdecydowanie.

– Nie, to świetny pomysł. Harvey będzie bardzo szczęśliwy. – Znowu to zrobiła, znowu ukryła swoje prawdziwe uczucia, to już weszło jej w krew. – Ja też się cieszę – dodała po chwili, zdumiewając tym samą siebie.

– Jedź ostrożnie.

– Dobra. Aha, Nick?

– Tak?

– Nie zapomnij włączyć alarmu, kiedy wrócicie ze spaceru. Posłuchaj, w ostatniej szufladzie biurka jest glock, czterdziestka, i koniecznie zasuń żaluzje. Jeśli zechcesz...

– Maggie, miła moja, dam sobie radę. – Roześmiał się, sympatycznie podkpiwając z jej obsesji. – Myśl tylko o sobie, dobrze?

– Dobrze.

– No to do zobaczenia.

Odwiesiła słuchawkę i oparła się o ścianę, zamykając oczy, czując zmęczenie i dreszcze. Najchętniej od razu by stąd prysnęła, ale nie mogła tak postąpić. Byłoby to nieprofesjonalne, przecież ściągnęła tu Holmesa z weekendu i zaproponowała swoją asystę podczas autopsji.

Tak jednak chciałaby pobiec do domu i przytulić się do Nicka przed ciepłym, trzaskającym kominkiem. Nie zapomniała dotąd, jak czuła się, zasypiając w jego ramionach, chociaż zdarzyło się to tylko raz, i to wiele miesięcy temu. Pocieszał ją, starał się ustrzec przed nocnymi koszmarami. Udało mu się, na kilka godzin. Mimo to nawet Nick Morrelli nie był w stanie ustrzec jej przed

Stuckym. W tych dniach Albert Stucky był wszędzie tam, gdzie ona.

Obejrzała się na metalowy stół z rozłożonym na nim sinym kobiecym ciałem. Doktor Holmes wyjmował właśnie wnętrzności, jeden organ po drugim, ważył je i mierzył jak rzeźnik przygotowujący różne kawałki mięsa. Maggie wsadziła włosy za uszy. Wciągnęła świeżą parę rękawiczek i podeszła do niego.

– Przy tej robocie trudno żyć samotnie, co? – Mówiąc to, nie spojrzał na nią ani nie przerwał pracy.

– To na pewno fatalna sytuacja dla psa. Stale nie ma mnie w domu. Biedny Harvey.

– I tak mu lepiej u pani. Z tego, co mi wiadomo, ten Endicott to jakiś dureń. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby okazało się, że to on zamordował żonę i ukrył ciało.

– Czy Manx też tak myśli?

– Nie wiem. Proszę spojrzeć tu. – Wskazał na fragmenty wyciętych mięśni Hannah.

Maggie ledwo zerknęła. Zastanawiała się, czy koroner ma świadomość, że jego opinia o Endicotcie nagrywa się na dyktafon? Czy Holmes miał rację? Może to wcale nie Stucky porwał Rachel Endicott. Może jej mąż maczał w tym palce, chociaż z pozoru wyglądało to zbyt banalnie. I nagle uprzytomniła sobie, że doktor patrzy na nią znad swoich okularów, które ześliznęły się na czubek jego nosa.

– Przepraszam, co pan oglądał?

Ponownie pokazał jej mięśnie. Maggie zobaczyła, że w tkance mięśniowej jest krwawy wylew.

– Jeśli w tkance mięśniowej jest dużo krwi, to znaczy…

– Tak, wiem – przerwała mu. – To znaczy, że żyła jeszcze, kiedy zaczął ją ciąć.

Lekarz przytaknął i wrócił do pracy. Szybko i fachowo przywiązał sznureczki do każdej odciętej arterii, zostawiając odpowiednią długość dla miejscowego przedsiębiorcy pogrzebowego, który wykorzysta te same arterie do wstrzyknięcia płynu balsamującego. Potem doktor Holmes ostrożnie wyjął serce Hannah i położył je na wadze.

– Serce w dobrej kondycji – powiedział do dyktafonu. – Waga dwadzieścia trzy i pół deko.

Kiedy pakował serce do pojemnika z formaldehydem, Maggie zmusiła się, żeby spojrzeć z bliska na zrobione przez Stucky’ego cięcie. Teraz, widząc otwartą jamę ciała, mogła je dokładnie prześledzić. Jego precyzja wciąż ją zadziwiała. Stucky pozbawił kobietę macicy i jajników zupełnie tak, jak robi się to w czasie profesjonalnych operacji. Na ladzie w drugim końcu pomieszczenia leżały wyjęte przez niego organy, zapakowane wciąż w pojemnik ze sztucznego tworzywa, który miał nieszczęście wziąć kierowca ciężarówki.

Doktor Holmes spojrzał na Maggie. Idąc od zlewu, wziął ze sobą pudełko i położył je na stole. Podniósł pokrywę i zaczął przyglądać się zawartości.

Na dzwonek interkomu Maggie podskoczyła.

– To pewnie inspektor Rosen. Mówił, że wpadnie, jak coś znajdą. – Holmes ruszył do drzwi, zdejmując rękawiczki.

– Chwileczkę, jest pan pewny? – W głowie jej się nie mieściło, że lekarz chce otworzyć drzwi, nie sprawdzając, kto za nimi stoi. – Jest dosyć późno.

– Faktycznie – przyznał Holmes, zatrzymując się i oglądając się na nią przez ramię. – Coś pani powiem, jeśli pani nie zauważyła. Wpadła pani Rosenowi w oko.

– Proszę?

– Nie, chyba pani nie zauważyła. – Uśmiechnął się, ale więcej nic nie wyjaśniał i bez wahania odsunął zasuwę.

Maggie wsadziła ręce w kieszenie fartucha, wymacując broń, ale lekarz już otworzył drzwi.

– Dobry wieczór, Sam.

– Cześć, doktorku. – Inspektor Rosen natychmiast poszybował wzrokiem ku Maggie. Miał przy sobie kilka woreczków, w których znajdowało się coś, co wyglądało na ziemię. – Agentko O’Dell, chyba znaleźliśmy coś ciekawego.

Po słowach lekarza Maggie nie miała pewności, czy Sam rzeczywiście znalazł coś na miejscu zbrodni, czy tylko szukał pretekstu, żeby do nich zajrzeć. Chyba zaczynała tracić zdrowy rozsądek. Czyżby Greg i w tym miał rację? Nikomu już nie wierzyła.

Inspektor wręczył jej przez stół jeden z woreczków i wreszcie popatrzył na ciało. Po zachowaniu Rosena Maggie domyśliła się, że asystował przy niejednej autopsji, co znaczyło, że nie spędził całego życia w biurze szeryfa okręgowego.

Wzięła od niego woreczek i bacznie go obejrzała. Od razu rozpoznała te grudki ziemi. Podstawiła je pod światło. Tak,

były w nich srebrne i złotawe drobinki, które lśniły we fluorescencyjnym świetle.

– Gdzie pan to znalazł?

– Z boku śmietnika, który stoi najbliżej ogrodzenia z łańcucha. Są tam takie metalowe schodki. Znaleźliśmy ślady butów. Pewnie po tym się wspiął, żeby wrzucić ciało. Stoją po przeciwnej stronie od parkingu, dlatego nikt go nie zobaczył.

Rosen był wyraźnie podekscytowany odkryciem. Maggie zastanawiała się dlaczego.

– Pokazał pan to agentowi Tully’emu?

– Nie, jeszcze nie. Ale myślę, że może nam to bardzo pomóc. Mam nadzieję, że doprowadzi do jego kryjówki.

Maggie czekała na dalsze wyjaśnienia inspektora, jednak ten akurat zainteresował się krwawą masą znajdującą się w pojemniku, którą badał lekarz.

– Inspektorze – zwróciła się do niego Maggie. – Dlaczego uważa pan, że to nas doprowadzi do mordercy?

– Po pierwsze to błoto – stwierdził oczywisty fakt, jakby odkrył wielką tajemnicę. Kiedy spostrzegł, że Maggie nic nie rozumie, mówił dalej: – Tutaj przez dłuższy czas nie padało. Zapowiadało się kilka razy, ale jakoś się rozeszło. W okolicy nie spadła kropla deszczu. Tylko nad samym morzem.

Stukała palcami po blacie, czekając na coś więcej niż prognoza pogody. Rosen dostrzegł to i szybko otworzył jeden z woreczków, a potem wziął w palce grudkę ziemi.

– To glina, kleista glina. Nawet śmierdzi stęchlizną. W tej okolicy nic takiego nie występuje.

Mogła zakończyć, mówiąc, że już to wszystko widziała, że już to badali. Dała mu jednak szansę.

– Rozmawiałem z kilkoma facetami, którzy tu mieszkają całe życie, i powiedzieli mi, że nigdy czegoś takiego nie widzieli. Proszę się przyjrzeć. To nie jest zwykłe błoto. Są w nim okruchy czerwonego kamienia, no i to coś, co tak błyszczy. Dziwnie wygląda, prawda? W zwykłej glinie raczej tego nie ma. Może to nie jest naturalny minerał? Może to zrobił człowiek?

Maggie nie mogła dłużej czekać. Przyznała:

– Znaleźliśmy podobne błoto w dwu poprzednich miejscach zbrodni, inspektorze Rosen, ale...

– Sam.

– Słucham?

– Proszę mi mówić Sam.

Maggie odsunęła opadające na czoło włosy. Czyżby doktor Holmes dobrze wyczuł inspektora... Sama? Przyszedł tu, żeby zrobić na niej wrażenie, żeby sobie poflirtować?

– Dobrze. A więc, Sam, myśmy to już przebadali. To może pochodzić z jakiejś nieczynnej fabryki. Nasi ludzie rozglądają się za prawdopodobną lokalizacją.

– Chyba mogę wam zaoszczędzić czasu.

Patrzyła na niego, a jego krzywy uśmiech budził w niej rosnącą agresję. Po co zabierał jej czas tym swoim przedstawieniem?

– Chyba wiem, skąd to pochodzi – rzekł, bardzo zadowolony z siebie i zupełnie niezrażony sceptycznym spojrzeniem Maggie. – Ze dwa tygodnie temu wybrałem się na ryby. Takie małe miejsce jakieś osiemdziesiąt kilka kilometrów stąd, po drugiej stronie płatnego mostu. Umówiłem się tam z kumplem. No i w końcu zgubiłem się w lesie, bo nie wiedziałem dokładnie, gdzie to jest. Jak wróciłem do domu, miałem buty oblepione błotem. Ze dwie godziny je czyściłem. Tamto błoto wyglądało tak samo jak to gówno. Zachodziłem w głowę, skąd mi się wziął ten srebrny pył.

Teraz Maggie słuchała go z wielką uwagą. Czuła, że serce zaczyna jej bić szybciej. Z opisu Sama wywnioskowała, że takie miejsce idealnie pasowałoby do Stucky'ego. A więc inspektor miał rację. To może być przełom w ich poszukiwaniach.

– No, mam nadzieję, że wam się powiedzie – włączył się doktor Holmes, dopiero teraz podnosząc głowę znad pojemnika. – To nie jest zwykły psychopata, to bestia, jakiej jeszcze świat nie widział. – Niezwykłe, ale zadrżał mu głos. – Ta kobieta musiała mu się zwierzyć, błagać go, ufać, że ten bydlak ma choć gram ludzkich uczuć.

– O czym pan mówi? – Maggie patrzyła, jak koroner ociera czoło, nie zwracając uwagi, że maże je krwią z rękawiczek. Zrównoważony profesjonalista był wstrząśnięty własnym odkryciem. – O co chodzi? – spytała po raz wtóry.

– To nie przypadek, że wyciął jej jajniki. – Odsunął się o krok od stołu i pokręcił głową. – Ta kobieta była w ciąży.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SIÓDMY

Inspektor Rosen zadzwonił z informacją do policji w Newburgh Heights, kiedy zaczął podejrzewać, że Hannah Messinger mogła zostać porwana ze sklepu monopolowego w centrum miasta. O'Dell towarzyszyła doktorowi Holmesowi. Rosen został na postoju dla ciężarówek, zbierając dowody. Tully asystował więc Manksowi i jego ludziom. Po rozmowie, którą odbył na początku tego tygodnia z Manksem, niespecjalnie przekonany jego taktyką, postanowił zostać u jego boku na wypadek, gdyby na coś trafili.

Czekając na podwładnego Manksa, który miał wyważyć tylne drzwi, zastanawiał się, czy inspektora nie wyciągnięto przypadkiem przed chwilą z jakiegoś nocnego klubu. Manx ubrany był w spodnie khaki, a do tego jaskrawopomarańczową marynarkę i niebieski krawat z małymi delfinami. Tully spojrzał na inspektora. Byli w podobnym wieku, ale różnili się diametralnie. Manx wyglądał jak prowincjonalny playboy, cwaniak podszyty łajdactwem. To musiało rajcować kobiety, to drańskwo wypisane na twarzy, ten tani cynizm, obietnica łatwej, szybkiej przygody, pomyślał Tully. A może nie? Prawdę mówiąc, dotąd nie udało mu się znaleźć odpowiedzi na pytanie, co tak naprawdę podoba się kobietom w mężczyznach.

Ze swojego miejsca Tully widział tylną ścianę pizzerii „Mamma Mia”. Śmietnik, w którym znaleziono ciało Jessiki Beckwith, zastąpił nowy lśniący pojemnik. Może właściciel chciał w ten sposób pozbyć się złych wspomnień. Ciekawe, co powie teraz, dowiadując się, że kolejna kobieta została zamordowana kilka bram dalej?

Podniósł kołnierz, noc robiła się chłodna. A może to przypomnienie pięknej dziewczyny wepchniętej brutalnie w śmieci wywołało dreszcze. Myśląc o Jessice, Tully przypomniał sobie znowu o Emmie. Jak ma ją przekonać, że chce ją tylko ochronić? Że nie jest wcale podły ani kostyczny. Co prawda Emma i tak go nie słuchała. Nawet się do niego nie odezwała od chwili, kiedy zabronił jej iść na imprezę z Joshem Reynoldsem.

– Szukaliśmy właściciela. – Manx wyrwał go z zamyślenia. – Wyjechał z miasta, nie da rady wrócić do jutra. Jego żona powiedziała, że wszystkim opiekuje się Messinger.

Policjant od dłuższej chwili energicznie zmagał się z zamkiem u drzwi, wreszcie odniósł sukces.

Manx znalazł kontakt. Światło zapaliło się nie tylko w magazynie, ale w całym sklepie, oświetlając wszystkie półki i przejścia. Sklep był niezbyt duży. Szybko stwierdzili, że raczej wszystko znajduje się na swoim miejscu. Kasa była zamknięta, nawet tabliczka „Zamknięte” wisiała na swoim miejscu. Żadnych śladów włamania.

– Może porwał ją, jak szła do samochodu – powiedział Manx, skrobiąc się po głowie.

Jeden z policjantów wyszedł, żeby sprawdzić chodnik, pozostali rozglądali się po magazynie.

– Rosen powiedział mi o O’Dell.

Tully przystanął i spojrzał na Manksa zza lady. Twarde rysy inspektora zmiękły. Wyglądał nawet sympatycznie, jeśli to w ogóle możliwe.

– Może teraz zrozumie pan – powiedział Tully – dlaczego tak się przejęła pańskim śledztwem po zniknięciu pani McGowan.

– Tak, jasne. Chyba trzeba by rzucić raz jeszcze okiem na sprawę Endicott. – Manx zawahał się, jakby szedł na wielkie ustępstwo. – Mam dla was kopie dokumentów w samochodzie.

– Inspektorze! – zawołał policjant z magazynu. Stanął w drzwiach, blady, z wybałuszonymi oczami. – Pod magazynem jest piwnica z winem. Powinien pan tam zajrzeć.

Tully ruszył za Manksem. Szli w dół wąskimi schodkami, drogę oświetlała im goła żarówka. Tully nie potrzebował światła, żeby wiedzieć, że właśnie trafili na miejsce zbrodni. Już na trzecim czy czwartym stopniu poczuł zapach krwi, wiedział też, że jego żołądek nie jest gotowy na to, co znajduje się niżej.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY ÓSMY

Nie mógł uwierzyć, że uciekła. Jak jej się udało otworzyć drzwi? Był podniecony, a powinien być rozczarowany. A jednak nawet zmęczenie nie mąciło mu radości i tego specjalnego dreszczyku wywoływanego przez udane polowanie, z którego właśnie wrócił. A teraz czekają go nowe łowy.

Okulary ochronne trochę mu pomagały. Ale co z tego, skoro nie miał na co patrzeć? Gdzie polazła ta mała, przebiegła dziwka? Nie powinien był zostawiać jej na tak długo, ale musiał się zająć tą śliczną brunetką. Była wobec niego taka milutka, podobnie jak dla agentki Maggie. Nie poganiała go, cierpliwie pomogła wybrać butelkę wina, nie patrzyła na zegarek, choć o tej porze zwykle zamykała sklep. Kiedy wchodził w ostatniej chwili, właśnie domykała drzwi i wieszała znak „Zamknięte”. Tak, była wyjątkowo uczynna. Kiedy powiedział jej, że to na specjalną okazję, namawiała go gorąco na białe włoskie wino, nie wiedząc, że to właśnie ona tę okazję mu stwarza.

Ten krótki wyskok dał mu jednak w kość. Zrobił błąd, że po wzięciu swojej nagrody nie zostawił jej w piwniczce sklepu alkoholowego. Wtedy mięśnie nie dawałyby mu się tak we znaki. Miał też problem ze skupieniem wzroku na jednym punkcie. Coraz częściej przed oczami pojawiały mu się czerwone linie. A może to tylko okulary? Nie dopuszczał

do siebie myśli, że zaledwie w ciągu tygodnia tak poważnie pogorszył mu się wzrok. Nie dopuszczał też myśli, że mógłby być od kogoś zależny. Zrobi wszystko, żeby osiągnąć swój cel, żeby zakończyć tę grę.

Szedł ciemnym lasem, wściekając się za każdym razem, kiedy potykał się o wystający korzeń lub ślizgał w błocie. Raz nawet upadł, ale tylko raz. Dałby głowę, że kobieta nie oddaliła się tak znacznie od szałasu. Nigdy im się to nie udaje. Zdarza się nawet, że wracają ze strachu przed ciemnością, deszczem i chłodem. Głupie dziwki, takie łatwowierne, takie naiwne. Zazwyczaj podążały tą samą ścieżką, mając nadzieję, że wydeptana droga wyprowadzi je na wolność. Nigdy nie przyszło im do głowy, że może to być droga do kolejnej pułapki.

Musiał jednak przyznać Tess McGowan, że ukryła się całkiem sprytnie. Ale nie na długo. Przecież znał ten las jak własną kieszeń. Nie uda jej się uciec, chyba że będzie miała ochotę popływać. Zabawne, pomyślał, przystosowując okulary do innego światła, lecz żadna z nich tego nie spróbowała. Ale też niewiele z nich dostało tę szansę. Tess miała szczęście, że postanowił ją trochę potrzymać, i jeszcze większe szczęście, że zdołała mu się wymknąć. To go podnieciło, nie czuł nawet złości. W końcu takie wyzwania były jego miłością. Teraz schwytanie jej sprawi mu jeszcze większą frajdę. Zdobędzie jej ciało, duszę i umysł.

Wspinając się na grań, miał nadzieję, że nie natknie się na nią, jak leży na dnie jakiegoś wąwozu ze złamanym

karkiem. To byłaby wielka strata. Miał nadzieję, że Tess zrekompensuje mu rozczarowanie, jakie przyniosła mu Rachel. Ta nie spełniła jego oczekiwań. Kiedy uważała go za miłego montera, z którym może robić, co jej się żywnie podoba, zachowywała się jak ostatnia flirciara. Było w niej tyle energii i życia. A kiedy zaczął ją rżnąć, kwiliła jak bezbronne dziecko. Poddała się, stała się żałosna. Co gorsza, kiedy puścił ją na wolność w lesie, wytrzymała zaledwie niecałe pół godziny. Co za żenada.

Chwycił się pnączy i podciągnął na brzeg. Roztaczał się przed nim rozległy widok, nic jednak nie dostrzegł. Gdzież ona, do diabła, zniknęła?

Sięgnął pod okulary, żeby potrzeć oczy. Może ważniejszy jest teraz dla niego sen, a nie ukaranie Tess McGowan solidnym rżnięciem? Nad jego ciałem obejmował władzę znany mu już bezwład. Lepiej na razie nie szukać tej zdziry, niepotrzebny mu kolejny zawód, gdyby okazało się, że nie jest w stanie... się pieprzyć. Nie chciał o tym myśleć. Tak, zacznie rano, kiedy wróci energia i ochota na polowanie. Zacznie z samego rana, o brzasku. Przerzucił sznur przez ramię, podniósł kuszę i ruszył z powrotem. Może otworzy sobie butelczynę tego włoskiego wina? Hannah obiecywała, że sprawi rozkosz.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

Maggie czuła się otępiała. Z wielkim wysiłkiem utrzymywała w górze opadające powieki. Dopiero wjeżdżając na podjazd, stwierdziła, że dotarła tu wiedziona jedynie instynktem. Kompletnie nie pamiętała, kiedy zjechała z drogi stanowej ani kiedy skręciła w drogę numer 6 z jej ostrymi zakrętami i stromym poboczem.

Nick zostawił dla niej światło na ganku. Jego dżip stał tam, gdzie przedtem. Zaparkowała tuż obok, zdziwiona, że widok zakurzonego samochodu na wielkich kołach wywołał w niej tak ogromne poczucie bezpieczeństwa. Dobrze, że Rosen ją namówił, by zaczekali do rana. A ona wyrywała się w środku nocy do ciemnego, nieznanego lasu, by rozpocząć polowanie na Stucky'ego. Godzinę temu wydawało jej się to sensowne. Była gotowa zaatakować znienacka, zapominając, że poprzednim razem przegrała. Jak on to robił, że gdy tylko trafiała na jego ślad, natychmiast traciła rozsądek? Wystarczyło, by machnął ręką… uzbrojoną w nóż.

Wiedziała, że doktor Holmes miał rację, choć nie było i z pewnością nie będzie na to żadnego dowodu. Wiedziała, że Hannah błagała Stucky'ego o litość. Maggie słyszała w wyobraźni jej słowa. Nachodziły ją znienacka. Nie potrafiła ich zagłuszyć.

Słyszała jej zaklęcia. Hannah czuła zbliżającą się śmierć, więc odwołała się do ostatniej deski ratunku. Powiedziała

o nienarodzonym jeszcze dziecku. A on roześmiał jej się w twarz. Dla niego to żadna różnica. Ale ona nie ustawała w błaganiach i płaczu. Czy to dlatego rzucił się na nią z nożem, kiedy jeszcze żyła? Czy chciał jej pokazać nienarodzony płód? Powiększyłby tym repertuar swoich okrucieństw. Dla każdego normalnego człowieka to absolutnie niewyobrażalne, ale nie dla Stucky'ego.

Rozpaczliwie próbowała pozbyć się tych obrazów. Otworzyła drzwi, wchodząc możliwie najciszej. Dawno już nie wracała do domu, który nie był ciemny i pusty. Kiedy jeszcze celowo nie unikali się z Gregiem, ich plany zajęć zazwyczaj i tak ze sobą kolidowały. W ciągu kilku ostatnich lat stali się współlokatorami, którzy zostawiają sobie informacje na karteczkach. Tak przynajmniej było na początku. Potem, stopniowo, jedynym świadectwem wspólnego przemieszkiwania były puste kartony po mleku i sokach.

Maggie szybko wystukała właściwy kod, alarm zapiszczał tylko raz. Natychmiast usłyszała Harveya, który niuchał, kto przyszedł. Wyciągnęła w ciemności rękę i pies ją polizał.

W przedpokoju było ciemno, ale salon zalewało światło księżyca. Nick nie zasunął żaluzji. O dziwo, ucieszyła się z tego, choć złamał jeden z warunków bezpieczeństwa. Ale tak bardzo lubiła tę niebieską nocną poświatę, w której pokój nabierał niezwykłej magii. Nick leżał na podłodze, tylko do połowy schowany w śpiworze. Był bez koszuli. Widok jego ciała, jego splecionych rąk, przeszył ją

dreszczem. A już myślała, że z powodu śmiertelnego zmęczenia nie jest zdolna do żadnych odczuć.

Odłożyła teczkę, zdjęła kurtkę i zaczęła odpinać pas z bronią, kiedy usłyszała szelest śpiwora. Pies leżał już obok Nicka, z łbem na jego nogach.

– Cwaniaku, nie za wygodnie ci? – powiedziała cicho.

– Całkiem znośnie – rzekł Nick, przecierając oczy i unosząc się na łokciu.

– Mówiłam o Harveyu. – Uśmiechnęła się.

– Aha. To dobrze.

Przeczesał palcami włosy, które śmiesznie sterczały. Maggie poczuła nieopanowaną chęć, żeby je wygładzić, starannie uczesać... i dotknąć brody Nicka.

– Jak się trzymasz? – Nawet w mrocznej poświacie dostrzegła troskę w jego oczach.

– Naprawdę nie umiem ci powiedzieć, Nick. Chyba nie za dobrze. – Oparła się o ścianę i potarła powieki. Chciała wyrzucić obraz martwych oczu Hannah, skurczonego płodu wciąż przywartego do macicy swojej matki.

– Hej – powiedział cicho Nick. – A może przyjdziesz do nas? Zapraszamy. – Odsunął wierzch śpiwora, zapraszając ją do środka. Przy okazji zobaczyła jego obcisłe szorty i muskularne uda.

Podnieciła się, i to właśnie teraz. Twarz ją paliła. Była zażenowana, bo dobrze wiedziała, że Nick zaprasza ją tylko po to, by się do nich przytuliła. A on, zdaje się, czytał w jej myślach.

– Daję ci słowo, że nie zrobię nic, czego nie będziesz chciała. – Patrzył na nią całkiem serio. Cholera, przejrzał ją na wylot. Zrobiła się przezroczysta czy jak?

Jedyne, czego w tej chwili pragnęła, to złagodzić napięcie w mięśniach, uspokoić oszalałe nerwy. Oderwać się od emocji, które wyjaławiały jej umysł. Zapomniała już, jak to jest czuć się dobrze i bezpiecznie. Wcześniej, w kuchni, obecność Nicka uświadomiła jej, jak rzadko w ciągu minionych lat doznawała prawdziwego pożądania. O ironio, jedyne, co przychodziło jej do głowy, to chwile spędzone z Nickiem w Nebrasce.

Bez słowa zrzuciła buty i zaczęła ściągać dżinsy. Natknęła się na wzrok Nicka. Było w nim zdziwienie, a także oczekiwanie. Patrzył na nią niepewny, czego może się spodziewać. No cóż, sama nie miała pojęcia.

Została w batystowej bluzce. Jej figi zwilgotniały, nim jeszcze położyła się obok Nicka. Harvey wstał, okręcił się kilka razy i znów padł, tym razem plecami do Nicka. Roześmieli się. Maggie poczuła, jak ten błahy epizod zmniejszył jej napięcie.

Leżeli zwróceni do siebie twarzami, wspierając się na łokciach. Maggie stwierdziła, że Nick nie zamierzał jej oszukiwać. To ona miała zdecydować. Teraz czekał, co ona z tym zrobi. Dotknęła jego twarzy czubkami palców, musnęła policzek, nieogoloną brodę, na chwilę zatrzymała palce na jego wargach. Pocałował ich opuszki, czule, ciepło i zapraszająco.

Przesunęła dłoń ku jego szramie, lekkiej, bladej wypukłości na brodzie. Potem na jego szyję. Dostrzegła, jak z trudem hamował emocje. Nie spuszczając z niego wzroku, pieściła jego tors i podążyła ścieżką przez płaski, twardy brzuch. Kiedy dotarła do wypukłości w szortach, Nick zaczął oddychać szybko i nierówno.

– Jezu, Maggie – wydusił. – Gdybym przewidział, że właśnie tego zechcesz...

Nie dała mu skończyć. Pocałowała delikatnie jego usta, a jej dłoń wśliznęła się za pasek szortów. Zadrżał. I zaraz przywarł do niej wargami. Maggie zdawało się, że nagle ożyła. Przytuliła się do niego całym ciałem. Pocałunki nabrały mocy, aż nagle Maggie przesunęła wargi ku jego uchu, wysunęła język i wśliznęła się do środka, nagrodzona wdzięcznym westchnieniem. Szepnęła:

– Nick, nie opieraj się.

Nie musiała długo czekać. Oddech wydobywał się z jego piersi z trudem, przez zaciśnięte zęby. Po chwili Maggie miała mokrą i lepką dłoń. Nick opadł na plecy z zamkniętymi oczami, czekając, aż znowu odzyska władzę nad swoim ciałem. Maggie drżała, radośnie podniecona, pełna nieznanej dotąd euforii. Jak to się dzieje, że jeden człowiek potrafił dać jej tyle życia, tyle zbawczej energii? Przypatrywała mu się. Nigdy nie czuła się tak zmysłowa i tak kompletnie spełniona.

Nick podłożył ręce pod głowę. Na jego czole perlił się pot. Oddychał już prawie normalnie. Patrzył teraz na nią, jakby chciał czytać w jej myślach, a może zastanawiał się, co

dalej. Zerknął też na Harveya, który wyniósł się na werandę.

– Taki delikacik czy wściekł się, że nie dajemy mu spać?

Maggie uśmiechnęła się. Uniosła się na łokciu i patrzyła na Nicka. Gdzie się podziało jej zmęczenie?

Wyciągnął rękę i dotknął jej włosów, odsunął kosmyk i pieścił jej policzek. Przymknęła oczy i wchłaniała zmysłowe doznanie, które rozchodziło się po jej ciele.

Gdy podniosła powieki, Nick leżał na boku, tak blisko, że czuła jego oddech. Krążył dłonią po jej karku, potem rozpiął jej bluzkę, zatrzymując się przy każdym guziku, na wypadek gdyby chciała się sprzeciwić. Ale ona położyła się na plecach, przyjmując jego dotyk z wdzięcznością. Nie spieszył się, działał ostrożnie, oddając jej inicjatywę. A Maggie sprawiało to ból.

Wreszcie zrozumiał, jak bardzo jest podniecona, jak szaleńczo go pożąda. Zastąpił palce wargami, przemierzając nimi jej nagie ciało. Raptem zatrzymał się, lecz Maggie, ogarnięta spełniającym się marzeniem, zatopiona w śnie o nadchodzącym spełnieniu, który wcale nie był snem, nie zauważyła tego.

Aż nagle poczuła jego palce na swym brzuchu, śledzące biegnącą spod piersi bliznę. Obrzydliwą pamiątkę po Albercie Stuckym. Jak mogła o niej zapomnieć?

Gwałtownie usiadła i wywinęła się ze śpiwora, uciekając, zanim Nick zdołał coś zrobić. W pośpiechu o mało co nie potknęła się o biednego Harveya. Przystanęła i zapatrzyła się na podwórze, ściskając w dłoni zebrany przód bluzki.

Już nie śniła, już nie marzyła. Drżała, choć wcale nie było zimno. Było jej smutno, przykro, po prostu okropnie.

Usłyszała za sobą kroki Nicka, po chwili ją objął. Tak normalnie, zwyczajnie, a przecież było w tym tyle czułości. Już się nie trzęsła. Była spokojna, a zarazem chciałaby sobie popłakać. To takie dziwne, pomyślała. Przecież ona nie umiała płakać.

Oparła się o Nicka, bezradnie wtuliła głowę w jego piersi. Nie myśleć, o niczym nie myśleć.

Nagle zebrała się w sobie, zaczęła przywoływać swoją siłę, swoją samotność. Gdy jej mięśnie lekko się napięły, gdy zaczęła odsuwać się od Nicka, ten szepnął jej do ucha:

– Powinnaś już wiedzieć, Maggie, że nic, co mi powiesz albo co mi pokażesz, nie zdoła mnie odstraszyć.

– Na pewno?

– Słowo.

– On ciągle ze mną jest, Nick. – Mówiła ściszonym głosem, w którym czuło się trwogę. – Nie potrafię przed nim uciec. Powinnam była wiedzieć, że znajdzie sposób, żeby nawet to mi zniszczyć.

Objął ją mocniej, muskając jej kark. Milczał. Nie próbował przekonywać, że się myliła. Nie wytaczał kontrargumentów, które przyniosłyby jej ulgę. Po prostu ją trzymał.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY

Maggie wstała przed świtem. Zostawiła Nickowi karteczkę z przeprosinami za minioną noc, dając mu krótkie instrukcje, jak ustawić alarm. Powiedział jej, że musi wracać do Bostonu, bo czekał go trudny proces, ale zarazem szukał jakiegoś pretekstu, by wymigać się od wyjazdu. Było to nawet zabawne. Poważny pan prokurator kombinował, jak by tu urwać się z sali sądowej, niczym uczniak zastanawiający się nad wagarami. Maggie jednak nie roześmiała się, tylko z powagą stwierdziła, że nie chce, by przez nią rujnował sobie karierę. Jest przecież nowy w tej pracy i łatwo może narobić sobie tyłów. Zabrzmiało to tak bardzo rozsądnie, że Nick nie miał już nic do dodania.

Lecz Maggie nie powiedziała prawdy. Wcale nie chodziło o proces. Nie chciała, by Nick z nią został, bo musiała go chronić przed Stuckym.

Po drodze wpadła do Tully’ego. Nie spodziewał się jej. Był w dżinsach, białej koszulce i na bosaka. Nie zdążył się jeszcze ogolić, miał nieuczesane, nastroszone włosy. Wpuścił ją do środka bez wielkich powitań i zebrał rozrzucone strony „Washington Post”.

– Robię kawę. Napije się pani?

– Nie, dzięki. – Chciała mu powiedzieć, że nie ma czasu na kawę. Co jest, nie czuł tego, że sprawa jest pilna?

Zniknął w kuchni. Nie poszła za nim. Usiadła na twardej, pachnącej nowością sofie. Dom był nieduży i jeszcze nie do końca umeblowany, a to, co już było, w większości musiało pochodzić z komisu. Przypomniało jej się mieszkanie, które dzieliła z Gregiem w czasie studiów. Telewizor stał na skrzynce. Za biblioteczkę robiły dwa bloki betonu i deska. Brakowało tu jedynie plastikowego fotela w kolorze limonki. Sofa i czarna halogenowa lampa stojąca były jedynymi nowymi przedmiotami w tym domu.

Do pokoju weszła jakaś dziewczyna, mogła mieć czternaście, może piętnaście lat. Zaspana przecierała oczy, nie zwracając uwagi na Maggie. Była w samej nocnej koszuli. Miała rozczochrane, długie jasne włosy, szła jak lunatyk. Maggie rozpoznała w niej nastolatkę ze zdjęcia, które Tully trzymał na swoim biurku. Dziewczyna klapnęła na duże krzesło na wprost telewizora, znalazła pilota między poduszkami i zaczęła skakać po kanałach. Maggie nie była zadowolona, że poderwała na nogi cały dom, ale w końcu był już ranek, a nie środek nocy.

Dziewczyna przestała zmieniać kanały i zatrzymała się na lokalnych wiadomościach. Maggie zobaczyła na ekranie znany jej już postój dla ciężarówek. Młody dziennikarz pokazywał ręką na szary pojemnik na śmieci otoczony żółtą taśmą.

– Emma, wyłącz, proszę – polecił Tully, zerknąwszy na ekran. Trzymał dzbanek pełen kawy, której zapach rozszedł się po pokoju. Podał Maggie zimną puszkę dietetycznej pepsi.

– Co to? – spytała zaskoczona.

– Pamiętam, że pije to pani zamiast porannej kawy.

Przyjrzała mu się, zdumiona, że to zauważył. Nikt prócz Anity nie pamiętał, że miała taki zwyczaj.

– Pomyliłem się? Ma być normalna, nie dietetyczna?

– Nie, nie, dietetyczna – powiedziała, odbierając od niego puszkę. – Dzięki.

– Emmo, to jest agentka specjalna Maggie O'Dell. A to moja źle wychowana córka, Emma.

– Cześć, Emma.

Dziewczyna podniosła wzrok i zdobyła się na uśmiech, który nie był ani szczery, ani miły.

– Emmo, skoro już wstałaś, ubierz się jak człowiek.

– Tak, dobra. Zaraz. – Podniosła się z ociąganiem i wyszła z pokoju.

– Przepraszam – rzekł Tully. – Czasem mam wrażenie, jakby UFO porwało moją prawdziwą córkę, podrzucając w zamian coś takiego.

Maggie uśmiechnęła się i otworzyła puszkę z pepsi.

– Ma pani dzieci?

– Nie. – Odpowiedź była prosta. Maggie odnotowała jednak, że Tully spojrzał na nią z oczekiwaniem, jakby czekał na coś więcej. – Agentce FBI trochę trudniej dorobić się rodziny niż agentowi.

Tully tylko skinął głową.

– Mam nadzieję, że nie obudziłam również pańskiej żony.

– O, to musiałaby pani być rzeczywiście wyjątkowo głośna.

– Słucham?

– Moja żona mieszka w Cleveland… to znaczy moja była żona.

Wciąż był to dla niego drażliwy temat. Maggie poznała to po tym, że unikał jej wzroku. Pił kawę, obejmując kubek obiema rękami, nie spiesząc się. Nagle przypomniał sobie, że nie spotkali się na towarzyskiej herbatce podczas weekendu, poderwał się i zaczął kopać w papierach. Maggie zapytała się w duchu, czy w ogóle istnieje jakaś uporządkowana sfera w życiu agenta Tully'ego?

Ten zaś właśnie rozkładał mapę.

– Z tego, co mi pani powiedziała przez telefon, domyślam się, że to musi być gdzieś w tej okolicy.

Spojrzała z bliska na zakreślone miejsce. A myślała, że wcale jej nie słuchał, kiedy zadzwoniła z samochodu, wyrywając go ze snu.

Tully kontynuował:

– Jeśli Rosen zgubił się w tym lesie, trudno powiedzieć dokładnie, gdzie to się stało. Kiedy przekracza się Potomac płatnym mostem, trafia się w ten obszar, jakieś siedem i pół kilometra szerokości na dwadzieścia pięć długości. Z trzech stron otoczony jest rzeką niczym półwysep. Płatny most biegnie nad jego górną częścią. Na tej mapie nie ma na półwyspie żadnych dróg. Wygląda na to, że jest tam tylko las, pewnie też skały, no i dzikie zwierzęta. To trudny teren. Innymi słowy, doskonała kryjówka.

– I niełatwo stamtąd uciec – rzuciła podekscytowana Maggie. To jest to. To tam Stucky ukrywa się i przetrzymuje swoją kolekcję ofiar. – Kiedy ruszamy?

– Chwileczkę. – Tully usiadł i sięgnął po kawę. – Musimy się trzymać przepisów.

– Stucky uderza zdecydowanie i szybko, a potem natychmiast znika. – Już była wściekła. Za nic nie chciała dłużej czekać. – W ciągu tygodnia zabił trzy kobiety i zapewne porwał dwie następne. To są tylko te, o których mamy informacje.

– Wiem – powiedział za spokojnie jak dla niej.

Czy jest jedyną osobą na ziemi, która rozumie tego szaleńca?

– Może to znowu powtórzyć, porwać kogoś i zniknąć w każdej chwili. Nie wolno nam czekać na nakaz sądowy ani na pomoc policji stanowej, ani na co tam, do cholery, zamierza pan czekać!

Tully popijał kawę małymi łykami, patrząc znad kubka.

– Skończyła pani?

Maggie skrzyżowała ramiona na piersi i usiadła prosto. Żałowała, że w ogóle do niego zadzwoniła. Na pewno zdołałaby namówić Rosena do zorganizowania grupy rozpoznawczej, mimo że interesujący ją teren znajdował się po drugiej stronie rzeki, czyli należał do innego stanu, a więc podlegał innej jurysdykcji.

– Proszę posłuchać. Dyrektor Cunningham kontaktuje się z urzędnikami w Marylandzie.

– Cunningham? Dzwonił pan do Cunninghama? No pięknie.

– Chciałem dowiedzieć się, do kogo należy ten teren. – Zignorował jej wybuch i mówił dalej. – Otóż poprzednio

należał do rządu, co może tłumaczyć obecność dziwnych substancji chemicznych w błocie. Prawdopodobnie prowadzili tam jakieś badania. Przed około czterema laty ziemię tę nabyła prywatna korporacja o nazwie WH Enterprises. Nie ma żadnych dostępnych informacji na jej temat, żadnych dyrektorów, zarządu, nic.

– Od kiedy to FBI potrzebuje pozwolenia na poszukiwania seryjnego zabójcy?

– Działamy intuicyjnie, agentko O'Dell. Nie możemy wysłać brygady antyterrorystycznej, skoro nie wiemy, co się tam znajduje. Błoto świadczy co najwyżej o tym, że Stucky był w tej okolicy, lecz wcale nie dowodzi, że wciąż tam przebywa.

– Niech cię szlag, Tully! – Maggie wstała i zaczęła nerwowo krążyć po pokoju. – To jedyny trop, jaki mamy, a pan, zamiast gnać na poszukiwanie mordercy, rozbiera to wszystko na kawałki.

– Nie chce pani wiedzieć, w co się pani pakuje tym razem? – Podkreślił zwrot „tym razem". Wiedziała, że nawiązuje do sierpnia poprzedniego roku, kiedy zapędziła się za Stuckym do opuszczonego magazynu w Miami. I tak jak teraz, szła tylko za przeczuciem. Czy możliwe, żeby Stucky chciał powtórzyć tamtą historię?

– Co pan proponuje?

– Zaczekamy – rzekł Tully tak po prostu. – Dowiemy się, co tam jest. Urzędnicy z Marylandu i ich ekipa rozpoznawcza wyposażą nas w pewną wiedzę. Dowiemy się, kto jest właścicielem tego terenu. Wszystko jest możliwe.

Nie chcemy przecież wkraczać na prywatny teren, jeżeli na przykład jakaś banda białych rasistów przechowuje tam arsenał, który może wysadzić naszą planetę.

– O jakim czasie mówimy?

– Podczas weekendu nie zdołamy skontaktować się ze wszystkimi potrzebnymi osobami.

– Ile, agencie Tully?

– Dzień. Najwyżej dwa.

Patrzyła na niego, rozszarpywana złością.

– Powinien pan już wiedzieć, co może zrobić Stucky przez dzień lub dwa.

Spokojnie podeszła do drzwi i wyszła, ogłaszając trzaśnięciem drzwi, co naprawdę myśli o czekaniu.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY PIERWSZY

Tully zapadł się w fotel, położył głowę na poduszce. Słyszał, jak O’Dell trzaska drzwiami samochodu, naciska gaz i wyładowuje swoją wściekłość, ruszając z podjazdu jak rakieta. Do diabła, on też był nieźle wkurzony. Chciał złapać Stucky’ego równie mocno jak ona. Wiedział też, że dla niej była to sprawa osobista. Nie wyobrażał sobie nawet, co czuła. Trzy kobiety, każdą z nich poznała choćby pobieżnie, i wszystkie trzy straciły życie w tak okrutny sposób tylko dlatego, że miały nieszczęście ją spotkać.

Podniósł wzrok. Emma stała w drzwiach, wsparta o ścianę, i patrzyła na niego. Nie przebrała się, nawet nie raczyła się uczesać. Poczuł nagle, że nie ma siły zwracać jej znów uwagi. Nie spuszczała z niego wzroku. Przypomniał sobie, że córka z nim nie rozmawia. No cóż, ciche dni. Niech jej będzie. On też się do niej nie odezwie. Oparł głowę z powrotem na poduszce.

– To twoja nowa partnerka?

Nie zmieniając wygodnej pozycji, zerknął na Emmę. Nie chciał, żeby zobaczyła, jak bardzo zaskoczyła go tym zawieszeniem broni. A może po prostu się zapomniała?

– Taa. O’Dell jest moją nową partnerką.

– Była na ciebie naprawdę wkurzona.

– Taa, chyba tak. Chyba już tak działam na kobiety.

Emma uśmiechnęła się, zdumiewając go jeszcze bardziej. Odpowiedział jej uśmiechem, a potem roześmiał się. Emma dwoma susami podskoczyła do niego i siadła mu na kolanach, jak miała w zwyczaju robić, kiedy była małą dziewczynką. Objął ją mocno i trzymał, żeby nie zmieniła zdania i nie uciekła. Umościła się, wsadzając głowę pod jego brodę.

– Lubisz ją?

– Kogo? – Tully zapomniał już, o czym rozmawiali. Tak dobrze było trzymać córkę w objęciach.

– O'Dell, twoją nową partnerkę.

– Taa, chyba ją lubię. Jest bardzo inteligentna, no i twarda z niej sztuka.

– Jest bardzo ładna.

Zawahał się. Może Emma martwi się, że ucieknie ze swoją współpracowniczką, podobnie jak zrobiła to jej matka?

– Maggie O'Dell i ja pracujemy razem, Emmo. Nic więcej prócz pracy nas nie łączy.

Emma siedziała cicho. Wolałby, żeby podzieliła się z nim swoimi lękami, jeśli coś ją dręczyło.

– Naprawdę była na ciebie wkurzona – powiedziała wreszcie, chichocząc.

– Przejdzie jej. Bardziej martwię się o ciebie.

– O mnie? – Przekręciła się, żeby spojrzeć mu w oczy.

– No. Ty też jesteś na mnie wkurzona.

– Aha – powiedziała, znów się moszcząc. – Ale już mi przeszło.

– Naprawdę?

– Pomyślałam, że skoro nie wydam forsy na tę imprezę, to zamiast tego mogłabym sobie kupić takiego odjazdowego walkmana.

– Naprawdę? – Tully uśmiechnął się. Tak, z pewnością nigdy nie zrozumie kobiet.

– Nie bój się. Zaoszczędziłam sobie. – Wykręciła się z jego uścisku i zeskoczyła z kolan. Stała teraz na wprost niego ze splecionymi rękami, czekając na odpowiedź. Wreszcie przypominała tę dziewczynkę, którą znał tak dobrze. – Możemy dzisiaj skoczyć do sklepu?

Czy płacenie przedmiotami za dobre zachowanie to właściwy sposób na wychowanie nastolatki? Nie chciało mu się tego analizować. Powiedział:

– No pewnie. Pójdziemy po południu.

– Ekstra!

Patrzył, jak Emma pomknęła do swojego pokoju. Wstał i podszedł do małego stolika. Wziął do ręki jedną z teczek i zaczął ją przeglądać. Był tam raport policyjny, kopia wyników badania DNA, plastikowy woreczek z połyskującym metalicznie błotem wraz z fachowym opisem i wypis z kliniki weterynaryjnej Rileya.

Poprzedniego wieczoru inspektor Manx dał mu teczkę Rachel Endicott, zaginionej sąsiadki O’Dell, o której porwanie Maggie podejrzewała Stucky’ego. Z dowodów i raportu z laboratorium nawet arogancki i uparty Manx wywnioskował, że pani Endicott rzeczywiście mogła zostać uprowadzona. Widząc tego ranka, że Maggie jest bliska załamania nerwowego, Tully nie mógł się zdecydować, czy

w ogóle pokazywać jej tę teczkę. Według testu DNA Albert Stucky był w domu Rachel Endicott, a co więcej, zjadł tam kanapkę i kilka batoników. Tully nie miał już cienia wątpliwości, że Stucky skosztował także Rachel Endicott.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY DRUGI

Maggie jechała bez celu, byle tylko spalić rozsadzającą ją złość. Po godzinie zajechała na zatłoczony parking przed knajpą, gdzie serwowano naleśniki. Miała nadzieję, że drobna przekąska ukoi jej nerwy i żołądek. Stanęła w drzwiach z ręką na klamce i rozejrzała się, o mały włos nie wpadając na jakąś parę, po czym pognała z powrotem do samochodu. Zabrakło jej odwagi, żeby zamówić śniadanie. Bo jak mogłaby narazić życie kolejnej kelnerki?

Jadąc dalej, rzucała dokoła nerwowe spojrzenia, sprawdzała wsteczne lusterko i przewiercała wzrokiem każdy mijający ją pojazd. Zjechała z drogi międzystanowej, przemierzając kilkanaście kilometrów opuszczoną, wyboistą dwupasmówką, po czym wróciła na międzystanową. Po kilku kolejnych kilometrach zatrzymała się na postoju, objechała go, zaparkowała, odczekała chwilę i znów ruszyła w kierunku drogi międzystanowej.

– No, Stucky – powiedziała do wstecznego lusterka. – Gdzie jesteś, do diabła? Jedziesz za mną? Jesteś tam?

Próbowała dodzwonić się do Nicka z komórki, ale najwyraźniej pojechał już do Bostonu. Rozpaczliwie poszukiwała czegoś, czegokolwiek, co odwróciłoby jej myśli. W końcu zadzwoniła do matki. Przemknęło jej nawet przez myśl, żeby pojechać do Richmondu. Tam na pewno

zapomniałaby na jakiś czas o Stuckym. Jednak po czwartym sygnale włączyła się automatyczna sekretarka.

– Nie mogę w tej chwili podejść do telefonu – oznajmił tak radosny głos, że Maggie pomyślała, iż musiała się pomylić. – Proszę zadzwonić później i pamiętać, że Bóg chroni tych, którzy sami nie potrafią się ochronić.

Maggie rozłączyła się natychmiast. O Boże, pomyślała. Niestety nie pomyliła się i wykręciła właściwy numer. Rozpoznała głos swojej matki, tę charakterystyczną chrypkę nałogowej palaczki, której nie przesłoniła nawet radosna nuta. Potem przypomniała sobie, co Greg mówił o wyjeździe matki z miasta. Oczywiście była z wielebnym Everettem, kimkolwiek jest ten cholerny gość. Nadal siedzą w Las Vegas. Czy to nie tam właśnie maniakalno-depresyjni alkoholicy poszukują Boga?

Maggie spostrzegła, że kończy jej się benzyna, więc zjechała na boczną drogę i znalazła stację Amoco. Dopiero kiedy zdjęła zakrętkę baku, stwierdziła, że nie jest to stacja samoobsługowa. Spojrzała do środka budynku, a gdy ujrzała za ladą blondynkę o kręconych włosach, w jednej chwili zamknęła bak i wsiadła do samochodu.

Zrobiła jeszcze dwa podejścia i pokonała trzydzieści pięć kilometrów, zanim udało jej się znaleźć samoobsługową stację. Ale nerwy Maggie były u kresu wytrzymałości. Głowa jej pękała, dokuczały mdłości i uczucie pustki w żołądku. Nie miała dokąd pójść. Ucieczka nie była dobrym rozwiązaniem. Nie mogła zwabić Stucky’ego. Chyba że już na nią gdzieś czekał.

Postanowiła zaryzykować i pojechać do domu.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY TRZECI

Tess biegła, choć noga w kostce pulsowała bólem i krwawiła. Owinęła ją niezdarnie oderwanym rękawem bluzki, lecz niewiele to pomogło. Biegła, nie wiedząc dokąd. Zachmurzone niebo groziło nową eksplozją. Dwa razy natknęła się na występ skalny nad samą wodą. Gdyby umiała pływać, nie namyślałaby się, jak daleko jest do drugiego brzegu. Dlaczego nie udaje jej się wymknąć z tego więzienia drzew, pnączy i stromych grani?

Cały ranek jadła maliny i piła z błotnego dna rzeki, nie patrząc, co wpada w jej skulone dłonie. Gdy ujrzała swoje odbicie w wodzie, przestraszyła się. Potargane włosy, podarte ubranie, zadrapania i siniaki. Wyglądała jak wariatka. Ale czy nie do tego właśnie stanu została zredukowana? Tak jak nieszczęsna Rachel.

Nie wiedziała, ile czasu minęło, od kiedy przylgnęła do ściany w kącie nory. Kołysała się wstrząsana szlochem, miotana obecnym bólem i równie strasznymi wspomnieniami. Pojawiała się twarz jej prześladowcy, a zaraz potem wrzeszczała na nią ciotka, wymachując zakrzywionym palcem, czuła na sobie obleśne dłonie wuja. Nie miała pojęcia, czy siedziała tam już dobę, dwie, może nawet trzy. Czas jakby przestał istnieć, Tess trwała poza nim w dojmującym bólu całej swej egzystencji, wydana na pastwę całego zła, jakiego zaznała w swym życiu.

Pamiętała, co wydobyło ją z tego otępienia. Poczuła czyjąś obecność, człowieka albo zwierzęcia. Coś poruszyło szeleszczącymi liśćmi tuż nad krawędzią nory. Spodziewała się, że ujrzy nad sobą tamtego mężczyznę, drapieżnika czającego się do ataku. Było jej wszystko jedno. Chciała, żeby to się skończyło. Okazało się jednak, że to nie on, że to nie tamten zboczeniec, nawet nie drapieżny ptak. Do nory zaglądał jeleń. Młody, dorodny, spoglądał na nią z zaciekawieniem. Tess pomyślała wtedy, że to bardzo dziwne, by istota tak piękna i niewinna żyła na ziemi szatana.

Wówczas zebrała się w sobie i podjęła decyzję. Nie umrze jeszcze. Nie tu. Nie w tym piekle na ziemi. Troskliwie przykryła zmarłą Rachel gałęziami sosny, a potem wdrapała się na górę. Paradoksalnie, po opuszczeniu tego ziemnego grobu, który stał się dla niej swoistym sanktuarium, nie poczuła ulgi. Po wielu kilometrach biegu i marszu Tess miała wrażenie, że znajduje się w większym niebezpieczeństwie niż w stęchłej norze.

I nagle zobaczyła, że przez drzewa na grani prześwieca coś białego. Zaczęła wspinać się z nową energią, chwytając za korzenie, nie bacząc, że dotkliwie rani sobie dłonie. Kiedy wreszcie znalazła się na górze, była bliska omdlenia, za to miała lepszy widok. Ukryty za potężnymi sosnami stał imponujących rozmiarów biały drewniany dom.

Serce Tess zaczęło bić szybciej. Zamrugała, ale obraz nie zniknął, nie był mirażem. Poczuła niewiarygodne ukojenie na widok smugi dymu unoszącej się z komina. Czuła już

nawet zapach drewna płonącego w kominku. Słyszała dźwięk dzwoneczków informujących o sile wiatru, a po chwili dojrzała je wiszące na ganku. Przed domem w pełnej krasie kwitły tulipany i żonkile. Poczuła się jak Czerwony Kapturek, który odnalazł drogę do ciepłego, gościnnego domu babci. Wtem zdała sobie sprawę, co to naprawdę znaczy, i zrozumiała, że bajka może okazać się rzeczywistością. W jej uszach zadzwoniło na alarm. Obleciał ją strach. Odwróciła się do ucieczki i wtedy się z nim zderzyła. Chwycił ją za nadgarstki, uśmiechał się. Boże, wyglądał naprawdę jak wilk.

– Czekałem na ciebie, Tess – rzekł spokojnie, kiedy próbowała wyrwać się z jego stalowego uścisku. – Tak się cieszę, że znalazłaś drogę.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY CZWARTY

Waszyngton, Dystrykt Kolumbia
Poniedziałek, 6 kwietnia

Maggie nie mogła wprost uwierzyć, że Cunningham stanowczo upiera się przy jej poniedziałkowej wizycie u doktora Jamesa Kernana. Była już wystarczająco przygnębiona tym, że musieli czekać na jakieś nieoficjalne pozwolenie od władz stanu Maryland. Do cholery, skąd pewność, że Stucky się o tym nie dowie? Jeśli są jakieś przecieki, Stucky po prostu się rozpłynie. Ale minie kilka miesięcy i znów o nim usłyszą.

Wyruszyła wściekła, z nerwami napiętymi jak postronki. Najpierw godzinna jazda do Waszyngtonu w porannych korkach, a potem czekanie, bo Kernan jak zwykle się spóźnił. Wszedł, szurając nogami i cuchnąc tytoniem. Wyglądał, jakby dopiero co wstał z łóżka. Jego byle jaki brązowy garnitur był mocno wygnieciony, rozwiązana sznurówka ciągnęła się w tyle. Przylizał siwe włosy śmierdzącym żelem. A może Maggie czuła tylko przenikliwy zapach rozgrzewającej maści ben-gay? W każdym razie facet wyglądał jak bezdomny pacjent szpitala dla czubków.

I znów nie raczył zauważyć jej obecności, tylko wiercił się na skrzypiącym krześle, aż w końcu znalazł wygodną pozycję, jednak Maggie była zbyt wściekła, żeby czuć się

zastraszona czy onieśmielona. Nie obchodziło jej, do jakich odkrywczych wniosków doszedł szanowny profesor w kwestii jej stanu psychicznego. Żadne słowo, żadne działanie Kernana nie było w stanie uleczyć czy choćby ulżyć nawałnicy, która tłukła się w niej jak bomba zegarowa, gotowa w każdej chwili wybuchnąć.

Maggie tupała i stukała palcami w oparcie krzesła. Patrzyła, jak Kernan łowi coś w bałaganie na biurku. Boże, jak ona ma już dość tego burdelu na każdym kroku. Najpierw Tully, teraz Kernan. Jak ci ludzie w ogóle funkcjonują?

Westchnęła. Kernan spojrzał na nią gniewnie zza grubych szkieł, a potem ściągnął usta i karcąco cmoknął. Patrzyła na niego, jawnie i bez skrupułów okazując pogardę i wściekłość.

– Spieszymy się dokądś, agentko specjalna Margaret O'Dell? – zapytał, zakładając palcem stronę w czasopiśmie.

Spojrzała na jego palce, a przy okazji zobaczyła, co to za gazeta. No nie, na Boga, to był „Vogue"!

– Tak, akurat ja się spieszę, doktorze Kernan. Prowadzę bardzo ważne śledztwo i chcę wrócić do pracy.

– Myśli pani, że go pani znalazła?

Zaskoczona podniosła wzrok. Ile mógł wiedzieć? – zastanawiała się. Jednak Kernan siedział z nosem w czasopiśmie. Czy to możliwe, że Cunningham coś mu powiedział? No bo jak inaczej zdobyłby takie informacje?

– Być może nam się udało – powiedziała, nie podając żadnych szczegółów.

– I wszyscy każą pani teraz czekać, co? Pani partner, szef, no i ja. A przecież wszyscy wiemy, jak bardzo Margaret O’Dell nie znosi czekania.

Naprawdę nie miała czasu na jego głupie gierki.

– Możemy zacząć, jeśli wolno prosić?

Kernan podniósł głowę i zdziwiony znów popatrzył na nią znad okularów.

– Co chce pani zacząć? Potrzebne pani jakieś specjalne rozgrzeszenie? Jakieś pozwolenie, żeby go ścigać?

Odłożył gazetę, wyprostował się i położył ręce na piersi. Wpatrywał się w nią, jakby spodziewał się odpowiedzi, bliższego wyjaśnienia. Maggie nie miała zamiaru spełniać jego oczekiwań. Zamiast tego wciąż nie spuszczała z niego wzroku.

– Chciałaby pani, żebyśmy zeszli pani z drogi – ciągnął. – Czy tak, agentko Margaret O’Dell? – Przerwał na chwilę.

Maggie zacisnęła wargi, odmawiając odpowiedzi, wobec czego mówił dalej:

– Chce pani biec za nim sama, ponieważ tylko pani może go złapać. Och nie, przepraszam. Tylko pani może go powstrzymać. Czy nie myśli pani przypadkiem, że gdy już pani go powstrzyma, gdy pani tego dokona, ten fakt rozgrzeszy panią, zmaże pani swoje winy?

– Gdybym szukała rozgrzeszenia, doktorze Kernan, siedziałabym teraz w kościele, a na pewno nie w tym gabinecie.

Uśmiechnął się cienkimi wargami. Maggie uświadomiła sobie, że po raz pierwszy w życiu widziała jego uśmiech.

– Będzie pani potrzebowała rozgrzeszenia, kiedy trafi pani Alberta Stucky’ego między oczy.

Drgnęła, przypominając sobie poprzednie spotkanie z doktorem Kernanem i swój brak opanowania. A to z kolei przypomniało jej, że wciąż nad sobą nie panowała, tyle że teraz złość dawała jej złudne poczucie, jakoby niebezpieczna krawędź znajdowała się nie tak znów blisko. Czy ją w ogóle zobaczy, jeżeli nie pozbędzie się złości? Czy dostrzeże, kiedy zacznie się po niej ześlizgiwać? Czy upadek, który potem nastąpi, powali ją ostatecznie?

– Może zbyt długo mam do czynienia ze złem, żeby zastanawiać się, jak je zniszczyć – powiedziała, nie ważąc już specjalnie słów. I tak nie będzie w stanie wykorzystać ich przeciw niej. Nikt nie może zranić jej mocniej, niż zrobił to Stucky. – Może – ciągnęła, dając upust wściekłości – muszę być tak zła jak Albert Stucky, żeby go powstrzymać.

Kernan spojrzał na nią jakoś inaczej. Rozważał jej słowa. Rzuci jej jakąś przemądrzałą ripostę? Wypróbuje na niej swoją przewrotną psychologię? Nie jest już przecież jedną z jego naiwnych studentek. Miała do czynienia z graczami dziesięć razy bardziej zakręconymi niż on. Skoro potrafiła skutecznie uczestniczyć w grze Alberta Stucky’ego, doktor James Kernan jest dla niej łatwym przeciwnikiem, pokona go jak dzieciaka.

Przygwoździła go wzrokiem. Czyżby udało jej się odebrać temu staremu mowę?

Wreszcie Kernan usiadł wygodnie, oparł łokcie na zagraconym biurku i złączył palce.

– A zatem co panią martwi, Margaret O’Dell?

Nie miała pojęcia, o co mu chodziło, nie pokazała jednak tego po sobie.

– Jest pani zmartwiona – rzekł powoli, jakby dotykał delikatnego tematu. To było do niego niepodobne, dlatego natychmiast Maggie nabrała podejrzeń. Czy to jeden z jego słynnych trików, czy też faktycznie się o nią tak troszczył? Miała nadzieję, że to sztuczka. Z tym dałaby sobie radę, lecz jeśli chodzi o troskę, nie była już taka pewna.

– Martwi się pani – zaczął znowu – że być może jest pani zdolna popełnić takie samo zło, jakiego dopuszcza się Albert Stucky?

– Czy to nie jest problem nas wszystkich, doktorze Kernan? – Czekała chwilę na jego reakcję. – Czy nie to miał na myśli Jung, twierdząc, że każdy z nas ma swoją ciemną stronę? – Przyglądała mu się badawczo, chcąc się przekonać, jak Kernan się zachowa, jak się poczuje, gdy uświadomi sobie, że został zaatakowany własną bronią przez swoją studentkę. – Ludzie źli robią to, o czym dobrzy tylko myślą. Czyż nie tak, doktorze Kernan?

Przemieścił się na krześle. Miała ochotę policzyć, ile razy mrugnął powiekami. Miała ochotę uśmiechnąć się, bo przyłożyła mu nóż do gardła. Nie było to jednak zwycięstwo.

– Wierzę… – zawahał się, odchrząknął – otóż wierzę, że Jung mówi nam, iż zło jest równie istotnym komponentem ludzkiego zachowania, jak dobro. Że zaakceptowanie go w sobie wymaga wysiłku. Ale nie, nie znaczy to, że wszyscy

jesteśmy zdolni do takiego zła jak Albert Stucky. Jest różnica, droga agentko O’Dell, pomiędzy wdepnięciem w zło a dobrowolnym zanurzeniem się w nim i czerpaniem z tego rozkoszy.

– Czy jednak można nie wpaść w to zło?

Coś ścisnęło ją za gardło, gdy skryte, tłumione pragnienie wreszcie wydostało się na powierzchnię. Już nie mogła udawać, że to coś w niej nie siedziało. Marzyła nie o sprawiedliwości, ale o osobistej zemście. Poddała się diabelskiej emocji, poddała się złu. Uległa ciemnej stronie swej natury, i być może był to proces bezpowrotny. Czyżby stała się samym złem? Czyżby już zatonęła?

– Coś pani powiem, O’Dell, i proszę mnie uważnie wysłuchać. – Oparł się, twarz miał poważną, powiększone przez okulary oczy przyszpilały ją do krzesła tą niepasującą do niego troską. – Mam w dupie Junga i Freuda, kiedy w grę wchodzi taki koszmar. Proszę coś zapamiętać, i tylko to, Maggie O’Dell. Decyzje, które podejmuje się w ułamku sekundy, zawsze odkrywają naszą prawdziwą naturę, nasze autentyczne ja. Czy nam się to podoba, czy nie. I kiedy przychodzi ten ułamek sekundy, nie myśl, nie analizuj, nie czuj i nie odgaduj cudzych zamiarów. Po prostu reaguj. Uwierz. Uwierz sobie. Zrobisz tak, właśnie tak, a założę się, że na twoich butach będzie tylko trochę błota.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY PIĄTY

Tully stukał w klawiaturę laptopa. Komputer w jego pokoju był dużo szybszy, ale Tully nie mógł opuścić sali konferencyjnej. Nie teraz, kiedy wykonał te wszystkie telefony i rozłożył na długim stole wszystkie papiery dotyczące sprawy. Agentka O'Dell wścieknie się na ten bajzel. Chociaż z drugiej strony była już wystarczająco wściekła. Nie widział się z nią od chwili, gdy poprzedniego dnia wybiegła z jego domu.

Dyrektor Cunningham poinformował go, że O'Dell spędzi cały ranek w Waszyngtonie na wcześniej umówionym spotkaniu. Nie rozwijał tematu. I tak doskonale orientował się, że Maggie spotka się z psychologiem. Może to ją trochę wyciszy. Potrzebny jej dystans. Musi zrozumieć, że nikt niczego nie odpuszcza, że wszyscy robią, co potrzeba, i to możliwie najszybciej. O'Dell musi wydostać się z kleszczy swojego lęku. Nie może widzieć mordercy w każdym kącie i spodziewać się, że rozwiąże sprawę, goniąc za nim z ze spluwą.

Tully musiał jednak przyznać, że również z trudem wytrzymywał to oczekiwanie. Urzędnicy z Marylandu bali się bez dostatecznego usprawiedliwienia wchodzić na prywatny teren. Żaden departament rządowy nie przyznał ani nie zaprzeczył, że metaliczne błoto może pochodzić z zamkniętej lub sprzedanej rządowej własności.

Dysponowali zatem tylko historyjką Rosena o wyprawie na ryby i kiedy Tully powtarzał ją do znudzenia rozmaitym urzędnikom, zaczynała i w jego uszach brzmieć jak zwyczajna historyjka o wyprawie na ryby. I nic poza tym.

Gdyby chociaż interesujący ich teren nie był tak dziki, skalisty i porośnięty gęstym lasem. Nie było szans na normalne, rutynowe rozpoznanie. Z tego, co już wiedział, nie było tam żadnej publicznej drogi, a jedyny dojazd, zresztą niewyasfaltowany, zamykała brama z fotokomórką, założoną jeszcze w czasach, kiedy teren należał do rządu, i mieli tam dostęp tylko właściciele, kimkolwiek byli. Tully gorączkowo ich poszukiwał, wciąż mając nadzieję, że wreszcie zdoła odkryć, kto albo co kryje się za WH Enterprises.

Postanowił skorzystać z nowego serwera i ponownie wystukał nazwę firmy. Wpatrywał się w linijkę, która pełzła w dole ekranu, informując go: 3 procent dokumentu przeniesione… 4 procent, 5 procent. To się nigdy nie skończy.

Uratował go telefon. Natychmiast chwycił za słuchawkę.

– Tully.

– Agencie Tully, mówi Keith Ganza z laboratorium. Powiedzieli mi, że agentki O’Dell nie ma dzisiaj w pracy.

– To prawda.

– Da się ją jakoś złapać? Może na komórkę? Ma pan jej numer?

– Rozumiem, że to coś ważnego.

– Sam nie wiem, chyba Maggie musi zdecydować.

Tully wyprostował się. Ganza mówił dość jednostajnym głosem, ale niepokojący był sam fakt, że nie chciał z nim rozmawiać. Czyżby O’Dell kombinowała coś z Ganzą za jego plecami?

– Czy to ma coś wspólnego z testami, które pan robił? Wie pan zapewne, że pracujemy nad tą sprawą razem z agentką O’Dell.

W słuchawce zapadło milczenie. Czyli miał rację.

– Mam do niej parę spraw – powiedział w końcu Ganza. – Nasiedziałem się nad tymi pierwiastkami zawartymi w błocie i odciskami palców, a teraz zabrałem się do worka ze śmieciami.

– Nie było tam nic niezwykłego poza papierkami od batonów.

– Mogę to wytłumaczyć.

– Papierki od batonów? – Tully nie mógł uwierzyć, że Ganza traci czas na takie drobiazgi.

– Znalazłem małą fiolkę i strzykawkę na dnie worka. To insulina. Możliwe, że poprzedni właściciel domu cierpiał na cukrzycę, chociaż w takim wypadku powinniśmy znaleźć tego więcej. Poza tym większość cukrzyków, których znam, nie wyrzuca strzykawek byle jak.

– Co więc pan sądzi, Keith?

– Mówię tylko, co znalazłem. Dlatego wspomniałem, że Maggie musi zdecydować, co jest ważne.

– Powiedział pan, że ma pan kilka spraw.

– No tak. – Ganza znowu się zawahał. – Maggie prosiła, żebym poszukał odcisków palców Walkera Hardinga.

Trochę mi się z tym zeszło. Facet nie był notowany, nie ma kryminalnej przeszłości, żadna broń nie jest zarejestrowana na jego nazwisko.

Tully był zdumiony, że Maggie nie powstrzymała Ganzy, kiedy dowiedzieli się z artykułu o nieuleczalnej chorobie oczu Hardinga. W takiej sytuacji nie mógł być podejrzanym.

– Proszę nie tracić czasu – powiedział do Ganzy. – Wygląda na to, że nie musimy już tego sprawdzać.

– Nie powiedziałem przecież, że nic nie znalazłem, ale że trwało to dłużej niż zwykle. Jakieś dziesięć lat temu facet pracował jako urzędnik państwowy, mamy więc jego odciski palców.

– Keith, przykro mi, że pan się fatygował. – Tully słuchał Ganzy jednym uchem, wpatrując się w ekran komputera. Skoro poszukiwanie trwa tak długo, to być może jest jednak jakaś informacja o WH Enterprises. Zaczął bębnić palcami.

– Na szczęście wysiłek się opłacił – ciągnął Ganza. – Odciski, które wziąłem z wanny, idealnie pasują do odcisków Hardinga.

Tully przestał stukać. Chwycił słuchawkę drugą ręką.

– Co pan powiedział?

– Odciski palców, które wziąłem w wannie w domu na Archer Drive, są odciskami Waltera Hardinga. Identyczne. Nie mam żadnych wątpliwości.

Fragmenty układanki wpasowywały się na swoje miejsce. Tully’emu nie podobał się powstający z nich obraz. Na stronie internetowej, którą zaprojektowano w taki sposób, że wyglądała jak konfederackie biuro informacyjne, znalazł

gry komputerowe na sprzedaż. Wszystkie miały ceny hurtowe. Poszukiwanie należało zakończyć, klikając na maleńką ikonkę, przedstawiającą flagę Konfederatów. Gry sprzedawała firma WH Enterprises. Większość z nich zawierała elementy przemocy, część miała charakter pornograficzny. To nie były gry, które dzieciaki wybierają sobie z wiedzą rodziców.

Była też tam lista zatytułowana „Lil' General's Top Ten List", zawierająca informację od szefa firmy. Tully z góry wiedział, co tam znajdzie. Wreszcie przeczytał końcowe słowa: „Szczęśliwego polowania, generał Walker Harding".

Tully zaczął chodzić po sali konferencyjnej, od okna do okna. Być może Walker Harding faktycznie miał kiedyś kłopoty ze wzrokiem, ale teraz widział jak diabli. Bo jak inaczej mógłby prowadzić taki komputerowy biznes? Jak inaczej mógłby się znaleźć w każdym miejscu zbrodni, pomagając swojemu staremu kumplowi Albertowi Stucky'emu?

– Sukinsyn – warknął głośno Tully.

A więc O'Dell miała rację. Ci dwaj działają razem. Może nawet i w tej nowej grze rywalizują ze sobą. Tak czy owak dowody mówią za siebie. Odciski palców Walkera Hardinga odpowiadają odciskom znalezionym na śmietniku, do którego wrzucono ciało Jessiki Beckwith. Te same odciski są na parasolce z Kansas City i na wannie w domu na Archer Drive.

Władze Marylandu ostatecznie potwierdziły, że na zalesionym terenie znajduje się potężny piętrowy budynek

i kilka drewnianych szałasów. Wszystkie budynki rządowe zostały wyburzone przed sprzedażą terenu. Cały teren, poinformowano Tully’ego, był z trzech stron otoczony wodą, skalisty i gęsto zadrzewiony. Oprócz ścieżki prowadzącej do budynku nie ma tam żadnych dróg. Nie doprowadzono również linii elektrycznej ani telefonicznej. Nowy właściciel używał dużego generatora prądu pozostawionego przez rząd. To miejsce było wprost wymarzone dla pustelnika, lecz mogło też stać się rajem dla szaleńca. Dlaczego wcześniej nie skojarzył, że WH Enterprises to firma Walkera Hardinga? Przecież to oczywiste.

Tully spojrzał na zegarek. Musi zadzwonić. Musi zebrać myśli. Wziął kilka głębokich wdechów, przetarł zmęczone oczy i sięgnął po słuchawkę. Obawiał się, jak O’Dell przyjmie te informacje. Czy będzie to ostatnia nić, która doszczętnie spruje jej i tak już zmaltretowaną psychikę?

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY SZÓSTY

Tess budziła się powoli. Jej ciało było kłębkiem bólu. W głowie huczało, coś ją krępowało od dołu. Nie była w stanie ani się ruszyć, ani podnieść ciężkich powiek. W ustach miała sucho, w gardle i na szyi rany. Chciało jej się pić. Oblizała wargi i z przerażeniem odkryła na nich krew.

Jednak zmusiła się, żeby otworzyć oczy. Gdy próbowała się podnieść, naciągnęła łańcuch, którym była przytwierdzona do łóżka wokół nadgarstków i stóp. Poznała wnętrze szałasu, jego wilgoć i smród. Przekręciła się, próbując się uwolnić. Poczuła pod sobą ostry, drapiący koc i wtedy dopiero zrozumiała, że jest naga. Wpadła w popłoch, po chwili zaczął się w niej panoszyć bezrozumny strach. Krzyk uwiązł jej w krtani, przemieniając się w ciche kwilenie. Poczuła w gardle potworny ból, jakby połykała żyletki.

Starała się uspokoić, próbowała myśleć, by nie dopuścić do ostatecznej klęski, do całkowitego poddania się bezrozumnemu, zwierzęcemu lękowi. Straciła już panowanie nad własnym ciałem, ale nie pozwoli nikomu przejąć kontroli nad umysłem. Przed laty odebrała już bolesną lekcję od ciotki i wujka. Nieważne, co robili z jej ciałem, nieważne, ile razy ciotka skazywała ją na areszt w ciemnym schronie lub wuj wpychał się w nią, nieważne,

jak bardzo cierpiała, ale nigdy nie straciła władzy nad swoim umysłem. Tylko w ten sposób mogła się bronić. I wybroniła się przed najgorszym, przed utratą siebie, samoświadomości. Przed utratą rozumu i tego, co zwie się wolną człowieczą duszą.

A jednak gdy usłyszała przekręcany w drzwiach klucz, Tess poddała się panice, która zaczęła zżerać jej wolę i umysł.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY SIÓDMY

Maggie skręciła gwałtownie, żeby wyminąć poruszający się ślimaczo korek. Była bliska wybuchu. Walczyła ze sobą, żeby nie wcisnąć pedału gazu do dechy. Od telefonu Tully'ego czuła się jak w gorączce. Cała złość, zrodzona w gabinecie Kernana, przetworzyła się w czystą panikę. Nie było to już ciche tykanie bomby zegarowej, tylko zbliżająca się nieuchronnie eksplozja.

Wiedziała, że Walker Harding jest zamieszany w sprawę. To brzmiało całkiem logicznie, że Stucky skontaktował się z dawnym kumplem, choć z drugiej strony tajemnicą pozostawał charakter ich współpracy. Nie chodziło o fakty, których Maggie oczywiście nie znała, ale o prawdopodobieństwo psychologiczne. Otóż dla kogoś, kto dobrze znał Stucky'ego, a Maggie przeniknęła go na wskroś, trudno było uwierzyć, by komukolwiek pozwolił sobie pomagać, nawet dawnemu wspólnikowi w interesach. Najpewniej nie chodziło więc o pomoc, ale o powtórną rywalizację, tyle że tym razem w zwyrodniałej grze. Z tego, co Tully mówił o firmie internetowej Hardinga, wnioskowała, że facet jest zdolny do równie bestialskich i zdegenerowanych wyczynów jak Stucky.

Doktor Kernan powiedział jej, że za dużo myśli, że powinna mieć więcej wiary i zaufania do siebie. Przez całe swoje życie miała wrażenie, że jest jedyną osobą, której

może zaufać. Nie było nikogo innego. Czy miał pojęcie, jak niewiarygodnie frustrujące, jak... Do diabła, czemu nie powiedzieć tego wprost? Jakie to przerażające uczucie, że nie może już ufać jedynej osobie, której ufała całe życie? Że nie może dłużej wierzyć sobie?

Miała dyplom magistra psychologii kryminalnej i psychologii behawioralnej. Wiedziała wszystko o ciemnej stronie człowieka, a także to, że posiada ją każdy. Całe mnóstwo ekspertów debatowało nad określeniem wyraźnej granicy, która dzieli dobro i zło. Wszyscy próbowali wyjaśnić, dlaczego niektórzy ludzie wybierają zło, a inni dobro. Co jest czynnikiem determinującym taki wybór? Czy ktoś w ogóle to wie?

„Wierz w siebie", powiedział jej Kernan. Stwierdził też, że decyzje, które Maggie podejmie w ułamku sekundy, wyjawią jej prawdziwe ja.

Cóż to za psychobzdety? A jeśli jej prawdziwe ja znajduje się po ciemnej stronie? Jeśli jej prawdziwe ja zdolne jest do takiego samego zła, jakie wyrządza Stucky? Dręczyło ją, że wystarczy ułamek sekundy, by wycelować i wystrzelić jedną kulę prosto między jego czarne oczy. Nie chciała go już złapać, nie chciała go aresztować i oddać w ręce prokuratorów, adwokatów i sędziów. Nie chciała, by ława przysięgłych decydowała o jego winie.

Pragnęła, żeby Albert Stucky zapłacił. Pragnęła zobaczyć w jego oczach strach. Ten sam strach, którego zaznała w Miami, gdzie pociął jej brzuch, i który od tamtej pory

wciąż jej towarzyszy, odbierając spokój za dnia, a nocą budząc koszmary i zabijając sen.

To Stucky sprawił, że toczą ze sobą prywatną wojnę. To on uczynił z niej wspólniczkę swoich zbrodni, co stało się piętnem nie do zniesienia. Jeśli udało mu się włączyć do gry Walkera Hardinga, obaj zasłużyli na unicestwienie.

Maggie zerknęła na mapę. Płatny most znajdował się około siedemdziesięciu pięciu kilometrów od Quantico. Tully wciąż czynił różne ustalenia. Minie kilka godzin, zanim zbierze wszystko zgodnie z regulaminową procedurą. A więc trzeba czekać? W ten sposób do domu Hardinga w najlepszym wypadku dotrą dopiero w nocy. Tully spodziewał się jej w Quantico w ciągu piętnastu minut. Do zjazdu z autostrady zostało piętnaście kilometrów.

Maggie wyciągnęła komórkę i zwolniła do przepisowej prędkości, by prowadzić jedną ręką. Wystukała numer i czekała.

– Doktor Gwen Patterson.

– Gwen, to ja, Maggie.

– Słychać, jakbyś dzwoniła z samochodu.

– Bo dzwonię. Wracam właśnie z Waszyngtonu. Dobrze mnie słyszysz?

– Tak sobie, ale może być. Byłaś w Waszyngtonie? Czemu nie wpadłaś? Zjadłybyśmy lunch.

– Wybacz, nie mam czasu. Gwen, słuchaj, sama zawsze powtarzasz, że nigdy o nic nie proszę, prawda? No więc proszę, potrzebuję pomocy.

– Chwileczkę. O kim ty mówisz?

– Bardzo śmieszne. – Maggie uśmiechnęła się, zdziwiona, że w takiej chwili była do tego zdolna. – Wiem, że ci nie po drodze, ale mogłabyś dziś wieczorem zajrzeć do Harveya? Wypuścić go, nakarmić... no wiesz, to co się zwykle robi z psem.

– Walczysz z seryjnymi mordercami, a mimo to przejmujesz się Harveyem? No to wpadłaś, już gadasz jak psia pańcia. Pewnie, że zajrzę i poświęcę Harveyowi swój czas. Prawdę mówiąc, to najlepsza propozycja na wieczór, jaką dostałam od dłuższego czasu, jeśli chodzi o towarzystwo płci męskiej.

– Dzięki, jestem ci bardzo wdzięczna.

– Czy to znaczy, że się zasiedzisz w pracy, czy może go znalazłaś?

Maggie zastanowiła się, od kiedy jej przyjaciele i współpracownicy, mówiąc „on”, uznają, że z oczywistych przyczyn chodzi o Alberta Stucky’ego.

– Nie wiem jeszcze, ale to najlepszy trop, jaki w ogóle złapaliśmy. Chyba miałaś rację co do tych papierków po batonach.

– Cudnie. Tylko już zapomniałam, co to było.

– Wykreśliliśmy z podejrzeń dawnego wspólnika Stucky’ego, bo facet prawdopodobnie tracił wzrok z powodu jakiejś choroby. Nowe dowody sugerują, że to może być cukrzyca. Co znaczy, że to nie jest nagła ani całkowita ślepota. I pewnie stara się powstrzymać to zastrzykami insuliny.

– Po co Stucky’emu wspólnik? Jesteś pewna, że to się trzyma kupy, Maggie?

– Nie, nie jestem pewna, że to się trzyma kupy. Ale znaleźliśmy w miejscach zbrodni odciski palców, które nie należą do Stucky’ego. Dziś rano dowiedzieliśmy się, że idealnie odpowiadają odciskom tego dawnego wspólnika Stucky’ego, Walkera Hardinga. Sprzedali swój interes jakieś cztery lata temu i prawdopodobnie ich drogi się rozeszły, ale istnieje szansa, że znowu się spotkali. Odkryliśmy też oddalony od zasiedlonych terenów kawałek ziemi, który jest zapisany na Hardinga. To doskonała kryjówka.

Maggie ponownie zerknęła na mapę. Zbliżała się do zjazdu do Quantico. Za chwilę będzie musiała podjąć decyzję. Znała skrót na płatny most. Dostałaby się tam w niecałą godzinę. Nagle uprzytomniła sobie, że Gwen milczy zbyt długo. Czyżby straciła połączenie?

– Gwen, jesteś tam?

– Mówisz, że ten wspólnik Stucky’ego nazywa się Walker Harding?

– Tak, właśnie tak.

– Maggie, w zeszłym tygodniu zaczęłam sesje z nowym pacjentem. Jest niewidomy. Nazywa się Walker Harding.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY ÓSMY

Tully oderwał faks i zaczął łączyć cztery kartki w jedną. Zarząd Parków i Rezerwatów stanu Maryland przysłał mu widok z lotu ptaka obszaru należącego do Hardinga. Trudno było zorientować się w tej biało-czarnej leśnej gęstwinie. Pierwszą rzeczą, jaka rzuciła mu się w oczy, był fakt, że z góry teren wygląda jak wyspa. Z lądem łączył go tylko wąski pasek ziemi. Z dwu stron otaczały go wody Potomacu, z trzeciej zaś jeden z dopływów tej rzeki.

– Mamy już brygadę antyterrorystyczną gotową do akcji – oznajmił Cunningham, wchodząc do sali konferencyjnej. – Patrol Stanowy Marylandu spotka się z wami po drugiej stronie płatnego mostu. Przyda się to do czegoś? – Podszedł do stołu i spojrzał na mapę, którą Tully wreszcie zlepił w całość.

– Nie widać żadnych zabudowań. Za dużo drzew.

Cunningham przesunął okulary na grzbiet nosa i pochylił się nad mapą.

– Jak rozumiem, budynek, w którym jest generator, znajduje się w północno-zachodnim rogu. – Pokazał palcem miejsce, które przypominało czarno-szarą masę. – Podejrzewam, że budynek mieszkalny jest gdzieś obok. Wiemy, jak długo Harding tam mieszka?

– Co najmniej cztery lata. Znaczy to, że zdążył się tam doskonale zorientować i zna teren jak własną kieszeń. Nie

zdziwiłbym się, gdyby miał tam schron.

– To już brzmi trochę paranoicznie. – Cunningham uniósł brwi.

– To samotnik, żył jak pustelnik do czasu, aż zabrali się ze Stuckym do interesów. Sam stworzył niektóre gry sprzedawane przez jego firmę. Może to i geniusz komputerowy, ale na pewno dziwoląg jak diabli. Sporo tu gier antyrządowych, taki bełkot białego wybrańca losu. Jedna nazywa się nawet „Zemsta Waco”. Dużo też różnych kataklizmów podobnych do Armageddonu. W 1999 roku sprzedał tego mnóstwo. To szajbus, ale ma głowę nie od parady. Nie zdziwiłbym się, gdyby był dobrze przygotowany na niechcianą wizytę.

– Co pan mówi, agencie Tully? Przypuszcza pan, że możemy mieć na głowie większy problem niż dwóch seryjnych morderców? Myśli pan, że Harding ma tam jakiś arsenał albo, co gorsza, że teren jest zaminowany?

– Nie mam żadnych dowodów, sir, uważam tylko, że powinniśmy być przygotowani na różne niespodzianki.

– Na co?

– Nie wiem, na cokolwiek. Chcę tylko powiedzieć, że jeśli Harding jest takim ekstremistą, jak sugerują to jego gry, może się wkurzyć, widząc FBI na swoich schodach.

– Pięknie. – Cunningham wyprostował się i podszedł do tablicy, na której Tully przyczepił wydruki internetowych stron Hardinga obok zdjęć z miejsc zbrodni.

– Kiedy ma tu być agentka O’Dell?

Tully ukradkiem spojrzał na zegarek. Była już pół godziny spóźniona. Wiedział, co w tej chwili myślał Cunningham.

– Powinna być lada chwila, sir – powiedział, nie dając po sobie poznać, że jego zdaniem O’Dell może w ogóle się nie pojawić. – Chyba mamy już wszystko, co trzeba. Czy może o czymś zapomniałem?

– Chcę się jeszcze spotkać z brygadą antyterrorystyczną. Powinniśmy podzielić się z nimi pańskimi podejrzeniami – powiedział Cunningham, patrząc na zegarek. – O której agentka O’Dell wyjechała z Waszyngtonu?

– Dokładnie nie wiem. Czy brygada antyterrorystyczna musi poczynić dodatkowe przygotowania? – Unikał wzroku szefa, nie chciał bowiem się zdradzić, że zmieniając temat, próbuje zyskać na czasie.

– Nie, ale muszą wiedzieć, co może ich spotkać.

Kiedy Tully podniósł wzrok, Cunningham patrzył na niego ze zmarszczonymi brwiami.

– Jest pan pewny, że agentka O’Dell do nas jedzie?

– Oczywiście, sir. Gdzie miałaby jechać, jak nie tu?

– Przepraszam za spóźnienie – odezwała się Maggie, zjawiając się jak na zamówienie.

– W samą porę – powiedział z nieskrywaną ulgą Tully.

– Potrzebuję paru minut dla brygady, potem możecie ruszać – rzekł Cunningham i wyszedł z sali.

Upewniwszy się, że nikt ich nie słyszy, Tully zwrócił się do Maggie:

– A więc jak blisko była pani płatnego mostu, kiedy zdecydowała pani zawrócić?

O’Dell spojrzała na niego zdumiona.

– Skąd pan wie?

– Zgadłem.

– Cunningham też wie? – spytała bardziej ze złością niż z obawą.

– Po co miałbym mu mówić? – Tully udawał, że jest urażony. – Są tajemnice, które dzielą ze sobą tylko partnerzy. – Chwycił pakunek z kąta, podał jej kuloodporną kamizelkę i stanął przy drzwiach. – Idziemy?

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

– Musimy zostać z tyłu, a oni spróbują podejść z nakazem rewizji – instruował Tully. Nie był pewien, czy O’Dell go słucha, za to on słyszał bicie jej serca. A może to było jego serce? Zresztą trudno było odróżnić to walenie od rozlegających się w oddali grzmotów.

Zostawili samochody dość daleko, po drugiej stronie blokującej drogę bramy. Chociaż co to za droga! Tully widział już w swoim życiu krowie ścieżki, które były w dużo lepszym stanie. Teraz, kiedy czaili się w zaroślach i błocie, Tully żałował, że nałożył porządne buty. Idiotyczna refleksja w momencie, kiedy byli o krok od schwytania Stucky’ego i Hardinga.

Patrol Stanowy Marylandu dał im do pomocy sześciu ludzi, oficjalnie w celu dostarczenia nakazu rewizji właścicielowi albo mieszkańcom domu. Gdyby nikt im nie otworzył, brygada antyterrorystyczna FBI miała zabezpieczyć teren i towarzyszyć Tully’emu i O’Dell w przeszukaniu domu i okolicy. Tully szybko dostrzegł, że wszyscy antyterroryści nosili solidne wysokie buty. Dobrze przynajmniej, że O’Dell wzięła dwie firmowe kurtki. Tully pocił się pod kuloodporną kamizelką, która nie chroniła go od wiatru. Tnący i lodowaty wiatr krążył między drzewami. Jeśli wierzyć grzmotom, niedługo powinno zacząć padać. A noc w tym lesie nadejdzie szybko, pomyślał. Wkrótce

grube chmury zakryją niebo, a oni znajdą się w kompletnej ciemności, pojawiły się już bowiem pierwsze oznaki nachodzącego zmierzchu.

– Z komina unosi się dym – szepnęła O'Dell. – Ktoś musi tam być.

W jednym z okien rozbłysło słabe światło, ale równie dobrze mogło je włączyć elektroniczne urządzenie nastawione na określoną godzinę lub reagujące na zmrok. Jednak dym mógł spowodować tylko człowiek, który rozpalił w kominku.

Dwóch policjantów zbliżało się do frontowych drzwi. Ukryci w krzakach antyterroryści posuwali się za nimi, wzdłuż brukowanej ścieżki prowadzącej do drzwi. Tully przyglądał się pilnie. Miał nadzieję, że myli się co do paranoi Hardinga i że policjanci nie staną się jego łatwym celem. Wyciągnął rewolwer i lustrował po kolei okna budynku, szukając wystających z nich luf. Otoczony lasem budynek wyglądał, jakby trafił tu z jakiejś bajki dla dzieci. Na ganku była huśtawka. Tully słyszał też dzwoneczki, które swym dźwiękiem informowały o wietrze.

Nikt nie odpowiedział na pukanie, więc policjant spróbował ponownie. Wszyscy czekali w skupieniu. Tully otarł czoło. Zdał sobie sprawę, że nagle ucichł świergot ptaków i nie słychać żadnych innych leśnych stworzeń. Może wiedziały o czymś, co niedostępne jest ludziom. Wiatr także ucichł. Grzmot zbliżył się, za ścianą drzew promień błyskawicy przeciął niebo.

– No świetnie – szepnął Tully nie wiadomo do kogo. – Nie dość, że i tak już wygląda tu dokładnie jak w „Dark Shadows”.

– „Dark Shadows”? – szepnęła O’Dell.

– Taa, taki program w telewizji. – Zerknął na nią, jej twarz była pozbawiona wyrazu. – Nie zna pani? Z Barnabusem Collinsem i The Hand? – Dalej ani śladu zrozumienia. – Nieważne. Jest pani za młoda.

– Chyba jednak wiele nie straciłam.

– No, nie wiem. „Dark Shadows” to klasyka.

Dwaj policjanci obejrzeli się przez ramię w stronę krzaków. Niezbyt dyskretni, cholera. Jeden wzruszył ramionami, drugi przyłożył ucho do drzwi, a potem znów zapukał i nacisnął klamkę. Wtedy powtórnie obejrzał się na zarośla, pokazując, że drzwi są otwarte. No jasne, pomyślał Tully, po kiego licha ktoś zamykałby tutaj drzwi?

Agent Alvando, szef brygady antyterrorystycznej, podbiegł do Tully’ego i O’Dell.

– Jesteśmy gotowi do akcji. Dajcie nam pięć minut. Wyjdę i dam znak, czy wszystko w porządku.

– Okej – powiedział Tully, ale O’Dell już stała, jakby i ona szykowała się do wejścia.

– Agencie Alvando – zaczęła, a Tully miał ochotę ściągnąć ją z powrotem w krzaki. – Jesteśmy wyszkolonymi agentami. Nie znaleźliście się tu po to, żeby nas chronić.

Spojrzała na Tully’ego, spodziewając się po nim potwierdzenia. Nie miał ochoty jej przytakiwać, ale przecież mówiła prawdę. Antyterroryści mają ich wspierać, pomóc

w schwytaniu i aresztowaniu zbrodniarzy, nie zaś ochraniać.

– Pójdziemy z panem, Victorze – rzekł Tully niechętnie.

W gasnącym świetle dnia wnętrze domu było ledwo widoczne. Za drzwiami znajdował się hol, z którego na lewo wchodziło się do dużego pokoju. Na prawo pięły się w górę schody. Widać było korytarz pierwszego piętra za balkonową balustradą. Brygada podzieliła się, połowa ludzi poszła na górę, druga połowa przeszukiwała parter. Tully ruszył za O'Dell na piętro. Zanim dotarł na podest, zobaczył, że antyterroryści zatrzymali się w końcu korytarza. Tully miał wrażenie, że słyszy jakiś głos po drugiej stronie drzwi, przed którymi się przyczaili. Mężczyźni ustawili się do ataku. Tully i O'Dell przylgnęli do ściany. Jeden z mężczyzn kopnął drzwi i oddział wpadł do pokoju.

O'Dell znalazła się tam zaraz po nich i ogromnie się rozczarowała. Głos dochodził z sześciu ustawionych przy ścianie komputerów.

– Kliknij dwa razy, jeśli chcesz potwierdzić – powiedział elektroniczny głos. – Mów do mikrofonu, kiedy będziesz gotowy.

Inny komputer odpowiedział:

– Polecenie zostało przekazane. Proszę sprawdzić w ciągu dwudziestu czterech godzin.

– Co to, kurwa, ma być? – rzucił jeden z antyterrorystów.

O'Dell zaczęła przyglądać się oprzyrządowaniu, reszta trzymała się drzwi, oglądając się za siebie.

– To aktywowany głosem system komputerowy. – Przesuwała się od jednego komputera do drugiego, przypatrując się monitorom, lecz niczego nie dotykając. – Zdaje się, że zajmuje się raportami tej jego firmy z grami wideo.

– Po co komu aktywowany głosem system? – spytał od drzwi agent Alvando.

O’Dell obejrzała się, szukając wzrokiem Tully’ego. Wiedział, co myślała. No właśnie, po co? Chyba że ktoś jest ślepy, i to nie częściowo. Zupełnie ślepy.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY

Tess zacisnęła powieki. A więc mogła chociaż tyle. Udawać, że jest gdzie indziej. W końcu robiła to już tyle razy, więc co za różnica? Niewielka, doprawdy. Musi tylko sama siebie przekonać, że tak właśnie jest. Co za różnica, czy pieprzy cię ktoś za pieniądze, czy jakiś wariat?

Wiedziała, że musi się rozluźnić, bo inaczej będzie dużo bardziej bolało. Musi przestać myśleć o rękach ugniatających jej piersi, czuć pchnięcia, słyszeć jęki tego szaleńca. Na tyle ją jeszcze stać. Tyle jest w stanie przeżyć.

– Otwórz oczy – warknął przez zęby.

Zacisnęła powieki jeszcze mocniej.

– Otwieraj te pieprzone oczy. Chcę, żebyś patrzyła.

Gdy odmówiła, uderzył ją w twarz, a jej głowa gwałtownie się odchyliła. Tess usłyszała, jak coś jej trzasnęło w kręgosłupie szyjnym. Zaraz też poczuła smak krwi. Nadal jednak trzymała oczy zamknięte.

– Niech cię diabli, suko! Otwieraj te pieprzone oczy.

Jęczał nad nią, rzucał się w tył i do przodu tak ostro, tak brutalnie, że zdawało jej się, jakby lada chwila miały popękać jej wnętrzności. Czuła gorący oddech na szyi, tak bliski, tak przerażająco bliski. Nagle zęby wbiły się w jej skórę. Zacisnął mocno ręce na jej piersiach, ujeżdżał ją, pochłaniał, bezwzględnie zawłaszczał. Ocierał się zachłannie, drapał, rozpychał się w niej gwałtownymi,

potężnymi pchnięciami, z dziką zajadłością penetrował. Pożerał ją jak wściekły pies.

Przygryzła dolną wargę. Zmuszała się, żeby nie otwierać oczu. Już niedługo. Wytrzyma. Wreszcie skończy i będzie po wszystkim. Dlaczego tak długo nie miał wytrysku? To nie może trwać w nieskończoność, to po prostu niemożliwe. Najdalej jak mogła obróciła głowę i zaciskała powieki.

W końcu jego ciałem wstrząsnęło, otworzył usta i ostatni raz zacisnął dłonie na jej piersiach. Potem stoczył się z niej, wpychając kolano w jej brzuch i waląc łokciem w głowę.

Leżała nieruchomo, przełykając krew, udając, że nie czuje lepkiej mazi między nogami. Powtórzyła sobie, że mimo wszystko przetrwała.

Było tak cicho, że pomyślała, że wyszedł. Otworzyła oczy. Stał nad nią. Żółte światło latarni, którą ze sobą przyniósł, otoczyło go aureolą. Kiedy spotkała się z nim spojrzeniem, wykrzywił usta w uśmiechu. Był tak spokojny i wyciszony jak w chwili, kiedy wszedł do szałasu. Jak to możliwe? Miała nadzieję, że się zmęczył, że miał dosyć i pójdzie sobie. Tymczasem nie było po nim widać śladu zmęczenia.

– Teraz będziesz już patrzeć – obiecał. – Nawet gdybym miał odciąć ci twoje pieprzone powieki. – Uniósł lśniący nóż.

Z jej obolałego gardła wydobył się cichy, stłumiony krzyk.

– Krzycz sobie, ile wlezie. – Roześmiał się. – Nikt cię nie usłyszy. Mówiąc szczerze, bardzo mnie to kręci.

O dobry Boże. Znów ogarnęła ją panika. Potem nagle Tess zobaczyła, że mężczyzna przechylił głowę na bok, jakby

wsłuchiwał się w jakieś odgłosy na zewnątrz szałasu, a potem zaczął się wycofywać.

Ona też wytężyła słuch i starała się usłyszeć coś więcej niż własny strach. Leżała bez ruchu, przyglądając się swemu prześladowcy. Wtedy to usłyszała. Jeśli nie straciła zmysłów, to naprawdę gdzieś w pobliżu rozlegały się głosy.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY PIERWSZY

Maggie gryzła się, czy nie przybyli za późno. Stucky i Harding mogli ukryć się w lesie i wytropienie ich w tej ciemnej głuszy graniczyłoby z cudem. Wyglądała przez okno. Agent Alvando i jego ludzie przeczesywali teren, znikając między drzewami. Jeszcze chwila i nie będą nic widzieć bez latarek i świateł stroboskopowych. Nie lubili ich, bo zdradzały ich obecność, przez co stawali się łatwym celem dla snajperów. Bardzo chciała być razem z nimi, musiała jednak przyznać rację Alvandzie. Ani ona, ani Tully nie byli odpowiednio wyszkoleni ani wyposażeni, żeby brać udział w gruntownym przeczesywaniu lasu.

Deszcz zaczął padać małymi kroplami, uderzając w metalowe rynny. Byłby to uspokajający dźwięk, gdyby nie zbliżający się huk grzmotów, co zwiastowało burzę. Maggie dziękowała losowi, że budynek zaopatrzony był w generator prądu, bo inaczej nie mieliby zasilania.

– Czy to możliwe, żebyśmy się pomylili co do tego miejsca? – spytał agent Tully z drugiego końca pokoju. Powyciągał jakieś kartony spod biurek z komputerami. Zabezpieczony gumowymi rękawiczkami przeglądał rachunki, przekazy pocztowe i inne dokumenty.

– Może przygotował sobie to wszystko na wypadek, gdyby miał całkiem stracić wzrok? Nie wiem, co myśleć. – Maggie

była napięta do ostatnich granic, miotał nią lęk, ogarniał wręcz mistyczny strach przed nieznanym. Ze wszystkich sił starała się to zwalczyć. – Powinniśmy sprawdzić piwnicę.

– Alvando kazał nam tu siedzieć. – Tully rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie.

– Tam może być sala tortur, a nie schron.

– Ja tylko zgaduję, że tam jest schron. Nie dowiemy się tego, póki ludzie Alvandy nam nie otworzą.

Maggie rozglądała się po pokoju. Wyglądał jak typowy domowy gabinet przeznaczony do pracy, oczywiście poza gadającymi komputerami. Co za rozczarowanie. Jaki zawód! Przygotowała się psychicznie na spotkanie z Albertem Stuckym, a tu po nim ani śladu.

– O'Dell? – Tully tkwił zgarbiony nad kolejnym pudłem. – Proszę rzucić na to okiem.

Zerknęła mu przez ramię, spodziewając się ujrzeć następne oprogramowanie czy grę. Zamiast tego miała przed oczami wycinki gazetowe na temat śmierci jej ojca.

– Skąd on to ma, do diabła? – spytał Tully.

Właśnie to samo pomyślała, kiedy ujrzała swój kalendarz i album ze zdjęciami z dzieciństwa. To był jej karton, ten, który zaginął w czasie przeprowadzki. Kompletnie o nim zapomniała. A zatem Greg mówił prawdę. Karton nie został w ich mieszkaniu. Stucky musiał obserwować jej przeprowadzkę i w jakiś sposób zdobył to pudło od fimy przewozowej. Dreszcz przebiegł jej po plecach na myśl o Stuckym, który szpera w jej osobistych rzeczach.

– Maggie. – Tully wpatrywał się w nią z niepokojem. – Sądzi pani, że on się włamał do pani?

– Nie. Ten karton zaginął mi w czasie przeprowadzki. Musiał go ukraść, zanim moje rzeczy dotarły do domu.

Wściekła, och, jaka była wściekła. Zostawiła partnera przy pozostałych kartonach i zaczęła nerwowo krążyć od okna do okna.

– To znaczy, że Stucky tu był – powiedział Tully, nie podnosząc wzroku.

O'Dell, chodząc tam i z powrotem, cały czas wpatrywała się w okna. Błysnęło całkiem blisko i mroczny las na ułamek sekundy wychylił się z mroku, by zaraz zniknąć w ciemnościach. Nagle zobaczyła w szybie odbicie jakiejś postaci, która z holu kierowała się do drzwi wyjściowych. Maggie okręciła się szybko i mocno ścisnęła broń. Tully aż podskoczył i natychmiast był gotowy do strzału.

– Co jest, O'Dell? – Patrzył przed siebie w głąb korytarza. Maggie powoli szła przez pokój z wycelowanym rewolwerem.

– Ktoś przechodził przez te drzwi – powiedziała wreszcie.

– Czy ktoś z brygady jest jeszcze w budynku?

– Już tu skończyli – szepnęła. Serce tłukło jej się w piersi. Oddychała coraz szybciej, za szybko. – Nie weszliby tu po cichu.

– Czuje pani ten zapach? – Tully pociągał nosem.

Maggie także wciągnęła powietrze i ogarnęła ją panika. Wróciła jej obsesja, stary lęk sprzed wielu lat.

– Śmierdzi jak benzyna. Cholera, i dym – stwierdził Tully.

To był zapach ognia, swąd pożaru. Ta myśl chwyciła Maggie w kleszcze. Nie była zdolna do myślenia. Nie potrafiła przejść kilku metrów do drzwi, kompletnie zesztywniała.

Tully pobiegł do drzwi i ostrożnie wyjrzał, gotów w każdej chwili wystrzelić.

– Szlag by to trafił! – wrzasnął, rozglądając się na boki. – Pali się z obu stron. Musimy znaleźć inną drogę.

Wsadził broń do kabury i podbiegł do okien. Próbował je otworzyć, a Maggie stała jak sparaliżowana na środku pokoju. Ręce tak jej się trzęsły, że nie mogła utrzymać broni. Patrzyła na nie, jakby należały do kogoś innego. Oddech wymknął jej się spod kontroli, przeraziła się, że grozi jej hiperwentylacja.

Już sam swąd przywołał koszmary z dzieciństwa, te straszne sny i widzenia na jawie. Płomienie, które połykały ojca i przypalały jej palce, kiedy wyciągała do niego ręce. Nie uratowała go, bo strach ją unieruchomił.

– Cholera! – Tully wciąż walczył z oknem.

Odwróciła się do niego, nie ruszając się z miejsca. Prawie nic nie widziała, wszystko się plątało, zachodziło mgłą. Pokój przechylił się, zaczął się kołysać. Co się dzieje, przecież to niemożliwe!

Nagle znów go zobaczyła, jego odbicie w szybie. Zakręciła się na pięcie, a zdawało się, że wykonuje to w zwolnionym tempie. Albert Stucky stał w drzwiach, wysoki i czarny, ubrany w czarną skórzaną kurtkę, z bronią wycelowaną prosto w Maggie.

Próbowała unieść smith & wessona, ale okazał się za ciężki. Dłoń nie słuchała rozkazów płynących z mózgu. Pokój przechylił się na drugą stronę, Maggie zaczęła się ślizgać. Mężczyzna uśmiechał się do niej, jakby strzelające za jego plecami płomienie wcale go nie dotyczyły. Czy był prawdziwy? Żywy? Czy był tylko halucynacją wywołaną przez jej wszechmocny strach?

– To pieprzone okno jest chyba zabite! – usłyszała wściekły krzyk Tully'ego.

Otworzyła usta, żeby go ostrzec, ale nie wyrwał się z nich żaden dźwięk. Czekała, aż kula trafi ją prosto w serce. Bo tam właśnie mierzył. Wszystko w zwolnionym tempie. Czy to sen? Odciągnął kurek. Słyszała trzask płonącego drewna. Znów pociągnęła za swoją rękę, widząc jednocześnie, że Stucky zaczyna naciskać spust.

– Tully! – zdołała jakoś krzyknąć i właśnie wtedy Stucky przesunął cel na prawo i nacisnął spust. Eksplozja wstrząsnęła nią, lecz kula chybiła celu. Nie zabił jej. Spojrzała w dół. Nie krwawiła. Z wielkim trudem ruszyła ręką, uniosła ją, gotowa wystrzelić w puste już drzwi. Stucky zniknął. Czy to wszystko tylko jej się zdawało? Za nią rozległ się jęk. Zanim się obejrzała, przypomniała sobie o Tullym.

Ściskał krwawiące udo i patrzył na nie, jakby nie wierzył własnym oczom. Dym wtargnął już do pokoju i szczypał w oczy. Maggie zrzuciła kurtkę. Tyle mogła zrobić. Tyle musiała zrobić. Podbiegła do drzwi, zmuszając się do tego, żeby nie myśleć o palących płomieniach i temperaturze.

Zatrzasnęła drzwi pokoju, zwinęła kurtkę i upchnęła ją w szparze pod drzwiami.

Wróciła do Tully’ego i przyklękła przy nim. Oczy miał szeroko otwarte i zaszklone. Był w szoku.

– Nic ci nie będzie, Tully. Oddychaj, byle nie za głęboko. – Dym wsączał się bezlitośnie przez szpary.

Zdjęła mu krawat. Delikatnie odsunęła ręce partnera od rany. Obwiązała mu udo krawatem, tuż nad krwawiącym miejscem, zaciskając i mrużąc oczy, kiedy krzyczał z bólu.

Pokój był już pełen dymu. Odgłosy walących się belek nośnych budynku zbliżały się nieubłaganie. Maggie słyszała na zewnątrz jakiś ruch i głosy. Tully’emu nie udało się otworzyć żadnego okna. Podniosła się na nogi, starając się myśleć tylko o swym partnerze i o tym, jak mają się wydostać z tego domu. Nie myślała o płomieniach po drugiej stronie drzwi, o piekielnym żarze liżącym deski podłogi, na której stali.

Chwyciła jeden z monitorów, wyrywając przewody i kable.

– Tully, zakryj twarz.

Ale on tylko na nią patrzył.

– Pieprz się, Tully, zakryj twarz i głowę. Już!

Naciągnął kurtkę na głowę i odwrócił się do ściany. Ręce Maggie mdlały pod ciężarem monitora, oczy piekły, w płucach paliło. Walnęła monitorem w okno i czym prędzej wybiła resztki szyby. Wzięła Tully’ego pod ręce.

– Dawaj, Tully, musisz mi pomóc.

Zdołała jakoś dociągnąć go do okna i wsadzić na dach ganku. Agent Alvando z dwoma ludźmi stał na dole. Na

szczęście nie było zbyt wysoko. Maggie cały czas trzymała Tully’ego pod ręce, gdy ten spuścił nogi i czekał, aż chwycą go mężczyźni na dole. Bezustannie wpatrywał się w swoją partnerkę. W jego oczach nie było już nawet śladu szoku, choćby cienia strachu.

To, co Maggie ujrzała w oczach Tully’ego, zdumiało ją w najwyższym stopniu. Dostrzegła w nich bezgraniczne zaufanie.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY DRUGI

Noga bolała Tully’ego jak diabli. Pożar powoli wygasał. Ranny agent siedział w bezpiecznym miejscu, w odpowiedniej odległości od domu, ale nie miał nic przeciwko ciepłu płynącemu od ognia. Ktoś zarzucił mu koc na plecy. Nie pamiętał, kiedy to się stało. Nie zdawał też sobie sprawy z tego, że padał deszcz, póki nie poczuł, jak przykleja się do niego ubranie, a mokre włosy przylegają do czoła. Agent Alvando sprowadził karetkę, której jakoś udało się po wertepach dotrzeć do płonącego budynku.

– Powóz czeka. – Agentka O’Dell stanęła przed Tullym.

– Niech najpierw zabiorą tę McGowan. Mogę zaczekać.

Maggie wpatrywała się w niego, jakby do niej należał osąd, czy Tully jest w stanie czekać.

– Na pewno? Może uda im się zmieścić was oboje.

Tully rzucił wzrokiem za O’Dell. Tess McGowan siedziała w jednym z wozów antyterrorystów. Była w fatalnym stanie. Miała potargane włosy i pełne bólu spojrzenie. Jej ciało, owinięte w koc, pokrywały dziesiątki krwawych ran i siniaków. Ledwo trzymała się na nogach. Ludzie Alvandy znaleźli ją zamkniętą w drewnianym szałasie niedaleko budynku. Była przykuta łańcuchami do pryczy, zakneblowana i naga. Powiedziała im, że ten szaleniec wyszedł dosłownie tuż przed ich nadejściem.

– Już nie krwawię – rzekł Tully. – Bóg jeden wie, przez co ona przeszła. Zabierzcie ją stąd i wsadźcie do jakiegoś ciepłego łóżka. Niech jak najprędzej zajmie się nią lekarz i psycholog.

O’Dell obróciła się, przywołała wzrokiem sanitariusza i pokazała coś ręką. Natychmiast pojął, o co jej chodzi, i udał się prosto do wozu, żeby zaprowadzić McGowan do karetki.

– Poza tym – mówił Tully – chcę tu być, kiedy ich przyprowadzą.

Na tyłach domu był hydrant przeciwpożarowy, zapewne pozostałość z czasów, gdy był to teren rządowy. Zlano cały budynek obfitym strumieniem wody, co okazało się o wiele skuteczniejsze niż deszcz. Zjawili się też strażacy z najbliższego sąsiedztwa, chociaż ich wóz zapadł się w błoto półtora kilometra od bramy. Teraz zapuścili się w wypalony kadłub budynku. Odkryli tam dwa martwe, spalone ciała w podziemnej piwnicy.

Tully starł sadzę z oczu i twarzy. O’Dell usiadła obok niego na ziemi. Podciągnęła kolana pod brodę, obejmując nogi ramionami.

– Nie ma pewności, że to oni – powiedziała, nie patrząc na niego.

– Nie, ale kto to jest wobec tego?

– Stucky nie jest typem samobójcy.

– Może myślał, że schron jest ognioodporny.

Zerknęła na niego, nie zmieniając pozycji.

– Nie pomyślałam o tym. – Prawie ją przekonał. Prawie.

Dwaj strażacy wyszli z ruin, ciągnąc nosze przykryte czarną płachtą. Dwaj inni nieśli drugie nosze. O’Dell wyprostowała plecy. Kiedy drugie nosze zbliżały się do wozu FBI, spod materiału wyśliznęła się bezwładna ręka. Zwisała teraz, ubrana w skórzany rękaw. Tully poczuł, że O’Dell sztywnieje. Potem usłyszał jej oddech. Głęboki, długi oddech ulgi.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY TRZECI

Gdyby nie było tak późno, Maggie zaprosiłaby Gwen na obiad do jakiejś knajpy, ale dużo czasu spędziła w szpitalu, żeby upewnić się, czy Tess ma odpowiednie warunki i czy agent Tully nie stracił władzy w nodze.

Powinna być kompletnie wykończona, a jednak po raz pierwszy w życiu miała aż tak wielką ochotę świętować. Znalazła chińską knajpkę na północy Newburgh Heights, która była jeszcze otwarta o tej porze. Nareszcie mogła wejść do restauracji, nie martwiąc się, że obsługująca ją kelnerka następnego dnia wyląduje w śmietniku. Zamówiła kurczaka, wieprzowinę w sosie słodko-kwaśnym i mnóstwo ryżu. Poprosiła też o dodatkowe ciasteczka z wróżbami, a potem zastanawiała się, czy Harveyowi smakowałyby krokiety po chińsku.

Kiedy przyjechała do domu, Gwen i Harvey, skuleni na kanapie, oglądali w telewizji program Jaya Leno. Kartony natychmiast przypomniały jej o pudle, które skradł jej Stucky, a które teraz przepadło na dobre w płomieniach. W albumie, którego już nigdy nie odzyska, znajdowały się jedyne fotografie ojca, jakie miała. Ale na razie nie chciała o tym myśleć. Teraz chciała się cieszyć odzyskaną wolnością.

Gwen zobaczyła pakunki i uśmiechnęła się.

– Dzięki Bogu. Umieram z głodu.

Maggie zadzwoniła do Gwen po drodze z samochodu, przekazując jej w skrócie to, co się wydarzyło. W głosie przyjaciółki także znać było ulgę. Cieszyła się, że Maggie wreszcie jest bezpieczna, sama też odetchnęła, bo już nie musiała przejmować się Walkerem Hardingiem.

– Może zostaniesz na noc? – zaproponowała Maggie, pałaszując kurczaka.

– Bardzo wcześnie mam pacjenta, więc wrócę do siebie. Jak wiesz, rano jestem do niczego. – Dobierając ryżu, patrzyła na Maggie. – Jak się czujesz? Ale szczerze.

– Szczerze? Świetnie.

Gwen zmarszczyła brwi, jakby nie była usatysfakcjonowana odpowiedzią.

– O mało co nie zginął przeze mnie Tully, sama też prawie zginęłam – powiedziała Maggie już z powagą. – Przeraził mnie pożar. Nie mogłam się ruszyć. Brakowało mi tchu. Ale wiesz co? – Uśmiechnęła się. – Przeżyłam. I udało mi się nas stamtąd wyciągnąć.

– Znakomicie. Przełamałaś coś, wyzwoliłaś się. Zwyciężyłaś strach i obsesje. I nie chodzi mi tylko o Stucky’ego.

Harvey wsadził nos pod ramię Maggie, dopraszając się o następnego krokieta. Poczęstowała go wymarzonym kąskiem, dosłownie odejmując sobie od ust, a potem poklepała po karku.

– Moim zdaniem nie powinno się psów karmić chińskimi krokietami, Maggie.

– Skąd mam wiedzieć? Jest jakaś książka na ten temat?

– Całe mnóstwo. Wyszukam ci coś.

– Przyda się, bo wygląda na to, że Harvey wprowadził się tu na stałe.

– Czy to znaczy, że miałaś rację co do jego właścicielki?

– Tess opowiedziała nam, że podczas swojej gehenny natknęła się na pewną kobietę. Leży martwa w okropnej norze wykopanej w tamtym lesie. Oczywiście to nic pewnego, ale przed śmiercią powiedziała Tess, że ma na imię Rachel. Czuję, że to Rachel Endicott. – Zauważyła grymas Gwen. – Jutro będą kontynuować poszukiwania. Tess widziała tam kości, czaszki, kopiec będący grobem jakiejś nieszczęśnicy... Dla ilu kobiet ten las stał się cmentarzem? Wszystko wskazuje na to, że Stucky i Harding wykorzystywali ten teren przez całe lata.

– Chcę cię o coś zapytać. Jak sądzisz, co wobec mnie planował Harding?

– Nie, Gwen – warknęła na nią Maggie. – Och, wybacz, nie powinnam, ale nie chcę teraz o tym myśleć, zgoda?

– To logiczne, gdyby obaj w końcu przerzucili się na kobiety, które znasz bliżej. Przyjaciółki, krewne... Aha, skoro już mowa o bliskich związkach – uśmiechnęła się – coś mi się przypomniało. Był do ciebie telefon. Ten przystojniak z Nebraski.

– Nick?

– Znasz więcej przystojniaków z Nebraski? – Po minie Gwen widać było, że rumieniec na twarzy Maggie wyraźnie ją ucieszył.

– Chciał, żebym dzisiaj oddzwoniła?

– Prawdę mówiąc, akurat jechał na lotnisko. Zapisałam dla ciebie wiadomość. – Gwen podniosła się z podłogi. – Musisz sobie wreszcie kupić stół, Maggie. Jestem za stara, żeby jeść na deskach. – Znalazła kartkę na biurku. – Powiedział, że jego ojciec miał zawał.

– O Jezu. – Maggie żałowała ogromnie, że Nick jej nie zastał. Jego relacje z ojcem były bardzo skomplikowane. Dopiero całkiem niedawno wyzwolił się z tego. – Wyzdrowieje? Chyba nie umarł, co?

– Nie, ale Nick mówił, że najpewniej konieczna będzie operacja. – Gwen odcyfrowywała dalsze zapiski. – Tego nie rozumiem. Powiedział, że jego ojciec otrzymał list i że podejrzewają, jakoby z tego powodu dostał zawału. O ile się nie mylę, Nick mówił, że list był z Ameryki Południowej.

Maggie natychmiast poczuła skurcz w żołądku. Czyżby ksiądz Michael Keller przysłał Antoniowi Morrellemu swoją spowiedź? Maggie była chyba jedyną osobą, która wierzyła, że ten młody, obdarzony charyzmą duchowny zamordował czterech chłopców w Platte City, w stanie Nebraska. Ksiądz opuścił kraj, zanim zdołała to udowodnić. Z tego, co wiedziała, przebywał wciąż w Ameryce Południowej.

– To wszystko – rzekła Gwen. – Rozumiesz coś z tego?

Dzwonek telefonu poderwał je na równe nogi.

– Może to Nick. – Maggie szybko dopadła do słuchawki.

– Maggie O’Dell, słucham.

– O’Dell, mówi Cunningham.

Spojrzała na zegarek. Było późno, a dopiero co widziała się z dyrektorem w szpitalu.

– Jak Tully? – To pierwsze, co przyszło jej na myśl w związku z późnym telefonem szefa.

– W porządku. Jestem z doktorem Holmesem. Był tak uprzejmy, że zajął się zaraz autopsją.

– Doktor Holmes sporo ich zrobił w ciągu ostatnich dwu tygodni.

– Jest pewien problem, agentko O’Dell. – Cunningham jak zwykle przeszedł do sedna sprawy.

– Jaki problem? – Maggie oparła się o biurko, ściskając mocniej słuchawkę. Gwen obserwowała ją przycupnięta na fotelu.

– Walker Harding zmarł od strzału w tył głowy. Kaliber 22. Ktoś wykonał na nim egzekucję. To nie wszystko. Jego organy wewnętrzne są w zaawansowanym rozkładzie. Zdaniem doktora Holmesa nie żyje od wielu tygodni.

– Tygodni? To niemożliwe, sir. Znaleźliśmy jego odciski palców w trzech miejscach zbrodni.

– Chyba da się to wyjaśnić. Ciału brakuje kilku palców, w tym kciuka. Zostały odcięte, najpewniej przez Stucky’ego. Używał ich, żeby wprowadzić nas w błąd.

– Ale Gwen odbyła dwie sesje z Hardingiem. – Zerknęła na przyjaciółkę. Na jej twarzy malował się lęk. Nawet Harvey zaczął krążyć po werandzie, poruszając niespokojnie ogonem i nasłuchując.

– Doktor Patterson nigdy w życiu nie widziała Hardinga – rzekł Cunningham swoim chłodnym, profesjonalnym tonem, ignorując alarm w głosie Maggie. – Gdybyśmy poprosili ją o opis tego człowieka z sesji terapeutycznych,

prawdopodobnie podałaby nam charakterystykę Stucky'ego. Widziałem tylko dwa zdjęcia Hardinga, ale jeśli dobrze pamiętam, ci dwaj są niezwykle podobni. Stucky zapewne podszywał się pod Hardinga. Na przykład ten bilet lotniczy na jego nazwisko.

– Jezu. – Maggie nie mogła w to uwierzyć, choć brzmiało całkiem sensownie. Wciąż nie była jednak do końca przekonana, by Stucky mógł dopuścić kogokolwiek, nawet Hardinga, do swojej gry. To wszystko wymagało głębokiego przemyślenia. – A zatem miał idealne przebranie i idealną kryjówkę.

– Jest jeszcze coś, agentko O'Dell. To drugie ciało. Ten ktoś także nie żyje od wielu tygodni i nie jest to Albert Stucky.

Maggie zdążyła usiąść, zanim ugięły się pod nią nogi.

– Nie, to niemożliwe. Nie mógł znów uciec.

– Nie potrafimy na razie zidentyfikować ciała. Może to znajomy albo opiekun Hardinga. Nie ma wątpliwości, że Harding był ślepy. Doktor Holmes powiedział, że miał zdjętą siatkówkę w obu oczach. Nie znalazł też dowodu na to, że Harding chorował na cukrzycę.

Maggie już go prawie nie słuchała. Ledwo słyszała jego głos zagłuszany łomotem jej serca. Nerwowo rzucała wzrokiem po pokoju. Zaaferowany Harvey węszył pod tylnymi drzwiami. Gdzież ona, do diabła, zostawiła swojego smith & wessona? Wysunęła szufladę. Po drugim rewolwerze nie było śladu.

– Wysłałem z powrotem kilku agentów, żeby obserwowali pani dom – powiedział Cunningham, jakby to miało wystarczyć. – Proszę dzisiaj już nigdzie nie wychodzić. Niech pani się nie rusza z domu. Będziemy gotowi, gdyby się pojawił.

Jeśli się pojawi, będę łatwym celem, pomyślała Maggie, zachowując to dla siebie.

Spotkała pytające spojrzenie Gwen. Strach, zimny, paraliżujący strach powrócił. Maggie z trudem wstała i odsunęła się od solidnej podpory, jakim był sekretarzyk jej ojca.

– Stucky nie odważy się znowu po mnie przyjść.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY CZWARTY

Czołgał się przez zarośla, trzymając się blisko ziemi. Przeklęte krzewy miały ostre kolczaste gałęzie, które wciąż czepiały się jego bluzy. Gdyby miał swoją skórzaną kurtkę, uniknąłby tego. Brakowało mu jej, chociaż z drugiej strony warto było ją poświęcić, żeby ujrzeć ten wyraz ulgi na twarzy agentki specjalnej Maggie O'Dell i wiedzieć jednocześnie, jak bardzo jest przedwczesny. Oszukał ich wszystkich. Zmieniał wcześniej przygotowane kryjówki, to znikał, to się pojawiał, zależnie od swej woli.

Przetarł oczy. Kurwa, jak ciemno! Żeby te czerwone linie zniknęły! Trach, trach. Nie, nie będzie teraz myślał o tych pieprzonych naczyniach krwionośnych, które tak łatwo pękają w oczach. Insulina doprowadziła go do w miarę stabilnego stanu, nic jednak nie powstrzymało pękających naczynek.

Wciąż słyszał cienki śmiech Walkera, który mówił:

– Zostaniesz takim samym pieprzonym ślepcem jak ja, Al.

Walker nie przestawał się śmiać, kiedy przyłożył mu do głowy dwudziestkę dwójkę i nacisnął spust. Trach, trach.

Światła były wyłączone. Widział ją, jak chodziła tam i z powrotem po swojej sypialni. Wiedział, że to jej sypialnia. Chciałby zobaczyć jej twarz, spokojną, niczego niepodejrzewającą, ale nieprzejrzyste zasłony były szczelnie zaciągnięte.

Zdołał już rozbroić jej system alarmowy dzięki małemu gadżetowi, który Walker wymyślił dla niego przed paroma miesiącami. Ślepy jak nietoperz, ale nadal pozostał elektronicznym geniuszem. Próbował mu tłumaczyć, jak to działa, ale nawet go nie słuchał. Po co? Ważne, by działało i tyle. No i działało. Sprawdził to na domu przy Archer Drive.

Ruszył w górę po kratownicy ukrytej pod dzikim winem i krzakami. Miał nadzieję, że jest solidniejsza, niż się wydawała na pierwszy rzut oka. Jakoś za łatwo mu szło, żadnych przeszkód, żadnych niespodzianek. Szkoda, bo lubił takie wstępne emocje przed prawdziwym wyzwaniem. Bo prawdziwym wyzwaniem była ona. Wiedział, że ona na pewno go nie zawiedzie.

Pomyślał o nożu w cienkiej pochwie, wsadzonym bezpiecznie do buta. Nie będzie się spieszył. Oczekiwanie ogromnie go podnieciło. Tak, to będzie warte jego wysiłku.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY PIĄTY

Maggie siedziała w ciemnym kącie. Plecy przykleiła do ściany sypialni, ręce wsparła na kolanach. W dłoniach ściskała odbezpieczonego smith & wessona. Tym razem była przygotowana. Wiedziała, że ją obserwował. Wiedziała, że przyjdzie. Ale kiedy usłyszała go u stóp kratownicy, jej tętno się rozszalało. Serce wyrywało się gdzieś, plecy spływały potem.

Nie wiadomo kiedy znalazł się w oknie. Widziała jego cień. Czarny drapieżca wiszący w powietrzu. Potem jego twarz zbliżyła się do szyby. Tak się przestraszyła, że o mało nie skoczyła. Nie ruszaj się. Nie drgnij. Spokój. A jednak przerażenie jej nie opuszczało. Lekko zadrżała jej ręka, w której trzymała broń. Maggie wiedziała, że w ciemnym kącie jest bezpieczna. Poza tym Stucky będzie szukał w skołtunionej pościeli, którą weźmie za śpiącą ofiarę.

Ciekawe, czy zdziwi się, że jest taka dobra w tę jego grę. Czy będzie rozczarowany, że ona potrafiła już przewidzieć jego ruchy? Był przekonany, że w dalszym ciągu wszyscy biorą to drugie spalone ciało za jego zwłoki. Sądził, rzecz jasna, że wkrótce odkryją prawdę, i dlatego nie tracił czasu. Przyszedł po swoją najważniejszą ofiarę, najważniejszy cios jego nemesis. To miał być wielki finał, ostatnia rana zadana Maggie, zanim cukrzyca ostatecznie pozbawi go wzroku.

Zacisnęła dłoń na broni. Starała się koncentrować na twarzach ofiar, litanii ich imion, dodając Jessicę, Ritę i Rachel. Jak on poważył się zrobić z niej wspólniczkę swych zbrodni? Celowo poddała się złości, zawsze to lepsze niż pełznący chytrze strach.

Delikatnie i cicho podniósł okno do góry. Zanim wszedł do pokoju, poczuła jego zapach, woń dymu i potu. Zaczekała, aż dojdzie do krawędzi łóżka. Aż wyciągnie nóż z buta.

– Nie będzie ci już potrzebny – powiedziała spokojnie, nie drgnął jej nawet jeden mięsień.

Odwrócił się natychmiast z nożem z ręce. Drugą ręką ściągnął kołdrę, potem chwycił lampę z nocnego stolika. Pokój wypełniło żółte światło. Kiedy zwrócił je w jej stronę, zdawało jej się, że dostrzegła w jego oczach błysk osłupienia.

– Proszę, Maggie O’Dell. Nie spodziewałem się.

– Gwen tu nie ma. Prawdę mówiąc, jest u mnie. Chyba ci nie przeszkadza ta zamiana?

Stucky nie śmiał przyjść do niej. To byłoby zbyt łatwe. Tak jak w tym magazynie w Miami osiem miesięcy wcześniej. Oczywiście mógł ją wtedy zabić, jednak wolał zostawić ranę, która zamieniła się w bliznę, stałą pamiątkę po nim. Nie, Stucky nie zamierza jej zabić. Chce ją zniszczyć. To miał być jego rozstrzygający cios. Atak na bliską Maggie kobietę, tę, którą ceniła i kochała.

– Dobra jesteś w tych naszych gierkach. – Wydawał się mimo wszystko zadowolony.

Bez ostrzeżenia nacisnęła spust. Stucky szarpnął ręką, nóż upadł na podłogę. Patrzył na zakrwawioną dłoń. Ich oczy spotkały się. Tym razem widziała w jego oczach więcej niż zaskoczenie. Czy to już strach?

– I jak to jest? – spytała, dbając, by głos jej nie drżał. – Jak się czujesz pobity przeze mnie w twojej grze?

Znów się uśmiechnął, a raczej wykrzywił usta. Och, jak chętnie odstrzeliłaby mu z twarzy ten grymas.

– Nie, to ja powinienem zadać ci to pytanie, Maggie. Jak się czujesz, grając w moją grę?

Wytrzyma. Nie dopuści, żeby zwyciężył. Nie tym razem.

– To koniec – wykrztusiła. Czy dostrzegł drżenie jej ręki?

– Przyznaj się. Lubisz patrzeć, jak krwawię. – Uniósł rękę, żeby pokazać jej skapującą krew. – To daje moc, Maggie?

– A czy zamordowanie najlepszego przyjaciela daje moc, Stucky? Czy dlatego to zrobiłeś?

Chyba się znowu skrzywił, ale nie dałaby głowy. Może wreszcie znalazła jego piętę achillesową.

– Dlaczego to zrobiłeś? Dlaczego zabiłeś jedynego człowieka, jedyną osobę, która była w stanie przyjaźnić się z tobą?

– Miał coś, co było mi potrzebne. Coś, czego nie mogłem inaczej zdobyć – rzekł, unosząc brodę i odwracając wzrok od światła.

– A co takiego miał ślepy Walker Harding, co było cenniejsze od jego życia?

– Sprytna z ciebie kobietka. Znasz już odpowiedź. Miał siebie. Musiałem stać się nim. – Zaśmiał się nagle

i przymknął powieki.

Maggie wpatrywała się w jego oczy. Światło wyraźnie mu przeszkadzało. Tak, miała rację. Może to cukrzyca, może co innego, ale Stucky tracił wzrok.

– Nie żeby to była jakaś wyjątkowa osobowość – ciągnął Stucky. – Tkwił w tym domu na zadupiu, zamknął się w cyberżyciu. Brandzlował się przy pornosach, oślepł przy wspomnieniach o nich, zamiast zabrać się do jakiejś laski. – Pogardliwie wydął usta. – Był żałosny. Nigdy bym się z nim nie zamienił. Na pewno nie dobrowolnie.

Sięgnął po lampę, żeby wyłączyć światło. Tym razem kula roztrzaskała mu nadgarstek. Złapał się za rękę. Wściekłość i ból zniekształciły mu twarz, choć silił się, żeby zachować zimną krew.

– Jakiś problem ze wzrokiem? – szydziła z niego, chociaż nogi i ręce miała sparaliżowane ze strachu. Nie byłaby w stanie biec, musi więc siedzieć nieruchomo. Nie mogła pokazać mu swojej twarzy.

Wysilił się na kolejny uśmiech. Z jego twarzy zniknął ból, który rwał mu rękę. Ruszył w jej kierunku. Maggie naciągnęła spust po raz kolejny. Tym razem kula rozerwała kolano, przewracając Stucky’ego na ziemię. Zdębiały spojrzał na swoją nogę. Nie krzyknął z bólu, nawet się nie skrzywił.

– Podoba ci się to, co? Czułaś już kiedyś taką moc, Maggie?

Jego głos zaczynał ją wkurzać. O co mu chodziło? Tak, drwił z niej, bo chciał, żeby to ciągnęła.

– To koniec, Stucky. To jest koniec. – Mówiąc to, słyszała w swoim głosie jakiś dygot. Kiedy uprzytomniła sobie, że on też go słyszał, strach znów ją obleciał. Niech to szlag! Nie podziałało!

Z trudem dźwignął się na nogi. Jej poprzedni plan wydał jej się nagle idiotyczny. Co musiałaby zrobić, żeby go złamać, nie mówiąc już o aresztowaniu? Czy w ogóle możliwe jest ujarzmienie takiego zła, jakie sobą reprezentował? Kiedy zaczął posuwać się ku niej ponownie, zastanawiała się, czy da się go w ogóle zniszczyć. Miał zmiażdżone kolano, a prawie nie kulał. Co więcej, trzymał znowu w dłoni nóż. Podniósł go, kiedy się przewrócił na ziemię. Ile kul zostało w jej magazynku? Strzeliła dwa czy może już trzy razy?

Zademonstrował jej nóż, unosząc go wysoko, obracając go w dłoni, żeby jak najlepiej w niej leżał.

– Miałem nadzieję, że zostawię na twoich schodach serce twojej drogiej przyjaciółki, Gwen. Nie sądzisz, że to brzmi poetycko? Ale ty zmuszasz mnie, żebym zaczął od twojego.

– Odłóż to, Stucky. To koniec – powiedziała bez przekonania. Bo niby jak miała je mieć, skoro przeraźliwie trzęsły się jej dłonie?

– To ja powiem, kiedy nastąpi koniec – syknął.

Wymierzyła, próbując się uspokoić. Starała się skupić na celu, niewielkiej przestrzeni między oczami. Palec jej drgnął, kiedy przyciskała go do spustu. Tym razem nie pozwoli mu wygrać. Wpatrywała się w jego czarne oczy. Więziło ją tam ich zło, przypierało do ściany. Nie da mu się

porazić. Kiedy jednak Stucky sunął ku niej, czuła ścianę strachu, dziką histerię, która przesłaniała jej wzrok. Zanim zdołała nacisnąć spust, drzwi otworzyły się na oścież.

– O’Dell! – wrzasnął Cunningham, wbiegając z wycelowaną bronią.

Zatrzymał się, widząc ich oboje. Zamarł. Zawahał się. Maggie przestraszyła się, straciła ułamek sekundy. Tyle wystarczyło Stucky’emu, żeby się na nią rzucić i zatopić w niej nóż. W małej sypialni eksplodowała broń, szybka sekwencja strzałów. Echo odbijało się burzliwie od ścian.

Wreszcie dźwięk ucichł równie nagle, jak wybuchł.

Albert Stucky leżał rozwalony na kolanach Maggie. Jego ciałem wstrząsały drgawki, bryzgała na nią krew. Nie wiedziała, czy to tylko jego, czy może także jej krew. Nóż sterczał ze ściany, tak blisko, że czuła rękojeść nad swoim bokiem, tak blisko, że rozdarł jej bluzkę. Nie mogła się poruszyć. Czyżby nie żył? Jej ręka, wciąż zaciśnięta na rewolwerze, trzęsła się nieopanowanie. Nie musiała sprawdzać, wiedziała, że… jest pusty.

Cunningham zrzucił z niej ciało Stucky’ego, kloc bez cienia życia. Nagle Maggie chwyciła Stucky’ego za ramię. Musiała zobaczyć jego twarz. Przewróciła go na plecy. Kule bardzo go podziurawiły. Patrzyły na nią martwe oczy, a ona chciała krzyczeć z ulgi. Ciało Stucky’ego było pełne dziur, ale nie było żadnej między jego oczami.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY SZÓSTY

Tess oparła się o szybę. Powinna była zgodzić się na wózek, który proponowała pielęgniarka. Stopy ją paliły, bolało w klatce piersiowej, wciąż miała problem z oddychaniem. Myliła się co do żeber. Dwa były pęknięte, dwa stłuczone. Pozostałe rany, siniaki i stłuczenia zagoją się. Z czasem zapomni o szaleńcu, który nazywał się Albert Stucky. Zapomni o jego zimnych, czarnych oczach, o jego obrzydliwym oddechu na swojej twarzy, o jego rękach, o jego ciele, o tym, jak pastwił się nad nią i upodlił w niewyobrażalny sposób.

Gniotła w pięści cienki materiał szlafroka, żeby odepchnąć lodowate palce, które dusiły ją za każdym razem, kiedy o nich pomyślała. Po co się oszukiwać? Wiedziała, że nigdy nie zapomni. Jeszcze jeden rozdział z jej życia, który będzie usiłowała wymazać z pamięci. Była już bardzo zmęczona przepisywaniem wciąż na nowo przeszłości, żeby dotrwać do przyszłości. Tak bardzo była tym wyczerpana, że nie widziała już powodu, by się o nią kłopotać. Przyszłość? Śmieszne słowo... Ale nie, jeszcze znajdzie w sobie siłę, by o niej pomyśleć.

Patrzyła przez swoje zmaltretowane odbicie w szybie na maleńkie pomarszczone twarzyczki. Maleńkie piąstki machające w powietrzu. Wsłuchiwała się w bezustanny

płacz i gaworzenie nowo narodzonych. Uśmiechnęła się. Jakie to banalne szukać odpowiedzi właśnie w tym miejscu.

– Dziewczyno, a czemuś ty wstała z łóżka?

Tess zerknęła przez ramię. Delores Heston w jaskrawoczerwonym kostiumie rozświetlała biały, sterylny korytarz szpitalny, maszerując w jej stronę. Zarzuciła Tess ramiona na szyję i uściskała ją ostrożnie. Kiedy się odsunęła, ta twarda kobieta interesu miała załzawione oczy.

– O litości, obiecałam sobie, że mi się to nie zdarzy. – Delores wytarła oczy, rozmazując tusz. – Jak się masz, Tess?

– Dobrze – skłamała i spróbowała się uśmiechnąć. Strasznie bolała ją szczęka, w którą Stucky uderzył ją pięścią. Językiem sprawdziła stan swoich zębów. Była zdumiona, że wszystkie ocalały.

Zdała sobie sprawę, że Delores wpatruje się w nią z uwagą. Uniosła brodę Tess swoją miękką dłonią, przyglądając się śladom zębów na jej szyi. Tess odwróciła się. Nie chciała widzieć przerażenia i litości w oczach Delores, która zaraz przytuliła ją bez słowa i tym razem nie puściła tak szybko. Głaskała ją po głowie i po plecach.

– Będę się tobą opiekować, obiecuję, Tess – powiedziała z emfazą, wypuszczając ją z objęć. – I nie chcę żadnej dyskusji na ten temat, zrozumiano?

Nikt nigdy nie złożył jeszcze Tess podobnej oferty, dlatego nie znała właściwej odpowiedzi. Ale ze wszystkich możliwych łzy były najbardziej nie na miejscu. Nie w tej chwili. Delores wyjęła chusteczkę i delikatnie osuszyła jej

oczy, uśmiechając się jak matka szykująca dziecko do szkoły.

– Jakiś przystojniak czeka na ciebie w twoim pokoju.

Tess poczuła nagły skurcz w środku. O Boże, nie da rady stanąć twarzą w twarz z Danielem w takiej chwili.

– Może mu pani powiedzieć, że zadzwonię później, no i podziękować w moim imieniu za róże?

– Róże? – Delores była skonsternowana. – Dla mnie wyglądało to na bukiet fiołków to coś, co ściskał w ręce. Tak je ściskał, że pewnie już padły do tej pory.

– Fiołki?

Tess wyciągnęła szyję, żeby zerknąć przez ramię Delores. I zobaczyła Willa Finleya, który stał zmieszany na końcu korytarza. I faktycznie był z niego przystojniak w tych ciemnych spodniach i niebieskiej koszuli, jeśli dobrze widziała przez zamglone oczy. I trzymał w lewej dłoni bukiet fiołków.

Może jednak i w jej życiu mimo wszystko zostało jeszcze kilka rozdziałów do dopisania?

EPILOG

Tydzień później

Maggie sama nie wiedziała, czemu tu przyszła. Może po prostu musiała zobaczyć na własne oczy, jak on znika w ziemi. Może musiała być na sto procent pewna, że tym razem Albert Stucky nie ucieknie.

Stała z tyłu, blisko drzew, przypatrując się nielicznym uczestnikom pogrzebu, w większości dziennikarzom, jak rozpoznała. Kościelna asysta od św. Patryka przewyższała liczebnie żałobników. Było tam kilku księży i ministrantów niosących kadzidła i świece. Jak mogli żegnać kogoś takiego jak Stucky ceremonią, jaką żegnano wszystkich zwyczajnych grzeszników? Nie pojmowała tego. To było niesprawiedliwe.

Ale nieważne, bo nareszcie była wolna. I to pod wieloma względami. Stucky nie wygrał. Nie wygrała też ciemna strona jej natury. W ułamku sekundy postanowiła się bronić, ale nie oddała się prawdziwemu złu.

Zniecierpliwiony Harvey trącał nosem jej rękę. Pewnie zastanawiał się, jaki jest pożytek z przebywania na powietrzu, skoro tak sterczą w miejscu zamiast cieszyć się spacerem. Patrzyła na procesję, która ruszyła w dół wzgórza.

Albert Stucky ostatecznie zniknął. I zaraz zostanie pogrzebany dwa metry pod ziemią, jak jego ofiary.

Maggie pogłaskała miękkie futro Harveya i poczuła niewyrażalne ukojenie. Mogą iść do domu. Może się czuć bezpieczna. Marzyła przede wszystkim o tym, żeby się wyspać.

Tytuł oryginału:
Split Second

Pierwsze wydanie:
MIRA Books, 2001

Redaktor prowadzący:
Mira Weber

Korekta:
Bronisława Dziedzic-Wesołowska

© 2001 by S. M. Kava
© for Polish edition by Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o., Warszawa 2003, 2008

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiejkolwiek formie

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z Harlequin Enterprises II B. V.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.

Jakiekolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Harlequin Polska sp. z o.o.
02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25
www.harlequin.pl

ISBN 978-83-238-9679-1

Konwersja do formatu EPUB:
Legimi Sp. z o.o.